

Czytanki Szkolne

Druga książka do czytania

Ułożył

Profesor Władysław Komischke

nd,



1920

Spółka Wydawnicza Karola Młarki w Mikołowie

Czytanki szkolne

Druga książka do czytania

Ułożył

Profesor Władysław Komischke



1920

Spółka Wydawnicza Karola Miarki w Mikołowie



105365

884-4 (075.2)

Zbiory Śląskie

Alg K III 115 | 80 | 51

Przedmowa.

Druga część Czytanek, przeznaczona dla wyższych klas szkoły powszechnej, odpowiada także wymaganiom wstępnych klas (preparandyj) seminarjum nauczycielskiego i wszystkich szkół wydziałowych i zawodowych. Ażeby ze względu na absolutny brak podręczników szkolnych umożliwić książce używanie przynajmniej na całym obszarze byłej Dzielnicy Pruskiej nie umieściłem w niej czytanek z treścią lokalną — górnośląską. Dopiero po ustaleniu stosunków politycznych i po zaspokojeniu olbrzymiego zapotrzebowania we wszystkich szkołach polskich o nadaniu książce — pierwszej i drugiej — zabarwienia lokalnego i o ścisłym dostosowaniu do istniejących już wtenczas systemów pomyśleć będzie można.

Bytom w czerwcu 1920.

Prof. Władysław Komischke.

SPIS RZECZY.

ROZDZIAŁ I.

Bajki, baśnie i legendy.

	Str.		Str.
1. O pieśniach gminnych . . .	1	19. Szczęśliwy człowiek . . .	17
2. Wisła	4	20. O kamieniarzu japońskim .	18
3. Złoto i żelazo	5	21. Siedzi ptaszek na drzewie .	20
4. Uspokojenie z cnoty . . .	6	22. Kwiat paproci	20
5. Herkules na rozstajnej drodze	7	23. O bocianie	22
6. Trzej przyjaciele	8	24. Wyrwidąb i Waligóra . .	23
7. Dwaj przyjaciele i niedźwiedź	8	25. Trzech Budrysów	24
8. Chory wilk	9	26. Świtez	25
9. Pustelnik i niedźwiedź . .	9	27. Lubor	30
10. Przyjaciele	10	28. Krzyż	31
11. Dwaj podróżni i ostryga .	11	29. Św. Izydor	33
12. Kaczki kłótnice	11	30. Chleb	35
13. Kruk i lis	12	31. Brzoza Grzyżyńska . . .	36
14. Gwóźdź w ścianie	12	32. Baszyna	38
15. Dwa szczury	13	33. Jan Kanty	40
16. Wilk i kozłą	14	34. Pielgrzym świętokrzyski .	41
17. Dziad i baba	14	35. Róże św. Elżbiety	42
18. Kłamca zawstydzony . . .	15	36. Legendy o król. Jadwidze .	43
		37. Boże dary	45
		38. Quo vadis domine	47

ROZDZIAŁ II.

Podania i bajeczne dzieje ojczyste.

39. Pieśń Wajdeloty	49	55. Postrzyżyny u Piasta . .	76
40. Biała królewna	50	56. Baśń o smoku na Wawelu	77
41. Zamek zbarski	53	57. O Wandzie	78
42. Góra poznańska	55	58. Pierwsze gniazdo	79
43. Bożek gnieźnieński . . .	56	59. Widzenie Kazimierza I .	81
44. Boruta	57	60. Konik Zwierzyniecki . . .	82
45. Ostatni figiel Boruty . .	60	61. O królu Łokietku	83
46. Rokita	65	62. Chłopski król	84
47. Trybunał lubelski	66	63. Kmo tr królewski	86
48. Twardowski	68	64. Podanie o koronie Polskiej	87
49. Król wron	70	65. Podanie o jaskini przy	
50. Dziwożony	71	Morskiem Oku	88
51. Lech, Czech, Rus i Welinda	72	66. Zakłęci rycerze w Giewoncie	88
52. Lechici	73	67. Góra Biruty w Połędzie .	90
53. Piastowie	74	68. Na Wawel	91
54. Postrzyżyny u Piasta . .	75	69. Pieśń do Miodu	92

ROZDZIAŁ III.

Opowiadania treści religijnej i obyczajowej.

	Str.		Str.
70. Do Boga	95	90. Szlachetna oszczędność . . .	120
71. Obecność Boga	96	91. Piszczalka	121
72. Wszystko z Bogiem	98	92. Jest to cnota nad cnotami	121
73. Odrodzenie	98	93. Powódź	122
74. Nawrócony	99	94. Karol Chodkiewicz	122
75. Przebaczenie urazy	100	95. Z życia Wita Stwosza . . .	123
76. Kłamstwo	100	96. Podróż Mickiewicza do Wilna	125
77. Święty Jan Kanty	101	97. Odwiedziny u Lelewela . .	128
78. Prawdziwe szczęście	103	98. Ks. Piotr Baudouin	129
79. Urszula Kochanowska . . .	104	99. Policzek	131
80. Miłość synowska	106	100. Z życia Jerzego Waszyng- tona	133
81. Przywiązanie córki	107	101. Z życia Benjamina Fran- kina	134
82. Wdzięczność ku rodzicom .	109	102. O miłości Ojczyzny	137
83. Pamięć ojca	109	103. Śmierć zdrajcy ojczyzny .	138
84. Poszanowanie wieku i za- sługi	110	104. Na fujarce	140
85. Przywiązanie do rodzinnej strzechy	111	105. Nadziei nie trzeba tracić .	141
86. Ostatni policzek	114	106. Myśli	142
87. Ballada jakich wiele . . .	115	107. Nie boję się nikogo	142
88. Królowa Jadwiga	118		
89. Szlachetna zemsta	119		

ROZDZIAŁ IV.

Z dziejów ojczystych.

108. Pieśń o Domu Naszym . . .	113	126. Bitwa pod Grunwaldem . .	191
109. Pójdź na Wawel	150	127. Władysław Warneńczyk .	194
110. Chrzest Polski	150	128. Obrona Olsztyna	198
111. Uczta w Gnieźnie r. 1000 .	152	129. Piotr Skarga	199
112. Pieśń o Bolesławie Chro- brym	155	130. Stanisław Żółkiewski . . .	201
113. Świetność Bolesława Chro- brego	156	131. Chłop polski w walce prze- ciw Szwedom	203
114. Dzielný drwal	159	132. List króla Jana Sobieskie- go do żony pisany z obo- zu pod Wiedniem	205
115. Poselstwo Skarbka	161	133. Marcin Kątski	209
116. Leszek Biały	161	134. Rozbudzenie się narodu polskiego w drugiej poło- wie 18-go wieku	210
117. Mongołowie	162	135. Tadeusz Reytań	212
118. Królowa Kinga	165	136. Konstytucja 3-go Maja . .	215
119. Władysław Łokietek	167	137. Tadeusz Kościuszko	218
120. Król kmiotków	169	138. Kościuszko w Ameryce . .	222
121. Weselne gody w Krakowie	174	139. Ostatnia nobilitacja . . .	225
122. Pogrzeb Kazimierza W. . .	180	140. Przysięga Kościuszki . . .	228
123. Jadwiga i Jagiello	181		
124. O królowej Jadwidze . . .	185		
125. Chrzest Litwy	186		

	Str.		Str.
141. Zwycięstwo pod Racławicami	228	146. Mazurek Dąbrowskiego	242
142. Pogrzeb Kościuszki	230	147. Boże coś Polskę	243
143. Mogiła Kościuszki	232	148. Do Boga	244
144. Rok 1812	235	149. Śpiew Mogiły	245
145. Stanisław Staszyc	238	150. Do moich synów	246
		151. Hasło	246

ROZDZIAŁ V.

Opisy i obrazki geograficzne.

152. Gdzie ją znaleźć?	247	170. Mowa Polska	279
153. Ziemie polskie	247	171. Plody w Polsce z królestwa zwierząt	281
154. Wezwanie	255	172. Lasy polskie i puszcze	285
155. Do Wisły	256	173. Z łąk i pól	287
156. Straż nad Wisłą	258	174. Poszłabym ja na kraj świata	287
157. Warszawa	258	175. Z Azji	288
158. O Warszawie	260	176. Z Afryki	294
159. Kraków	260	177. Z Ameryki	306
160. Na Wawel	264	178. Dlaczego z ziemi nie spadamy?	325
161. Gdy chcesz wiedzieć	264	179. Obraz świata przedhistorycznego	326
162. Wieliczka	265	180. Podróż do wnętrza ziemi	328
163. Polska Szwajcarja	266	181. Co to są chmury?	332
164. Jasna Góra	269	182. Rosa i szron	333
165. Jak to na Mazowszu	272	183. Kiedy widzisz	334
166. Łysogóra	273		
167. Step	275		
168. Sobótka	276		
169. Wigilja	278		

ROZDZIAŁ VI.

Z dziedziny przyrody i przemysłu.

184. Kto silniejszy?	336	199. Grzybobranie	356
185. Prządka cesarzowej chińskiej	337	200. Armja nocna	357
186. Polowanie na słońca	339	201. Wierzba na pustkowiu	360
187. Wilk	342	202. Do wierzby	362
188. Psy na górze św. Bernarda	346	203. Nie goń motyla	362
189. Zmyślność psa	347	204. Mrówki	363
190. Śpiewak zimowy	348	205. Kruk	364
191. Poranek wiosenny	349	206. Żórawie	365
192. Śpiewak majowy	350	207. Żórawie	366
193. O witajże nam wiosenko	350	208. Dawne mieszkania	367
194. W lesie	351	209. Pieśń o chlebie	369
195. Użytek z lasów	351	210. Jak zachować zdrowie	372
196. Mech i jego koleje	352	211. Pismo	374
197. Kalina	353	212. O Janie Gutenbergu	375
198. Grzyby	354	213. Jak wynaleziono proch	377
		214. Droga żelazna	379

ROZDZIAŁ I.

Bajki, baśni i legendy.

1. O pieśniach gminnych.

Kto chce śpiewać, niech wam śpiewa,
Mnie się oko łza zalewa,
Ja nie mogę, choć się kuszę,
Boby przyszło wydać duszę.
Cóż to mówić przyjaciele,
Kiedy mówić jest tak wiele?
Śpiewać dla was rzecz nielada,
Kto jedwabne słówka składa,
Kto nie dzieli z wami doli,
Nie zaśpiewa sercu k'woli,
Toż cobym miał suszyć głowę,
Na piosenki wiejskie nowe,
Przynoszę wam pieśni stare,
Ale takie rzeźkie, jare,
Że słuchając, jak we wiosnie,
Dusza gdyby zielenie rośnie.
I świat jej się w oczach złoci,
Aż się cała rozochoci,
Rozraduje tak dalece,
Że łza przyschnie na powiece.
Serce żywo zakolata,
I duch jakby ptaszek lata.
I człek mówi sam do siebie:
Jeszcze Pan Bóg jest na niebie,
Na tę ranę, co krwią spływa,
Pieśń się leje jak oliwa.
Świeża jak ta ziemia z rana,
We łzach rosy wykapaną,
Idzie z serca jakby z raju,
Na wędrowkę po swym kraju.
Dziewczę poda ją dziewczęciu,
Pacholątko pacholęciu,
Ledwie wyszła na świat biały,
Jużci znana o trzy mile,

Ze smutnymi się spodziewa,
A umarłym w głuchą ciszę,
Rzadek złotych liter pisze.
Co ja z niemi się naszłochał,
Co ja z niemi się nakochał...
Niech Bóg broni i zachowa,
Pełna tego była głowa...
Mokra rosa a ja bosa
Przyśpiewuje mi z ukosa,
I wnet całe widać pole.
Kallnowe drzewa w dole,
Malinowe wpodłuż krzaki,
Jakiż to kraj Boże, jaki...
Mgła się równa pod lasami,
Słońce błyszczący nade mgłami,
Na dołnie srebrzy rosa,
Mokra rosa a ja bosa.
Ach czy mnie też Polaka wróci,
Czy się serce rozesmuci?
Będę ja też wesół kiedy
Bez kłopotów i bez biedy?
Gdy by można tego czaru,
Z nadwiślańskich niw obszaru...
Śpiewaj ludu polski złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu,
Póty serca, póki śpiewu.
Jak się zrobisz cudzoziemcem,
Jak się zrobisz wrogiem...,
W oczach będziesz miał wzrok wilczy,
Będziesz milczał jak wilk milczy,
Będziesz szydził ojce stare,
Będziesz miał i wilczą wiarę;
A gdy krzykną w niebogłosy,
Nie poczujesz się do kosa,
Śpiewaj ludu polski złoty,
Wypowiadaj swe tęsknoty,
U orania, u zasiewu,
Póty serca, póki śpiewu.

Teofil Lenartowicz.

2. Wisła.

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
W twarde ściawszy lody,
Cieszyła się sroga Zima,
Że je w swoich więzach trzyma.
Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
Coście w tej śmiesznej wolności bujały,

W jakich jesteście okowach!
Oto was każdy przychodzić
Depce, rąbło codzień.
I byle Kalmuk jeździ wam po głowach;
A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
Takie to was jarzmo gniecie,
Tak to Zima włada!
Prawda, że jesteś niezmiernie zafarta,
Tak jej z pod Tatrów na swej urnie wsparta,
Stara Wisła odpowiada.
Nie wszędzie przecież cięży twa potęga,
Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
Tam twoja władza nie sięga.
Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń pryśnie,
Te śniegi nawet, któreś tu zuchwała
U przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoją przemoc srogą.
Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
Śpieszącej wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
Pójdzieś, skąd przyszedł, Wisła Wisłą będzie.

F. Morawski.

3. Złoto i żelazo.

Dukat świetnem pyszny złotem,
Pod twardym jęczący młotem,
Tak na swe losy narzekał:
Czegożem ja się doczekał,
Ach! jaką dla mnie to skaza,
Być gnęblonym przez żelazo,
Przez kruszec podły i twardy, —
Chciej powściągnąć ton twój hardy,
Młot na dukata zawoła:
Nikt tego zmienić nie zdoła,
Nikt tej prawdy nie ukryje,
Ze żelazo złoto bije.
Póki żelazo będziemy posiadać,
Umieć, jak pługiem i orężem władać,
A cnota z męstwem będą kraju stróże;
Piekielna chciwość nigdy nie przemoże.

J. Niemcewicz.

4. Uspokojenie z cnoty.

Kto cnotę smutną maluje,
Wiele jej wdzięków ujmuje,
Ona się mile uśmiecha,
Ocz nie zawraca, nie wzdycha.
Wszystkie przygody jednako przyjmuje:
Szczęście, nieszczęście równo ją kosztuje.

Próżno zaostrza swe strzały
Przypadek na nią zuchwały
Jak skała falą tłuczona,
Burzę swym statkiem przekona:
Albo jak ogień, im bardziej się wzmacza,
Ten do piękności złotu dopomaga.

Sokrates pije truciznę
Za to, że kochał ojczyznę.
Wypił, i daje bez trwogi
Swym przyjaciółom przestrogi.
Anitus *) bardziej mięsza się i mruczy,
Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego ten błaga stroskany?
Rwle włosy łzami zalany!
Za tem mu się płakać zdało,
Co być koniecznie musiało.
Niechaj się jeszcze choćby sto lat smuci,
Na jeden fenig szkody nie powróci.

Łańcuch od wieków związany
Każdej na świecie odmiany,
Ten go przerobić sam zdoła.
Który powiązał te kółła.
Nacóż się smucić? co jest, albo było,
Wszystko przedwieczny wyrok uściło.

My bardzo krótko żyjemy,
I nic o jutrze nie wiemy.
Zacóż ten kwasieć czas mały!
Nieba na to go dały.
Niech niewolników złota, strach oblec:
Czago się trwożyć mają boskie dzieci?

Po drodze tkanej cierniami
Kwiaty rzucając przed nami;
Idźmy, nie dbając na bóle,
Choć nas co czasem ukole.
Tam, powiadają, gdzie bez kółców róże,
Każda się rana prędko zgoić może.

*) Anitus, fałszywy oskarżyciel Sokratesa.

5. Herkules na rozstajnej drodze.

Starożytni Grecy, bujną fantazją i poetyckiem usposobieniem, cały świat, który ich otaczał, zaludnili mnóstwem bogów i bogiń, a początkowe swe dzieje przyozdobili pełnemi wdzięku powieściami i podaniami o półbogach i bohaterach. Pomiedzy tymi bohaterami jaśnieje przede wszystkim wspa- niała postać Herkulesa, przedstawiciela męstwa i rycerskiej cnoty. Według podania był on synem samego Jowisza i już w niemowlęctwie dał dowód nadzwyczajnej siły, dusząc dwa węże, które wśliznęły się były do jego kolebki. Jowisz tak polubił swojego syna, iż postanowił uczynić go nie- śmiertelnym.

Razu jednego Herkules, kiedy już z pacholęcia na do- rodnego wyrósł młodzieńca, szedł sam drogą, pogrążony w za- dumie. Naraz ujrzał się w miejscu, gdzie droga rozstajna na dwie przeciwne rozchodziła się strony. Zatrzymał się i roz- myślał, którą z nich ma obrać. Wtem zjawiły się przed nim dwie boginie, z dwóch przeciwnych stron przybywające. Jedna z nich, pełna powabu, zaufana w swe wdzięki, śmiało doń przystąpiła i zaczęła mu obiecywać tysiące uciech i przy- jemności ziemskich, jeżeli zechce pójść za nią. „Któż ty ie- steś?“ zapytał Herkules. „Ci, którzy głosu mojego słuchają“, odrzekła z ponętym uśmiechem, nazywają mnie rozkoszą; moi przeciwnicy zwą mnie występkiem“.

Bohater zwrócił oczy na drugą boginię, która z prze- ciwnej nadeszła strony. Była ona mniej powabna, ale za to jaśniał na jej twarzy niebiański spokój i wdzięk prawdziwie boski. Skromna, lecz pełna godności, patrzyła ona na Herku- lesa poważnym wzrokiem. „A ty dokąd mnie powiedziesz?“ zapytał bohater. — „Ja“, odrzekła, „poprowadzę cię drogą pracy i obowiązków, drogą trudów i niebezpieczeństw, lecz w nagrodę za to dam ci nieśmiertelność i sławę“.

Wyrazy te trafiły do serca młodziana, który uczuł w so- bie powołanie do wyższych celów, do pracy dla dobra ludz- kości. Nie namyślając się dłużej, wzgardził Herkules rozko- szami ziemskimi, podał rękę skromnej bogini cnoty i poszedł

za nią ochoczo. Ona poprowadziła go drogą ciernistą i uciążliwą, ale za to sprawiła, że stał się dobroczyńcą ludzkości i najsłynniejszym bohaterem greckim.

6. Trzej przyjaciele.

Pewien człowiek miał trzech przyjaciół; dwóch bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten najwlecej mu sprzyjał. Raz zawezwany był do sądu, gdzie niewinnie, ale ciężko był oskarżonym. „Który z was“ — mówił — „pójdzie, by za mną świadczył, bo ciężko jestem obwiniony“.

Pierwszy przyjaciel wymówił się zaraz, że pójść nie może, bo ma pilne zatrudnienie. Drugi odprowadził go do drzwi sądowych, tu się odwrócił i odszedł, bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniej liczył, poszedł i dowiódł jego niewinności tak, że sędzia nie tylko go od kary uwolnił, ale nawet wynagrodził.

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie. Jakże oni się zachowują w godzinę śmierci, kiedy go Bóg na sąd powoła? Pieniądz, jego najlepszy przyjaciel, opuści go najprzód i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy cmentarza i powrócą do swych domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniej w życiu pamiętał, są jego dobre czyny; one tylko pójdą za nim przed tron Sędziego, one mówić będą za nim, wyproszą mu łtość i łaskę.

Podług K. Brodzińskiego.

Nie gardź przyjaźnią i najbiedniejszego,
Bo w nim wybawcę możesz znaleźć swego.

7. Dwaj przyjaciele i niedźwiedź.

Dwóch przyjaciół idąc drogą,
Niedźwiedzia spotkali,
Serca ich zabłyły trwogą,
Bo się obaj bali;
Jeden z nich na drzewo skoczy,
Po gałęziach bieży,
Drugi zaś zamruży oczy,
Jak nieżywy leży,
Niedźwiedź poszedł do człowieka,
Co trupa udaje;

Podszedł — przystanął z daleka,
Namyslać się zdaje.
Zwolna obszedł go wokoło,
Sapi, mruczy, wzdycha,
Wacha oczy, nos i czoło,
Coś marmocze z cicha,
Wkońcu pójdzie sobie przecie
Niedźwiedź w drogę swoją,
Bo niedźwiedzie, jak to wlecio,
Umarłych się boją.
Ten, co uciekł, teraz zucha
Udaje wielkiego:
„Cóż ci niedźwiedź tam do ucha
Szeptał tajemnego?”
Drugi powie, on mi szczerze
Rzekł: „kto w drogę idzie,
Niech przyjaciół tych nie bierze,
Co opuszczają w biedzie”.

L. Niemojowski.

8. Chory wilk.

Wilk udawał chorego, chcąc uwieść zwierzęta,
I udała się sztuka, zjadał niebożęta.
Lis z daleka przystanął i pyta o zdrowie?
— Oj! bardzo źle kochanku, wilk z jękiem odpowie,
Ale czemu się bliżej nie przysuniesz śmiało?
— Bo widzę wielu weszło, ale wyszło mało.

We wszystkim postępować należy z ostrożną,
Głupca zawsze się zwiedzie, mądrego nie można.

9. Pustelnik i niedźwiedź.

Żyjąc na puszczy pustelnik siwy,
Jadał korzonki i był szczęśliwy.
W sąsiedztwie starca, trochę za blisko,
Niedźwiedź niezgrabny miał legowisko.
Oba w najlepszej żyli przyjaźni,
Żyć we dwóch razem jakoś to rażniej!
Obadwa pomoc przyrzekli sobie
W każdej przygodzie i w każdej dobie.
Gdy zwierz spoczywał, to starzec czuwał,
Niebezpieczeństwa wszelkie usuwał.
Nawzajem niedźwiedź, gdy spać miał stary,
Przyrzekł odpędzać muchy, komary,
Co podczas skwaru starca trapiły
I przerywały spoczynek miły.

Trwało dość długo takie przymierze;
Lecz wszystko koniec na świecie bierze!
Raz, gdy starcowi, wśród słońca spieki,
Sen słodki zwolna skleił powieki,
Ni stąd ni zowąd przylata mucha,
I nużę brzączeć mu koło ucha.
Niodźwiedź to widząc, na sojusz pomny,
Podniósłszy z ziemi kamień ogromny,
Rzucił na muchę; ale cóż z tego?
Miś, zamiast muchę — zabił śpiącego.
Takie bywają skutki przymierza,
Gdy kto niezręcznym nazbyt dowierza!...

T. Nowosielski.

10. Przyjaciele.

Zajaczek jeden młody,
Korzystając z swobody,
Paszę się trawką, ziółkami, w polu i ogrodzie;
Z każdym w zgodzie.
A że był bardzo grzeczny, rozkoszny i miły,
Bardzo go tam zwierzęta lubiły,
I oł też, używając wszystkiego z weselem,
Wszystkich był przyjacielem.
Raz, gdy wyszedł o świcie i bujał po łące,
Słyszysz przerażające
Głosy trąb, psów szczekanie, trzask wielki po lesie.
Stanął, — słucha, — dziwuje się;
A gdy się coraz zbliżał ów hałas, wrzask srogi,
Zając w nogi.
Spojrzy się poza siebie: aż dwa psy i strzelce.
Strwożony wielce,
Przecież wypadł na drogę, od psów się oddalił.
Spotkał konia, prosi go, iżby się użalił:
„Weź mnie na grzbiet i unieś“. Koń na to: „Nie mogę,
Ale od innych pewną będziesz miał załogę“.
Jakoż wół się nadarzył: „Ratuj przyjaciela!“
Wół na to: „Takich jak ja zapewne nie wielu
Znajdziesz, ale poczekaj i ukryj się w trawie,
Jałowica mnie czeka, nie długo zabawię,
A tymczasem masz kozła, co ci dopomoże“.
Kozieł: „Żal mi cię nieboże!
Ale ci grzbietu nie dam; twardy, nie dogodzi;
Oto wełniasta owca niedaleko chodzi,
Będzie ci miękko siedzieć“. Owca rzecze:
„Ja nie przeczę,
Ale choć cię uniosę pomiędzy manowce,
Psy dogonią i zjedzą zajaca i owcę,
Udać się do cielęcia, które się tu pasie“.

„Jak ciebie mam wziąć na się,
Kiedy starał nie wziąć” cię na to rzekło
I uciekło.

Gdy więc wszystkie sposoby ratunku upadły,
Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.

Ign. Krastcki.

11. Dwaj podróżni i ostryga.

Wędrowali dwaj razem w jak najlepszej zgodzie,

O głodzie,

Wtem jeden krzyknie: patrz ostryga leży;

A więc ów bieży,

Podnosi i chce włożyć w zgłodniałą paszczkę,

Ale towarzysz chwytą go za rękę,

Mówiąc: zaczekaj kochanie!

— Jam pierwszy ją zobaczył, więc mnie się dostać!

— Jam pierwszy podniósł, więc mam do niej prawo!

I żwawo

Jęł się klócić, a gdy wzrosła sprzeczka

Obaj do sądu biegną, do miasteczka.

Sędzia pisze i pisze, aż wreszcie tej treści

Wyrok obwieści:

„Każdą rzecz znaną, mówi prawo stare,

Należy oddać władzy, więc zapłaćcie karę

Za to, żeście nieprawie zatrzymać ją chcieli“.

Na ten wyrok onieśli.

I ostrygi nie zjedli i stracili grosze;

Takie zwykle się rodzą z pieniactwa rozkosze.

Wł. Anczyk.

12. Kaczki kłótnice.

Bratowe kaczorowskie, dwie plotkarki sławne,

Niesnaski z sobą miały bardzo dawne.

Jak tylko się na polu czy stawie spotkały,

Jedna drugiej przykreśli słowa dokuczały.

I zamiast strzec kaczęta, chować je troskliwie,

Czas tak drogi trawiły w niepotrzebnym gniewie.

Zo swej strony kaczusie, żółte jak kanarki,

Wzorem matek, na wodzie wiodły swe poswarki:

„Tyś złośnica grymasna — tyś także nie święta“.

I cóż z tego wynikło? Ot jastrząb spadł z góry,

Pozjadał obie matki złośliwej natury,

A z wody wymknął szczupak i zdusił kaczęta.

Juljan Miłkowski.

13. Kruk i lis.

(Przekład z La Fontaine'a).

Kruk, na drzewie siedząc sobie,
Kawał sera trzymał w dziobie.
Lis, zapachem przynęcony,
Zrobił niskie trzy ukłony
I do kruka rzekł. „O! dziwy...
Jakoś panie urodziwy!
Wysiłała się natura;
Co za postać, co za pióra!
Jeśli tylko, choć o włos
Masz piękniejszy od piór głosek,
Wtedy ręką ci honorem,
Że jak bór ten stoi borem,
Z twą postacią i oczyma
Piękniejszego ptaka niema!”
Kruk, nie myśląc, że to zdrada,
Z radości się nie posiada:
Chce zachwycić lisa śpiewem,
Lisa, który siadł pod drzewem,
I szeroko dziób roztwiera...
Wtem wypada kawał sera.
Lis natychmiast za ser chwyta.
„Mości panie, z nami kwita!”
Rzecz chytry lis do kruka:
„To dla ciebie jest nauka,
Byś na przyszłość nie był próżny,
Z pochlebcami był ostrożny,
Ta nauczka moja szczerą
Warta przecież kawał sera!”

T. Nowosielski.

14. Gwóźdź w ścianie.

Chcąc mieć ojciec przekonanie
Jak wytrwali są synowie,
Więc pokazał im gwóźdź w ścianie
Mocno wbity — i tak powie:
— Kto z was wyrwie gwóźdź ten duży,
Lecz rękami, chociaż młode,
Ten się dobrze mi zasłuży
I otrzyma też nagrodę!...
Więc najstarszy rozpoczyna,
Lecz nie może; przyszła kolej
Na drugiego znowu syna;
Szarpnął, lecz go ręka boli.
Przyszedł trzeci, trudna rada!
Ciągnie, lecz gwóźdź nie wypada.

To też gniewa się i złość,
Nie miał bowiem cierpliwości.
Każdy stracił już nadzieję,
Wtem najmłodszy z nich przybywa.
Gwóździ nagina, potem chwileje,
Wreszcie szarpnie i wyrywa.
— O, toś godzien, synu, chwały,
Ucieszony ojciec powie,
Boś ty w pracy był wytrwały,
Nie jak inni trzej synowie!...
Pamiętajcie więc me syny:
Wielkie zdziałać można czyny,
Gdy się praca nie zda nudną;
A choć byłaby zbyt trudną,
To pomału i cierpliwie
Dokona się jej szczęśliwie.

J. Chmielewski.

15. Dwa szczury.

Czcić i kochać rodziców powinnośc jest święta,
Którą Bóg między pierwsze przykazania stawił,
A że ją zachowują nawet i zwierzęta,
To wam przykład następny najlepiej objawi.
Raz wybiegł młody szczurek za żerem z swej jamy,
A właśnie zastawiono śniadanie w altance,
I nie widząc z za okna, że go uwałamy,
Wlaził aż na stół, przyjrzał się sucharkom, śmietance,
Widocznie, że już sobie na nie ząbki suszył,
Ale wtem... zbiegł z stołu, niczego nie ruszył
I wrócił do swej jamy. Zdziwieni tym czynem
Poczekaliśmy chwilę i nagle ujrzeli
Zamiast jednego szczurka dwóch, bo ojca z synem,
Jak cicho w naszą stronę skradać się zaczęli.
Gdy już byli w altance i przy stole blisko,
Zobaczyliśmy bardzo dziwne widowisko:
Obaj w mordkach trzymali kawałek gałązki,
Bo stary szczur był ślepy, włócił go zatem młody
A szanując synowskie święte obowiązki,
Przyprowadził do jadła i bronił od szkody.
Tak samo jak i przedtem wdrapał się do góry,
Stary za nim... dopieroż ucztą wysmienita,
My zaś w nich podziwiając święty głos natury,
Dozwoliliśmy obu najeść się do syta.
O tak! jeżeli nawet i nieme stworzenie
Kocha swych życiodawców, wdzięcznością im płaci,
W jakże nierównie wyższej ci winni być cenie
U tych, co są w naukę i rozum bogaci.

J. Milkowski.

16. Wilk i koźlą.

Troskliwa o los dziecięcia,
Rzekła koza do koźlęcia:
— Wychodzę teraz na paszę,
Siedźże tu spokojnie wasze.
Póki nie wrócę do domu,
Nie otwieraj tu nikomu,
Chyba, że białą pokate ci łapkę.

Wilk, co od dawna na koźlą miał chrapkę,
Myśląc, że zreźnie uda mu się sztuka,
Ledwie matka odeszła do koźlęcia puka.

— Białą łapkę masz nieboże?

Pyta koźlą — nie otworzę,

Do mi matka zakazała...

Pokaż, czy twa łapka biała?

— Masz szczęście, wilk odpowiada,

Biadaby ci była, biada!

Słuchajcie dzieci starszych napomnienia,
Bo więcej od was mają doświadczenia.

Jachowicz.

17. Dziad i baba.

Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Był sobie dziad i baba

Bardzo starzy oboje,

Ona kaszląca i słaba,

On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,

Tuką starą jak oni,

Jedno miała okienko

I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie

I spokojnie jak w niebie,

Czemu ja się nie dziwię,

Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,

Że umierać musieli,

Że się kiedyś moglią

Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,

Aby Bożym rozkazem,

Kiedy śmierć ich zabierze,

Zabrała dwoje razem.

— Razem! to być nie może;

Ktoś choć chwilę wprzód skona!

— Byle nie ty, nieboże,

— Byle tylko nie ona...

— Wprzód umrę! — woła baba —
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie.

— Ja wprzód — moja miła!
Ja kaszlę bez ustanku,
I zimna mnie mogiła
Przykryje łada ranku.

— Mnie wprzód. — Mnie kochanie!

— Mnie, mówię! — Dośćże tego!

Dla ciebie płacz zostanie,

— A tobie nic?... Dlaczego?

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chałkę chcieli porzucić.

Wtę do drzwi — puk... powoli.

— Kto tam? — Otwórzcie, proszę!

Posłuszna waszej woli,

Śmierć jestem, skon przynoszę.

— Idź, babo, drzwi otworzyć!

Ot to!... idź sam! jam słaba,

Ja się pójdę położyć...

Odpowiedziała baba.

— Fil śmierć na ślocie stoi

I czeka tam nieboga!

— Idź, otwórz z łaski swojej!

— Ty otwórz moja drogą!

Daba za plecem z cicha

Kryjówki sobie szuka,

Dział pod ławę się wpycha,

A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście.

Pode drzwiami tam stała;

Lecz znudzona, nareszcie

Korunem wleźć musiała.

18. Kłamca zawstydzony.

Szedł ojciec z synem Jakóbem na jarmark do Łowicza. Syn zwiedził był przedtem obce kraje, z czego się niezmieranie pysznił i lubił opowiadać niestworzone rzeczy o widzianych tam osobliwościach. Właśnie przebiegł im drogę pies, goniący za zającem.

— Ach! jaki to wielki pies — zawołał ojciec.

— Eee! co mi za wielki! — odpowiedział syn pogardliwie — ja to widziałem psa za granicą! O tamtym można po-

wiedzieć, że był wielki. Było to za Frankfurtem, na drodze, która prowadzi do Francji. Patrzę, a tu idzie pies, ale co za pies! Niech mł ojciec wierzy, każdemu to w oczy powtórzę, — był wzrostu jak najęźszy wół!

— Dlaczego nie? Bardzo być może — odpowiedział ojciec. — Każdy kraj ma swoje osobliwości; i u nas ich nie brak. Oto niezapługo byłem przechodzić przez most; na pozór drewniany, najzwyczajniejszy most na świecie. Rzekłbyś, że takich tysiące, tymczasem przeciwnie — to most cudowny. Człowiek, żyjący prawdą, przejdzie przez niego jak najbezpieczniej. Lecz niech tylko wstąpi nań kłameca, to, żeby szedł jak najostrożniej, nic nie pomoże — potknie się najniezawodniej i złamie nogę albo rękę.

Usłyszawszy te słowa ojca, przestraszył się nasz kłameca bardzo.

— Doprawdy? — wycodził powoli i chcąc się poprawić rzekł: Ach, ojcie kochany, ten pies, jak sobie przypominam, był jednak mniejszy od wołu, ot! taki jak nasza czarna krowa.

— Może być — rzecze ojciec. — Ale wracając do tego mostu: Ludzie z naszej okolicy wiedzą o jego cudownej własności i strzegą się. Ale podróżni z dalszych stron bardzo często padają ofiarą swej niewiedomości; w przeszłym roku dwiętnastu połamału nogi, a trzynastu ręce.

Właśnie wyszli z lasu i oczom ich ukazały się zdala drewniane poręcze mostu. .

Kłameca na widok jego zbladł i czuł już jak łamie rękę lub nogę. Wstrzymując tedy ojca, odzywa się pokornymi słowy:

— Ach, ojcie, pies, o którym mówiłem, był wielkim, i choć przesadziłem cokolwiek, był jednak zawsze tak wielki jak roczny cielak.

— Ej Kuba, Kuba! jak to będzie z tobą?! pogroził ojciec synowi i śmiało, idąc naprzód, wstępuje już jedną nogą na most.

— Ach, ojcie, nie bądź zabawny — woła nagle syn, chwytając go z tyłu za poję — skłamałem i zanim przez most przejdziemy powiem ci, że pies był tego wzrostu, co wszystkie psy na świecie.

Kto bezczelnie kłamie i tumani ludzi,
Na śmiech się wystawia i wstręt tylko budzi.

Podług Gellerta.

19. Szczęśliwy człowiek.

Pewien król zachorował śmiertelnie. Daremne były zabiegi lekarzy, aby go uratować. Nakoniec poradził jakiś mędrzec, że król wtedy ozdrowieje, jeśli wdzieje na się koszulę szczęśliwego człowieka i 24 godzin mieć ją będzie na sobie. — Myśli sobie król: toć nie łatwiejszego, jak znaleźć człowieka szczęśliwego. Woła tedy ministrów i pyta ich, czy są szczęśliwi? — Gdzie tam, ten ma za wiele pracy, ten nie zdrow i tak każdemu czegoś trzeba. — Wysyła tedy król posłów, aby po całym kraju szukali szczęśliwego człowieka.

Poszli najprzód szukać tego szczęśliwca w pałacach, ale znaleźli tam tyle nieszczęść, chorób, nudów, narzekai na świat, złe dzieci, że czemprędzej opuszczali pałacę. Nie lepiej im się darzyło u mieszczan i rolników. I tam miał każdy swego robaka, i tam, choć przy pracy, większa część nieszczęść znika, jednak żaden nie czuł się szczęśliwym.

Już posłowie wracali napowrót, gdy wtem, idąc przez las, usłyszeli gwizdanie i śpiew wesoły. Skierowali kroki w tę stronę, skąd ich głos dochodził i oto widzą węglarza, który w pocie czoła pracuje przy węglach, a choć w dymie, w kurzawie, śpiewa serdecznie, aż miło. Mówią z cicha do siebie posłowie, miałżeby być ten człowiek szczęśliwym? ależ to niepodobna. Pytają go jednak, czy jest szczęśliwym?

— A jakże, odpowiada węglarz, jestem zdrow, wesół, a choć jem tylko czarny chleb i popijam wodę, to nie pragnę nic więcej; dziękuję Bogu za to, co mi daje i za nic w świecie nie zmieniałbym mego ubóstwa i wesołości za największe bogactwa. Tak, tak, moi panowie! I zaśpiewał wesołą pioszeczkę, że aż posłom żal się zrobiło, że oni nie są tacy szczęśliwi.

— O szczęśliwy człowieku, rzekną do niego po chwili, nie uczyniłbyś nam wielkiej przysługi i to dla samego króla? Oto jest chorym bardzo nasz pan miłościwy i dopiero wtedy

ozdrowieje, gdy 24 godzin będzie miał na sobie koszulę szczęśliwego, pożycz nam więc dla króla swej koszuli.

— Chętniebym to uczynił, odrzeczł węglarz, ale cóż, kiedy tylko mam to, co na mnie widzicie, to jest te szarawary (spodnie); plecy są gołe, bo koszuli nie mam.

Zasmuceni, a wlecej jeszcze zadziwieni posłowie odeszli, a węglarz śpiewał sobie znowu, aż się po lesie rozlegało.

Otóż nauka dla nas, że można być przy największem ubóstwie szczęśliwym, jeśli się zadowolimy tem, co mamy, jak to już Jan Kochanowski, sławny poeta polski, przed 300 laty, żyłacy, powiedział: „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim“.

Bogactwo, szczęście, wszystko to niestałem:

Uczcie się wczesnie przestawać na małym.

20. O kamieniarzu japońskim.

Był raz człowiek, który ze skały dobywał kamienie. Robota jego ciężką była, i pracował wiele, lecz zapłatę otrzymywał małą, i nie był zadowolony.

Westchnął, ponieważ ciężka była jego praca, i zawołał: „O, gdybym był bogaty i spocząć mógł na Balek-Balek¹⁾ osłoniętem przez Klambu²⁾ z czerwonego jedwabiu!“

Zstąpił anioł z nieba i rzekł:

— Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był bogaty. I spoczywał na Balek-Balek, Klambu zaś zgotowano mu z czerwonego jedwabiu.

I przejeżdżał król owej ziemi, a jeźdźcy poprzedzali jego pojazd. I jeźdźcy kroczyli za pojazdem króla, nad głową zaś króla niesiono złocisty pajong³⁾.

I gdy ujrzał to bogaty, zasmuciło go, że nad jego głową złocistego nie niosą pajonga. I nie był zadowolony.

I westchnął, i zawołał: — Chciałbym królem być!

I zstąpił anioł z niebios i rzekł: — Stanie ci się jakoś powiedział!

1) Łoże. 2) Kotara. 3) Baldachim.

I był królem. I przed pojazdem jego sunęło wielu jeźdźców, i byli jeźdźcy za jego pojazdem, i nad głową jego niesiono złocisty pajong.

A słońce paliło promieniami i rozżarzyło ziemię, że uschły trawy.

I skarżył się król, że słońce mocne jest nad nim, i twarz mu pali. I nie był zadowolony.

I westchnął, i zawołał: — Chciałbym słońcem być!

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł: — Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był słońcem. I posyłał promienie wzwyż i wzniz, na prawo i na lewo, i wszędy.

I palił trawy na ziemi i lica książąt, którzy byli. A chmura stanęła między nim a ziemią i odparła promienie słońca.

I zapalał gniewem, iże sprzeciwiano się jego potędze, i skarżył się, że chmura mocna jest nad nim. I nie był zadowolony.

I chciał być potężną chmurą.

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł: — Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był chmurą, i stanął między słońcem a ziemią i wchłaniał promienie, że zazeleniła się trawa.

I zesłał deszcz w wielkich kroplach, i rozkazał, by wezbrały potoki, i powodzie uniosły trzody.

I pustoszył pola mnogością wód.

I rzucił wody na skałę, a skała nie ustąpiła. Rzucił wielkie wody, a skała nie ustąpiła. I zadrżał gniewem, iże nie chciała ustąpić skała, i siła potoków próżną była. I nie był zadowolony.

Zawołał: — Skała ta mocna jest nade mną. Chciałbym być skałą!

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł: — Stanie ci się, jakoś powiedział!

I był skałą, i stał niezachwiany, gdy paliło słońce i gdy padał deszcz.

I nadszedł człowiek, a niósł motykę, ostre dłuto i młot ciężki. I człowiek ten odrywał kamienie od skały.

I rzekł: — Cóż to, iż mocny jest ten człowiek nade mną i z łona mego wyjmuje kamienie? I nie był zadowolony.

Zawołał: — Słabszy jestem od niego... chciałbym być tym człowiekiem!

I zstąpił anioł z niebios, i rzekł: — Stanie ci się, jakoś powiedział.

I był kamieniarzem. I rąbał ze skały kamienie, dobywał je ciężką pracą, i ciężko pracował za małą zapłatą i był zadowolony...

Multatuli.

„Ten pan — zdaniem mojem, kto przestał na swoim”.

J. Kochanowski.

21. Siedzi ptaszek na drzewie.

Siedzi ptaszek na drzewie

I ludziom się dziwuje,

Że najmędrzy z nich nie wie,

Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła

Tam, gdzie nigdy nie bywa.

Pot się leje tu z czoła,

Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny

Na zabiegi i żale:

Tylko w piersi swej własnej

Nie szukają go wcale!

W nienawiści i kłótni

Wydzierają coś sobie —

Aż zmęczeni i smutni

Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,

Ptaszek dziwi się bardzo;

Chciałby przestrzec ich w śpiewie...

Lecz przestrogą pogardzą.

A. Asnyk.

/22. Kwiat paproci.

W dzień św. Jana kwitnie każdego roku przez godzinę o północy kwiat paproci. Jest on drobnutki bardzo, dojrzyć go, znaleźć nie podobna, ponieważ sam diabeł go pilnuje. Kwiat paproci zerwany daje temu, kto go posiada, własność poznania naraz wnętrza ziemi ze skarbami w niej ukrytymi, —

Było dwóch młodych parobków, co się dowiedzieli o własnościach tego kwiata. Chciało im się być bogaczami i dłużej nie pracować. Ci się raz umówili, że cokolwiekby ich czekało, pójdą zdobyć od diabła paprociowego kwiata, aby za jego pomocą odszukać skarby. W dzień św. Jana przed północą poszli do lasu, uzbrojeni w potrzebną do walki z diabłem odwagę. Nadeszła pożądana godzina, ale zamiast oczekiwanej postaci czarta, powstały w lesie okropne wichry. Z początku, lubo mocno zaniepokojeni, wytrzymali straszliwy ten napad burzy; w końcu jednak na widok drzew unoszonych w powietrze i okropnych wokoło widziadeł, ulegli bojaźni i uczuwszy ze wstydem swą niemoc naprzeciwko podobnej siły, rozbiegli się i uciekli gdzie który mógł. Jeden z nich trafiwszy na drogę wrócił nią do domu; drugi zaś zbłądziwszy, wpadł pomiędzy trawy, zielska i obalone drzewa i wśród nich zagrzął. Gdy burza ucichła, zaledwie mógł się wydostać z pośrodku traw i gąszczy i ścieżkę wynaleźć, nie wiedząc o tem, że to, czego szukał, ma już przy sobie gotowe. Grzęznąc bowiem wśród wybujałej trawy, nie dostrzegł, że odłamany przypadkiem kwiateczek paproci wpadł mu w cholewę. W drodze do domu uczuł się zupełnie jasnowidzącym; gdzie tylko okiem rzucił, wszędzie widzi pod ziemią leżące złoto, srebro, pieniądze, niesłychane bogactwa.

Pobiegł co tchu do domu i zaledwie przestąpił próg chaty, zawołał: „Tatusiu, widzę już wszystkie ukryte skarby, diabła się nie boję, weźcie parę koni z wozem, pojedziemy we świat zbierać pieniądze“. Zawołał także na brata, zabrał go ze sobą i z łopatami wszyscy trzej puścili się w drogę za skarbami. Właśnie wyjeżdżali z podwórza, kiedy jasnowidzący parobek krzyknął na ojca: „Tatusiu stójcie, za naszą chałupą w ogródku widzę pod ziemią skarb, wielki kocioł dukatów; wykopmy go najprzód, a potem pojedziemy dalej“. Ażeby się wgłąb ziemi dostać wszyscy trzej rąbali żwawo siekierą w ogródku korzenie i targali zielsko. Że się z wielkiego pośpiechu bardzo zmęczyli, a jasnowidzącemu parobkowi coraz ciężiej pracować było w butach, więc się też z nich wyzuł. Wtem nieszety — kwiatek paproci, jak wleciał był niewiadomym spo-



sobem w cholwę, tak teraz z niej wyleciał, a z nim całe jaśnowidzenie i możność znalezienia skarbów przepadły. Parobek ledwo nie oszalał z rozpacz i sam z tego zdać sprawy nie zdołał: dlaczego nagle z mądrego stał się znowu głupim.

Długo potem nad zmiennemi igraszkami losu rozmyślając, takie osiągnął zbudowanie, że tylko praca ciągnęła i staranna błogim owym być mogą kwiatem i rzeczywiste, a nie urojone przynieść bogactwo; bo nic człowiekowi nie przychodził darmo na tym świecie.

O. Kolberg.

23. O bocianie.

I.

Jak wiadomo wszystkim, i Litwini wyznawali dawniej religię bałwochwalską, to jest: wierzyli w różnych bożków. Opowiadają więc Litwini po dziś dzień takie o bocianie podanie.

Kiedy największy bożek stworzył świat i potem mu się przypatrywał, spostrzegł omyłkę, że niepotrzebnie umieścił wiele szkodliwych gadów; zebrał je więc we worek, związał mocno i dał jednemu człowiekowi, ażeby zatopił w bliskim jeziorze. Ale człowiek ten był ciekawy: otworzył worek, i gady się rozbiegły. Wrócił winowajca do bożka i opowiedział co się stało. Bożek właśnie stał wtenczas przy ogniu; rozgniewany, uderzył ciekawego człowieka dłonią w plecy i zamienił w bociana.

Odtąd bocian nosi czarne plamy na piórach od tej dłoni i zbiera gady, które rozpuścił.

II.

Inne znowu jest cygańskie podanie o tym ptaku. Kiedy Noe uchodził do arki przed potopem, wtedy był żal wielki, bo wszystkie zwierzęta wchodząc do arki płakały, że muszą opuścić swoje strony, których już nigdy nie zobaczą...

Tylko jeden bocian wszedł do arki wesoło; miał żabę w dziobie i nie żałował stron rodzinnych; nie myślał, dokąd go fale zaniosą. Pan Bóg go skazał za to i nie dał mu ojczyzny,

na wieczną tęsknotę skazując, — bo gdy bocian jest w ciepłych krajach, to tęskni za naszymi stronami, za gniazdem swoim, a gdy tu przyleci, to znowu tęskni za tamtą krainą.

24. Wyrwidąb i Waligóra.

Uboga chora kobieta szła przez las i niosła dwóch małych chłopców. Były to jej dzieci. Szła, szła, dopóki mogła, wreszcie przysiadła pod drzewem, usnęła i nie obudziła się więcej. Dzieci zostały same. Długo płakały głośno, aż z gęstwiny wysunęła się wilczyca z wilczętami. Wilczycy zrobiło się żal biednych sierót, pomyślała:

— Wezmę jedno, wychowam ze swoimi.

Niedługo przyszła niedźwiedzica z niedźwiadkami, zabrała drugiego chłopca.

Rośli chłopcy, chowali się zdrowo. Kiedy już dorośli, pożegnali wilczycę i niedźwiedzicę i zamieszkali razem. Bracia kochali się bardzo i kochali wszystkich, nawet najmniejszego robaczka. Dla wielkiej siły, jaką mieli, jednego nazwali „Wyrwidąb“, drugiego „Waligóra“.

2. Byłoby im bardzo dobrze w lesie, gdyby nie to, że tęsknili. Do czego, sami nie wiedzieli. Pewnie do ludzi. Chcieli koniecznie wyjść z lasu, a nie mogli, bo droga nie była im znana. Siedzą raz, biedują, aż tu z poza drzew wychodzi mały, stary człowiek, w ręku jakieś zawiniątko niesie. Podskoczyli Wyrwidąb i Waligóra:

— Może wam pomóc, staruszkule? Może was podnieść? Nie bójcie się, siłę mamy, pomożemy!

A staruszek uśmiechnął się tylko.

— Dobrzy jesteście. Dziękuję wam. Ale ja pomocy nie potrzebuję. Sam wam pomogę. Prawda, że chcecie wyjść z lasu? Wyprowadzę was, świat wam pokażę. Chodźmy.

Wyrwidąb i Waligóra ucieszyli się bardzo i powiadają:

— Jakże my z tobą pójdziemy? Nie zdaszysz z nami.

— Zdam. Mam czarodziejskie buty. Co krok w nich stąpie, to milę zrobię.

I rozwinął staruszek zawiniątko. Był tam śliczny dywan.

— Siadajcie, — rzekł do braci.

Usiedli; on cmoknął, dywan podniósł się w powietrzu. Lecieli nad miastami, wsiami i polami. Staruszek pokazywał im wszystko, a oni dziwowali się, że świat taki piękny.

3. Przylecieli do pięknego kraju. W kraju tym wielki był smutek. Ogromny smok siedział na górze i ludzi zjadał. Więc król ogłosił:

— Kto zabije smoka, temu odstąpię pół królestwa i dam mu swą starszą córkę za żonę.

Usłyszeli to Wyrwidąb i Waligóra, pomyśleli:

— Spróbujmy zabić tego złego smoka.

Poradzili się staruszka; on rzekł:

— Spróbujcie. Ino niech każdy choć po jednym moim bucie włoży; kto wie, co się zdarzyć może.

Usłuchali dobrej rady.

Wyrwidąb wyrwał ogromny dąb z korzeniami. Waligóra kawał skały pochwyił i wyruszyli na smoka.

A on jak się nie rzuci! Żeby nie owe buty, byłby ich zabił. Ale każdy odskoczył na milę i nic złego mu się nie stało. Natarli raz, drugi, machnęli jeden skałą, drugi dębem i zabili smoka.

Radość była wielka w kraju, a król dwie swoje córki oddał za żony dzielnym obrońcom. — I było wesele, a ja też na nim byłem, miód i wino piłem...

25. Trzech Budrysów.

Stary Budrys trzech synów, tegich jak sam Litwinów,

Na dziedziniec przyzywa i rzecze:

„Wyprowadźcie rumaki, i narządźcie kulbaki,

A wyostrzcie i groty i miecze.

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie

Trzy wyprawy na świata trzy strony:

Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,

A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,

Niech Litewskie prowadzą was Bogi:

Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:

Trzej jesteście, i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,

To nad Ilmen, pod mur Nowogrodu;

Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony.

I u kupców tam dziegi jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cūgi,
Niechaj tępi krzyżaki psułaty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.
Za Skirgiellem niech trzeci za Niemen przeleci,
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synową.
Bo nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice białsze od mleka, z czarną rzesą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki,
Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,
Laszkę sobie przywiozłem za żonę:
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę".
Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma,
Budrys myślał, że w boju poległ.
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej to kubał, a w tym kubie nowogrodzkie są ruble?"
„Nie, mój ojciec to Laszka synowa".
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec, mój synu, niesiesz kubał bursztynu?"
„Nie mój ojciec, to Laszka synowa".
Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

A. Mickiewicz.

26. Świtez.

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie,
Do Płutyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczernioną,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice.
Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna z pod twojej stopy
Pod niebo idzie równina.
Czyli też niebo swoje szklanne stropy,
Aż do nóg twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie uludzi.
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harcel
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Naraz wśród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbroi chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą:
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płuzynach, którego pradiady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskim robić mieście,
I wielkie sypał wydatki:
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czołna i statki.

Ja ostrzegałem: że w tak wielkiem dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyne;
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Stał na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił;
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka;
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie słowia ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągna ostatek wężerzy:
Powiemże jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszydło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta jak korała,
Włos biały skapany w wodzie.

Do brzegu dały. A gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi.
Łagodnym rzecze wyrazem:

Młodzieńcy, wiecie że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuścił:
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

I ty zuchwały, i twoja gromada,
Wraz byście poszli w głębinie;
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie.

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli:
Bóg wam przez moje opowiada usta,
Dzieje tej cudnej kąpieli.

Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

Świtez, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.

Nie ćmił widoku ten ostęp ponury:
Przez żyzne wskroś okolice
Widać ztąd było Nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

Raz niespodzianie, obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem Car z Rusi;
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
Tuhaniel w tobie obrona stolicy,
„Śpiesz, zawołaj twe towarzysze“.

Skoro przeczytał Tuhan list książęcy,
I wydał rozkaz do wojny:
Stańło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec:
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

I mówi do mnie: już własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsiecz? —
Wszak wiesz, że Świteł nie ma innych szanów,
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeżeli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu niedam obrony;
A jeżeli wszyscy pociągniem na boje
Jak będą córki i żony?“

Ojczy, odpowiem, lękasz się niewczesnie,
Idź kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie,
Widziałem jego Anioła.

Okrażył Świteł miecza błyskawicą
I nakrył złotem pióry,
I rzekł mi: póki męża za granicą,
Ja bronie żony i córki.

Usłuchał Tuhan, i za wojskiem goni;
Lecz gdy noc spada ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegna na dworzec starce, nędzne matki
Dziewice i drobne dzieci:

Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali:
Ach: zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali.

Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu
Miecz bogactwa na stosy,
Przenoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznymi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!”
Broniłam, lecz próżny opór:
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

Gotezwa zbrodnia... Czyli wezwać hordy
I podle przyjąć kajdany,
Czy bezbożneimi wytępić się mordy?...
Panie, zawołam, nad Pany!

Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie,
Niechaj nas lepiej Twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie!...

Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną:
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy...
Już ziemi nie ma podemną!...

Takeśmy uszli szańbienia i rzozi.
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienia w ziola.

Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowo szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

Doświadczył tego Car i Ruska zgraja,
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalowy umaja,
Ten wianki na akronie plecie:

Kto tylko ściągnął do głębiny ramie,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wylamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.

Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał tam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa Cary.

To mówiąc pani zwolna się oddala,
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło na kształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni:
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słyhać o niej.

Ballada A. Mickiewicza.

27. Lubor.

Dawszy czas wytechnąć hufcom znużonym
Lubor wódz stary, waleczny,
Sam w ciemnej nocy na koniu wronym
Wjeżdża w bór czarny, odwieczny.

Zdała chorągwie w bojach zdobyte
Utkwione świszczą z mogiły;
Wojennych pieśni echa rozbite
Przelękle zwierza płoszyły.

Jadąc wódz dumał, jak wiek mu młody
Zbiegł na rycerskich zabawach;
Rachował blizny, liczył przygody,
Marzył o nowych wyprawach.

Umilkło... jedzie, jedzie, nie słyszy
Jak tuż coś pierzcha w gęstwinie;
Przy starym dębie, wśród głuchej ciszy
Zoszły się boru boginie.

Było to grono srogich Rusalek *)
Jedna z nich groźnie zawoła;
„I kiedyż Lubor, kiedyż ten śmiałek,
Poniechać krwawych wałk zdoła.

Tyle rycerzy w rannych lat dobie
Śmierć uprzątnęła ze szranków;
Matki, kochanki, płaczą w żalobie
Poległych synów, kochanków.

On od pół wieku prowadzi boje,
Pławi się we krwi nieczuły...
Czyliż to bogi w niezłomną zbroję
Lubora piersi zakuły.

„Dość ci już chwały — czas spocząć starcze!
Czas zmrużyć czujne powieki;
Wkrótce porzucisz włóczęgę i tarczę,
Zaśniesz — lecz zaśniesz na wieki“.

*) Rusalki, bóstwa starożytnych Słowian, według mniemania ludu czarownice krwi chciwe, nienawidzące ludzi.

Rzekła i znikły w mroku omglonym:
Szumi bór czarny, odwieczny;
Nic nie wie — jedzie na koniu wronym
Lubor wódz stary, waleczny.

Wtem słyszy potok szumiący w dali,
Drze się przez zimną gęstwinę,
Niezbyste jakieś pragnienie pali,
Wjechał do źródła, — w dolinę.

I gdy się napił, zmienił się wcale,
Sen począł kleić powieki,
Puścił rumaka, usnął na skale —
Usnął, — lecz usnął na wieki.

Poczuł to, pędzi jak wiatr koń skory,
Tentent uśpionych przestrasza,
Między walecznych wpada tabory,
Rżeniem zgon wodza ogłasza.

W całym obozie wrzawa się wszczyna,
Strach miesza mężne szeregi,
Rozpierzchnięta wódza szuka drużyna,
Lecz płonne wszystkie zabiegi.

Zaświtał ranek — rycerzy tłumy
Ciągną na pole znów chwały,
Zabrzmiały w okrąg wojenne dумы,
Żałobne pieśni zabrzmiały.

Wódz zaś od wieków w jednej postawie
Skamieniał leżąc w ustroni,
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Na wpół dobyty miecz w dłoni.

A gdy z północy burza straszliwa
Grzmi przez bór czarny, odwieczny,
Ockniony rdzawy oręż dobywa
Lubor wódz stary, waleczny.

Ballada Bohdana Zaleskiego.

28. Krzyż.

Był niegdyś człowiek biedny, co dźwigał z utyskiem
krzyż, przeznaczony mu w doczesności ziemskiej, bolejąc
gorzko na ciężkie losy swoje. Zdawało mu się, że już nikt
z ludzi nie przywałony tak ciężkiem, jak on brzemieniem. Więc
stanąwszy przed Chrystusem Panem, pada na kolana, ze łka-
niem błagając: „Wszechmiłosierdzia Panie! najcięższy, krzyż

ze wszystkich krzyżów na ziemi stał się udziałem moim! Zlituj się mojej niedoli i użyż mi innego krzyża, którybym już nosił przez życie!“ A Pan rzekł: „Wybieraj sam ze wszystkich ziemskich krzyżów według woli własnej!“ Uradowany człowiek, doświadczając wielu krzyżów, wybrał sobie jeden z nich, złocisty; a włożywszy go na ramiona, zawołał: „Ten krzyż nadaje się dogodnie do ramion moich; on zbyt nie ciąży i nie zaboli!“ — I ciesząc się w sercu swoim, poszedł człek w życie z tym złocistym, błyszczącym krzyżem.

Wrychle atoli wraca i, stanąwszy przed Panem, pada na kolana i woła: O nieskończonego miłosierdzia Panie! ten krzyż, przezemnie wybrany, ma zbyt twarde, a ostre krawędzie; on jeszcze więcej mnie boli i rani, niż ów pierwszy krzyż mój. Pozwól w Twojej miłości bez granic, bym sobie inny krzyż wybrał!“ A Pan z łaską niebiańską rzekł: „Wybieraj między krzyżami!“ — A człek doświadczając wielu krzyżów, wybrał znów inny krzyż, co z kształtu już mu się wielce nadawał do ramion jego i był dogodniejszy, mniej bolesny do noszenia. I poszedł człek w życie z tym krzyżem przez siebie wybranym.

Ale wrychle znów wraca, znów płacze, błagając, i znowu wybiera sobie krzyż nowy. Tak wielokroć jeszcze wracał, utyskując ze łzami, jako każdy następny, przez niego wybrany krzyż jeszcze srożej go boli i rani, niż wszystkie poprzednie krzyże. A Pan w dobroci bez granic, w miłosierdziu niewyczerpanem za każdym razem pozwolił mu inny krzyż wybrać. Aż nakoniec człek wybrał sobie raz jeszcze krzyż; i poszedł w świat i długo nie wracał. Nakoniec wrócił, czyniąc już dziękczynienia Panu wiekuistej miłości i wołając radośnie: „Panie, jakież to dogodny, a nadający się do ramion moich ten krzyż, ostatnim razem przezemnie wybrany! Tego krzyża już nie odmienię, on dla mnie najdogodniejszy, najlżejszy ze wszystkich krzyżów na ziemi; on mnie nie boli, nie rani; ja przy nim chętnie na życie całe zostanę“.

Wtedy Pan rzekł: „Widzisz ten ostatni krzyż, tak ci się nadający do ramion twoich, ten krzyż, co cię nie boli, nie rani,

jest owym pierwszym, pierwotnym krzyżem, który ja sam dla ciebie przeznaczyłem, a który ci się zrazu zdawał być najcięższym ze wszystkich krzyżów na ziemi!“

Józef Kremer.

29. Św. Izydor.

W pośród wiejskie matki córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej Góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojej wierze
Za pocziwy grosz nabywał.

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozповідаł:

„O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnej tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie stąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem,
Tak się jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzągał z bydłem, kuł do taczek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały:
Cień, co w Boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole,
Nie nagrody, lecz zasługi.

I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzągił wolki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze,
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swej niedoli;
Gdy w tem w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność! woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! widzi!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy!

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie:
Nie ma hicza rataj święty,
Wolki przecież idą składnie.

Idąż okiem tak wesołem,
Pług tak lekko idzie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtem anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
Jemu pomoc Bóg przynosi”.

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tem samem miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem wielkie mnóstwo ludu.

Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wołów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa.

F. Morawski.

30. Chleb.

Kazimierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męski,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia, latem zwędzona parnem,
Z długiego słała pragnienia
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wziętego w wiosnę nasienia

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że człowiek, co z łaski nieba,
Chlebem się swoim dzielił z sąsiadem,
Tżisiaj umierał bez chleba.

Wówczas król chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył:
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi dokoła garną,
On widząc powszechną nędzę
Gdzie nie mógł swoje dostarczyć ziarno,
Tam swe posyłał pieniądze.

A tak powszechny był niedostatek
I wszędzie równe potrzeby,
Że nie do wszystkich mogły dojść chatek
Pańskie pieniądze i chleby.

W owym to roku powszechnej nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był chciwiec; zdzierstwem wiele pieniędzy
I ziarna wiele nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmieć siermięgę się przebrał
Do Olińskiego chodził klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu pewnego, gdy wracał z miasta,
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta,
Z przydrożnej wybiegła chaty.

I woła: Ratuj, jam z głodu chora,
Pan Bóg ci będzie odpłata,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
Chleba bochenek pod szatą;

Podziel się chlebem, posil niebogę,
Jeżeli serce masz czleka,
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.

— „Babo, rzekł chciwiec, pokój daj święty
I nie zatrzymuj mnie w drodze“.
I znów litością nihy przejęty,
Dodał: „Zawiodłaś się srodze;

Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty;
U nas, bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty,
Co płynie koło mej chatki“.

Na to niewiasta: „Czleku tyś skłamał,
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień,
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże! „w kamień Ty zamień!“

Ledwie to rzekła, chciwiec spostrzega,
Że bochen chleba ociężał,
Ciężarem swoim ramie przylega,
Na twardy kamień chleb stężał.

Struchlał i czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie;
Za wszystkie chleby co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obficie.

Odtąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie,
I głośna powieść o chciwym panku
I chleba w kamień przemianie.

J. Hołowiński.

31. Brzoza Grzyżyńska.

Wznosi się w gruzach na Grzyżyńskiej ziemi
Kościół świętego Marcina;
Głośno on niegdyś hymny grzmiał Boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła,
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeżeli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoją obudzi,
Skąd polubiła ten pobyt żałosny
Grzyżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wie lat wiele,
W prostym ci rzeknę sposobie,
Zmarło tu dziecko i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swej mogile leżał
Antoś, matczyzna nadzieja,
Kiedy wtem kopacz do księdza przybieżał,
I tak strwożył dobrodzieja:

„Jakieś tam lichy na cmentarz się wdario,
Próżno człek strzeże i czuwa,
Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
Wciąż rączkę z grobu wysuwa“.

Dziwi się pasterz, krzyż i stulę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna i zmawia pacierze
I rączkę sam w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszę w niebo wznosi,
Przy małej klęcząc mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo wraca za chwilę.

Budzi się rączka tajemniczej siły,
Wzrusza swój wzgórek grobowy,
I znów z zielonej wyrasta mogiły
Bieluchna, jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną dokoła,
Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się grobie,
Ja ludzką myślą nie chwyćę;
Samej to tylko wiadomem jest tobie
Wyjaw więc tę tajemnicę“.

Wzbrania się matka i zalewa łzami
I ręce łamie z rozpaczy,
Gdy wtem, strasznemi zaklętą słowa
Tak się wśród jęku tłomaczy.

„Kara to mojej małczynej ślepoty;
Bóg mi złem za złe odmierzył;
Synek ten, memi popsuty pieszczoty,
Raz mnie w swym gniewie uderzył“.

„Bierz więc tę różgę i chłoszcz rękę syna“,
Tak pasterz na nią zakrzyknął;
„Ziemskiej on tu się kary dopomina,
Aby wieczystej uniknął“.

Uderz! — zawoła. I silnem ramieniem
Matka do grobu ciągniona,
Odwraca oczy i ciężkiem westchnieniem
Okropnej kary dokona...

I patrz! zaledwie różczkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz, na pamięć strasznego zjawiska,
Różdżkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiosnie
Gęsty ją liść ozielenia,
Coraz się wyżej wzmaga i rośnie
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościółek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała;
Wala się dęby, całe walałasy...
A brzoza stoi, jak stała.

Franciszek Morawski.

32. Baszyna.

Jest wioska Baszyna,
Tam na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Dalej głuchy bór.

A w borze zamczysko,
Wkoło wielki wał:
Tam dawniej siedlisko
Dzielny rycerz miał.

I wpadli pohańce
A wszystko strach zdjął;
Wbiegł rycerz na szańce,
Głowę baszy ściał.

Stąd wioskę Baszyną
Nazwał rycerz sam;
Dziś zamek ruiną
A strach mieszka tam.

Nie wielka osada,
Co otacza dwór;
Jak z pieca tam spada
Ścieka z wielkich gór.

Po błoni na dole
Horyń wije bieg;
A srebrne topole
Wieńczą jego brzeg.

W tej niegdyś wsi byli
Sławni Prot i Jan,
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.

W zamczysku na górze
Jest kaplicy szczyt;
Kamienny krzyż w murze
Był jej cały sprzęt.

Kto przysięgił tam krzywo,
Wnet go karał Bóg:
Bo nie wyszedł żywo
Za kapliczny próg.

Tak o tej świątnicy
Zdawna chodzą słuch:
Do strasznej kaplicy
Szło przyjaciół dwóch.

Przysięgli zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem
Jako brata brat.

Gdy przyszła na Jana
Kolej żegnać świat:
Miał syna Stefana
Jeszcze pięciu lat.

Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Zda opieki trud.

Przysięgli rzekł, bracie,
Moim synem rządź,
I po ojcu stracie
Ojcem jemu bądź.

Grosz mój pozostały
W twoim ręku masz:
Jak dojdzie lat mały,
Wtedy jemu dasz.

Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał,
Pragnął wziąć u Prota
Ojcowizny dział.

Chciwość szatana
Prot w swej duszy czcił,
Zaparał się, że Jana
Skarb u niego był.

„Gdy ci nędza cięży,
To ojcowski szal:
Na biednych, na księży
Dał wszystko co miał.

„Niech ojca jałmużny
Wróci niebios pan:
On tobie jest dłużny,
Mnie nic nie dał Jan“.

Rzekł Stefan ze łzami:
Gdyś sumienie trul,
Nie puść mię z torbami
Daj choć skarbu pół.

Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą,
Lecz Prot nie chciał dać.

Chcesz w podłym mieć zysku,
Rzekł Stefan, coś wziął?
Chodź przysięż w zamczysku,
Gdzieś ojcu się kłął.

Poszli i gromada
Poszła z nimi wraz:
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głaz.

Lecz gdy się przybliża
Uczcić męki znak,
Jakaś moc od krzyża,
Odpycha go wspak.

Padł na wstecz i krzyczy:
„Ach, ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
Kto się w fałszu klnie.

Jam z biednym sierotą
Tak nieludzki był:
Weźcie sobie złoto,
Com w komorze skrył“.

A wtem go oniemi,
Oczy poszły w ślup;
Chcą podnieść go z ziemi,
Ale już był trup.

Wszystkich przeszło mrowie,
Spieszą pod swój dach:
Odtąd w tej budowie
Jakiś mieszka strach.

Bo słyhać tam w nocy
Jak łańcuchów brzęk;
Coś wzywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

J. Hołowiński.

33. Jan Kanty.

Błysnęła na wschodzie jutrzienka ziota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy,
Z rosą poranną — łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty.

Nie dla niej piękny dziś świeci poranek,
Świat w szatę złotą ubiera;
Żalśnie trzyma w swej dłoni dzbanek,
A drugą — łezki ociera.

Już krakowiaków gromadka wesoła
Na targ do miasta się śpieszy,
Lecz na sierotkę nikt nie zawoła,
Sierotki nikt nie pocieszy.

Wtem mąż sędziwy, wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Rzewnem sierotkę zmierzwszy okiem,
W te do niej ozwał się słowa:

„Dla czego płaczesz, dziecino droga?
Bóg widzi te łezki twoje;
Wyznaj mi szczerze, ja w imię Boga
Może twą żalność ukoję“.

A krakowianka w błękitnem oku
Fartuszkciem łezkę ociera
I kornie stojąc przy jego boku,
Drżące swe usta otwiera:

„Jestem sierotą, u mieszcзки z Łobzowa,
Służę; ach, ostra to pani,
Nigdy dobrego nie da mi słowa,
Lecz zawsze gromi i gani.

Zaledwie tylko błysnie poranek,
Na kleparz na targ wysyła,
Abym, przedawszy tam mleka dzbanek,
Krupek i soli kupiła.

A że to jutro święto Boskiej Matki,
Chcąc przybrać obraz jej w wianek,
Po drodze wonne zbierałam kwiatki,
Wtem z ręki wymknął się dzbanek.

I wszystko mleko spłynęło drogą,
Ot, ślady widać z daleka,
Któż się nademną uzali niebogą!
Ach! wiem, co w domu mię czeka!"

„I czemuż, dziecię, tak rzewnie szlochasz
I główkę kryjesz w swej dłoni?
Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz,
Ona cię pewnie obroni.

A gdy powrócisz do twej zagrody,
Boska cię Matka pocieszy,
Pospiesz do Wisły, zaczerpnij wody!..."
Sierota ufa i śpieszy...

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła,
I klęcząc pacierz odmawia,
Główkę do ziemi kornie schyliła,
Przed Kantym dzban z wodą stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogosławi,
Modli się długo i szczerze,
A gdy modlitwę swoją odprawi,
Dzban wody do ust swych bierze.

I woda w mleko się przemieniła,
„Dziecino, Marji złóż dzięki,
Ona cię w smutku twym pocieszyła;
Dzban mleka masz tu z Jej ręki".

Na twarzy dziecka zakwitł rumieniec,
Do nóg się Jana rzuciła,
I odtąd obraz codziennie w wieniec
Bogarodzicy stroiła.

Ks. Karol Antonowicz.

34. Pielgrzym świętokrzyski.

Na drodze z Nowej Słupi do po-Benedyktyńskiego klasztoru stoi starożytny posąg z kamienia, wyobrażający klęczącą postać pielgrzyma.

O posągu tym następująca krąży legenda:

Był człowiek pewien, który za ciężkie winy długą odbywał pokutę. Wobec strasznych zbrodni, jakich dopuszczał się w życiu, żadne umartwienie zbyt surowem nie wydawało mu się zadosyćuczynieniem. Aż wreszcie odbywszy pielgrzymkę do Ziemi świętej, postanowił ostatnią już, ciężką zadać sobie pokutę.

Było nią pójście na kolanach pod górę Świętokrzyską, do po-Benedyktyńskiego klasztoru.

Idzie zatem śpiewając pieśni pokutne, odmawiając modlitwy.

Mijają go liczni pielgrzymi, podziwiając wytrwałość, chwaląc głośno pokorę świątobliwego męża. Ten i ów prosi na wóz swój, do wypoczynku zachęca, lecz pokutnik wszystkim odmawia i na kolanach łączy, coraz wyżej a wyżej!...

Ale na głos uznania, jaki dochodzi go z stron wszystkich, wąż pychy wśliznął się do piersi chwalonego przez pielgrzymów męża, i pokutnik, co budował bliźnich umartwieniem, pokorą, z uczuciem dumy rozmyślać zaczął nad tem, że gdy na kolanach u celu pobożnej stanie pielgrzymki, zasłuży już chyba na niebo, gdyż nikt tak jak on, na hojną nie pracuje nagrodę!

Ale, o dziwy! Kamieniem ciężą nogi, nieruchomieją wszystkie członki, pielgrzym przekonywa się z przerażeniem, że kolana jego zdrętwiały ani na krok dalej posunąć się nie mogą. Wyznaje głośno swą winę i zwolna, ku zdumieniu i zgrozie obecnych, w kamień się cały zamienia!

Legenda mówi, że klęcząca figura z biegiem lat posuwa się naprzód, a kiedy dojdzie do klasztoru, wtedy będzie koniec świata (?).

35. Róże św. Elżbiety.

W dalekim od nas kraju niemieckim żył książę, który miał żonę bardzo dobrą i miłosierną, imieniem Elżbietę. Choć i sama z książęcego rodu, nie gardziła biednymi, nie brzydziła się chorymi i sama ich odwiedzała i nosiła im pożywienie. Książę gniewał się o to bardzo, aby księżna po biednych chatach chodziła i sama dźwigała żywność i lekarstwa.

Razu pewnego wracał książę z polowania i zobaczył księżną, skręcającą do chaty ubogiego górala.

Książę zaszedł jej drogę i rzekł gniewnie:

— Gdzie idziesz i co niesiesz?

A gdy księżna nic nie odpowiadała, uchylił poły jej płaszcza i ujrzał, ze zdumieniem, że w płaszczu były róże wielkie, świeże, pachnące.

Róże wśród zimy, gdy cała ziemia śniegiem pokryta! i to wśród gór wysokich!

Poczuł książę, że stał się cud, że Bóg w róże przemienił żywność, którą księżna niosła dla biedaka.

Zawstydził się bardzo, prosił swą małżonkę o przebaczenie i odtąd już jej nie bronił odwiedzać biednych.

— I ta księżna Elżbieta została świętą i jest moją patronką? — zapytała Elzunia.

— Tak ta sama. Była jeszcze inna święta Elżbieta, matka świętego Jana Chrzciciela, ale twoją patronką jest księżna Elżbieta.

36. Legendy o królowej Jadwidze.

Przykładem dziada, Kazimierza Wielkiego, Jadwiga zawsze broniła uciśnionych, pomagała słabym, dbała o dolę ludu pracującego. Do dzisiejszego dnia przechowały się wiadomości o jej pięknych czynach.

Oto na przedmieściu krakowskiem, zwanem Piasek, wre ruch przy budowie nowego kościoła. Tłumy robotników pracują żywo i ochoczo, a wśród nich krząta się królowa. Przychodziła ona często patrzeć, jak posuwa się budowa: dobrem słowem i datkiem zachęcała do pracy.

Dziś zawałała sobie obuwie wapnem, wsparła więc nogę na kamieniu i jeden z murarzy zaczął jej oczyszczać trzewiczek.

Swoim zwyczajem Jadwiga wdaje się z nim w rozmowę. Dopytuje się o żonę, o dzieci, jak żyją, jak się im powodzi, czy są zadowoleni ze swego losu. Widząc smutek murarza, serdecznie zachęca go do wyznania, co mu dolega. Biedny człowiek ze łzami w oczach zaczyna opowiadać, jakie dotknęło go nieszczęście. Żona i dzieci chorują, a zarobek ledwo dostateczny na utrzymanie, nie wystarcza na lekarstwo. — Ot, i zamrzeć przyjdzie biedakom!... — Królowa wzruszona mówi: — Nie mam przy sobie pieniędzy — ale dam wam pier-

ścień. Sprzedajcie go i kupcie, co trzeba w domu. Zaczęła szukać w ubraniu i wszystkie kosztowności, jakie miała, nawet srebrną sprzączkę od trzewika oderwała, włożyła w rękę murarzowi i szybko odeszła.

On stał, z radości jakby wryty w ziemię i nie zdążył nawet podziękować dobrodziejce.

Po chwili spostrzegł ślad stopy Jadwigi, odznaczony wapnem na kamieniu. Chwycił młot i dłuto i wykuł na pamiątkę kształt tej drogiej stopy, a obok rok zdarzenia 1390.

Kamień ze „Stopką Jadwigi“ wmurował do kościoła i co dzień całował go na znak wdzięczności.

W kilkaset lat potem Szwedzi zburzyli świątynię i gruzy zawałyły pamiątkę czci królowej. Po wypędzeniu wrogów i uprzątnięciu gruzów odnaleziono ten kamień i wmurowano znowu w ścianę budowanej przy kościele kaplicy Matki Boskiej, gdzie go można dotychczas oglądać.

Podania przechowały pamięć innych też czynów Jadwigi.

Z rusztowania spadł murarz i leży nieprzytomny. Któryś z towarzyszy unosi mu głowę, a cudnej piękności królowa klęczy przy chorym i sama opatruje mu rany. Nieraz zdarzyło się Jadwidze nieść taką pomoc.

Opowiadają, że kiedyś, w dzień uroczystości Bożego Ciała królowa wracała z procesji.

Jechała przez most, gdy wtem spostrzegła, jak młody chłopiec wpadł do Wisły.

Towarzysze rzucili się na ratunek, wydobyto nieszczęśliwego z wody, rozebrano z przemoczonych sukien i starano się ocucić.

Jadwiga zdjęła wierzchni kontusik karmazynowy, złotem obszywany, i okryła zziębniętego. Chłopak był kotlarczykiem. Kontusik królowej zabrał cech kotlarzy i długo przechowywał na pamiątkę.

Trumnę każdego umarłego towarzysza okrywają kotlarze sukienką Jadwigi i czczą jej pamięć jakby swej patronki.

„Matką ubogich“ nazywała Jadwigę ludność krakowska. Temu wyleczyła dziecko, tamtego dźwignęła z nędzy, owego

chłopaka swoim staraniem wykierowała na człowieka, dziewczynę, sierotę wywianowała, chorego pocieszyła.

Kochano ją też jak matkę. Każdy był szczęśliwy, gdy mógł ją zobaczyć, posłuchać jej słodkiego głosu.

A Jadwiga dawała każdemu chętny przystęp do siebie. Łagodna, niewielomówna, nie umiała się gniewać, nikomu nie ubliżyła, owszem wstawiała się do Jagiełły za tymi, którzy u króla wpadli w niełaskę.

K. Orsza.

37. Boże dary.

Jeden staruszek, bardzo zacny i święty, który przepędził młodość z szablą, a późniejszy wiek przy uprawie roli, ciężko raz zaniemógł. W tej słabości uczynił ślub, że jeśli wyzdrowieje, tylko już o Bogu rozmyślać będzie i nauczać maluczkich. Wejrzał Bóg miłosiernem okiem na gorącą modlitwę swego sługi i staruszek wkrótce odzyskał zdrowie.

Dopełniając uczynionego ślubu, wziął staruszek kij w rękę i powędrował od wioski do wioski. Gdzie tylko stanął, gromadził dziatwę około siebie i opowiadał jej różne ciekawe dzieje. Ale przychodziły nań takie dnie, że jak się zamyślił, to i cały dzień nieruchomy przesiedział, słowa do nikogo nie mówiąc. Po każdym jednak takim zachwyceniu wstawał daleko rzeźwiejszy, z nierównie jaśniejszą twarzą i jakby upojony szczęściem.

Zdarzyło się, że podczas jednego takiego zachwycenia, ujrzał się na drugim świecie i wcisnął się nawet do samego nieba.

Trafił właśnie na chwilę, kiedy sam Pan Bóg wyprawiał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia; zawieszał każdej torebeczkę na szyję i błogosławił jej na drogę. Co się tam jednak w tych torebeczkach znajdowało, tego staruszek nie dojrzał, bo choć bardzo był święty, to oczyma świeżo ze ziemi przyniesionemi nie potrafił jeszcze wszystkiego rozeznąć.

Szczęściem, stojący u drzwi jakiś mąż święty, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się do niego i zapytał:

— Chcesz zapewne wiedzieć, co się w tych torebkach znajduje?

— O, i bardzo — odpowiedział staruszek.

— Wiedz zatem — rzekł święty — że żadna duszyczka nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, któremi je sam Pan Bóg szczerą dłonią uposaża; ale wszystkie potem, powracając ze ziemi, muszą ze skarbu im powierzonego ścisły zdawać rachunek.

— Spójrzij no tylko — dodał święty po chwili — przez to okienko, przez które widać drogę ziemską i duszyczki po niej idące, co się z temi niebieskimi torebeczkami dzieje.

Staruszek, ponieważ był bardzo ciekawy tego, wychylił głowę przez okienko i patrzył... Gościńcem szły tysiące duszyczek, z torebkami na piersiach pełnemi... Nierychło rozpatrzył się staruszek w tym tłumie. Ale gdy poszedł okiem powoli za jedną, potem za drugą i trzecią duszą, dopiero zauważył, jak się to dary Boże marnuje na ziemi. Jedni szli, wesoło śpiewając, i gubili je po ziemi przez nieuwagę; drudzy, nie patrząc pod nogi jak należy, upadali i rozsypywali je po ziemi; inni znowu zabiegali drogę filuci, i za lada cacko wykpiwali od nich najdroższe zapasy życia; a tylko bardzo mało było takich, którzy donosili do mety to, co im Bóg dał, całe lub pomnożone.

Najczęściej człowiek przychodził obdarty i nagi do kresu pielgrzymki i dopiero u drzwi niebieskich spostrzegał, że próżną niósł torebkę. Byli czasem i tacy, co ochronili całą swą spuściznę, ale gdy przyszło do obrachunku, pytano się ich, czemu z darów Bożych nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą? Niektórzy znowu zamiast brylantów niebieskich, nieśli z powrotem w torebce błoto i piasek. Inni wreszcie mieli ją napelnioną łzami gorzkimi i żalem; ale tych ostatnich ojciec niebieski przytulał do serca, bo łzy i żal, warte były drogich kamieni.

Patrzył się tak staruszek, a patrzył: taki to był cudny widok tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się nieraz brukały, prały we łzach, to znów świeciły i znowu czerniały.

I byłby tam staruszek nie wiedzieć jak długo patrzył, gdyby go ów święty nie był odciągnął od okienka.

Wtem zdało mu się, jakoby się ze snu przebudził, znalazł się bowiem na tym samym kamieniu, na którym usiadł przy drodze. Ale pamięć tego widzenia nie zatarła się w nim przez całe życie. Opowiadał je chętnie drugim, a i sobie często przypominał, z czem on to wyszedł na pielgrzymkę życia i z czem z niej powinien powrócić. Zbierał więc, co utracił; a co zebrał, pomnażał ciągle; to też gdy przyszedł na końcu drogi do obrachunku, pewnie łąą żalu pocziwą resztę torebki dopełnił.

Józef Ignacy Kraszewski

38. Quo vadis, Domine. ¹⁾

O brzasku dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanji. Jedną z nich był Nazariusz, drugą Piotr apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem.

Świat odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazariusz. Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie. Nazariusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

¹⁾ Dokąd idziesz Panie?

I począł patrzeć ze zdziwieniem na apostoła.

— Rabbi! co ci jest? — zawołał z niepokojem. A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt.

Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętymi przed się ramionami, a z ust wyrwał się okrzyk: „Chryste, Chryste!”

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— Quo vadis, Domine (dokąd idziesz, Panie)?

I nie słyszał odpowiedzi Nazarjusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by Mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazarjuszowi zdawało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i, nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś, widząc to, powtórzyło, jak echo:

— Quo vadis, Domine?

— Do Rzymu — odrzekł cicho apostoł.

I wrócił.

Henryk Sienkiewicz.



ROZDZIAŁ II.

Podania i bajeczne dzieje ojczyste.

39. Pieśń Wajdeloty.

O wieści gminna! ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty.
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędę, i swych uczuć kwiaty!

„Arko tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki ci własny lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskimi skrzydłami i głosem —
Ty czasem miewasz i broń archanioła...

„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby, mieczowi spustoszą złodzieje:
Pieśń ujdzie cało! tłum ludzi obiega;
A jeśli podle dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I stamtąd dawne opowiada czasy...
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiadzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgłiszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żaloby.

„Słuchałem piosnek. Nieraz kmieć stoletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął, i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych, lub rymowym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni...
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala.
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

„Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła:
Tak na dźwięk pieśni, kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznymi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje, -
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszczę, tańczy dziewic grono...
Marzyłem cudnie — sródze mię zbudzono!

„Zniknęły lasy i ojczyste góry!
Myśl znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę,
Lutnia zamilkła w otrętwiąłem ręku,
Śród żalosego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę!
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi; nieraz ogień rozniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampka z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy,
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce.
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy,
Kraśne acz nieco przyćmione kobierce...

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci:
Możeby jeszcze w tej jednej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie“.

A. Mickiewicz, Konrad Wallenrod.

40. Biała królewna.

Dawno już dawno temu, gdy nasi przodkowie byli jeszcze poganami, panował w Gnieźnie pewien król. Za małżonkę pojął on najpiękniejszą niewiastę swego kraju, lecz małżeńskie jego szczęście trwało bardzo krótko, bo niebawem zmarła dobra, od wszystkich kochana królowa, zaraz po przyjściu na świat jedynej córeczki. Król choć bardzo strapiiony uległ jednakże

życzeniom całego narodu i ożenił się z córką władcy sąsiedniego kraju, niewiastą dumną o samolubnem sercu. Macocha z niechęcią i wzgardą patrzyła na swą pasierbicę i nie troszczyła się o nią zgoła; po kilku atoli latach, gdy już swoje własne miała dzieci poczęła ją nienawidzić. Tymczasem królewna wyrosła na cudną dziewczę, a będąc jak matka bardzo litościwą i miłosierną dla ubogich i nieszczęśliwych, pozyskała sobie powszechne uwielbienie i szacunek. Ubierała się zawsze w białe szaty, bo ojciec sobie tak życzył, co ją jeszcze piękniejszą czyniło i z tego powodu nazywano ją powszechnie „białą królewną“.

Macocha widząc, iż małżonek kocha więcej pasierbicę niż ją i jej dzieci, wrzała tłumioną złością, najwięcej zaś gniewało ją to, że nie chcąc stracić serca małżonka musiała względem swej pasierbicy udawać czułość i troskliwość, bo król nie był królem malowanym, posiadał żelazną wolę i ukochanemu dziecięciu nie pozwolił wyrządzić najmniejszej krzywdy. Gdy sława o urodzie i cnotach królowny rozeszła się daleko po świecie, król pewien z odległej krainy wysłał dziewosłębów prosząc o nią dla swego najstarszego syna. Zła królowa udawała wybornie radość z tego zamierzonego małżeństwa, w duszy zaś przemyślała nad tem, jakby ją zgładzić ze świata, zwłaszcza, że miała już dorastającą córkę; wynalazła więc powód, że zamierzony ślub pasierbicy odroczone na kilka miesięcy.

Królewna miała zwyczaj kąpać się latem codziennie o świcie w pobliskim jeziorze; zwykle towarzyszyły jej jedna lub dwie służebne, czasem atoli nie chcąc budzić sług zaspanych, szła sama do kąpieli. Wiedząc o tem sprowadziła królowa dwie stare czarownice, co się leczeniem i wrózeniem zajmowały, dała im wiele pieniędzy i kazała im królewnę utopić. Ścieżka, która do jeziora wiodła, prowadziła przez gęste zarośla; ułożywszy więc plan zbrodni, chodziły owe czarownice co noc do tych gęstw i tam ukryte, pilnowały jedna drożyny, druga zaś miejsca kąpieli. Przez kilka dni czatowały napróżno, wreszcie pewnego razu ujrzała czarownica, siedząca przy ścieżce, jak królewna sama jedna do jeziora podążała. Zaskrze-

czała zaraz jak sroka, a na to hasło umówione, wyszła jej towarzyszka z ukrycia. W pokornej postawie, w słowach uniżonych, powitała czarownica królowną, dodając, że ma dla niej napój cudowny, usypiający, a osoba, która go użyje, widzi we śnie jasno całą swą przyszłość. Królowną знаła od dawna czarownicę, a że była jak wszyscy wówczas ludzie zabobonna, więc choć z pewną obawą wzięła i wychyliła podany sobie kubek. Był to napój mocny i odurzający zarazem; nieszczęsna królowna zasnęła twardo natychmiast, a wtedy obie jędze zadusiły biedną ofiarę, wierzchnią jej szatę położyły na brzegu jeziora, usiadły w przygotowaną łódkę i zwłoki zatopiły w głębinie.

Okropna ta zbrodnia nie byłaby się pewno wydała, gdyby nie świadek w osobie pewnej dziewczynki, która szukając ziół po zaroślach, usłyszała głosy czarownic, ostrożnie zbliżyła się do miejsca kąpieli, i przez nikogo nie spostrzeżona skamieniała prawie na widok ohydneho mordu. Po chwili przyszedłszy do siebie, przedarła się przez znajome sobie krzaki i pędem pobiegła na zamek. Krzyk i lament powstał wielki, król zarządził natychmiast obławę na czarownice, psy wytropiły zaraz zbrodniarki, które musiały się przyznać do wszystkiego. Niegodziwa królowa, jak tylko wieść o morderstwie do niej doszła, ze wstydu i strachu przed zasłużoną karą otruła się. Zwłoki białej królowny, wydobyte z topieli pochowano na wzgórku, który był jej ulubionem miejscem i gdzie się często z towarzyszkami bawiła. Wdzięczny lud usypał jej wysoką mogiłę, przy której na jej cześć śpiewano żalosne pieśni; a w nocy mianowicie wśród mgły okrywającej jezioro rozpoznać można było białą postać dziewczicy, dla tego też to jezioro otrzymało nazwę „Bielidło“.

Gdy wiara chrześcijańska w Polsce światło swe roznieciła, wykorzeniały się potrosze pogańskie obyczaje, a że na mogile białej królowny urządzano czasem po nocach pogańskie obrzędy, władza kościelna kazała zrównać szczyt tej mogiły, na której stanął wkrótce potem kościółek św. Krzyża pierwotnie z drzewa, a gdy ten groził upadkiem, postawiono w na-

szych już czasach ładny murowany, otoczony cmentarzem i ocieniony drzewami, zdobiącemi to miejsce urocze.

Wiedźmy spotkała zasłużona kara; utopione w jeziorze za miastem zamieniły się w potworne ryby, wychylały niekiedy nad wodę swe straszne paszcze, chwytaly kąpiących się ludzi i wciągały ich w głębinę. Okoliczna ludność nawet zimową porą z bojaźnią omijała brzegi tego jeziora, które od tych strasznych paszcz czyli pysków rybich dostało nazwę Pyszczyńskiego i dotąd się tak zowie.

Groza ta z owemi potworami dotrwała aż do czasów św. Wojciecha. Święty ten mąż podczas swego pobytu w Gnieźnie kazał zepchnąć na to jezioro małą łódkę, a pomodliwszy się wszedł w nią i przepawił się na brzeg przeciwległy. Od tego czasu ludzie oswoili się z Pyszczyńskim jeziorem, a potworne ryby nie pokazały się więcej.

41. Zamek zbarski.

W ciągu wieków okolica Gniezna zmieniała się do niepoznania; zorano i zrównano pagórki, zasypano doliny, zniknęły bory, a z dawnych wielkich jezior trzy małe tylko przy mieście pozostały. Jeziora te pierwotnie łączyły się ze sobą otaczając gród Lecha z trzech stron, z czwartej zaś od wschodu bronił przystępu osobny warowny zamek Zbar czyli Zbarz. Zamek tak był zbudowany, że tworzył twierdzę sam dla siebie i był obszerny, mógł bowiem pomieścić znaczną załogę. Za czasów króla Mieczysława II Czesi za pomocą ognistych pocisków spalili zamek razem z mężnymi obrońcami.

Zginał tam także pewien rycerz Żelisław; zeszedł on z tego świata obciążony ciężkimi grzechami, a mianowicie wydarł majątek swym krewnym przekupiwszy świadków i sędziów, to też duch jego po śmierci nie zaznał spokoju blakając się po zgłiszczach zamku, a ludzie bali się tamże chodzić. Żelisław pozostawił syna również Żelislawa; był to mężny, lecz bardzo lekkomyślny człowiek; zabawy, polowania i hulanki były dlań jedynym celem życia.

Razu pewnego przyjechał Żelisław z towarzyszami do Gniezna; tam podczas nocnej biesiady zeszła rozmowa na

przechwałki i junackie czyny. Postanowiono udać się na zwaliska Zbaru, co też bezzwłocznie podochoceni pankowie wykonali i przeszukując wśród ciemnej nocy wszystkie kąty zwaliska, drwić już zaczęli z ducha. Nagle z pod ziemi stanęła jakaś postać przed przerażoną gromadką. Przy świetle księżyca oczy widma patrzyły tak strasznie i groźnie, że junaków przeszło mrowie.

— Żelisławie! — zawołał duch — mam ci coś do oznajmienia, a wy precz stąd!

Żelisław struchlały poznał swego zmarłego ojca, upadł na kolana, podczas gdy towarzysze umykali jak zające.

— Żelisławie! — zawołał duch powtórnie — napraw krzywdy, które ja wyrządziłem; tylko wieś dziedziczna jest twoją własnością, reszta należy się synowi Sambora!

Żelisław w trwodze schylił głowę ku ziemi, po chwili gdy oprzytomniał, nie było ani ducha ani też towarzyszy. Zamiast atoli złe naprawić, zwlekał i, słuchając podszeptów swoich przyjaciół, wykonania dobrych zamiarów wogóle zaniechał i całe zdarzenie puścił w niepamięć.

W kilka lat potem polował Żelisław sam w dawnych Sambora dobrach, ścigając zranioną zwierzynę dostał się w jakieś nieznane sobie ustronie puszczy, tak że nie wiedział, gdzie się znajduje. Rozgniewany, że po tylu trudach nietylko że nic nie upolował, lecz jeszcze zabłądził, zawołał: „Pewnie to znów sprawa zbarskiego biesa!“ Po tych słowach dreszcz jakiś wstrząsnął zuchwalcem, obrócił się nieco na prawo i zdrętwiał: przed nim o kilka kroków stał duch ojca.

— Żelisławie! — zawołał groźnie — nie słuchasz mego rozkazu, za rok umrzesz!

Żelisław struchlały padł na twarz, a gdy po długiej chwili powstał z ziemi, widzenia już nie było; począł teraz zupełnie inne wieść życie: najpierw odszukał owego syna Sambora, który gdzieś nad Wisłą otrzymał po wojnie od króla za waleczne czyny wielki obszar ziemi i stał się możnym panem, ojcowizny nie chciał on przyjąć i darował ją kościołowi. Żelisław na miejscu spalonego zamku kazał wystawić kościół św. Michała, sam zaś wiódł życie pokutnicze. Tymczasem zbli-

żał się dzień, w którym miał umrzeć; wtenczas po raz trzeci ukazał się Żeliszławowi duch ojca, jednakże oblicze jego nie było groźne jak poprzednio, lecz pełne dobroci i miłości rodzicielskiej:

— Za trzy dni umrzesz mój synu — odezwał się poważnym głosem. — Ja zaś długie lata jeszcze pokutować muszę za grzechy moje, lecz już więcej na ziemi się nie ukażę. — Po tych słowach zniknął. Żeliszław przygotował się przykładnie na śmierć, trzeciego dnia uczuł wielkie znużenie, usnął snem kamiennym i nie zbudził się już więcej.

Stoi dotąd w Gnieźnie kościół św. Michała, choć to późniejsza budowla, bo pierwotny niszczał, w księgach nosi on nazwę kościoła św. Michała Zbarskiego; stare kroniki wspominają także o ziemi Zbarskiej t. j. okolicy pomiędzy Gnieznem i Trzemesznem.

42. Góra poznańska.

W stolicy Wielkopolski wznosi się na lewym brzegu Warty pagórek, na którym w XIII wieku Przemysław I, chroniąc się przed wylewami rzeki, książęcy zamek założył. W nowszych czasach zrobiono przezeń przekop dla wyprowadzenia nowej ulicy z rynku ku bibliotece Raczyńskich. Wzgórek ten jest pierwotny, lecz wieść gminna daje mu inny początek.

Zaprowadzenie włary chrześcijańskiej przez Mieczysława i Bolesława Chrobrego nie obeszło się bez oporu ze strony pogan i ich bożyszcz. Chcąc zniszczyć nowe kościoły i krzyże przez zalew wód, siły pogańskie otoczyły kopiec bogini Niji pod Gnieznem i przeniosły tę górę z wichrem i szumem aż do Poznania, chcąc ją wrzucić w koryto Warty, by bieg jej wód zatamować i miasto zalać. Dźwigali górę: sromotny Rokita, potwór Smułka, czarny Węglik, psotny Boruta i okropny Widoracki, pierwotnie bożyszcz pogańskie, które w późniejszych podaniach gminnych zamieniły się w czartów.

Gdy przybyli nad Wartę, kur zapiał i cała tłuszcza szatańska, straciwszy swoją moc, upuściła górę wśród miasta czy tuż pod miastem, tłocząc część jego i cofając wstecz rzekę.

Podług Fr. Morawskiego.

43. Bożek gnieźnieński.

Gdy za czasów Mieczysława I światło wiary chrześcijańskiej rozszerzało się na polskiej ziemi, pogańscy kapłani dokładali wszystkich sił, aby się przy dawnem panowaniu utrzymać. Stąd pomiędzy ludem utrzymały się przez wszystkie wieki zabobonne wierzenia w jakieś bożyszcza, które pod wpływem chrześcijaństwa zamieniły się w nieczyste duchy czyli djabyły; tak powstały stare podania ludowe o sławnym Borucie, Rokicie i o djable gnieźnieńskim.

Wszędzie, gdzie nasi przodkowie składali niegdyś w świątyniach i świętych gajach cześć i ofiary jakiemu bóstwu, ostatni wyznawcy wierzeń pogańskich zbierali skarby, aby za ich pomocą bronić pogaństwa. Ze wszystkich skarbów największym był gnieźnieński; wiedział o nim Mieczysław i zanim jeszcze dał się ochrzcić, postanowił zabrać go na potrzeby państwa. Atoli dowiedzieli się o tych zamiarach kapłani i przewieźli nocami łodzią przez jezioro skarb i zakopali dobrze w świętym gaju, a sami z rodzinami ukryli się w sąsiednich lasach, skąd potem bezpiecznie uszli na pogańskie Pomorze. Daremnie przeszukiwali ludzie pilnie każde nieomal miejsce w gaju, kopiąc tu i owdzie, skarbu w żaden sposób znaleźć nie można było.

Niedługo potem w świętym gaju padły wszystkie wielkie drzewa, tak iż pogańskie bożyszcze czyli djabeł podług opowiadań ludu chrześcijańskiego ze swej kryjówki przy skarbie widzieć mogło, jak naprzeciw na drugim brzegu świętego jeziora topiono bałwany pogańskie, jak świątynię przerobiono na kościół i jak obok niego stanęła potem wspaniała katedra. Djabelskim zwyczajem czart raz straszył ludzi, to znów ich hojnie obdarzał, i tak widziała go pewna uboga dziewczyna, jak siedząc przed rozpadliną grzał się na słońcu; w jamie pełno było pieniędzy, z których uprzejmy gospodarz pozwolił przybyłej zabrać sobie pełen fartuch na posag. W krótkim czasie potem dziewczyna wyszła świetnie zamaż.

Pewnemu pastuchowi znów, gdy się przez krzaki przezierał, spadła czapka z głowy i wpadła w jakąś głęboką

szczelinę, pastuch począł szukać długiego pręta, aby dostać zgubę, wtem ujrzał w zaroślach jaskinię, przy której obok otwartych żelaznych wrót siedział czart. Przerażony człowiek chciał uciekać, uprzejmy bies zaprosił go, aby wstąpił do jego siedziby, gdzie też i czapka się znajduje. Jaskinia ciągnęła się gdzieś daleko, lecz nie było tam ciemno, gdyż na sklepieniu stały sładki z pieniędzmi srebrnymi i złotymi oraz z różnemi kosztownościami, na jednym z nich leżała czapka. Djabieł oświadczył grzecznie, że gość może sobie nabrać pieniędzy w czapkę. Pastuch nappełnił szybko czapkę srebrnymi pieniędzmi i uciekał, co mu nóg starczyło.

Gdy się o tem pan jego, bogaty chciwiec, dowiedział, wykpał pastucha zwąc go głupcem, iż zamiast złota brał srebro, potem stając się dlań bardzo uprzejmym, wypytał się dokładnie o miejsce i różne szczegóły zajścia. Przebrawszy się w ubogie odzienie zaszedł na toż miejsce i niby zgubił czapkę w szczelinie. Czart był dlań tak samo uprzejmym jak dla jego sługi, lecz upomniął go jeszcze, aby się nie obracał. Chciwiec znalazł swą czapkę i nabrał w nią samego złota, lecz wychodząc żał mu się zrobiło, że nie wziął jeszcze więcej, będąc już w progu obejrzał się poza siebie, gdy nagle z wielkim łoskotem zawarły się żelazne drzwi i przygniotły mu nogę. Chciwiec zemdłał z bólu i strachu, a gdy po chwili przyszedł do siebie nie widział już ani diabła, ani wrót, ani złota, został kaleką na całe życie, a w dodatku nazywano go kulawym djabłem.

Djabelskie sprawy sprzykrzyły się wreszcie mieszkańcom Gniezna, górę całą pokropiono święconą wodą i wybudowano kościół św. Piotra stojący jeszcze przy mieście. Djabieł przeniósł się dalej wraz z skarbem za folwark Kustodję, gdzie dotąd pomimo włóczęgi po świecie bardzo często zagłada.

44. Boruta.

Dawne podania narodowe szczególnież uwydatniły nam sławnego diabła Borutę. Brzmi jego imię zarówno w tradycji szlachty łęczyckiej, jak u ludu na całym Mazowszu. Główną

jego siedzibą były piwnice starożytnego zamku łęczyckiego, a najwięcej psót robił na gościńcu wśród ogromnych błot, co rozdzielają dawny tum od samej Łęczycy.

Budowla tumu z odległych pochodzi wieków; duże wieże z głazów granitowych wskazują to wyraźnie. Na narożniku lewej widać ślady głębokie pięciu palców. Lud je podaje jako wycisk ręki Boruty, który rozgniewany o to, że w jego dziedzinie wznoszą ludzie kościół, w uniesieniu wściekłym obalić chciał wieżę; ale była niewzruszoną, a Boruta wycisnął tylko na granicie narożnym pięć ogromnych swoich palców. Podanie to wskazuje, że Boruta jest pierwotnie dawnym bożyszczem pogańskim, bo starszy jest od najstarszych świątyń chrześcijańskich.

Chłopkom psoty wyrabiał, wprowadzając ich w błota i topieliska, a kiedy biedny kmieć, często podochocony, narzekał i płakał, nie wiedząc, jak wybrnąć ze swoim konikiem, Boruta śmiał się całą gębą i klaskał w ogromne łapy radośnie. Ale najwięcej lubił igrać ze szlachtą, a jakoś nawyknięciami i fantazją zbratał się głównie ze szlachtą łęczycką, którą sąsiedzi piskorzami zwali. Jeżeli lud dotąd na granicie wieży tumu pokazuje ślad Boruty ręki, jeżeli przypomina małe jego psoty, to szlacheckie podania dokładniej go nam przedstawiają i charakteryzują tak, że zdaje się, jakby to był typ prawdziwy dawnego łęczyckiego piskorza.

U szlachcica Kaliny, o milę od zamku Łęczyckiego brzmi kapela, — wydaje córkę najstarszą za męża.

Cma krewniaków napęłniła całe domostwo. — Już było po ślubie i po oczepinach, — zaczęła kapela brzmieć chmiela,¹⁾ kiedy we drzwiach ukazał się nowy gość niespodziewany. Ubrany był w karmazynowy żupan, pas złotolity, czapka na głowie rogatywka z siwym barankiem, na rzemyku szabla, rękawice czarne, buty z wywijaną cholewą i ogromnymi ostrogami. Jak stanął we drzwiach całe zawalił, kiwnął głową nie zdejmując czapki i szedł dalej i na ławie usiadł.

Kapela grać przestała, pieśni chmielowa weselnikom na

¹⁾ Pieśń weselna.

ustach skonała, niewiasty przerażone tuliły się do kąta. Gospodarz ujrzał na wszystkich twarzach pomieszanie, zbliżył się do nieznajomego i rzekł:

— Panie bracie, zawsze możecie jeść chleb u mnie z solą, byle z dobrą wolą, ale na teraz nie prosiłem waszeczki, więc proszę! — i wskazał na drzwi.

Nieznajomy pokręcił głową na znak, że nie wyjdzie i wybąknął od niechcenia „pić“.

Pan Kalina kazał podać gąsior z miodem i czarę, ale nieznajomy czarę rzucił na ziemię, przytknął gąsior i wypił do kropli. Szlachta Łęczycka klaszcze z radości, wołając: — To nasz brat, nasz brat!“

Nieznajomy uśmiechnął się wesoło, pokręcił wasy w górę i aż za uszy założył, a beczkę miodu widząc, porwał, postawił ją na stole, czop wyrzucił, rozdziawił paszczę, łykając strumień napoju; wkrótce uniósł beczkę, potem dobrze przechylił, aż wkońcu wytrąbił wszystko. Wtedy połową wasa otarłszy z piany usta i brodę, krzyknął:

— Kapela! chmiela — i porwał za rękę pannę młodą. Wrzasła przestraszona, a gdy ją ciągnie nie zważając nieznajomy na jej przestrach, staje w obronie pan młody i wzywa zuchwalca na szablę.

Nieznajomy ociągał się powoli, ale gdy mu nowożeniec wyciął silny policzek, że zaledwie przytrzymał czapki, a od drugich na karku poczuł silne razy, zawołał:

— Po jednemu — po jednemu! — i wyszedł na podwórze.

Zawyły psy, jakby wilka poczuły, szlachta wybiegła za nim, żeby nie uciekł; zapalono łuczywa, wyniesiono świece, zajaśniał podwórzec jak w południe.

Nieznajomy dobył szabli, spojrzał iskrzącym wzrokiem, gdy pan młody krzyż na ziemi swoim kordem znaczył. Aż się skry sypnęły za złożeniem szabli, nieznajomy dobrze się bronił, ale pan młody zręczniejszy, a widząc, że mu nie podoła, przerzucił z prawej kord w lewą rękę, czem odurzony przeciwnik nie dostrzegł cięcia i oberwał potężnie po rękę. Obciął mu dwa palce, spadła rękawica, nieznajomy wypuścił z zakrwawionej dłoni szablę, aż tu kur pieje. Stęknął ranny, podskoczył

i znikł z koła otaczającej go szlachty, zostawiając na ziemi pas złotolity, rękawicę zbroszoną i szablę. Gdzie stał, zakipiało trochę smoły, a gryzący zapach siarki uderzył we wszystkie nosy. Pan Kalina podnosi pas, porywa rękawicę, trząsa, wypadają dwa wielkie pazury z kawałkiem palców. Pan młody patrzy na szablę, to pogańska, nie masz znaku krzyża, tylko księżyc turecki! I wołają wszyscy: — „Boruta, to Boruta!“ —

W ciemnej piwnicy łęczyckiego zamku przy rozpalonej drzazdze smolnej, siedzi wąsaty szlachcic w karmazynowym żupanie, bez pasa i szabli, czapka rogatywka ale z pociętem suknem. Leży na dwóch próżnych beczkach, liże rękę okaleczoną z trzema potężnymi pazurami, bo dwóch braknie, i tak prawi do siebie:

— Nie wyjdę więcej na świat; rano dobrze było, kiedym się wygrzał na słońcu, ale wieczór, — cóż zyskałem z tą przeklętą szlachtą, co klaskała, jakem pił, a potem wyzwała na rękę? Myślałem, że im przecież podołam, aleć oni lepiej szablą robią jak djabeł. Zgubiłem pas i szablę, dwa pazury, pocięli mi czapkę, skaleczyli rękę, a co najgorsza, poznali, że Borutę obcięli.

I kręcił ze złości wąsy, darł brodę, a lizał rękę ranioną. Odtąd już więcej z piwnicy nie wyszedł łęczycki djabeł.

45. Ostatni figiel Boruty.

Było to za rządu pruskiego po trzecim rozbiorze. Łęczycę fortyfikowano; tysiące okolicznych chłopków codziennie pędzono do kopania szaniców i sypania wałów; siły ustawały, sprzężaj się niszczył, a kmiotki gorzko utyskiwali, nie szczędząc niemieckim przybyszom szczerych życzeń, aby się Boruta z nimi popieścił.

Wieczorem powracali do wiosek, poza błotami położonych, a Boruta przedzierzgając się to w kozła wskazującego na wóz, to w bernardyna proszącego o przewiezienie przez kałużę, to w dzikiego niby postrzelonego kaczora, który zrywając się i zapadając co kilka kroków, wabił za sobą w chrapy, to przybierając liczne inne postacie, co wieczór... tego w błocie zanurzał, tamtemu konia zatopił, innego całą noc po topie-

lach wodził, dopóki chłopek, spostrzegłszy zdradę błesa, nie odegnał go znakiem krzyża świętego, przed którym opętaniec jak oparzony uciekał, napełniając echem głośnego śmiechu odległe chrapy i trzęsawiska.

Nazajutrz przy dalszej pracy w szańcach i na wałach, opowiadano sobie one przygody, których rzadko kto nie doznał.

Był wszakże Stach, parobek z Topoli, kościelnej wsi po tamtej stronie błot względem Łęczycy o pół mili położonej, zawsze trzeźwy, znający dokładnie wszystkie twardsze drożyny na błotach i umiejący rozpoznawać je nawet w noc ciemną; ten nie miał jeszcze żadnego spotkania z Borutą, bo też zwykle, jadąc przez błota, odmawiał sobie półgłosem: „Pod Twoją obronę...”

Pewnego wieczora, zapóźniwszy się nieco i marząc o wczorajszej hulance na weselu brata, jakoś zamiast nabożnej pieśni, nucił chmiela, popędzając strudzone koniki...

Wtem nagle chrapnąwszy, szkapy uskokczyły w bok, i w jednej chwili Stach, wywinąwszy kozła w powietrzu, upadł na drózkę, a konie grzęzną i szarpią się w ubocznym bagnisku.

Zrywa się Stach, chce chwycić wypadłe z rąk lejce, a wtem tuż obok siebie słyszy przeciągłe: he — he — he — he!

Wzdrygnął się, bo — oczywiście śmiech to Boruty. — Jakoż, o dziwo: przy jasnem świetle księżyca, który błyszczał jak rybie oko, obok kępy trzcinowej, tuż przy drodze, widzi czarny od stóp do głowy potwór, z wywiędłą, żółtawą twarzą; w szerokich ustach, z których wystaje kilka dwucalowych zębów, trzyma krótką fajeczkę; na głowie zamiast czapki, duży nietoperz; ubrany był w aksamitny kaftan z wielkimi białymi guzami, w takież majtki, u kolan białymi sprzączkami spięte; cieniutkie komarze nóżki odziane miał w czarne, jedwabne pończochy i pantofle zdobne białymi sprzączkami; na koniec już nie jeden, jak zwykle u biesów, ale dwa ogony; jeden jastrzębi spadał od stanu kaftana, drugi jakby bawoli, wychodząc z pod pirożystego kapelusza, na plecach się wałęsał.

— W Imię Ojca i Syna!... Czy to bies Boruta? — krzyknął Stach, czerpnąwszy odwagi w znaku krzyża świętego. — Ja, ja! — usłyszał odpowiedź.

Tak wyraźne przyznanie, żadnej nie pozostawiało wątpliwości. Chwyta więc Stach za kłonicę z przewróconego woza i silnem uderzeniem w czerep biesa, powala go w błoto, które prysnęło na wszystkie strony.

Wrzasnęło spłoszone dzikie ptactwo, czarny nietoperz wyskoczył do góry, pogoniły za nim małe nietoperze i upadł opodal.

Po tem zwycięstwie, mówiąc: „Pod Twoją obronę...” odrzął Stach splątane konie, ułatwił im wydobyć się z błota, podniósł przewrócony wóz, założył znowu konie i nie oglądając się, podążył do Topoli.

W oknach karczmy jasno, mijają się tancerze, bo u Mazurów wesele trzy dni trwać zwykło. Nieobecność Stacha starszego drużby zwróciła uwagę; gdy się więc we drzwiach ukazał, sypnęły się nań wymówki i zapytania o powód tak późnego przybycia.

— Miałem ci ja taniec — odrzecz Stach — na błotach z Borutą; alem z niego przecie, dzięki Matce Najświętszej, nie tylko sam cało wyszedł, lecz jeszcze i tego przekłętego biesa na wieki uśmiercił.

— Co ty znowu bajesz? Biesas uśmiercił? Alboż to taka łatwa z nim sprawa? A ileż to on już szlachty, choć zbrojnej, w bagnach natopił? Cóż ty mogłeś z nim począć? Możesz mu biczem łeb uciąć jak wróblowi na konopiach? Oj, zuchujesz, boś go jeszcze nie spotkał.

— A ja wam zaręczam, że Borutę tak kłonicą w łeb ucęstowałem, że już nikogo kusić nie będzie. Leży tam pod trzcina, łeb ugrzązł w chrapie, a jeno indyczy ogon i nogi na wierzchu zostały.

Tu Stach opowiedział dokładnie całą przygodę. Jedni niedowierzali, a inni twierdzili, że chociażby i w kawałki biesi czerep się rozleciał, to się napowrót zrośnie, bies ożyje i jeszcze bardziej będzie dopiekał. Ten argument trafił do przekonania wszystkich, a nawet Stach zdawał się nim być bardzo zakłopotany. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali dnia, aby udając się znowu do robót szańcowych mogli się naocznie o stanie rzeczy przekonać.

Nazajutrz prawie cała wieś wybrała się ku Łęczycy, odważniejsi na czele, a między nimi Stach. Serce mu biło z obawy, czy tylko djabeł nie ożył. Prowadzi gromadę krętymi drózkami, wymijając trzęsawiska i topiele. Każdy po cichu odmawia pacierze. Nagle cofając się krzyknął Kuba:

„Jezus! Marja! Józef!“

Wszyscy jak fala cofnęli się kilka kroków, nie jednak nie widząc. Po chwili, gdy żadne niebezpieczeństwo nie groziło, pytają się Kuby, czy co widzi. Ten wskazał tylko szpadlem, który trzymał w ręku, na krzak rokiciny. Wzdrygnęli się wszyscy, dostrzegłszy w pośród gałęzi czarne jakieś skrzydlate straszidło. Obchodzą krzak zdaleka i Stacho poznał nietoperza, który za kapelusz Borucie służył; jedno tylko skrzydło, zapewne kłonicą przetrącone, wisiało obok na małej żyłce. Z kierunku, w którym wczoraj wyskoczył ów nietoperz, wniósł Stach, że i sam Boruta za kępą trzciny, którą przed sobą widzieli, leżeć musi. Stach wszedł na spory pień suchej wierzby i wpatrzywszy się: — „Nie ożył, leży!“ — zawołał z radością, chociaż nie bez pewnej obawy. Zatrzymała się znowu gromada, wchodząc kolejno na pień, z którego Stach pokazywał im wystające z bagna lśniącej czarności diable nogi i ptasi ogon. Uradowani, że Boruta nie daje żadnych znaków życia i winszując Stachowi tak świetnego czynu, poszli dalej ku Łęczycy, zawsze jednak omijając zdaleka potępieńca i ciągle oglądając się z obawy, czy się nie zataił, aby niespodzianie na wszystkich zemstę swoją wyrzucić.

Przy pracy w szanicach, właśnie gdy wieść o walecznym czynie Stacha i wyzwoleniu okolicy od Boruty obiegała dookoła, dozorczy przy pomocy tłumaczy wypytywali się chłopków, czy spotkali gdzie w przeprawie przez błota pana Regierungsrata, który wyszedłszy wczoraj po południu w celu rozpoznania miejscowości, dla zaprojektowania rowów i budowy grobli, zapewne gdzie ugrzązł, gdyż dotąd nie wrócił i przez służbę nie został wynaleziony. Naturalnie wszyscy opowiadali, że poszukiwanej osoby nie widzieli, a niektórzy dodali, że jeżeli tego pana spotkał Boruta, nim zginął z ręki

Stacha, to niezawodnie ten bies przyprawił go o jakie nieszczęście.

Wzmianka o Borucie, o zabiciu go wczoraj przez Stacha, dała powód do dalszych pytań z jednej, a objaśnień z drugiej strony. Posłano służbę z kilku chłopkami, którzy z pnia wierzbowego zabitego Borutę widzieli na błotach, a tymczasem Stach, nie wiedząc o tem, ściśle był strzeżonym. W godzinę wrócił jeden z wysłanych służących, mówił coś po niemiecku z oficerem kierującym robotami, i zaraz potem wśród zdziwienia i oburzenia wieśniaków, Stach zaprowadzony został pod strażą do więzienia w zarzucie morderstwa dokonanego na osobie Regierungsrata.

Na szczęście nie oddano go pod sąd wojenny, ale pod kryminalno-cywilny; słuchano więc protokularnie pod przysięgą i konfrontowano licznych świadków; baśni o Borucie studjowano wszechstronnie i osiągnięto to przekonanie, że o istnieniu Boruty, o mieszkaniu jego w podziemiach zamku Łęczyckiego, o jego licznych psotach, jakie w okolicy, a szczególnie na błotach płatał, o przybraniu przez niego różnych postaci lud najmocniej i w dobrej wierze był przekonany; wreszcie że postępowanie Stacha było zawsze moralne i bogobojne. Te wszystkie powody i okoliczności zważywszy prześwietny łęczycki sąd kryminalny wyrokiem swym, który w aktach z owej epoki dotąd podobno się znajduje, wyrzekł, że Stacha w zarzucie rozmyślnego morderstwa na osobie łęczyckiego Regierungsrata niewinnym uznaje i że tegoż Stacha za zabójstwo bez złego zamiaru i przy wszelkich okolicznościach winę łagodzących na karę kilkutygodniowego aresztu skazuje.

Następnie publicznem ogłoszeniem lud pouczano, że osoby w stroju czarnym, w aksamitnych z jasnymi guzami kaftanach, również aksamitnych do kolan majtkach i t. d. nie są bynajmniej djabłami, Borutami, lecz urzędnikami, dla których zaleca się wszelki szacunek i poważanie.

Miało jednak sądownictwo pruskie tę wadę, że postępowanie i obrona nie były publiczne, więc lud pozostał w przekonaniu, że urzędnik przecież nie mógł być kubek w kubek podobnym do Boruty, że urzędnika mógł istotnie Boruta udu-

sić, a zaś Stach niezawodnie Borutę uśmiercił. I od tej epoki, w której właśnie błota osuszać i groble robić poczęto, bies ten nigdy już się nie zjawia.

46. Rokita.

W podaniach ludu okolic Rzeszowa djabeł Rokita uwiecznił swoje imię. Zapragnął on niegdyś poznać się ze sławnym Borutą i przyleciał do Łęczycy. Boruta ze szczerą gościnnością przyjął niespodziewanego gościa; ale ponieważ „piskorze“ jego, jak nazywał szlachtę łęczycką, wypili wszystko wino i piwo, zaprosił go do Piotrkowa, gdzie właśnie odbywał się trybunał, a pełne były piwnice wybornego węgrzyna. Wpędce zajechali do Piotrkowa, a podjadłszy i podpiwszy sobie, poszli na posiedzenie trybunalskie, gdzie właśnie wyrokować miano w sprawie biednej wdowy, której nieludzki starosta, stryj męża, zagarnął folwarczek; potrzeba było świadka, coby zaprzysiągł, że był obecnym, jak za ten folwarczek nieboszczyk odebrał zapłatę.

Boruta wysłuchał, jak w pobliżu stryj starosta dla wydarcia biednej kawałka ziemi, przekupywał szlachcica na świadka i za fałszywą przysięgę mu sto czerwonych złotych pod oknem sali sądowej zaliczył. Boruta kilka słów szepnął na ucho Rokicie, gdy ów przekupiony szlachcic wysunąwszy się przed kratki zawołał: „Ja, najjaśniejszy trybunale, byłem obecny przy zapłacie i deferuję przysięgę“.

Biedna wdowa padła wtedy na kolana i wyjąkała z płaczem: „O Jezu Chryste i ty Matko Opiekunko sierót, zlituj się nademną i dziećmi moimi“.

Sąd szlachcica przywołał do złożenia przysięgi. Wtem straszny głos zabrzmiał: „Kłamca to i chce krzywoprzysięgać!“ — Był to głos Boruty.

Szlachcic, co podnosił już rękę do przysięgi, zbladł i począł trząść się jak w febrze, ale wkrótce oprzytomniał i zawołał odważnie: „Przysięgam“. Lecz dalej nie domówił, bo Rokita przeskoczywszy kratki porwał go, przycisnął do piersi, postawił na miejscu, a sam z Borutą szybko wyniósł się z sali trybunalskiej. Szlachcic stał przed krucyfiksem, ale już słowa

wyrzec nie mógł. „Przysięgasz Waszeć?“ — zapytał sędzia. Szlachcic chciał znowu coś przemówić, ale z ust otwartych buchnął krwi strumień na zielone sukno stołu. Sędziowie przerażeni porwali się z krzeseł, przerwano sądy, a szlachcica omdlałego wyniesiono na rynek.

Tu znaleziono ścisk narodu wielki, w pośrodku siedzieli Boruta i Rokita. Cały trybunał otoczył ich wieńcem, słuchając, jak grzmiącym głosem mówił Boruta: „Sięgnijcie do kieszeni omdlałego szlachcica, ma on to złoto w zielonej sakwie“. Stojący bliżej wydobyli sakwę zieloną; było w niej sto dukatów. — „To nie dowód żaden“ — odezwał się stronnik starosty — „szlachcic miał swoje pieniądze“. — „Kiedy tak“, krzyknął gniewny Boruta — „to, ty mój druchu daj świadectwo prawdzie“. I wskazał na Rokitę. Ten z za pazuchy dobywszy kawał czerwonego i skrwawionego mięsa, zawołał: — „Oto jest język, com go własną ręką wyrwał, niech przemówi!“ — To wyrzekłszy, rzucił go na środek gościńca, a język, podskakując jak żaba, wykrzyknął po trzykroć: Skłamałem, skłamałem! chciałem krzywoprzysiąc.

Cały tłum na to zjawisko skamieniał. Boruta wtedy przemówił: „Tego łotra starostę ja sam ukarzę, a wy panowie ukarżcie krzywoprzysięzcę. Już dwanaście razy fałszywie przysięgał; taka niecnota i samych djabłów zniecierpliwili. Niedarmo to na waszą hańbę mówią: „piotrkowski świadek za łyżkę barszczu“. — „Prawda, prawda!“ — zawołali wszyscy, gdy w tej chwili Boruta porwał starostę — i wraz z Rokitą zniknął z przed oczu patrzących.

Język krzywoprzysięzcy, pokropiony święconą wodą w proch się rozsypał, a ów szlachcic odzyskał mowę, ale tylko do modlitwy. W parę lat dopiero później znaleziono ciało nieuczciwego starosty w piwnicy zamku łęczyckiego.

47. Trybunał lubelski.

Prawowała się jednego razu uboga wdowa z bogaczem, który jej niesłusznym sposobem wydarł był cały majątek. Że wdowie stała się krzywda, o tem sędziowie wiedzieli, ale bogacz sypnął złotem i sprawę wygrał. Gdy ten wyrok trybu-

nału publicznie ogłoszono w izbie sądowej, biedna kobieta zrazu nie chciała wierzyć własnym uszom, a gdy jej jeszcze raz powtórzono, że sprawę przegrała, uniesiona gniewem i boleścią, na głos wyrzekła te słowa: „Żeby mnie diabli byli sądzili, sprawiedliwszy wydaliby wyrok“.

Sroga to była dla sędziów obraza i według prawa mogliby biedną kobietę surowo za to ukarać; ale mając sumienie nieczyste, udali, że nie słyszeli obelgi i czempředzej odeszli do domów. Zostali na miejscu tylko pisarze sądowi.

Wtem na ulicy słyhać straszny hałas, zajeżdża mnóstwo karet przed trybunał i wysiadają jacyś panowie dziwnie wystrojeni, bo to niby w paradnych sukniach, jakie były w owych czasach w używaniu, a z różkami i długimi ogonami, które im wystawały z pod kapeluszy i sukien. A wszyscy wałą po schodach na górę, do izby sądowej. Przyszedłszy tam, zajmują sędziowskie krzesła i rozpierają się w nich. Pisarze potruchleli ze strachu.

Wtem djabeł siedzący na pierwszym miejscu, wprowadził sprawę biednej wdowy. Natychmiast wystąpiło dwóch szatanów nibyto adwokatów; jeden obstawał za wdową, drugi za bogaczem, a wszyscy inni, w krzesłach siedzący, słuchali z wielką powagą. Skoro obydwaj skończyli, poczęła się reszta między sobą naradzać. Nakoniec prezydujący przywołał jednego z prawdziwych pisarzów, kazał mu usiąść za stołem i wziąć pióro do ręki. Biedny człowieczyna dygocąc na całym ciecie i prawie na wpół umarły z bojaźni, ledwo się przywłókł do stołu. Usiadłszy na wskazanem miejscu, zaczął pisać wyrok słowo po słowie, jak mu djabeł dyktował. I pokazało się z tego wyroku, że nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa miała słuszość! Wtedy to wiszący na ścianie ukrzyżowany Pan Jezus, widząc, że czarci okazali się sprawiedliwszymi niż sędziowie trybunału, ze zgrozy twarz zasmuconą odwrócił. Gdy wyrok sędziowie podpisali, złożyli go na stole sądowym, potem w jednej chwili zniknęli.

Pisarze, którzy na to zdarzenie własnymi oczyma patrzeli, ochłonawszy nieco z przestachu, uciekli z sali i po całym mieście opowiadali, co się stało. Dopiero nazajutrz, gdy sę-

dziowie zebrali się w trybunale, ujrzeni na stole ów wyrok szatański oraz na ścianie Chrystusa z odwróconą twarzą.

Krzyż ten do dziś dnia w jednej z sal dawnego trybunału pokazują.

Znamienne są te podania o szatanie, który pomimo wielu szkód i psót wyrządzanych ludności, ujmuje się także za pokrzywdzonymi i gromi niesprawiedliwych. Uwidoczniają się tu stare przekonania i wierzenia z czasów pogańskich: bożkowie, przeistoczywszy się w fantazji ludu pod wpływem nauki chrześcijańskiej w nieczyste duchy piekielne mszczą się za opuszczenie na wyznawcach nowej wiary, użyczając im także wyjątkowo swej opieki. Borutę znał przecie lud, jeszcze nim zbudowano prastary tum łeczycki, gdyż właśnie przeciwko tej budowli zawrzał jego gniew szatański, atoli napróżno wysilał się, aby zburzyć pierwszą świątynię chrześcijańską.

48. Twardowski.

Za panowania Zygmunta Augusta przy końcu XVI wieku żył sprytny i uczony kuglarz Twardowski, który w całej Polsce ówczesnej, mianowicie na Kujawach zasłynął wśród ludu jako czarnoksiężnik. Oto co podanie o nim głosi:

Twardowski chciał przewyższyć rozumem innych ludzi i znaleźć na śmierć lekarstwo; skoro więc wyczytał w starej księdze, jak djabła przywołać można, udał się na Łysą Górę o północy i wymówił tajemnicze zaklęcie. Bies stanął na wezwanie, i wnet umowę zawarto, a Twardowski własną krwią cyrograf podpisał i duszę djabłu zaprzedał. Między wielu warunkami był jednakże i ten, że diabeł dopóty do Twardowskiego nie będzie miał żadnego prawa, dopóki czarnoksiężnika w Rzymie nie uchwyci. Korzystając z drogo nabytej władzy, Twardowski rozkazał djabłu, by srebro z całej Polski zniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Tem miejscem był Olkusz. Posłuszny sługa spełnił rozkaz otrzymany, i z tego początek wzięły sławne kopalnie srebra w Olkusz.

Innym razem żądał by diabeł przyniósł do Pieskowej Skały głaz wysoki, przewrócił nadół ciasnym końcem i tak ustawił, by mocno trwał na wieki. I to żądanie spełnionem

zostało. Skała Sokola po dziś dzień stoi. Wszystko, czego zapragnął Twardowski, miał na zawołanie, jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, a złota miał zawsze by piasku. Sprzykrzyła się wreszcie złemu duchowi uciążliwa służba, umyślił więc zażyć fortelu i przybrawszy postać dworzanina, prosił Twardowskiego, jako biegłego lekarza, do swojego chorego pana. Uwierzył Twardowski posłańcowi, udał się wraz z nim do pobliskiej wioski, nie wiedząc, że gospoda w niej Rzym się nazywa. Ale zaledwie próg przestąpił, mnóstwo kruków, sów, puszczyków obsiadło dach gospody, kracząc i hukając przeraźliwie. Twardowski od razu poznał, co się święci, a że ucieczka była niemożliwą, obejrzał się, czy nie ma gdzie środka ratunku. Wtem dojrzał w kołysce śpiące dziecko, przed godziną zaledwie ochrzczone — chwycił je więc na ręce i do piersi przytulił. A tu djabeł wpadł do izby i zawołał:

A, Twardowski, witam bracie!
To mówiąc bieży obcasem,
Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofeilesem!

Miały słuchać twego rymu:
Ty jak dwa lata przebiega,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

Wszakżeś ze mną na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy,
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty i bisy

Już i siedm lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy,
Ty czasami dręczysz piekło
Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta choć leniwa
Nagnała cię w nasze sieci,
Ta karczma Rzym się nazywa;
Kładę arest na waszeci!

I już miał porwać Twardowskiego; gdy spostrzegł na jego ręku dziecko, do którego nie miał prawa. Stropił się djabeł ogromnie, gdy

Twardowski ku drzwiom się kwapił,
Na takie dictum acerbum
Djabeł za kołnierz go ułapił,
A gdzież jest nobile verbum?

Ha trudna rada, Twardowski nie mógł złamać szlacheckiego słowa, złożył więc w kołyskę dziecko i wraz z djabełem wyleciał kominem. Lecą wyżej, coraz wyżej; wtem Twardowski przypomniał sobie kantyczki w młodości śpiewane na

część Marji Panny. Żal ścisnął mu serce i zanucił pieśń pobożną — aliści gdy ją skończył, czuje, że zawisł w miejscu, że nie leci w górę — patrzy — czarny towarzysz zniknął bez śladu, głos jeno mocny słyszy nad sobą: „Zostaniesz tak do dna sądnego zawieszony“. Stąd powstało przysłowie: „Ratuj się jak Twardowski kantyczką“.

49. Król wron.

Starożytny ratusz poznański, stanowiący prawdziwą ozdobę stolicy wielkopolskiej, od najdawniejszych czasów zajmował w wyobraźni ludu wybitne miejsce. Dowodzi tego najlepiej podanie o królu wron. — Mieszkał niegdyś w ratuszu stróż z młodym synem Henrykiem, który długie chwile najmilej spędzał na najwyższem piętrze wspaniałej wieży ratuszowej. Gdy pewnego razu zamyślony spoglądał z tej wysokości w niezmierzoną dal, nagle spadła przed nim mocno okrwawiona wrona. Henryk zajął się biednym ptakiem, obmył mu rany i pielęgnował go troskliwie; wkrótce też wrona wyleczyła się z ran i odwdzięczała się wielkiem przywiązaniem do swego pana. Atoli gdy wybrał się z nią na ulubione miejsce, na balkon wieży ratuszowej, znikła mu nagle z przed oczu, a przed nim stanął mały człowieczek w czerwonym płaszczu, ze złotą koroną na głowie. „Nie lękaj się“, rzekł do niego mały człowiek, „ja jestem królem wron; uratowałeś mi życie, wyleczyłeś mnie z ran, przyjmij za to tę oto trąbkę, a skoro będziesz kiedy w wielkiej potrzebie, zatrąb na niej z każdego rogu tego balkonu“. To mówiąc, wręczył mu małą srebrną trąbkę i, przemieniwszy się w wronę, uleciał w powietrze. Długo tęsknił Henryk za ulubionym ptakiem; dużo lat upłynęło od tego zdarzenia, — gdy Poznań oblegli liczni nieprzyjaciele. Henryk walczył mężnie w obronie rodzinnego miasta, lecz wszelkie wysilenia pozostały bez skutku, położenie stało się rozpaczliwe... Wtem przypomniała mu się mała trąbka; natychmiast pobiegł na wieżę ratuszową i zatrąbił na niej z każdego rogu jej balkonu. W tej chwili zjawiło się niezliczone mnóstwo wron, ukazał mu się mały człowiek w czerwonym płaszczu ze złotą koroną i dotknął się jego oczu tak,

iż pomimo ciemnej nocy mógł wszystko widzieć dokładnie. Setki tysięcy wron rzuciły się na nieprzyjaciół, wydziobując im oczy. Strach wielki powstał między nimi, myśleli, że czart z piekielnymi siłami na nich naciera, rzucili broń i uciekli w po-
płochu, ścigani do ostatka przez straszliwe ptaki. — Na pa-
miątkę tego ocalenia trąbiono odtąd regularnie ze wszystkich
rogów balkonu wieży ratuszowej, a zwyczaj ten przetrwał do
naszych czasów. Trąbka atoli przepadła, gdyż Henryk na wi-
dok wron w owej pamiętnej nocy tak się przeląkł, że trąbka
z ręk mu wypadła i już jej pomimo wszelkich poszukiwań
nie znaleziono.

50. Dziwożony.

Strzeżcie się, o matki!
Tulcie wasze dziatki;
Pod okienkiem mara
O zdobycz się stara;
Czapeczka czerwona,
Kira rozpuszczona —
Ach! to Dziwo-żona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa,
Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziecię
I zniknie zdradziecko —
O matko, strzeż dziecko —
Czycha Dziwo-żona.

Niebogo! sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Ślodyczkę jeść dadzą;
Dla twego serduszka
Za družkę, za družka
Będą Dziwo-żony.

Góralko nadobna!
Nie biegaj z osobna
W zarosłej ustroni,
Strach stracha tam goni;
Czapeczka czerwona,
Kira rozpuszczona —
Ach! to Dziwo-żona!

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr pierzchliwa,
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zanieś;
Bez Tatrów, bez słońca
Zostaniesz do końca,
Jako Dziwo-żona.

Dziewczę biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale — pieczary;
Jak krywań wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś Dziwo-żona.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat Dziwo-żon nawiedzić mogą;
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą;
Wszystkie tam wody płyną kryształem;
Każda kropelka spada perełką;

*) Mają to być istoty brzydkie i złośliwe, żyjące w Tatrach.

Mosty ze złota w państwie ich całę,
A z diamentu każde światelko. —
Wielkie pod niebo są nasze skaly;
Perłami rosy toczą się nasze
Jasne potoki, jako kryształ —
A jak noc świeże bory i pasze.
Bo u Dziwo-żon nasz się kraj kluje,
Bo u nich każdy zdrój się poczyňa,
Bo je wypieszcza, bo im wartuje
Dzika, podziemna, tych hał rodzina.

Seweryn Gorczyński.

51. Lech, Czech, Rus i Welinda.

Około VI wieku, jak niesie podanie, w Karyntji, teraźniejszej prowincji austriackiej, szeroko i długo ciągnął się las Strachinja; znajdowały się w nim trzy wzgórza nieopodal jedno od drugiego — na każdym wzgórzu wznosił się zamek obronny, a w zamkach mieszkali trzech bracia rodzeni: Lech, Czech i Rus. Jasnowłosa Welinda, jedyna, ukochana ich siostra, wesola i swobodna jak ptaszę, śpiewem swoim rozjaśniała ponure mury zamczysk; każdy z braci rad ją miał u siebie. Razu jednego Niemcy wtargnęli do kraju; bracia gotowali się na bój, bo Niemiec srogim był wrogiem Słowian — pozawierali ciężkie wrzeczadze, a gdy nadciągnęły szeregi germańskie, dzielnie bronili się z poza murów, i niejedną wycieczką dobrze nadszarpnęli siły nieprzyjaciół. Niemcy, nie mogąc nic poradzić siłą, udali się, jak zwykle, do podstępu. Zdaje się, że Welinda potajemnie była już chrześcijanką, a że przyjęła wiarę z rąk zaborców, rozumiała ją też na ich sposób. Dała się przekonać, że wybawi od wiecznego potępienia dusze braci, jeżeli bramy Niemcom otworzy, gdyż oni przybyli tu jedynie w celu nawrócenia pogan do wiary chrześcijańskiej. W nocy, gdy wszystko się uciszyło, zeszła dziewczica i odsunęła zapory. Niemcy gwałtownie tłoczyć się zaczęli. Zbudzeni bracia, stanęli na czele swych wojowników. Krwawy zacięty bój trwał do rana. Najeźdźnicy zostali wyparci — tylko ich trupy zawałyły dziedzińce zamkowe. Pochowawszy poległych, kniaziowie zasiedli na sąd pod dębem rozłożystym. Silne podejrzenie padało na Welindę, widziano ją bowiem, jak w oddalonym zakątku sadu

często rozmawiała z nieznany jakimś dziadem. Pewnie to był Niemiec przebrany. Przyznała się do winy. — Zakrwa-
wiło się serce braci — nie mogli jej jednak przebaczyć. We-
dług praw krajowych, zdrajczynię czekała śmierć, śmierć
okropna, powolna, głodowa!... Starsi zawiedli nieszczęśliwą
do lochu podziemnego — na stole drewnianym postawili na-
pełnioną olejem lampkę, dzbanek z wodą, położyli bochenek
chleba — i wyszli. Zaskrzypiały zapory, i zawarły się nad nią,
jak wieko trumny...

Dla trzech braci pobyt w tej ukochanej niedawno siedzibie,
stał się teraz nieznośnym. Zebrali swoje drużyny i wyruszyli
z miejsca, gdzie przebyli dziecinne swoje lata. Czech zdobył
sobie krainę, zwaną Bohemią, czyli ziemią bogów (bohaterów),
która podobno od niego nazwisko Czech przybrała; Rus po-
sunął się najdalej ku wschodowi i objął władzę nad plemio-
nami, które złożyły później dzisiejsze państwo rosyjskie.
Liczne były te plemiona, a nazwę swą przybierały jużto od
miejscowości, jak: Polanie, mieszkańcy równin nad Dnieprem
w okolicy Kijowa, Drewlanie, od miejsc lesistych nad Pry-
pecią — już to od miast głównych, jak Nowogrodzianie nad
jeziorem Ilmen, Połoczanie nad Dźwiną, Łuczanie około Łucka,
Krywiczanie około Smoleńska, Siewierzanie, Wiatyczanie
i Radymiczanie za Dnieprem. Lech osiadł w okolicy Gniezna,
miał założyć to miasto, i został władcą plemion rozłożonych
ponad Wisłą i Wartą; znaczniejsze z nich były: Polanie czyli
Lehici, Kujawianie, Mazury czyli Mazowszanie i Łęczycanie
ponad Bzurą.

52. Lehici.

Krakus. Wanda. Popiel Chwostek.

W późniejszych podaniach o Lechitach spotykamy Kraka
czyli Krakusa (VIII wiek po Chr.) Dzielnym to był bohater; po-
śród Białochrobatów, w uroczej okolicy Tatrzańskiej, za-
łożył sobie stolicę i nazwał ją od imienia swego Krakowem.
Lud kochał go bardzo, a gdy umarł, dla okazania czci swojej
dla ulubionego niegdyś władcy, usypał mu wysoką mogiłę pod
Krakowem, znosząc ziemię w rękach i w rękawach. Dotąd

jeszcze pamiątka tego czynu przechowała się w tamtej okolicy w uroczystości ludowej, zwanej Rękawkami. Krak miał dwóch synów: Krakusa i Lecha. Krakus zwyciężył smoka, przebywającego w jaskini pod Krakowem, a jako starszy i przez lud ukochany, miał objąć tron po ojcu, lecz młodszy, Lech, przez zazdrość zabił go potajemnie na polowaniu. Zbrodnia wykryła się wkrótce, i morderca został haniebnie z kraju wygnany, a koronę oddano siostrze jego, Wandzie, słynnej z piękności i niepospolitego rozumu. Książę jeden niemiecki, Rytygier, pragnął ją za żonę, ale Wanda nie chciała narodu swego oddać w moc cudzoziemca. — Rytygier wypowiedział jej wojnę. Dziewica, bolejąc nad losem ludu, ślubowała bogom, że poświęci się im na ofiarę, jeżeli zwycięży nieprzyjaciela. Zwyciężyła, i dotrzymując ślubu, rzuciła się w nurty Wisły. Lud wydobył jej zwłoki, i usypał jej mogiłę obok mogiły ojca. Pamięć szlachetnej dziewczicy przechowała się dotąd w poetycznem podaniu ludowem: biała i smutna, z rozpuszczonym jasnym włosem, pilnuje biegu Wisły, siedząc przy jej źródłach.

Wspominają o kilku jeszcze księżętach bajecznych; ostatnim z nich był Popiel II, zwany szyderczo Chwostkiem, na którym już widocznie odbija się wpływ germanizmu. Powstał naród, oburzony jego okrucieństwami, zamordował go, i wytępił całą jego rodzinę. Stąd bajka o myszach, którą się często zresztą spotyka w późniejszym nawet czasie.

53. Piastowie.

Ziemowit, Leszek. Ziemomysł (913).

Przywódca powstania, Ziemowit, syn Piasta rolnika, mąż stanowczy i dzielny, objął teraz władzę i wprowadził znów dawny porządek. Leszek i Ziemomysł poszli jego torem. Smutno było w domu Ziemomysła, gdyż najstarszy syn jego, Mieszkò, któremu tron należał się po ojcu, ciemny był od urodzenia. Gdy chłopczyk zaczął już rok siódmy, rodzice sprosili gości, ażeby mu, podług obrządku pogańskiego, wyprawić postrzyżyny. Zastawiono najprzód posiłek, gdyż wielu z dalekiej przybyło okolicy na tę uroczystość. Goście zasiedli na ławach,

naokoło długich stołów dębowych, białymi przykrytych obrusami; na stołach leżał chleb w dużych bochnach, stały misy napełnione mięsiwem zwierzka dzikiego i swojskiego, kapustą i kaszą jaglaną dobrze okraszona; po bokach dzbany gliniane, w których połyskał miód złoty. Posiliwszy się, szli do świątyni. Smutny Ziemomysł prowadził syna za rękę. Kapłani postrzygli włosy Mieszkowi, a w chwili, gdy mu imię nadawano, chłopczyk krzyknął radośnie. Rozejrzał się wokoło, przetarł oczy raz i drugi, i zawołał: „Ojcze, ja widzę!“ Trudno opisać radość Ziemomysła. Przedewszystkiem złożył hojne ofiary bogom, i cieszył się i uctował z przyjaciółmi przez dni wiele. Mieszek przejrzał nie tylko fizycznie, ale i duchowo, gdyż w roku 965 wraz z całym narodem przyjął wiarę chrześcijańską.

54. Postrzyżyny u Piasta.

Nad Gopłem jeziorem, na grodzie w Kruszwicy Popiel okrutny panował. Jednego rana dwaj pielgrzymi zapukali do bram zamkowych, o gościnność prosili pokornie. Ale Popiel świętych praw gościnności nie patrzył, — kazał pielgrzymów z podwórca wygnąć i złemi psami wyszczuć.

Więc dalej szli pielgrzymi, aż stanęli przed chatą ubożego rolnika Piasta, który pszczoły hodował i kołodziejstwem się trudnił. Piast przed gośćmi szeroko wrota swe otworzył, prosił, by raczyli rozłamać z nimi chleb i miodu jego spróbować.

A działo się to w czasach, kiedy praojcowie nasi nie znali jeszcze wiary chrześcijańskiej, a kłaniali się wielu bogom, przez ludzi wymyślonym, i odprawiali obrzędy wedle pogańskich zwyczajów. I wydarzyło się, że w zagrodzie Piasta obchodzono w tym dniu wielką uroczystość.

Oto syn jedyny Piasta miał już lat siedem, i wedle starodawnego zwyczaju nie dano mu jeszcze imienia, a włosów jego od urodzenia nie tknęły nożyce. I to był właśnie dzień postrzyżyn, w którym miano dziecięciu włosy po raz pierwszy uciąć i nadać mu imię.

Tę uroczystość obchodzono uczcią wspaniałą i gości wiele zaproszono.

Piast i żona jego, Rzepicha, pielgrzymów do izby swej zawiedli, na pierwszym miejscu posadzili, ugościli najlepszym miodem; a gdy wprowadzono dziecię, Piast podał starszemu pielgrzymowi nożyce, prosząc, by obciął mu długie włosy.

Pielgrzym dokonał postrzyżyn, nadał mu imię Ziemowita, a jednocześnie wziął w dłonie wody, pokropił nią chłopca, znak krzyża nad nim uczynił, a wzniosłszy oczy do nieba, wyrzekł głosem uroczystym: „Ziemowicie, ja chrzczę ciebie w Imię Ojca, Syna i Ducha świętego“.

„Amen!“ — odpowiedział drugi podróżny.

Dziwili się rodzice, dziwili się goście, nie wiedząc, co by te słowa znaczyć miały, gdyż, jako poganie, obrzędu chrztu świętego nie znali; — ale wdzięczni byli obcym gościom, bo się domyślali, że oznaczają one błogosławieństwo i szczęście chłopcu przyniosą.

Po uczcie pielgrzymi podziękowali gospodarzowi za przyjęcie i odeszli. Piast, jak gościnność nakazywała, przeprowadził ich aż do dróg rozstajnych. Stąd widać było jezioro Gopło, Kruszwicę i gród Popielowy. Pielgrzymi stanęli, a ukazując gród, rzekli:

„Czas się przybliża i Popiel okrutny srogą karę poniesie, on i cały ród jego wyginie, na jego miejsce kniazem lud Piasta obierze. Ty gospodarzu i syn twój i synowie wnuków twoich będą sprawowali rządy nad ludem polskim, a z oczu ich zasłona spadnie, obalą bałwany, a Jedynemu będą służyli Bogu“.

To rzekłszy, pożegnali Piasta i znikli wśród leśnej pomroki.

55. Postrzyżyny u Piasta.

Wpośród Kruszwicy spokojnych wieśniaków
Żył Piast, co bogów i ludzi miłował,
A Pan wszechmocny dla dobra Polaków
Do wielkich celów ród jego gotował.

Dom Piasta szczupły, ale zewsząd czysty;
Za Goplem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawór wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.

Znaną sąsiadom była naokoło
I dobroć Piasta i gościnna hojność;
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł miły dla skromnej rodziny
W którym, jak pogan prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i nasz Piast sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem,
Stół zastawiają tłustemi mięsowy
I duże czary napelniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody;
Pierwszemi dary już uczczono bogi,
Gdy dwóch młodzieńców przecudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnożą się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnemi zawołał głosami:
Piast miły bogom! pocóż czekać więcej!
Niech będzie królem, rządzi Polakami!

J. U. Niemcewicz.

56. Baśń o smoku na Wawelu.

Wisło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje?
Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łyzy padają? Lud
u brzegu ręce łamie i ratunku woła, a ratunku niema... Smok
w pieczarze siadł pod górą, co zobaczy, to pochłonie, co po-
chwyci, to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra
drży od ryku. Kiedy syty dyszy w jamie, oddech powietrze
zaraża... Noc i dzień spoczynku niema, pola puste, lud ucieka,
zwierz do lasu goni z trwogą... Trzody wypenił i ludzi, dławi
niewiasty i dzieci, a nigdy pastwy niesyty, ciągle ryczy, ciągle
dyszy. Czemże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie
przebije, i woda go nie pochłonie, i ziemia go nie pokryje.

Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, дума, brodę zwija, podparł się i patrzy w ziemię. Jak położyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć? Myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli trzeci, a smok ryczy... Rady! rady! Płacze, ręce załamuje. Jak mam położyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć?

Siedem razy miesiąc rośnie, siedem razy się roztapia, aż Krak Skubę wołać każe. Skubo, człeczce, rób, coś rzeknę: zabij wołu, owcę zabij, wnętrzności wrzuc do wody a smoły weźmij gorącej, a siarki nabierz palącej, a węgla nabierz czerwonych. Wypchaj ścierwo siarką, smołą, podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij zaryczy z głodu. Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrzności przepali, niech pęknie dzika potwora.

Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka. Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera, — naści strawę, żmijo smocza! Połyka straszna paszczeka, ryknie, aż drży góra cała, i gród z stolbami się chwieje. W smoku palą się wnętrzności, trzewie ogień mu wyżera. Z jamy głowę wywleka, leci do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadał cały i rycząc rozpękł i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmiji strasznej ucina, na żerdź go wtyka wysoko. Patrzaj, narodzie mój miły, że się twe męki skończyły. Niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło wyżenie, niech dzieci idą na łąki, niema już smoka na ziemi.

J. J. Kraszewski.

57. O Wandzie.

„Wanda morza, Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa“, naród śpiewa i wykrzyka, „córką Kraka niech panuje!“

Na granicy, na rubieży, rycerz siedzi jak lis w jamie, wieść do niego szybko bieży: dziewczka siedzi na stolicy wianek ma miasto korony, kądziel miasto miecza trzyma, męża nie chce, pana nie ma!

Rytygier kupy zbiera zbrojne na bezbronny kraj, na wojnę. I stanęli na granicy, i śle posły do dziewicy.

Mężem twoim chcę być, Wando, lub tve zienie ogniem, mieczem przejdziem, spalim i wysieczeru.

Już pola wojsko zalewa i las oszczapów się jeży, świecą tarcze, chrzesczczą bronie. Przyszły posły, Wanda wstaje:

„Ślubowałam bogom wiarę, męża nigdy mieć nie będę. Chcecie wojny? Wojsko sprawię, niech rostrzyga bitwa krwawa“.

Poszły posły, wojska płyną, pola, góry wnet obsiadły. Wanda z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Patrzaj wrogu, licz swe siły! Pojrzał Rytgar, kędy były, ani śladu, ani słyhu, pierzchło wojsko w lasy, góry. Sam się został Rytgar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przeszywa: „Królujże Wando szczęśliwa!“

Zwycięska wraca królowa... i na gród swój naród woła. Wyszła z wianuszkiem u czoła, w sukni białej, z kwiatkiem w dłoni.

Pozdrawiam was cni ojcowie! Przyszła na mnie ma godzina, życiem bogom ślubowała, naraz oddam im je całe, niż o rękę bić się mają ci, co ziemi pożądaą. Wiedźcie mnie do Wisły brzegu, nad głębinę, nad wir wielki. Rzekła i w Wisłę się rzuca.

J. J. Kraszewski.

58. Pierwsze gniazdo.

Działo się to dawno, bardzo dawno.

Kraj nasz zgoła nie był do dzisiejszego podobny. Tam, gdzie teraz wznoszą się ludne miasta, gdzie biegna pociągi po szynach, gdzie leżą wioski, pola i ogrody uprawne, tam przed wiekami szumiały gęste, przepaściste lasy, zieleniły się łąki.

A wśród tych lasów na wszystkie strony świeciły jeziora, wily się, niby węże, srebrne rzeki i strumienie. Moc była w one czasy lasów i moc była wody. Stworzeń przerwanych także nie brakło. Rogate łosie i jelenie chodziły stadami licznemi, kudłaty niedźwiedź raz po raz wyglądał z za krzaka, całe osady bobrów kryły się nad brzegami strumieni, wśród gęstwien niedostępnych. W rzekach i w jeziorach pluskało się ryb krocie, a ptactwo różne stadami wzbiło się do

góry — Nie było jednak komu używać tych bogactw, jakich matka ziemia dawała. Mało ludzi zamieszkiwało ową krainę.

*

*

*

Aż jednego razu niezwykle odgłosy rozległy się po lesie. Rżały konie, płonęły śpiewy, grały rogi myśliwskie, słychać było krzyki i nawoływania. Przyszli obcy ludzie. Przyszli gromadą całą. Jeden w drugiego rośli niby dęby, o włosach długich i jako len jasnych. Przez plecy przewieszane mieli łuki i kołczany ze strzałami, w ręku pałki gęsto kamieniem nabite.

Na czele gromady postępował mąż wysoki, wspaniała broda spadała mu na piersi, z oczu bił rozum i siła.

Imię mu było Lech. Szedł Lech, rozglądał się i mówił do swoich: „Miód pachnie. Widno pszczoły barcie w pobliżu mają“. A oni mu odpowiedzieli: „Grzyby także wonieją“. Pokazywali sobie dalej sarny ciekawe, bez lęku patrzące na przybyszów i ptactwo, śmigające wśród gałęzi. Zapuscili sieć do strumienia, lecz wnet zerwała się od ciężaru ułowionej ryby. A skoro zobaczyli jeszcze łąki, na których trawa po pas stała i pola rozległe, tedy Lech stanął i rzekł: „Gnieźdźmy się tutaj“.

Odpowiedziano mu chórem: „Tu załóżmy gniazdo! Tu załóżmy gniazdo!“

*

*

*

Więc zaraz wysłano młodych do lasu, by drzewo na budowę chat ścinałi, suche gałęzie na opał znosili. Od świtu do nocy stukwały kamienne siekiery, brzmiał śmiech i śpiew. A Lech rządził, rozkazywał, pilnował pracy, rozmyślał, jak nazwać nową siedzibę. I gdy tak stał któregoś dnia o zachodzie słońca, wybiegło z lasu kilku młodzieńców z okrzykami radości: „Patrzcie, cośmy znaleźli!“ Przynieśli przed Lecha trzepocące się, a jako śnieg białe ptaki. Były to orłeta.

Ucieszył się Lech wielce i powiada: „Dobry to znak! Orzeł króluje nad ptakami“.

Więc na pamiątkę owych słów Lechowych: „Gnieźdźmy się“ i owego gniazda orła białego nową siedzibę Gnieznem nazwano.

59. Władzenie Kazimierza I.

Po śmierci Chrobrego źle się działo w Polsce. Okropny to był czas, a nie było ręki, któraby złemu zaradziła. Kazimierz, syn Mieczysława, przebywał za granicą, dokąd go matka wywiozła.

W powszechnej tej niedoli dobrze myślący Polacy postanowili wezwać młodego królewicza na osierocony tron ojców. Wysłane poselstwo po długich wędrówkach znalazło Kazimierza w dalekim klasztorze, gdzie przyjął już śluby zakonne.

Dowiedziawszy się o smutnej doli swej ojczyzny, z rozrzwinięciem przyjął Kazimierz ofiarowany sobie tron.

Skoro tylko pojawił się Kazimierz na ziemi polskiej, garnęli się do niego zwolennicy ładu i ciesząc się z powrotu królewicza, witali go pieśnią: „A witajże nam, witaj, nasz miły gospodynie!“ Jakiś gród pograniczny dobrowolnie mu bramy swe otworzył, ale przystęp do dalszej głębi kraju był niełatwy — przyszło Kazimierzowi zdobywać krok za krokiem ziemię ojczystą.

Wtedy to, jak podanie niesie, skłopotanego myślami, a modlącego się o pomoc Bożą w kościółku Panny Marii w Grodziszczku, niedaleko Giecza koło Środy, pokrzepiło niebieskie widzenie w postaci anioła z chorągwią, jakoby przemawiającego: „nie trać nadziei!“

Pełen otuchy puścił się Kazimierz na odzyskanie ojczystego królestwa i dokonał tego szczęśliwie. W krótkim czasie udało mu się poskromić nieprzyjaciół i ład wprowadzić, jedno tylko Mazowsze, które w czasie bezkrólewia Masław, dowódca wojska za rządów Mieczysława, opanował, nie chciało i teraz uznać Kazimierza swym panem.

Nie czuł się jeszcze Kazimierz na siłach, więc zwlekał z nim wojnę. Dopiero po kilku latach, gdy pojął za żonę księżniczkę ruską i przez to zapewnił sobie pomoc Rusinów, przystąpił do wojny z hardym Masławem.

Nad Wisłą w pobliżu Płocka stanęły oba wojska. Z jednej strony Kazimierz i posiłki ruskie, z przeciwnej zuchwały

Masław na czele tłumu wojowników własnych i sprzymierzonych z nim pogańskich Pomorzan, Prusaków i Litwinów.

W przeddzień samej bitwy, jak mówi dalsze podanie, ukazał się znowu Kazimierzowi ten sam anioł we śnie i zapalając go do walki, mówił: „Nie bój się, sprawiedliwość przy tobie, pobijesz pogany!”

Równy z dniem zawrzała krwawa walka. I teraz w czasie potyczki dodawać miał serca hufcom polskim anioł, unoszący się na koniu z chorągwią i krzyżem na niej.

Wygrana stanęła przy Kazimierzu. Masław uciekł z pola bitwy do Prusaków, a gdy ich, jak piszą, jeszcze raz do wojny z Kazimierzem chciał nakłonić, ci, oburzeni znaczną stratą swoich, powiesili go, z uragowiskiem mówiąc: „Wysokoś mierzył, wysoko wisisz!”

Piszą też, że Kazimierz, który w bitwie tej w imię świętej wiary i dobrej sprawy zawsze był na przodzie, omal sam nie zginął, gdyby nie rycerz, którego od wspaniałej brody Brodziem zwano. On to bowiem, kiedy w natłoku walki kilkunastu wrogów króla dokoła obkoczyło, napadł w sam czas i dzielnie mieczem miotając, stłukł całą zgraję, a trzech najebezpieczniejszych jednym cięciem zwałił z nóg. Wdzięczny król nagrodił odważnego rycerza za to ziemią i nadał mu herb, przedstawiający trzy złote księżycy w czerwonym polu, który odtąd także Borodziem zowią.

Taka jest opowieść o widzeniu Kazimierza Odnowiciela.

Z Pracy.

60. Konik Zwierzyniecki.

Lud krakowski opowiada sobie o Koniku Zwierzynieckim następujące podanie:

Właśnie odbywała się w Krakowie w oktawę Bożego Ciała uroczysta procesja, gdy dano znać do miasta, że znaczny oddział Tatarów rozpostarł mord i gwałty na przedmieściu Zwierzynku. Trwoga straszna ogarnęła umysły ludu. Wtem jeden z włóczków, czyli flisaków zwierzynieckich, porywa za chorągiew swojego bractwa z godłem białego orła i wzywa lud krakowski do walki z najeźdźcami. Na wezwanie to lud,

zgromadzony na procesję, zbroi się naprędce, w co może, i gromi wroga, zaścielając gęsto ulice ich trupami. Już wieczór zapadł, gdy do miasta wjeżdżał dowódzca na czele zwycięskich włóczków, poprzebieranych w odzież poległych Tatarów, witany radosnemi Krakowian okrzykami.

Odtąd co roku w oktawę Bożego Ciała lud krakowski obchodzi pamiątkę tego zdarzenia. Skoro tylko procesja z kościoła Panny Marji ukończy się, pod wieczór wjeżdża do miasta od Zwierzyńca, a właściwie kroczy pieszo jeden z włóczków w tatarskiem ubraniu na przypiętym do siebie drewnianym, wspaniałem pokrowcami przybranym koniu. Po drodze przy odgłosie muzyki i kotłów wyprawia niby harce i wywija buławą, sierścią wypchaną, uderzając nią każdego, kto mu drogę tamuje. Krakowianie otaczają go tłumnie i towarzyszą mu na rynek, darząc go hojnie datkami.

Ponieważ za Tatara przebrany włóczek na koniku pochodzi ze Zwierzyńca, przeto obchód ten ludowy zwie się Konikiem Zwierzyńieckim.

61. O królu Łokietku.

W górach Ojcowa jaskiń co niemiara.

Przed dawnemi, dawnemi laty zwierz dziki w nich miał schronisko. Potem może ludzie, zanim nauczyli się domy budować, przed wichrem i niepogodą chronili się do tych jam głębokich.

Ale jedną z tych jaskiń nazywają jaskinią Łokietka, choć król Władysław Łokietek żył w czasach, kiedy piękne chaty budować umiano i niejeden zamek pański dumnie wznosił się na górze.

Łokietek ukrywać się musiał w jaskini. W Polsce rządził wtedy król Wacław, który wygnał Łokietka. Uciemieżał on lud podatkami niestęchanemi, tylko w panach miał przyjaciół, bo starał się ich sobie zjednać.

Łokietek, choć tak go dziwnie nazwano dla małego wzrostu, dzielny był i nie dał za wygraną. A że go opuścili panowie, więc do tych poszedł, którym najgorzej dawały się we znaki rządy obce i u nich się przygotowywał do walki. Chłopi

mu przynosił pożywienie do jaskini i wieści od niego nosił do wiernych przyjaciół.

Kiedy Łokietek powstanie ogłosił, oni mu pierwsi dopomogli.

Chociaż czeski starosta ogłosił wielką nagrodę za schwytanie Łokietka, lud nie odstąpił tułacza.

62. Chłopski król.

Wiejską drogą szedł dziadek. Siwłuteńki był i słaby widać, bo się kijkiem podpierał i raz wraz przystawał. To ziemi czarnej dotknął i wschodzące żdźbła zboża dłonią miłośnie pogładszył, to przy ludziach się zatrzymał, rozmów widocznie ciekawy. Gromadka gospodarzy mówiła o tem, że plon się dobrze zapowiada i wspominała rok zeszły, kiedy zboże nie urodziło.

— Oj, głód byłby srogi całą zimę, gdyby nie król Kazimierz, co ze śpichrzów sandomierskich rozdawał zapasy. Dobry to gospodarz, ojciec prawdziwy.

Tak mówili wieśniacy, a dziadkowi, kiedy słuchał, oczy zabłyśły.

Nie odezwał się i poszedł dalej.

Droga, od pięknego dworu jechał bogato ubrany pan. Gniewny był widać, choć słońce jasno świeciło i pola zieleniły się ślicznie. Dziad zastąpił mu drogę.

— Wspomóżcie, panie!

— Idź precz, dziadu — ze złością odburknął pan. Idź do Kazimierza, niech on ci pomoże, ten chłopski król, co nam panom swobody odbiera, wtrąca się między nas i chłopów, przed swój sąd pozywa. Na sąd jadę, o sobie myśleć muszę, żebraku.

Dziad pokornie z drogi ustąpił, ale ktoby mu się przyjrzał uważnie, byłby dostrzegł uśmiech dziwny na jego twarzy.

Do wieczora chodził dziad po wsi. Różnie go przyjmowano: to jałmużną lub dobrem słowem, to niechętnem: „niech Bóg opatrzy“. Widział ciężką pracę i nędzę na przednówku, nasłuchiwał się o chciwości sług pańskich, którzy dla dworu zboże i bydło wybierali i smutny, zamyślony przygarbiony

jakby od ciężaru trosk, które widział, powędrował dalej, ku miastu, co wesoło migotało światelkami okien na końcu drogi.

Ale widać jakaś nagła myśl mu zaświtała, bo zawrócił, skręcił w bok, pod las, gdzie stała uboga, samotna chatka.

Zastukał do drzwi. Otwarł chłop kościsty, wychudły.

— A czego, dziadku?

— Zmęczony jestem, zgłodniały. Dajcie mi choć chleba kawałek, przytulcie na noc, gospodarzu.

— Dziadu! — odparł chłop. — Z duszy-serca radbym wędrowca w dom przyjąć, głodnego nakarmić, ale chleba ostatni kawałek dzieciom dałem na obiad — na wieczerzę już nie było. Mleka niema ani kropelki — ostatnią krowę zebrano mi do dworu. A w izbie ciasno i gwarno — nowy mieszkaniec jej przybył przed chwilą: siódmy synek nam się narodził.

— Lepiej mi będzie niż w lesie, gospodarzu. Wody kubek mi dajcie i kawałek miejsca na ławie!

Marysia, dwunastolatka, podała pić dziadkowi. On się smutno po ubogiej chatce rozglądał i gospodarza rozpytywał, jak żyć potrafią w takiej nędzy.

Tak dobrze, łagodnie patrzył, że dzieci — sześciu chłopczków i trzy dziewczynki — otoczyły go kołem. Po główkach je głaskał i bajki zaczął opowiadać.

Kiedy się wszyscy kładli do snu, dziad tak gospodarzowi powiedział:

— Nie będę w izbie wam miejsca zabierał, stajenkę macie pustą, tam przenocuję. A za gościnność wam odpłacę: potrzymam do chrztu syna.

Nie bardzo się gospodarzowi podobał ojciec chrzestny — żebrak, ale przystał, bo się obawiał, że nikt nie będzie chciał być kumem błedaka, co żadnego poczęstunku nie da na chrzcinach. Przytem nie chciał dziadka obrażać odmową.

Nazajutrz rano Marysia pobiegła do stajenki powiedzieć dziadkowi „dzień dobry“. Dziada nie było.

Już słońce na niebie wysoko stało, już z dzieckiem czas iść do kościoła, ojca chrzestnego nie widać!

Zafrasował się gospodarz i począł gorzko żałować, że posłuchał prośby żebraka.

Aż tu nagle wspaniała karoca na drodze się ukazuje, i o dziwo, staje przed ubogą chatką.

A z karocy wysiada piękny pan, w szaty złotem haftowane przybrany, i mówi:

— Wybaczcie, żem się spóźnił. Teraz żywo do kościoła jechać trzeba. Gdzież mój chrześniak?

Zdumiony wieśniak słowa przemówić nie może. Nic nie rozumie. Z otwartemi z podziwu ustami patrzą dzieci. Wtem Marysia woła:

— Toż to dziadek wczorajszy, tatusiu, takie same miał łagodne oczy.

— Tak, to dziadek, któregoście gościnnie przyjęli, — odezwał się przybyły. — Chodziłem od chaty do chaty, żeby poznać dolę ludu, ażeby wiedzieć, jak mu dopomagać. Synem waszym się zaopiekuję, będę go uczył, aby wyrósł na pomocnika mojego, na sędziego, co sprawiedliwości dla ludu będzie pilnował. Siadajcie, gospodarzu, kumie mój, i wy kumo i ty Marysiu.

W karocy królewskiej — bo ten pan był król Kazimierz — pojechało chłopskie dziecię do kościoła.

A kiedy po chrzcie do wsi wrócono, król zwołał gromadę, usiadł pod starą lipą, odwiecznem drzewem, co pamiętało może czasy, kiedy wszyscy w polskiej ziemi równi sobie byli, i sądy zaczął sprawować.

Z zamku krakowskiego przyjechali pisarze, przyprowadzono pana wsi i król sam słuchał skarg, wydał wyrok, by chłopom zwrócono, co im zabrane zostało bezprawnie.

— Chłopskim królem — mnie nazwałeś, mówił do pana: — nie chłopskim jestem ojcem, jeno całego narodu, ale opiekować się muszę i tymi najuboższymi, którym się krzywda dzieje i póki życia, o ich dobro będę się starał. Pracą chłopską żywi się kraj cały, przystoi aby i chłop z głodu nie umarł, aby się cieszyć mógł plonem pola, które uprawia.

63. Kmotr królewski.

W noc pochmurną i wietrzną,
Po jesiennej szarudze,
Szedł wsią dziadek ubogi
I kołatał w drzwi cudze.

— Dobrzy ludzie, otwórzcie,
Dajcie spocząć na chwilę,
Niech się nieco ogrzeje,
Kęsem chleba posilę.

Ale stuka daremnie,
Brnąc omackiem po błocie,
Nikt się jakoś nie kwapi
Dać przytułek sierocie.

Wreszcie stanął przed chatą
Niepozorną i małą,
Gdzie w okienku niepewnie
Wątle światło jaśniało.

Zakołatał raz jeszcze,
Korną prośbę powtarza,
I zlitował się kmiołek,
Smutnej dolі nędzarza.

— Wejdźcie, dobry człowiecze —
Rzekł gospodarz łaskawie —
Został jeszcze kęs chleba,
Kąt się znajdzie na ławie.

Tejże nocy, tak dziwnie
Już Opatrzność zrządziła
Rolnikowi małżonka
Ósme dziecko powiła.

Żebak, wstawszy o świcie
I ujrzawszy dziecinę:
— Widzę, rzeczce, że Pan Bóg
Zwiększył waszą rodzinę.

Jeśli wstyd wam nie będzie
Mieć za kmotra żebraka,
To do chrztu wam potrzynam
Najmłodszego chłopaka.

A gospodarz: — Mój dziadku,
Dobry człowiek z was, widzę,
Ja sam biedny — i biedy
Też się swojej nie wstydzę.

Za dni siedem od dzisiaj
Chrzczyny dziecku wyprawię,
Przyjdźcie z Bogiem do chaty,
Gdy tak chcecie łaskawie.

Minał tydzień, gospodarz
Kmotra czeka i czeka...
Ten wędrowiec się spóźnia,
Widać droga daleka.

Nagle w dali na drodze
Coś błysnęło jak słońce,
Warczą koła po grudzie
Budzą echa tętniące.

Pozłocista karoca
Wali prosto przed chatę,
A w niej pan znakomity,
Strojny w suknie bogate.

Spojrzy kmiołek zdumiony,
Oczom własnym nie wierzy,
A tymczasem na tętent
Z całej wioski tłum bieży.

— No, i cóż się dziwicie? —
Gość z karocy zawoła —
Toć przybywam na chrzczyny,
Pewno czas do kościoła!

A lud wita się z panem
I pokłony mu. bije,
Leci okrzyk wesoly:
„Król Kazimierz niech żyje!”

Chrzczyny były nie lada —
Wśród kołaczy i miodu
Sam król kmiotków ucztował
Wśród swojego narodu.

Leon Rygier.

64. Podanie o koronie Polskiej.

Na zakręcie drogi, prowadzącej do Morskiego Oka, zatrzymuje góral podróżnych i każe nasłuchiwać pilnie... W istocie — wsłuchawszy się — słyhać niby kucie trzech młotów w wielkiem oddaleniu... Spadek wód, odbijający się regularnie o skały, wydaje łoskot do kucia młotów podobny!... Jest nawet, powiedziałbym, coś metalicznego w tym dźwięku.

A gdy się zapytasz górala: coby to było? powiada, że: „Tam u pięciu Stawów kuja duchy Koronę Polską, a cała jest już gotowa — brak jej tylko jednego kamienia, którego jeszcze nie znaleźli”.

65. Podanie o jaskini przy Morskiem Oku.

W jednej ze skał nad Morskiem Okiem pieczara zaledwie dostępna, tak jest obwarowana zaroślami krzodrzewiny. Ktoby miał odwagę dostać się do jej wnętrza, znalazłby tam ogromne skarby. Ale przystęp do niej jest przez krużganki podziemne, bardzo ciasne i kręte. Na każdym krużganku trzeba zapalić i zostawić światło. Wkońcu dochodzi się do obszernej jaskini, oświetlonej światłami wielkiej jasności, które są właśnie skarbami tego miejsca: ale słyszysz głos zapowiadający: biada temu, kto się ich dotknie. Na środku jaskini klęczą trzej mnichy ów głos tajemniczy każe pokłonić się każdemu z nich osobno potem wolno wziąć sobie z tych skarbów, wszakże nie więcej tylko tyle, ile siekiera na raz urąbie. Zginąłby natychmiast, ktoby ten przepis przekroczył.

Chociszewski.

66. Zakłęci rycerze w Giewoncie.

Niedaleko wsi Zakopane wznosi się wysoki wierzchołek, zwany Giewontem. W jego wnętrzu ma się znajdować jaskinia, a na jej środku stoi słup djamentowy, pod którym siedzi zakonnik, obsypany bogactwami wszelkiego rodzaju. Mnich-strażnik udziela ich bez trudności każdemu, kto dojdzie aż do niego; ale dojście jest bardzo trudne, bo otwór niezmiernie ciasny i wszelkie światło w nim gaśnie.

Górale tatrzańscy opowiadają, że w Giewoncie istnieje świat oddzielny, świat czarów zakłęty. Rycerze bitni, co padli w obronie ojczyzny, w nim drugie znaleźli życie, życie sen, z którego kiedyś zbudzeni będą do walki za świętą sprawę, za rodzinny kraj. Na rycerzach leńi zbroja w ogniu hartowana i miecz długi, zawieszony u boku, lecz więcej jeszcze blasku mają liczne skarby, którymi są otoczeni śpiący wojacy; więcej

świeci z diamentów świątynia słoneczna, wznosząca się pośrodku zakłętego koła.

Wnętrze świątyni zdaje się płonąć od blasku drogich kamieni, od światła siedmdziesięciu siedm gwiazd, które tam zastępują świeczki nasze ubogie. U wieży dzwon srebrny się zwiesza, poruszany co siedm lat. Harmonijny dźwięk jego budzi drzemiących rycerzy. Wstają z cichym szmerem, w świątyni wstępują podwoje, przed majestatem Boga głowy pokornie pochylają i modlitwa błagalna westchnieniem z tyśiąca ulatuje piersi. Wtem dzwonu nikną tony, jak mary znikają wszyscy, by siedm przespać lat.

Nad tym krajem cudów u stóp starego Giewonta staw niewielki roztacza szmaragdową toń, a tajemniczy wianek bujnej zieleni niemożliwym czyni przystęp do niego. W głębinach stawu smoki strzegą skarbów i dziwów, zakłęte przez króla czarowników. Biedni więźnie nierzad swe pęta zerwać usiłują, ale daremnie, bo najmniejsze poruszenie sprawia wicher gwałtowny, na którego świst ponury nadbiega czarownik i znowu dawny porządek przywraca; ludziom tylko przysparzają biedy, bo wicher młóci owies niedojrzały, łamie drzewa, chaty rozrywa, a przed kilku laty las cały wyrwał z korzeniami, co dziś jeszcze goście tatrzańscy z trwogą podziwlać mogą, jadąc z Zakopanego do Kościelskiej Doliny.

Dawniej o tych wszystkich cudach ludzie nie wiedzieli, darmo w głowę zachodzili, skąd się wicher bierze; dopiero juhas, przed więcej jak stu laty przez wietrzną trąbę rzucony na głębię stawu, wszystko tam widział i opowiedział. Porwały go smoki owe, by je wyswobodził, lecz gdy siedm lat czekały napróżno, wypuściły go znowu do ludzi. Opowiadanie to powtarzają z hał podgiewontskich juhasi, do których dochodzą czasem dzwonu tony harmonijne, zniewalające do wspólnej z zakłętymi rycerzami modlitwy o lepszą dolę.

Podług podania ludu śpi podobno wojsko Bolesława Chrobrego w dolinie Kościelskiej, które się obudzi kiedyś, aby walczyć za wiarę i ojczyznę. — Owi rycerze pogrążeni snem wiekowym, oznaczają naszą przeszłość dziejową. Ich przykład ma pobudzać dalekie pokolenia do poświęcenia za kraj ojczysty.

67. Góra Biruty w Połędzie.

W dzisiejszej gubernji kurlandzkiej, nad morzem Bałtykiem, leży miasteczko Połęga, słynne z kąpieli morskich. Co rok kilkaset osób jeździ tam dla poratowania zdrowia, lub też dla wypoczynku jedynie i spędza tam letnie miesiące bardzo przyjemnie. Wybrzeże morskie jest tam równe, piaszczyste, dogodne więc do przechadzek, a tuż przy niem ciągnący się las sosnowy napęlnia swą balsamiczną wonią powietrze i jest przyjemnem schronieniem w czasie upałów lub też gdy silny wiatr morski zawieje.

W lesie tym znajduje się wzgórze, nazwane górą Biruty. Otoczone jest ono wieńcem sosen, które oceniają małą kapliczkę, wznoszącą się na wierzchołku pagórka. O górze Biruty istnieje następujące podanie:

Przed wielu set lat, kiedy jeszcze na Litwie i Żmudzi kwitnęło pogaństwo i oddawano w tych krajach cześć rozmaitym bogom, w Połędzie na owym wzgórku nad morzem płonął nieustający ogień, zwany Żnicz, poświęcony bogini Prawymie. Ognia tego pilnowały dziewice, zwane wajdelotki. I w dzień i w nocy musiały one dorzucać drzew do ogniska i strzec bacznie, aby ogień nie zagasł. Wajdelotkę, która tego nie dopilnowała, karano bardzo surowo, bo ją żywcem zakopywano w ziemię.

Razu jednego przejeżdżał nad morzem książę Kiejstut, wracając ze swą drużyną z wyprawy krzyżackiej. Zobaczywszy wajdelotki około Żnicza, upodobał sobie jedną z nich i zabrał ze sobą do Trok. Była to Biruta, córka bojara żmudzkiego, Widymunda. Została ona żoną Kiejstuta, a matką księcia Witolda, stryjecznego brata Jagiełły.

Po wielu latach Biruta, owdowiawszy, wróciła podobno do Połęgi, a odznaczała się wielką dobrocią i miłosierdziem; lud żmudzki uważał ją za boginię. Gdy umarła, pochowano ją na wzgórzu, gdzie strzegła za młodu świętego ognia. Od tego czasu na górę Biruty odbywano nabożne pielgrzymki, nawet jeszcze wtedy, gdy Żnicz już tam zgasł z rozkazu Jagiełły, który poślubiwszy królową Jadwigę, kazał ochrzcić całą Litwę i Żmudź.

W dzisiejszych czasach góra Biruty niemniej jest odwiedzana przez nabożny lud okoliczny. Nie modli on się do bogini Prawrymy, ale do Matki Boskiej w ubożuchnej kapliczce i u stóp Bogarodzicy składa swe smutki i radości, a podanie o świątobliwej księżnie Birucie przechowuje w sercu i pamięci, jako drogocenną spuściznę.

68. Na Wawel.

Na Wawel! na Wawel! nim północ uderzy!
Kto cudu spragniony, kto ufa i wierzy!
Noc czarna, gwiazdeczki nie dojrzeć tu bladej,
Lecz duchem wnuknijmy w zamczyska posady;
Anioły tam skrzydły znosiły białemi
Na wieczną spuściznę, co znikło na ziemi,
I wszystko tam siłą cudowną zakłętą,
Zostało w przeszłość, co Boże, co święte.
Tam ujrzyś w wykutej z kryształu świetlicy,
I Piastą rolnika pług stary w Kruszwicy,
I szatę Mieszkową, pamiątkę chrztu białą,
I szczerbiec Chrobrego syt bojem a chwałą.
Tam wkoło na ścianach promiennym lśnią blaskiem
Szablice, znaczone Maryi obrazkiem,
I kordów w znak krzyża kowanych rząd długi,
I twarde zbroice i ciężkie kolczugi,
I zacnych proporców o, wiele tam wiele!
A cicho tam, głucho, jak w Bożym kościele,
Gdy kapłan bezkrwawą ofiarę śle Bogu;
Skrzydłaci husarze czuwają u progu.
A wkoło przy stole pośrodkiem komnaty
Na tronach złocistych — odziani w szkarłat —
Z berłami w prawicy, w koronach na głowie,
Dostojnym szeregiem zasiedli królowie;
Bez względu na przebieg dalekich stuleci
Siadł dzielny Warneńczyk, a przy nim Jan Trzeci.
Wszak oni za życia jednemi szli tory!
Przy Chrobrym waleczny zasiada Batory,
A wielki Król Chłopków snąć w ducha przymierzu
Siadł, wiedzion miłością, przy Janie Kaźmierzu,
Bo kornie, gdy Marja zbawiał kraj cudem,
Poślubił Królowej opiekę nad ludem.
A wszystkim przodując, siadł z krzyżem na czele
Apostół Mieczysław przy bracie Jagielle.

Wtem północ wybiła, zadrzały sklepienia,
Grobowe milczenie w gwar nagły się zmienia.

Grzmiały trąby bojowe, rzą konie w oddali,
A Chrobry powstaje w pancerzu ze stali,
I w krzepką prawicę ujmuje miecz goły,
Co niegdyś mu z nieba przyniosły anioły,
I krokiem żelaznym z sklepienia komnaty
W zamkowy dziedziniec wychodzi na czaty.
Gdy oko śmiertelnych wzrok króla napotka,
To serca im radość napęli tak słodka,
I pierś im mężnieje, i duch im tak wzrasta,
Jak gdyby się w uściech rozplýwał młód Piasta.
Lecz stokroć mu biada, gdy człowiek zlej woli
Napotka znienacka wzrok króla sokoli,
Jakby grom z nieba ugodził weń jasny,
Ze wstrętem ogląda trąd duszy swej własnej,
I boleść mu zmysły tajemna rozprzega,
Snać w grobie nie zgasa Chrobrego potęga.

Seweryna Duchńska.

69. Pieśń do Miodu.

Gdy pod strzechą jeszcze cichą
Siedział stary Piast z Rzepichą,
Na Kujawach dla wygody
W zapas dziatwie sycił miody!
Ziemni naszej dać dziedzice
Spłynął naród pod Kruszwicę
I spłynąwszy doznał głodu:
Piast mu strawy dał i miodu —
A lud krzyknął za koleją:
„Ojczy Piastie! Kołodzieju!
Godzien nasze ziemie sądzić
Kto tak doma gospodarzy.
Kto nie umie doma błdzić
I narodu dobro zważy:
Ty to w wiecu nam zasiędziesz,
A ty gospodynem będziesz,
Gospodynie żyj!
I ten młód nam lej!
A my będziemy młód ten pić
I tych laskich wrogów bić —
Gospodynie żyj!”

Z Piasta poszło sławne plemię
Pod Piastami rosły ziemie:
Skibę orząc w czoła pocie
Żył o miodzie lud w szczerocie;
A gdy rozgrzał pierś ognistą
Kordem wrogi ciał sięrdzistol

I był tęgi jak miód dawny,
I jak stary miód — wytrawny;
Jak miód szczera ciekła mowa,
Jak miód zdrowy — rada zdrowa!
Krzepkość była w Lackim rodzie —
A na radzie — prawda w miodzie
Gdy rozparła szczere łono,
Zwycięstwami bój kończono,
A Piastowe wiece zgoda;
I lud wołał: „Wojewodo!
Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziem miód ten pić,
I tych naszych wrogów bić —
Gospodynie żyj!”

Kiedy gładką wnukę Piasta
Wziął Jagiełło zapuszczański,
Wtedy jak męza niewiasta
Jął się Lachów lud pogański:
I na ucztę ludów dwoje
Wniosła dziewa Piasta ziemię,
A Jagiełło swoją zbroję
I to twarde leśne plemię!
Lipiec bogom poświęcony
Przywłóził Księżę dla swej żony —
I przystojne były gody,
Bo stuletnie pito miody!
W krwi małżeńskiej zażegnany
Znikł duch waśni śród biesiady,
A koronne rzekły pany:
„Żyj nam Księżę światowładny!
Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziem miód ten pić,
I tych naszych wrogów bić —
Gospodynie żyj!”

Wieki — króle — legły w grobie —
Lecz lud żyje — i miód mamy,
My po mieczu bracia sobie,
A Litewski miód ten samy!
Dalej Litwo! z dziatwą Piasta
Niechaj przyjaźń dawna wzrasta!
Niech przy miodzie na znak wiary
Lach odnowi sojusz stary!
Ongi wnuka Piasta — Litwie,
A dziś Litwa — Lachom żoną;

Stalmy przyjaźń w krwi ochrzczone,
Poświęconą w setnej bitwie!
Dziadu, dziadu! jak podchmielim
Na litewskim waszym miodzie —
Duszę za to rozweselim
Boć zapieję na wychodzie:
„Gospodynie żyj!
I ten miód nam lej!
A my będziemy miód ten pić,
I tych naszych wrogów bić —
Gospodynie żyj!”



ROZDZIAŁ III.

Opowiadania treści religijnej i obyczajowej.

70. Do Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Świat Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad nie przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem morze w brzegach stoi,
I zamierzonych granic przekroczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.
Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi.
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twojej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz w swej szczodrobliwości.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie;
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi:
Jedno zawždy niech będziem pod skrzydłami Twemi!

Jan Kochanowski.

71. Obecność Boga.

Bóg jest wszędzie.

— Powiedz mi, synu kochany, skąd wracasz? co dziś widziałeś? gdzie byłeś?

— Chodziłem po łąkach wśród gęstej trawy, bydło i trzody koło mnie się pasły lub spoczywały pod drzew ciemnym. Zboże rosło na zagonach, bławatki wyglądały z pomiędzy kłosów, pola, bogactwami lata okryte, jaśniały pięknnością.

— I nicześ nie spostrzegł więcej? Wróc tam, dziecię moje, większe tam były rzeczy do widzenia! Wpółśród tych pól był Bóg, a tyś Go nie spostrzegł, pięknność Jego zdobiła łąki, uśmiech umilał pola.

— Szedłem jeszcze przez las gęsty, wiatr szumiał między drzewami, strumyki mruczały przyjemnie, wiewiórka skakała z gałęzi na gałąź, ptaki śpiewały wdzięcznie.

— I nicześ nie słyszał więcej prócz szumu wiatru, strumyków mruczenia i ptasząt śpiewu? Wróc tam, dziecię moje, większe tam były rzeczy do słyszenia. Wśród tego lasu był Bóg; Jego to głos w szumie drzew przemawiał, a tyś Go nie poznał.

— Widziałem jeszcze księżyc wschodzący. Podobny był najprzód do kuli ognistej, wzniósł się i zwolna barwę srebrzystą przybrał; — gwiazdy jedna po drugiej iskrzyły się na niebios sklepieniu. Ale niezadługo od południa czarne chmury powstały, znikł księżyc i gwiazdy. Błyskawice rozogniły całe niebo; grzmoty rozległy się zdaleka, potem nadeszły bliżej i piorun uderzył w drzewo, opodał stojące.

— I nicze tam świetniejszego od błyskawic, groźniejszego od piorunów nie było? O! wróc tam, dziecię moje, większe rzeczy ta burza kryła. W łonie tego piorunu był Bóg, a tyś Go nie widział. Bóg jest wszędzie, przemawia w tem, na co patrzymy. Jak cała przyroda zawsze oczom twym obecna, tak Bóg niech zawsze myślom twoim obecnym będzie.

O dziełach Boga.

Weź garść piasku, spróbuj policzyć ziarnka, spróbuj zliczyć trawę tej łąki, albo liście tego drzewa; nie możesz ich

zrachować, są niezliczone. Trudniejsze jeszcze do zliczenia inne dzieła Boże. Każdy listek ma kształt inny, na każdej roślinie inny owad mieszka. Patrz na to ciernie, ubielone kwiatami, patrz na te zioła, które depcesz, nie uprawiał ich człowiek, ani ręka jego tych ziarn nie posiała. — Jedne rośliny rosną na urwiskach, do których stopa ludzka dojść nie może, drugie wśród trzęsawisk, inne w głębi lasów lub na bezludnych wyspach. — Ale któż wszędzie życie im daje? Kto je zasiewa, kto je deszczem i rosą orzeźwia. Kto je wiatru powiewem ochładza, kto wonią i barwą bogaci? Jakim sposobem małe ziarno w duży krzak się zamienia? Wszystkie są rozłożone porządkiem, każda wie swoją godzinę i wstaje z kolei. — Kto w roślinach przechowuje życie podczas zimy, kiedy śnieg pola okrywa, a od mrozu ziemia kostnieje? Drzewa wtedy ogołocone, smutne i suche, jak kości na cmentarzu. Kto w nie nowe tchnie życie? Czyje tchnienie konary liściem i kwiatem odziewa?

Wszystko to jest dziełem Boga, Stwórcy naszego przedwiecznego. Wszystko o Nim przemawia. Każda łąka jest jakby księgą otwartą; na każdym kwiatku wypisana o Nim nauka. Każdy strumyk, każdy wiatru powiew przemawia do nas, wszystko mówi o Bogu, który wszystko stworzył; wszystko dobroć Jego głosi. Nie możemy widzieć Boga, bo jest niewidzialny, ale możemy przypatrzeć się Jemu w dziełach Jego i w nich Go wielbić.

Bóg czuwa nad uśpionym światem.

Wspaniałe słońce zaszło: wieczorna rosa kroplami ziemię okrywa, a gorące powietrze ochłodziło. Kwiaty tulą różnobarwne listki, pochylają zamknięte główki na lekkich łodygach. Małe kurczątko zebrały się pod skrzydła matki. Ptaszki śpiewać przestały; śpią na gałęziach, każdy główkę pod skrzydełko schował. Już pszczoły nie brzęczą koło ulów, ani po kwiatkach nie szukają miodu, skończyły dzienną pracę i odpoczywają. Baranki leżą na miękkich runach, już ich głosu nie słyszać w pagórkach. Już ustał gwar rozlicznych głosów i hałas igrających dzieci i stąpanie pracujących ludzi. Już młot

kowala nie bije w kowadło, już w rękę cieżli piła nie rżnie. Wszyscy ludzie legli i usypiają, — i małe dziecię na łonie matki usypia. Ciemność ogarnęła niebiosą, ciemność okryła ziemię; wszystkie oczy zamknięte, wszystkie ramiona spoczywają.

I któż czuwa nad tym uśpionym światem, kiedy nikt o obronie nie myśli, nikt przed niebezpieczeństwem nie ostrzega? — Jest oko, które zarówno widzi w ciemnościach nocy jak i w świetle słońca. — Kiedy niema już jasności ani od słońca, ani od księżyca, kiedy nawet z za chmur ciemnych żadna nie wyrzy gwiazda; to oko czuwa nad wszystkimi rodzinami świata. To oko Boga, opieka Jego zawsze nad nami.

Z Hofmanowej.

72. Wszystko z Bogiem.

Od Boga poczynamy, Bóg początkiem wszemu
Zato początku niemasz ani końca Jemu;
On był jeszcze przed wieki, On dawnych ciemności
Panowanie rozproszył mocą Swej mądrości;
On ziemię wszystkorodną, On morze żeglowne,
On utwierdził na wieki niebo precudowne;
Dzień i noc — Jego sprawa i to światło wdzięczne
Niezgaszonego słońca i koło miesięczne;
On też i niebo natknął gwiazdami ślicznymi,
Aby ludziom znaczyły czasy biegi swemi. —
Stąd wie oracz, kiedy ma rolę uprawować;
Stąd wie, kiedy siać albo nowy sad sprawować;
Stąd pogodę i wiatry i przyszły deszcz baczy:
Tymi znaki nas bowiem Bóg przestrzegać raczy,
Aby człowiek co w swojej pracy nieszkodował,
Ale owszem z urobku swego się radował.
Słusznie go tedy zawsze naprzód wspominamy,
Słusznie chwalimy, bo stąd wszystko dobro mamy.
Miej cześć, Ojczy łaskawy, Ojczy dobrotliwy!
Ciebie chwalić powinien każdy człowiek żywy.

Jan Kochanowski (Fenomena).

73. Odrodzenie.

Drzewkom i ptaszętom z włosną
Liście i piórka odrosną,
Orzeł dziób stary strąci o górę,
Wąż zużyty zrzuci skórę

I nową z wiosną przywdzieje:
Człowiek, gdy starość przyśpieje,
Tylko odradza się w synach,
Piękniej w imieniu, a najpiękniej w czynach.
K. Brodziński.

74. Nawrócony.

Papież Pius IX miał dziwny dar nawracania ludzi, urokowi słów jego trudno się było oprzeć.

W roku 1860 dwóch Francuzów miało posłuchanie u papieża. W tym samym zajeździe zamieszkał także młody ich rodak, o którym wiedzieli, że jest niedowiarkiem. Nie zważając na to, namawiali go, by szedł z nimi do Watykanu. On wymawiał się, ale oni nalegali, mówiąc: — Pójdź z nami, jeżeli nie z innego powodu, to przynajmniej z ciekawości. Przecież nie zechcesz, aby mówiono, żeś był w Rzymie, a nie widział papieża.

Niedowiarek ustąpił i z rodakami swymi poszedł w licz-nem gronie na posłuchanie. Po jego ukończeniu papież swoim zwyczajem zapytał przytomnych, czy mają jakie życzenie do przedłożenia. Jedni dali sobie poświęcić koronki i medale, inni prosili o jaką pamiątkę; niedowiarek ów stał niemy i obojętny. Pius IX, milczeniem tem uderzony, postąpił o krok ku niemu i zapytał: — A ty, mój synu, nie masz nic takiego, o cobyś mnie prosił?

— Nie.

— Nic? doprawdy nic, mój synu?

— Nie.

— Synu, czy ojciec twój żyje jeszcze?

— Żyje.

— A matka?

— Matka moja umarła.

— Otóż dobrze, moje dziecko; skoro ty nic nie masz takiego, o cobyś mnie prosił, to ja mam do ciebie prośbę. Zrób mi tę łaskę, uklęknij tu zemną i zmów jedno „Ojcze nasz“ i jedno „Zdrowaś“ za duszę twojej matki.

To mówiąc, papież padł na kolana; — młodzieniec prawie bezwiednie uczynił to samo. Wstając miał twarz zalaną łzami

i szlochając opuścił salę: łaska Boska zrobiła wyłom w jego sercu.

Ks. Józef Pelczar. (Pius IX i jego wiek).

75. Przebaczenie urazy.

Ksiądz Piotr Skarga, sławny kaznodzieja, śmiało prawdę mówił, śmiało się za uciśnionych wstawiał, śmiało przebaczenie dla winnych wypraszał, gdyż i sam winy przebaczyć umiał, jak to z następnego poznamy przykładu:

Zdarzyło się raz, że pewien młodzieniec, słuchając kazania Skargi, zapalał złością, bo go gniewało, że świątobliwy kaznodzieja powstawał na pijaństwo, na rozrzutność, na wszelkie zbytki, a zwłaszcza na ucisk podwładnych.

— „Odpłacisz ty mi za twoje kazanie!“ — krzyknął zuchwalec i, spotkawszy Skargę w pustej ulicy, sromotny słudze Bożemu wyciął policzek.

Zniósł Skarga tę straszną obelgę dla miłości Chrystusa, który także był policzkowany; ale byli świadkowie haniebnego czynu. Ci przybiegli na pomoc księdzu i zuchwałego łotra oskarżyli przed królem.

Zadrżał winowajca! Wiedział, że czeka go straszliwa kara, jaka podówczas była we zwyczaju — śmierć albo odcięcie zbrodniczej ręki, którą podniósł na świątobliwego człowieka. Ale znalazł się taki, co winnego obronił.

Oto sam ksiądz Skarga zapomniał swej krzywdy i póty za winnym obstawał, utrzymując, że po pijanemu napadu dokonał, póty błagał sędziów o miłosierdzie, aż uprosił przebaczenie dla napastnika.

Snopek.

76. Kłamstwo.

1. Święty Jan Kanty żył już dawno, — przed czterystu laty przeszło. Był księdzem i nauczycielem młodzieży w Krakowie.

Dobry i miłościwy dla ubogich, oddawał im wszystkie swoje dochody. Gdy spotkał zimą bosego żebraka, zdejmował obuwie z nóg swoich i oddawał ubogiemu, a sam boso wracał

do domu. Spotkawszy zziębniętego biedaka, ścigał płaszcz z ramion swoich i okrywał nim nieszczęśliwego.

Razu pewnego gdy szedł przez las, napadli go zbójcy, żądając pieniędzy i grożąc śmiercią.

Święty oddał im woreczek z pieniędzmi. Ale zbóje wołali:

— Pewnie masz więcej, oddaj wszystko!

— Nie mam już ani grosza.

— Przysięgnij!

— Poco mam przysięgać! Wierzcie memu słowu!

Zbóje przetrząsnęli jego szaty i, nic nie znalazłszy, odeszli.

Jan Kanty, zostawszy sam, przypomniał sobie, że na jeszcze kilka dukatów, zaszytych w płaszczu:

Przełękł się bardzo i zaczął biec za rozbójnikami wołając: — Stójcie, bracia, stójcie. A gdy zbóje wrócili, oddał im dukaty mówiąc: — Darujcie; mimowoli skłamałem, oto te pieniądze miałem zaszyte, a zapomniałem o nich. Ale na szczęście nie byliście jeszcze daleko i mogłem mój błąd naprawić. Zdumieli się i przełękli zbóje, widząc, że ze świętym człowiekiem mają do czynienia — oddali zabrane pieniądze i obiecali poprawę.

Snopek.

77. Święty Jan Kanty.

Przyjacielem i mistrzem uczącej się młodzieży, a wzorem jej i patronem pozostał na zawsze święty Jan Kanty, którego uroczystość Kościół katolicki obchodzi dnia 19-go października. Urodził się on w roku 1397, zmarł w 1427, a w końcu zeszłego wieku przez papieża Klemensa XIII w poczet świętych został zaliczony.

Galicyjskie miasto Kęty jest miejscem rodzinnem św. Jana, który jako mąż niezwykłych cnót i świątobliwości, jako uczony profesor, sławny mówca i kaznodzieja, w całym świecie chrześcijańskim znany był pod imieniem Jana z Kent,

Jako młode jeszcze chłopię Jan Kanty wstąpił do Akademii krakowskiej, gdzie najpierw pośród rówieśników swoich zajaśniał pilnością i najlepszymi obyczajami, a później został profesorem.

Otrzymaawszy święcenia kapłańskie, odbył pieszo z dwoma towarzyszami pielgrzymkę do Ziemi świętej i do Rzymu. Później był proboszczem w Olkuszu, lecz wnet prosił biskupa o pozwolenie powrotu na katedrę profesorską, gdyż praca przy kształceniu młodzieńczych serc i umysłów była mu najmiłą.

Do czynów swoich Jan Kanty stosował zawsze te zasady chrześcijańskie, które wygłaszał. Miewając ówczesnym zwyczajem, publiczne dysputy naukowe, częstokroć wiedzą przewyższał, a pięknoscią i siłą przekonywającej słuchaczów wymowy, przyćmiewał innych mówców. Nie pysznił się jednak nigdy z wyższości swego umysłu, ani z daru słowa: uczony profesor, sławny teolog i kaznodzieja, cichy był i pokorny jak prostaczek.

Miłosierdzie i ofiarność Jana z Kent nie znały granic. Raz w zimie spotkał ubogiego boso: bez wachania zdjęwszy z nóg swoje obuwie, oddał je biedakowi, a płaszcz spuścił do samej ziemi, aby swój miłosierny uczynek skryć przed oczyma przechodniów. Kiedyindziej, gdy z uczniami swojemi siedział u stołu, żebrak przez otwarte okno prosił go o jałmużnę. Jan oddał mu zaraz swoją porcję. W tej chwili stał się cud: przed świętobliwym kapłanem pojawiła się inna porcja tejże samej potrawy, którą on, odmówiwszy dziękczynną modlitwę spożył. Na pamiątkę tego cudu, przy stole profesorów akademii codzień zasiadał ubogi. Służący oznajmiał jego przybycie, mówiąc: „Ubogi przyszedł“. A najstarszy z obecnych odpowiadał: „Chrystus przyszedł“. Ten piękny, chrześcijański zwyczaj utrzymał się bardzo długo.

Nietylko nędza lub niedostatek, ale każdy kłopot, każdy frasunek bliźniego obudzał w Janie współczucie i chęć zaradzenia złemu.

W pewien pogodny, słoneczny poranek czerwcowy, spotkał na rynku młodą, płaczącą wieśniaczkę; upuściła dzban z mlekiem, stłukła go i bała się gniewu swej pani, która ją na targ wysłała. Święty kapłan zebrał rozrzucone po ziemi skorupy i pomodliwszy się, oddał cały dzban uradowanej i zdziwionej dziewczynie, a gdy za jego rozkazem w naczynie na-

czerpiała wody z rzeczki Rudawy, znakiem krzyża św. tę wodę w mleko przemienił.

Niepodobna przytaczać wszystkich świątobliwych czynów Jana z Kent, które ksiądz Piotr Skarga w „Żywotach Świętych“ szczegółowo opisał, powiemy tylko jeszcze parę słów o zasadach, które w serca uczniów swoich usiłował wszczepiać.

„Prawdę miłujcie nadewszystko!“ — zalecał on, który o ile całą mocą swej duszy kochał prawdę i sprawiedliwość, o tyle znów brzydził się obmową i fałszem! Na ścianach komnaty, gdzie przyjmował odwiedzających, kazał umieścić ła-ciński napis: „Strzeż się czernić bliźniego, gdyż pod ciężkim grzechem musiałbyś to odwołać“.

I rzeczywiście, cóż jest piękniejsze, godniejsze czci nad prawdę?... Co nędzniejsze nad obłudę i obmowę?... O bliźnich, w ich nieobecności, powinniśmy zawsze tak mówić, jakbyśmy pragnęli, aby o nas mówiono, a dobre imię, ten najcenniejszy skarb człowieka, równie łatwo plami obmowa, jak błoto i pył szybko brudzą cudny kwiat lilji śnieżystej białości. A więc kochajmy prawdę, a wystrzegajmy się obmowy!

78. Prawdziwe szczęście.

Niedaleko Gdańska miał kuźnię ubogi kowal, który wyrabiał same tylko skówki do statków, zwane żabkami. Przy szczupłych swoich dochodach był jednak zawsze wesół: bezustannie śpiewał lub świstał przy robocie.

Pewnego dnia przejeżdżał tamtędy bogaty Anglik, a że ludzie tego narodu są często ponurzy i smutni, nie mógł się więc wydziwić, jak biedny rzemieślnik może się tak weselić. Idzie tedy do niego i wdaje się z nim w rozmowę.

— Mój kochany — rzecze — dlaczego ty zawsze tak wyśpiewujesz? Czy ty się masz za szczęśliwego?

— Zapewne — odpowie kowal — jestem szczęśliwym, prawdziwie szczęśliwym. I czegoż mi braknie? Mam rządzą, dobrą żonę, mam pewny kawałek chleba, jestem zdrow, a po pracy mile mi czas upływa.

— Ale gdybyś miał więcej pieniędzy, możebyś był jeszcze szczęśliwszym — dodał Anglik.

— Kto wie, panie — odpowiedział pracowity rzemieślnik — możebym tak nie śpiewał.

Bogaty podróżny upuścił nieznacznie kiesę złota pod jego kowalskie naczynie i wyszedł. Jeszcze czas niejaki miał w tem miejscu zabawić.

Ale następnych dni nie było słyhać w kuźni kowala ani huku młota, ani wesołych śpiewek.

Ciekawością zdjęty, idzie Anglik do niego i pyta o przyczynę tej zmiany.

— Cóż ci się stało, poczciwy człowieku, wszak miałeś się za zupełnie szczęśliwego?

— Cóż robić, panie — rzekł kowal nieco pomieszany — czasem przyjdzie co na człowieka.

— Mój kochany — mówił dalej podróżny — bądź dobrej myśli, twój smutek prędko przeminie, ale ja nieszczęśliwy! zgubiłem tu w tych miejscach kiesę złota, a jest to znaczna część mego majątku.

— Co! Pan zgubiłeś pieniądze? — wykrzyknął z uniesieniem kowal rozweselony — te to nieszczęsne pieniądze właśnie nabawiły mnie takiego smutku. Ja lubię tak żyć, jak żyłem, a pieniądze te uczyniły mnie niespokojnym. Uważałem je za cudze i nie wiedziałem, komu oddać.

Tu się wypytał o ilość i gatunek zawartych w kiesie pieniędzy, a przekonawszy się, że te same, oddał je właścicielowi, rozniecił ogień, rozpoczął zwykłą pracę i znowu śpiewał i świstał wesoło.

E. Estkowski.

79. Urszula Kochanowska.

1. Przed trzystu z górą laty we wsi Czarnolessiu mieszkał Jan Kochanowski, poeta polski. Pisał on wiersze tak cudne, że ludziom, gdy je czytali, łzy napływały do oczu. Jan Kochanowski miał córeczkę, imieniem Urszulkę, dziecinę dobrą, jak aniołek. Wszyscy ją kochali: rodzice, rodzeństwo, domownicy, bo każdego upieściła, każdemu jakąś przysługę oddała.

Bóg obdarzył Urszulkę wielkim talentem. Dziewczynka mówiła wierszami z taką łatwością, z jaką ptak śpiewa na gałęzi. To też ojciec wołał na nią: „Słowiczku mój!”

Nikt tych wierszy nie uczył Urszulki, chyba anioł stróż szeptał je do uszka dziewczynki.

Pewnego razu znakomity gość miał zjechać do Czarnolesia. Tym gościem był hetman polski Jan Zamojski, przyjaciel króla Stefana Batorego, który wówczas panował.

Niczego Janowi Zamojskiemu nie brakło. Miał rozum, zdrowie, miłość i szacunek ludzki, bogactwa ogromne. A przecież nie był szczęśliwy. Stracił jednego ukochanego syna. O tem wszystkim pani Kochanowska opowiedziała Urszulce na godzinę przed przyjazdem hetmana.

2. — Czyż nie zobaczę waszej córeczki, o której mi pisaście, panie Janie, waszego słowiczka? — rzekł Zamojski.

Przyprowadzono więc dziecinę.

Wziął ją hetman na kolana, pieścił, całował, a ona przypatrywała mu się w milczeniu, bawiła się kosztownymi spinakami i guzami żupana.

— Podoba ci się to? — zapytał hetman. Urszulka odrzekła:

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie;
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

Posmutniał hetman, zmieszali się rodzice. Wszak gością rozweselić należy, a nie przypominać mu o smutku.

— Kto cię tych wierszy nauczył? — zapytał hetman. Urszulka dotknęła rączką głowy.

— Nikt panie, stąd płyną.

— Kiedy takie śliczne wiersze składasz, to ja poproszę pana ojca, by mi ciebie darował. Wezmę Urszulkę z sobą.

Ale Urszulka potrząsnęła główką i odparła:

Nie — ja dziewczyna,
Tobie — trzeba syna.
Mnie weźmie ktoś inny,
Aniołek niewinny
Ja poproszę Boskiej Matki
Dla Ciebie o zdrowe dziatki.

3. Spełniły się słowa Urszulki. Niedługo potem dziewczynka zachorowała. Widząc płaczącą matkę, pocieszała ją temi słowy:

Nie płacz, matko, proszę,
Ja idę do nieba
Na czyste rozkosze,
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja luba córka
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siedzie.
Matko, źleż ci będzie,
Mieć swego aniołka?

Nie pomogły starania i lekarstwa: Anioł wziął czystą duszyczkę Urszulki i zaniósł Matce Bożej do nieba.

80. Miłość synowska.

Dawnemi czasy, w Turcji, wysoki urzędnik ciężko zawinił względem cesarza. Sędziowie, jak nakazywało prawo, skazali go na śmierć.

Skoro się o tem dowiedział syn skazanego, Mehmed, wyprosił sobie posłuchanie u cesarza.

— Najjaśniejszy panie, rzekł, padłszy cesarzowi do nóg, przychodzę cię błagać o wielką łaskę...

— Domyślam się, co mi chcesz powiedzieć, słyszałem już o twem wielkiem przywiązaniu do ojca, przerwał cesarz, uprzedzam cię jednak, abyś żadnej łaski dla niego ode mnie nie żądał — wyrok musi być spełniony!

Młodzieniec zamilkł, a w sercu jego straszna zapanowała rozpacz, wybuchnął głośnym płaczem i zawołał:

— Panie, miej litość, wiem, że ojciec mój zasłużył na śmierć, niech się wyrok spełni, lecz dozwól, abym ja za niego śmierć poniósł!

Cesarz, wzruszony takim żądaniem, głęboko się zadumał, nakoniec rzekł:

— Dobrze, życzeniu twemu niech się stanie zadość. Ojciec twój z tą chwilą jest wolnym, lecz ciebie zaprowadzą natychmiast do więzienia.

Na te słowa kilku żołnierzy z przybocznej straży cesarza otoczyło młodzieńca, aby spełnić rozkaz swego pana. Mehmed

nie wyrzekł ani słowa, tylko dwie łzy wielkie, gorące, spływały mu po twarzy. Widział to cesarz, żał mu się zrobiło zagnanego młodzieńca, więc w tej samej chwili, gdy straż miała go wyprowadzić, zbliżył się do skazanego i uściskawszy go za rękę, przemówił w te słowa:

— Dobry i zacny synu, umiem uszanować twoją gorącą miłość ku ojcu, jemu przebaczyłem, ale i tobie życie daruję, szkodaby bowiem było, aby przez śmierć twoją ojczyzna tak dzielnego utracić miała syna. Na pamiątkę zaś twego szlachetnego czynu daję ci ten oto pierścień.

To mówiąc, zdjął z palca piękny, złoty pierścień i podał go Mehmedowi, lecz ten na nowo począł gorzko płakać.

— Cóż ci się stało? — zapytał cesarz, chciałem cię nagrodzić, a ty płaczesz?!

— Najjaśniejszy panie — odrzekł Mehmed — dzięki ci stokrotne za tyle łaski, ale racz mnie uwolnić od noszenia tego pierścienia, któryby mi przypominał przewinienie mego ojca.

— Mehmedzie, tym nowym dowodem miłości synowskiej zjednałeś sobie moje serce, uwielbiam cię, aby zaś postępowanie twoje było przykładem dla innych, zasiądziesz odtąd w radzie, przy boku moim.

Dziecku, co rodziców swoich czcią otacza,

Bóg błogosławieństwo i szczęście przeznacza.

81. Przywiązanie córki.

Na początku wieku XVI żył w Anglii sławny uczony i wielki mąż stanu, Tomasz Morus. Piastował on różne wysokie urzędy, był wreszcie podskarbisem koronnym i kanclerzem państwa. Kiedy w Anglii rozpoczęła się walka pomiędzy katolikami a zwolennikami nauki Lutra, Morus był wraz z królem Henrykiem VIII gorliwym obrońcą kościoła katolickiego; a kiedy i król oderwał się od kościoła rzymskiego, Morus wołał ustąpić ze wszystkich urzędów, które piastował, niż wbrew przekonaniu zmienić religię. Wkrótce potem wydał Henryk ustawę, skierowaną przeciw kościołowi katolickiemu, a że Morus nie chciał jej zaprzysiąc, wtrącono go do więzienia.

Nie złamało to umysłu wielkiego męża. Kiedy go pewien książę ostrzegał, mówiąc: „Niebezpieczna to rzecz, mistrzu, walczyć z królem; gniew jego grozi ci śmiercią“. — Czy to już wszystko, milordzie?“ — odpowiedział Morus. — „A więc taka jest różnica między nami, że ja dziś umrę, a wy jutro“.

Własna żona odwodziła go od stałości przekonań i starała się go namówić, żeby uległ woli króla. Kiedy razu pewnego wszelkie jej namowy były bezskuteczne, rzekła: „Dziwię się, że ty, co uchodziłeś zawsze za takiego mędrca, siedzisz teraz w ciasnej i brudnej norze, kiedy mógłbyś być wolnym i żyć szczęśliwie. Zgódź się tylko z wolą króla, a odzyskasz wolność, rodzinę, dom swój, ogród, bibliotekę, galerię obrazów — wszystko, co dotąd uprzyjemniało ci życie“. — Ale Morus, który wyżej cenił spokój sumienia, niż osobiste wygody, rzekł: „Czyż ten dom nie jest również jak mój bliskim nieba?“

Jedna tylko córka Małgorzata podzielała zapatrywania ojca: ona jedna zachęcała go, by wytrwał w swoich zasadach; ona była dlań przez cały czas długiego jego więzienia wierną podporą i ulgą. Z całą więc miłością rodzicielskiego serca zwrócił się Morus ku ukochanej córce; a że mu we więzieniu odmawiano pióra i atramentu, pisał do niej kawałkiem węgla: „Gdybym ci chciał na piśmie wypowiedzieć, jak wiele mi pociechy sprawiają twoje listy, przepełnione dziecięcą miłością, toby cały korzec węgla na to nie wystarczył“.

Kiedy żadne prześladowanie, żadne kary stałości jego charakteru złamać nie mogły, wydał król na niego wyrok śmierci (1535). Śmiało na rusztowanie poszedł mąż wielki i umarł, nie chcąc nic czynić przeciw sumieniu. Według barbarzyńskiego zwyczaju owych czasów wystawiono głowę jego na moście londyńskim. Z czcią i niemem współczuciem spoglądali wszyscy na martwe oblicze zacnego męża, ale nikt nie śmiał mówić o nim z zagniewanym królem. Tylko Małgorzata miała odwagę iść do króla i błagać go, by głowę jej ojca zdjęto. Henryk VIII zmięczony łzami dobrej córki, kazał jej oddać głowę ojca, którą ona jak świętą relikwię pochowała.

Jej miłość ku ojcu sięgała nawet poza grób: umierając, wyraziła życzenie, ażeby ją pochowano obok nieszczęśliwego ojca. (Według Samuela Smilesa „O charakterze“).

82. Wdzięczność ku rodzicom.

August II, król polski, jadąc raz konno przez wieś, spostrzegł przy drodze wieśniaka, który, pilnie pracą swą zajęty, wesołą sobie nucił piosnkę. Podobała się królowi ta wesołość chłopka, wdał się z nim w rozmowę i po kilku zapytaniach dowiedział się, że rola, którą uprawiał wesoły chłopok, nie była jego własnością, lecz że tylko jako najemnik pracował i za to co dzień pobierał piętnaście groszy. Przyzwyczajony do większych rozchodów i wydatków, nie mógł król pojąć, jak może człowiek żyć przy tak szczupłym zarobku, a do tego być wesołym, i okazał wręcz swoje zadziwienie. Ale pocziwy chłopok tak odpowiedział:

— Byłoby to bardzo źle, gdybym ja sam tyle potrzebował; dzielę ja mój zarobek na trzy części: jedną obracam dla siebie, drugą na zapłacenie długów, a trzecią składam na kapitał, bym na stare lata mógł żyć z jego procentów“.

To było dla króla nową zagadką, prosił więc chłopka, aby mu ją wytłumaczył. Wesoły człowiek rzekł:

— Najpierw dzielę mój zarobek z biednymi rodzicami, którzy już pracować nie mogą, a przez to spłacam dług u nich zaciągniony w mojej młodości; powtóre z dziećmi moimi, które jeszcze nie umieją pracować i, jak się spodziewam, nie opuszczą mnie także w starości, a to jest ów kapitał, który składam“.

Król podziwiał roztropność pocziwego chłopka, ale daleko więcej uwielbiał jego szlachetność i przywiązanie do rodziców. Nagrodził mu też tę szlachetną miłość ku rodzicom, synów bowiem jego wziął pod swoją opiekę, a jemu dał spory kawał roli na własność.

83. Pamięć ojca.

Piękny przykład miłości ku rodzicom zostawił nam król Bolesław III, zwany Krzywoustym, syn Władysława Her-

mana. Bolesław bardzo kochał ojca swego i po jego śmierci czcił jego pamięć, a wolę szanował. Przez pięć lat po śmierci ojca chodził w żałobie, wizerunek jego nosił na piersiach, na który gdy spojrzał, zwykle mawiał:

— Niech mnie Bóg zachowa, ażebym popełnił co niegodnego błogosławionej pamięci ojca mego!

Na tym medaljonie był z jednej strony wizerunek ojca, a na drugiej stronie następujące ojcowskie przestrogi:

„Uważaj, aby mowa twoja, wprzód nim z ust wyjdzie, była przyzwoitą i uczciwą, gdyż ojciec twój ją słyszy“.

„Uczynki twoje niech się odznaczają sprawiedliwością i prawdą, bo ojciec twój je widzi“.

„Niech wszystkie twoje czyny i drogi rządzą się sprawiedliwością, bo ojciec na nie patrzy“.

„Cokolwiek myślisz lub czynisz, myśl i czyn dobrze i mądrze, szanując obecnego Boga i pamięć rodzica“.

Bolesław Krzywousty umarł w Płocku, ówczesnej stolicy Mazowsza; prochy jego spoczywają w tamtejszej katedrze obok prochów ojca jego, Władysława Hermana.

Ewaryst Estkowski.

84. Poszanowanie wieku i zasługi.

Jan Zamojski, sławny hetman, pan mądry i bardzo bogaty, wracając z wyprawy wojennej do domu, zatrzymał się we Lwowie; w niedzielę poszedł do kościoła OO. Dominikanów dla wysłuchania Mszy świętej. Gdy się ludzie dowiedzieli, że Zamojski będzie na rannem nabożeństwie w kościele, każdy spieszył, aby zobaczyć tak sławnego męża. Z tej przyczyny był w świątyni ścisk wielki.

Przed samem kazaniem powstał szmer jakiś. Ten i ów obrócił się w tę stronę; spojrzał też i Zamojski, siedzący na miejscu wywyższonem przy wielkim ołtarzu.

Z pomiędzy tłumu wysuwał się starzec, siwy jak gołąb, oparty na kiju, a tak osłabiony, że ledwie szedł. Z twarzy, poznaczonej bliznami, można było odgadnąć, że to dawny żołnierz.

Staął wprost ambony i słuchał kazania. Ale nikt jakoś w kościele nie ustąpił miejsca staruszkowi. Widząc to Zamojski, dał mu znak, aby usiadł koło niego. Łza zakręciła się w oku starego żołnierza; skłonił się i podziękował, ale nie śmiał usiąść. Wtedy Zamojski powstał, zbliżył się do starca, wziął go za rękę, przyprowadził do ławki i obok siebie posadził.

— Panie! — szepnął wojak — tyś wielki hetman, a ja ubogi starzec, jakże ja mogę siedzieć obok ciebie?

— Wiek i zasługę powinniśmy wszyscy uszanować! Siedź towarzyszu broni — odrzekł cicho hetman i słuchał dalej rozpoczętego kazania.

A. Jeske, Wypisy.

85. Przywiązanie do rodzinnej strzechy.

Klemens Janicki, syn wieśniaka z Januszkowa, wioski leżącej niedaleko Żnina we Wielkopolsce, był najslawniejszym poetą polskim w pierwszej połowie XVI stulecia. Pisał wiersze po łacinie i nie tylko w Polsce, lecz także we Włoszech, gdzie w 24 roku życia ukończył studia na uniwersytecie w Padwie, niezwykłych doznał zaszczytów; gdyż papież Paweł III ofiarował mu laur poetycki, a najznakomitsi przedstawiciele nauki ówczesnej wręczyli mu dyplom pochwalny.

Miło było Janickiemu bawić na dworze swego opiekuna i dobroczyńcy, wojewody krakowskiego, który chciał uczcić poetę po powrocie jego z ziemi włoskiej; a przecież widocznie czegoś mu jeszcze nie dostawało, za czemś tęsknił, bo nieraz wśród wesołej zabawy pogrążał się w zadumie, i westchnienia gwałtem prawie wyrывały mu się z piersi.

— Co ci jest? — zapytał go wojewoda. — Powiedz czego pragniesz, a wszystko dla ciebie uczynię.

— Miłościwy panie! — rzekł na to poeta — pozwól mi na dni parę odjechać.

— Co? odjechać? — zawołał wojewoda zdziwiony. — Alboż ci źle u mnie?

— O nie, miłościwy panie! Bardzo mi tutaj miło, ale dwanaście lat już nie byłem we wsi rodzinnej i nie widziałem moich starych rodziców.

Na to wojewoda:

— Bóg świadkiem, że mi bardzo przykro rozstawać się z tobą, ale trudno ci odmówić, kiedy w tak pocziwej jedziesz myśli. Zawsze to ojciec i matka drożsi od ludzi obcych.'

Pozwolił tedy pan wojewoda na wyjazd Janickiemu i swoją kolasę dał mu do drogi.

Wyszli panowie pożegnać Klemensa, a jeden zapytał, gdzie mieszkają jego rodzice?

Klemens, nie wstydząc się wcale swego chłopskiego pochodzenia, odpowiedział:

„Za znińskiem bagnem jest wieś przejezdna,
Co się Janusza na imię zowie:
Tamtędy niegdyś polscy królowie
Jeździli w pruską ziemię od Gniezna;
I tam mój ojciec mieszkawiec wioski,
Orze pocziwie grunt pradiadowski!“

Wyjechał tedy we wspaniałej kolasie i w sukniach bogatych do lubej wsi rodzinnej, gdzie mieszkali jego rodzice, krewni i znajomi, gdzie tyle drogich sercu pozostało pamiątek.

Jak drzewo w ziemię puszcza korzenie i, choć zrabane z wierzchu, krzewi się zawsze pod spodem, tak i pamiątki z lat młodzieńczych i miejsc rodzinnych żyją i korzenia się w sercu człowieka, choćby z wierzchu Bóg wie jaka zaszła w nim zmiana.

Szybko toczyła się pańska kolasa po drodze; ale dla Klemensa pędziła ona za leniwo; onby na skrzydłach orlich rad był przelecieć przez góry i lasy, stanąć w ojczystym domu i uściskać starych rodziców.

Pode wsią stoi krzyż na wzgórzu, a pod krzyżem w cieniu siedzi jakaś siwa zgarbiona staruszka. Zwróciła głowę ku gościńcowi i niby patrzy przed siebie, ale nic nie widzi. Od dwóch lat już zapadła na jej oczy ciemna zasłona i zakryła cały świat Boży: ona ślepa nieboga. Wsparła głowę o krzyż, siedzi smutna i nieporuszona.

Wtem zbliża się do niej jakaś młoda kobieta i rzeknie zdala:

— Ej matko, matko, cóż to znowu tak siedzicie samotnie?

Ciemna staruszka westchnęła i zwróciła głowę. — Czekam tu na mojego Klimka; jak poszedł na te nauki, tak już nie wraca. Jam sobie już oczy wypatrzyła nadaremnie, a stary ojciec legł w grobie i nie doczekał się jego powrotu. Pono i ja pójdę za nim, a nie usłyszę więcej głosu jedynego syna. Co dzień chodzę pod ten krzyż i czekam, czy nie nadejdzie — i czekam nadaremnie.

Wtem zaturkotało coś na gościńcu.

— Ktoś jedzie! czy to nie on? — zawołała staruszka.

Dziewczyna popatrzyła na gościnię i rzekła:

— Ej, gdzie tam, to kolasa wspaniała, wiezie pewnie jakiegoś wojewodę albo kasztelana.

Tymczasem kolasa zbliża się, a zbliża, aż nareszcie przystanąła. Młody pan w bogatych szatach wystawił głowę i zapytał:

— Czy wy z Januszy, niewiasty?

Dziewczyna nie poznała twarzy ani głosu, ale serce ślepej matki zabiło jak młotem. Zerwała się z pod krzyża i z całej piersi wykrzyknęła:

— Klimku! Klimku! synu mój jedyny!

Wyskoczył młody pan z pysznej kolasy i rzuca się do nóg starej kobiecie, całuje jej kolana i jak dziecko zalewa się łzami.

— Matko moja — woła — to ja, ja, twój Klimek!

Staruszka nie posiada się z radości, może nareszcie przycisnąć syna do serca. Ale zarazem musi mu powiedzieć, że ojciec i brat już nie żyją, a ona sama może go widzieć jeno sercem i duszą, ale nie oczyma.

Dziewczyna, szczęściem staruszki rozrzewniona, pobiegła co tchu do wsi, i wnet wyszła gromada cała, młodzi i starzy, baby i dzieci, wszyscy biegli przypatrzeć się temu Klemensowi, co w takiej pysznej przyjechał karecie i miał suknie tak bogate. Już przybyli na miejsce, a jeszcze stara matka trzymała syna w objęciach, a on klęczał u jej kolan.

Miesiąc cały zabawił Klemens Janicki na wsi, choć codzień od pana wojewody przychodziły listy, aby coprędzej wracał.

Dobry syn postawił najpierw krzyż na grobie ojca, potem dla ciemnej matki o wszelkie potrzebne postarał się wygody, a przyrzekłszy jej, że wkrótce znowu do niej przybędzie, odjechał do Krakowa.

Ale stało się inaczej. Podobało się Bogu w kwiecie wieku powołać go do siebie.

Stara, ślepa matka przeżyła syna, ale do samego końca tailli ludzie jego śmierć zawczesną.

Biedna staruszka, rozstając się ze światem, błogosławiła jeszcze nieobecnemu synowi, który nie potrzebował już tego błogosławieństwa, bo wcześniej od niej stanął przed tronem Najwyższego.

Podług Łozińskiego.

86. Ostatni policzek.

„Po skończonym dwuletnim kursie filozofji“, mówi Karpiński w swoich pamiętnikach, „przyjechałem na wakacje do rodziców; mieliśmy zawsze jak największe dla matki, a szczególnie dla groźnego ojca uszanowanie. Nie można było w obecności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja, z kimś rozmawiając, wszystkie te wyżej wspomniane ostróżności względem ojca zachowałem, kiedy naraz, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem, przechodził się. Kryminałem było zapytać, za co to? W milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię spuszczonemi, czekałem końca. Wtem ojciec mój rzucił mi się na szyję i mówić ze łzami zaczął: „Synu mój, ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof. Doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego; ale kiedyś skromny i pokorny, kiedy mnie w starości szanujesz...“ Wtem ukląkł w pośrodku izby i, podniósłszy ręce do góry, wołał: „O Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, pobłogosław to dziecko moje, niech żyje długo

zdrowe i szczęśliwe!“ Padłem mu do nóg, rozrzewniony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, a on klęczący do klęczącego mówił rozrzewniony: „Synu mój, szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niechaj będzie jedyny; a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krwią tylko nieprzyjaciela twego wzgarda takowa zmazać się może“. Nie długo potem ten surowy, ale razem najcnotliwszy ojciec pożegnał nas. Przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał i, widząc się bliskim zgonu, matce tylko zlecił: „Powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świat!“ Te były ostatnie jego słowa.

87. Ballada jakich wiele.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony;
Młodzieniec nieznany,
I pyłem odziany,
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
„Mój dziadku! w tem siele
Któż ziemskie opuścił mieszkanie?“
Smutne to są sprawy;
Jeżliś ciekawy,
Posłuchaj, opowiem mój panie.

„Przed kilku latami
Żył we wsi tej z nami
Kmieć z kmiecia zamożny, pocziwy;
Ni soli, ni chleba,
Nie było tam trzeba,
Był czczony, kochany, szczęśliwy.

„I było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek jedynak był trzeci;
Wesoły, rumiany,
Przystojnie odziany,
Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.

„Raz ojciec z wieczora
Powraca ze dwora,
I wzdycha i mówi do żony:

Mój Boże! mój Boże!
Jak też to przy dworze
Stan kmiotka maluczki, wzgardzony.

„Prostaczek w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą ni wiekiem;
I nam Bóg dał dziecię,
Czemużby też przecie
I ono nie było człowiekiem.

„Przedajmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co się i z nim stanie;
Może się przy dworze
Umieści, a może...
A może i — księdzem zostanie.

„Jak rzekli, zrobili,
Lecz grubo zbłądzili:
Bo szczęście i w kmiecym jest stanie;
Dobra jest nauka,
Ale kto jej szuka
Nie z pychy — wszak prawda mój panie!

„Co rok więc na szkoły
Z ojcowskiej stodoły
Szło zboże, z obory dobytek;
Syn wzrastał w rozumie,
Lecz za to i w dumie,
Na smutny rodzicom pożytek.

I przeszło lat wiele,
A nikt go w tem siele
Nie widział w zagrodzie rodzica:
A z cicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Waszmości udaje szlachcica;

„Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca wstydzi się w sukmanie;
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi:
Nie prawda? — Cóż wam to, mój panie?

„Tym czasem oknami,
Jak mówią i drzwiami
Bieda się do niskiej pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latek,
A z nikąd pomocy, pociechy.

„Aż pracą znużony,
Aż troską strawiony,
Raz upadł przy pługu na łanie;
I zasnął na wieki,
A nikt mu powieki
Nie zamknął; płaczecie mój panie?

„Opowieść nie cała:
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie;
Biada jest każdemu
Człowiekowi samemu,
Lecz stokroć samotnej kobiecie.

Więc pismem kazała,
Ze łzami błagała:
Mój synu! rzuć świetne marzenie;
Uczcij mą siwiznę,
Weź ojców spuściznę,
A znajdziesz spokojność i mienie.

„Ba — panie kochany!
Groch rzucaj na ściany:
Trza było z rodzinnej wyjść ziemi,
I rękę przy drodze
Wyciągnąć niebodze
Gdzieś zdala pomiędzy obcemi.

Aż dzisiaj ją rano
Nieżywą zdybano
W swej lubej zagrodzie przy ścianie;
Przez litość w tej chwili
Jej my to dzwonili:
Co wam jest dla Boga mój panie?“

A młodzian nieznany
Wzrok toczył zbłąkany,
I krzyczał z oschłemi powieki:
„Jam jest ten zabójca
I matki i ojca
I szczęścia mojego — na wieki!

„Roilem, marzyłem,
Czcze mary gonilem,
Wiatr rozwiał sny złote przedemną;
Dziś zdrowy, zbudzony
Przychodzę w te strony:
Miej litość, miej litość nademną.

„O! dzisiaj w tem siele,
Ja chleb mój w popiele,
Zwalony łzami memi obmyję;

I jeść go zasięde,
I szemrać nie będę,
Lecz rzeknij: wstań, matka twa żyje!”

I upadł na ziemi,
I łzami krwawemi
Zalał się, w okropnym był stanie;
Dział oczy skrył w dłonie,
A idąc na stronę
Rzekł z cicha: „nierychło mój panie!”

J. N. J.

88. Królowa Jadwiga.

Otoczony gronem senatorów, siedział na tronie król Władysław Jagiełło, gdy nagle u drzwi wchodowych powstał szmer i hałas i dworzanie królewscy w groźnych postawach zastępują drogę kilku nędznie ubranym kmiotkom, którzy, obcierając zwilżone łzami oczy, mówią:

— Dozwólcie nam widzieć Najjaśniejszego króla... już pięć dni napróżno staramy się o to... pięć dni, jak przyszedliśmy do Krakowa... przez ten czas żony i dzieci nasze, nie mając ani gdzie głów wesprzeć, ani co do ust włożyć, może pomarły z głodu i zimna!

Kiedy się to dzieje, nagle ukazuje się żona Władysława Jagiełły, cnotliwa, pobożna i młoda Jadwiga. Od razu spostrzegła ona surowe miny sług królewskich i łzy błyszczące w oczach kmieci, a że litościwe jej serce nie może patrzeć na niedolę bliźniego, rozkazuje przeto przywołać do siebie zasnuconych i, uprzejmie odpowiadając im na niskie ukłony, zapytuje:

— Co chcecie pocziwi ludzie?

— Ach, miłościwa królowo! — zawołał jeden z nich — wojownicy króla zabrali nam dobytki i spalili domy!”

— Zaraz będziecie zadowoleni — odpowiedziała Jadwiga.

Natychmiast udaje się do Władysława Jagiełły i w wymownych słowach wystawia mu wyrządzoną krzywdę. Wzruszyła monarchę mowa cnotliwej pani, uznał słuszność jej żądań i natychmiast z własnej szkatuły wynagradza pokrzywdzonych. Uczyniwszy to, z uśmiechem zwraca się do Jadwigi i rzecze:

— Stało się, jak chciałaś... za pieniądze, jakie im dałem, będą sobie mogli domy postawić, sprzęty i bydło kupić...

— Prawda — odpowiedziała z anielską dobrocią Jadviga — wynagrodziły się ich szkody... lecz któż im łzy wylane powróci?!

89. Szlachetna zemsta.

Za dawnych czasów w krakowskiej ziemi, dokuczał bardzo kmieciom pewien starosta. Szczególnie gospodarz Jan Łopucha doznawał wiele złego od dworskich ludzi, a chociaż chodził na skargę do starosty, nigdy nic nie wskórał.

Zdarzyło się, że w nocy powstał ogień w mieszkaniu starosty. Wieśniacy pewni krzywd, jakich doznali, nie chcieli spieszyć na ratunek. Wtedy stanął przed nimi Łopucha i odezwał się w te słowa: „Bracia, nadeszła pora, aby się pomścić za nasze krzywdy“.

Zdziwieni chłopci spojrzeli na mówiącego, a niejednemu brzmiał ten głos mile w uchu. Łopucha mówił dalej: „Zemścimy się, ale po chrześcijańsku, oto idźmy czempredziej ugasić ogień i ocalić rodzinę starosty, niech pozna, jak to Krakowiacy mścić się umieją“.

Kmiecie, tą zachętą zagrzeni, spieszą na pomoc i z prawdziwym poświęceniem tłumią pożar. Ci noszą wodę, inni skrabiają się na dachy, tamci wynoszą sprzęty i zapasy, inni znowu udają się do stajni i obór, aby wyprowadzić konie, bydło i owce. Łopucha był wszędzie na przedzie, wszędzie dodawał ducha i zachęty. Wtem słyszy nagle rozdzierający serca okrzyk starościny: „Ach, Boże, mój Jaś kochany, gdzież on się znajduje?!“

Łopucha na ten okrzyk boleści nie traci ani chwili, dopada i dowiedziawszy się od służebnych, gdzie dziecko sypia, rzuca się w płomienie, choć groziło mu każdej chwili niebezpieczeństwo życia. Bóg prowadził jego kroki, gdyż niebawem wyniósł Jasia i złożył starościnie na łono, której radość nie miała granic.

Nazajutrz starosta zwołał całą gromadę, a gdy podziękował za pomoc, w te się odezwał słowa: „Janie Łopucho,

spełniłeś dobry uczynek, za który Bóg ci zapłaci. Jednakże i ja z mej strony chciałbym coś dla ciebie uczynić. Mów, jakiej żądasz nagrody?”

Wieśniak ukloniwszy się, odrzekł: „Nie uczyniliśmy nic nadzwyczajnego, gdyż godzi się ratować bliźniego w nie-szczęściu. Ja i inni gospodarze nie znamy dzięki Bogu biedy, ale są między nami tacy, co jęczą w ucisku, niechże wielmożny pan starosta o nich pamięta, a będziemy wynagrodzeni dostatecznie za naszą pomoc“.

Odtąd starosta zmienił się zupełnie i był dla włościan ojcem łaskawym.

90. Szlachetna oszczędność.

Drobne na pozór wydatki pochłaniają największą część naszych dochodów i są największymi nieprzyjaciołmi oszczędności. Przypominam sobie stosowne do tego opowiadanie pewnego posiedziela.

— Zbieraliśmy, opowiadał, składkę na pewien dobroczynny zakład. Koleją przychodzimy do drzwi starego krawca, który właśnie karmił swoją kucharkę za to, że zapaliwszy świecę jednym siarczykiem, drugi rzuciła na śmieci. Wysłuchawszy tych napomnień, byliśmy pewni, że stary skąpiec nie da nam szeląga. Kołacemy atoli do drzwi; otworzył i uprzejmie nas prosił do izby. Była czysta, sprzęty same tylko potrzebne, karafka wody stała na stole; wszystko nam zapowiadało, że stary uprzejmość swoją zakończy gniewem i wypędzeniem gości. Jednakże odważyliśmy się przedłożyć mu nasz zamiar i rejestr podpisów.

Nie marszcząc czoła, przejrzał krawiec papiery i z najspokojniejszą miną wyjąwszy z kufra worek, odliczył nam 30 złotych. Zdumieni tą nadzwyczajną hojnością, wyznaliśmy mu nasze zadziwienie, tem większe, że słyszeliśmy jak ganił służącą o zapalkę.

„Widzicie panowie, odpowiedział z uśmiechem, gdybym nie dbał o wartość zapalki, nie miałbym teraz tej rozkoszy, jaką czuję z tego powodu, że mogę się przyczynić do powszechnego dobra“.

91. Piszczalka.

Miałem lat siedm, opowiada Benjamin Franklin, gdy w imieniny moje dali mi krewni garść miedzianych pieniędzy. Czemp prędzej wybrałem się tedy do składu zabawek, lecz już na drodze spotkałem chłopca z piszczalką, której głos tak mi się spodobał, że mu za nią oddałem wszystkie miedziaki. Ucieszony wróciłem do domu i chodziłem, gwiżdżąc, po wszystkich izbach. Dla mnie było to wielką uciechą, mojemu rodzeństwu zaś sprawiało przykrość niemалą. Zacząłem rozmyślać, ileto pięknych rzeczy mógłbym być kupić za moje pieniądze, a kiedy spostrzegł, że się ze mnie śmieją, bo za piszczalkę dałem cztery razy więcej niż była warta, rozplakałem się, ze zmarzwienia. Żal teraz był większy niż przedtem radość.

Z tego miałem jednak naukę na całe życie. Ile razy mnie chętka wzięła kupienia czegoś niepotrzebnego, zawsze mawiałem do siebie: nie przepłacaj piszczalki! i schowałem pieniądze do kieszeni.

Kiedym wzrósł, rozpatrzywszy się po świecie, widziałem wielu ludzi, którzy bez zastanowienia się kupowali przedmioty, których wartość ocenić nie umieli i dlatego przychodzili do nędzy i upadku.

Wpierw się zastanów, czy rzecz, którą zamierzasz kupić, jest ci potrzebną, i nie kupuj, na czym się nie znasz.

92. Jest to cnota nad cnotami.

Dobrze wiedzieć, słyszeć wiele,
Ale mówić, przyjaciele,
Lepiej mało, zawsze z miarą,
Na zasadę bacząc starą:
Jest to cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami.

Chcesz powiedzieć jakąś plotkę,
Myśl, że masz na ustach kłódkę,
Zamilcz lepiej, plotki szkodzą,
W dobre imię bliźnich godzą:
Jest to cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami.

Dwoje oczu do widzenia,
Dwoje uszu do słyszenia,
Jedne usta niebo dało,
A więc lepiej mówić mało,
Boć: Jest cnota nad cnotami,
Trzymać język za zębami.

Józef Chmielewski.

93. Powódź.

Słońce przygrzało na wiosnę, stopniały śniegi, ruszyły lody. Straszna kra na Wiśle. Wody w rzece przybywa coraz więcej, ludzie zabierają dobytek i uciekają z mieszkań nadbrzeżnych. Ale z najbliższej chaty trudno już uciec; woda otoczyła ją wkoło, odłamy kry nadciągają. Wdowa z pięciorgiem dzieci stoi na progu i ręce łamie... Niebawem całą chatę pochłoną spienione fale.

Na brzeg zbiegła się gromada ludzi z pobliskiego miasta, wszyscy z litością patrzą na nieszczęśliwych, wołają do nich, nawet płaczą nad niemi. A wdowa i jej dzieci wyciągają ręce i napróżno błagają ratunku, pomocy...

Nagle z tłumu wybiegł człowiek, nieznanym nikomu, wskoczył do łódki rybackiej i, torując sobie wiosłem drogę wśród kry, dopłynął z trudem do chaty. Łódka była za mała... parę tylko osób mógł zabrać na nią... Wdowa podała mu najpierw dwoje najmłodszych dzieci. Szczęśliwie dopłynął z niemi do brzegu i znowu powrócił... Znów przewiózł dwoje dzieci... Powrócił jeszcze raz, zabrał ostatnie dziecko i matkę i szybko płynął z niemi do lądu. — Kiedy po raz ostatni odpływał od chaty, olbrzymi odłam lodu uderzył w ścianę..., chata z okropnym trzaskiem runęła!...

Wszyscy patrzeli z przerażeniem na walącą się chatę. Tymczasem nieznajomy wysadził kobietę z dzieckiem na brzeg, poczem oddalił się szybko i znikł w tłumie...

Szukano go wszędzie, chcąc wynagrodzić za pomoc i poświęcenie: nigdzie nie można było go znaleźć.

94. Karol Chodkiewicz.

Uroczystym był dzień dla uczniów szkół wileńskich, w którym król Stefan Batory, znakomity wojownik i polityk, troskliwy o oświecenie podległego sobie ludu, osobiście, w towarzystwie Jana Zamojskiego i innych znakomitych panów przybywał w mury szkolne, ażeby zwiedzić je i obecnością swą do nauk i pilności młodzież zachęcić. Z dobrocią nieraz odzywając się do powstałych na jego przybycie młodzieńców.

spoglądał Batory na te niedorośłe szczepy, na których przyszłe państwa spoczywały nadzieje. Przypatrując się tym twarzom świeżym i wesołością tchnącym, król z rysów ich i z blasku spojrzenia starał się odgadnąć przyszłość niejednego z tych na pół jeszcze dzieci. W ten sposób przechodząc, zatrzymał się Stefan przed młodzieńcem, którego otwarte oblicze i wysokie czoło wskazywały wielki przedsiębiorczy umysł, a żywe przenikliwe spojrzenie zdawało się tchnąć genjuszem. Chwilę z zajęciem spoglądał nań król, potem z ojcowską poufałością opierając rękę na jego ramieniu, rzekł:

„Jak się nazywasz, chłopcze?“ — „Karol Chodkiewicz“, odpowiedział niezmieszany młodzian. — „Podobałeś się nam“, rzekł dalej Batory, „ucz się, bądź pilnym, a zrobimy cię człowiekiem. Uradowany łaskawością monarchy Chodkiewicz, nie umiał słowa odpowiedzieć i podaną sobie przez króla rękę przycisnął do ust i z żywym uczuciem po kilkakroć ją ucałował. — „Bądź zdrow“, dodał oddalając się król, „a pamiętaj o radzie naszej!“ Kiedy zaś o tyle odsunął się od Chodkiewicza, iż go usłyszeć nie mógł, raz jeszcze zwracając się ku niemu, rzekł do Zamojskiego: „Zobaczysz, hetmanie, że ten chłopiec kiedyś znakomitym mężem i wielkim rycerzem będzie. Spełniły się wieszczę słowa Stefana Batorego. Karol Chodkiewicz po opuszczeniu szkół, odznaczając się bystrością umysłu i odważnem sercem, przebiegłszy w ciągu lat kilkunastu niższe wojskowe stopnie, nakoniec żmudzkim starostą mianowany został. W r. 1604 mianowany Wielkim Hetmanem Litewskim, odnosi 1605 r. świetne zwycięstwo nad Szwedami pod Kirchholmem, a w r. 1621 nad Turkami pod Chocimem i sławą okryty umiera w obozie.

95. Z życia Wita Stwosza.

Było to roku 1489. W Krakowie, w świątyni Marjackiej, tłoczno było, jak gdyby podczas jakiej wielkiej uroczystości kościelnej. Uroczystość była też to rzadka: znakomity ówczesny rzeźbiarz, Wit Stwosz, wykonał do wielkiego ołtarza piękną grupę, przedstawiającą zaśnięcie Najśw. Panny, i grupa ta miała być tego dnia właśnie poświęconą. Ze wszystkich

stron miasta cisnęli się ludzie, aby przypatrzeć się temu pięknemu dziełu. Dwanaście lat pracował nad niem Stwosz, figury były złotem i farbami ozdobione, a tyle z nich tryskało życia i prawdy, iż patrzącym zdawało się, że widzą żywe postacie.

Dwór królewski, razem z zebranymi tłumami przypatrywał się z zachwytem temu arcydziełu, a gdy po skończonem nabożeństwie biskup Rzeszowski, który Mszę celebrował, zapytał króla Kazimierza, jak uważa pracę rzeźbiarza krakowskiego. — Jestem nią zachwycony — odparł król — niema łaski, którejbym dziś Stwoszowi odmówił.

Słowa te posłyszał jeden z przyjaciół rzeźbiarza i, uradowany, postanowił mu je powtórzyć.

Dom Stwosza znajdował się na ulicy Florjańskiej. Mistrz zajęty był w pracowni, w której pełno było dzieł, już wykonanych lub też dopiero rozpoczętych. Siedział z dłutem w ręku i rzeźbił piękną kropielnicę, a obok niego poważny wiekiem starzec, serdeczny przyjaciel jego ojca. Obaj gawędzili o rannej uroczystości, gdy wtem drzwi się otworzyły i stanął w nich posłannik radosnej wieści.

— Wicie — rzekł, podając snycerzowi dłoń na powitanie — z dobrą do ciebie nowiną przychodzę. Król Kazimierz powiedział, iż niema łaski, którejby ci odmówił; powinienes więc korzystać z tego przychylnego usposobienia i prosić go, aby cię herbem obdarzył.

— A jemu co po herbie? — zawołał obecny w pracowni snycerza starzec. — Własna zasługa to najchlubniejszy herb, on zasługę już położył, bo gród nasz arcydziełem obdarzył.

— Dziękuję wam, przyjacielu — odrzekł Stwosz, podając dłoń starcowi — wypowiedzieliście moje własne myśli, mam ja już herb, dłuto i pendzel starczą mi za koronę szlachecką.

Wit Stwosz nietylko w kraju, ale i za granicą zasłynął, jako znakomity rzeźbiarz. Prace jego zyskały mu głośnie imię w Polsce, zjednały mu szacunek, poważanie współczesnych i łaski króla. Niestety! Stwosz zapragnął szerszej jeszcze sławy.

Miasto Norymberga, zasłyszawszy o znakomitym rzeźbiarzu polskim wezwało go, by w kościele św. Stanisława

wypracował wspaniały grobowiec temu świętemu mężowi. Stwosz nie umiał odmówić prośbie, zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła rzeźby, której się poświęcił z takim zamiłowaniem. Ale zazdrośni współzawodnicy cudzoziemcy, obawiając się słusznie, by ich nie zaćmił swoim talentem, oskarżyli go o jakieś fałszerstwo, i Wit Stwosz, znakomity artysta, zacny obywatel, skarany został na straszną haniebną karę piętnowania publicznego.

To nieszczęście przynębiło go strasznie; wstyd mu było teraz wracać do swoich; wkrótce też stracił wzrok i resztę życia spędził na wygnaniu. Całą pociechą Stwosza była wnuczka, która starała się rozweselić dziadka, łagodzić żal, jaki miał do ludzi, i czułą opieką osładzać okropność tego położenia. Ona to biednemu znękanemu starcowi zamknęła oczy, ona była, przy jego śmierci, nie odstępując go do ostatniej chwili.

Urodzony w Krakowie r. 1447, Stwosz umarł w Norymberdze r. 1542. Najznakomitszem jego dziełem jest ołtarz Panny Marji w Krakowie.

Chrzęszczewska-Warnkówna.

96. Podróż Mickiewicza do Wilna.

W roku 1815 Adam Mickiewicz oraz brat jego Franciszek ukończyli szkoły. Franciszek pozostał w Nowogródku, Adam zaś postanowił udać się dla dalszej nauki do Wilna. W Wilnie mieszkał jeszcze wtedy ksiądz Józef Mickiewicz, profesor uniwersytetu, daleki krewny Adama, który na początek obiecał przybywającemu kuzynowi swą pomoc i protekcję.

Podróż z Nowogródka do Wilna szesnastoletni Mickiewicz odbywał bryką żydowską, w towarzystwie trzech innych żydów. Droga trwała dwa dni, a że żyd furman, w dzień przystawał i popasał długo i często, a na noclegi przybywał późno, więc jazda zabierała i część nocy.

Młody Mickiewicz rozmyślał o niebezpieczeństwie, grożącym mu w nocy od rozbójników, a głównie lękał się o swoje pieniądze, bo miał przy sobie aż 11 dukatów, kwotę, jak dla niego, znaczną, bo ją pierwszy raz w życiu posiadał.

Towarzyszami podróży byli dwaj młodzi żydzi olbrzymiej postawy, o czarnym zarostie i jeden stary z długą siwą brodą; wszyscy też niewielkie wzbudzali zaufanie w Mickiewiczu. Będąc sam przeciwko trzem, był prawie pewny, że go zrabują, a może zabiją. Wydobyl więc z kieszeni stary pistolet, który zabrał z domu na wszelki wypadek (choć w strzelaniu nie bardzo był mocny) i położył go na kolanach, aby w razie potrzeby bronić się do upadłego.

Stary żyd, Jankiel z Mira, widział te wojownicze przygotowania i przyglądał im się z uśmiechem.

— Nu, a dużo panicz ma pieniędzy? — odezwał się po chwili.

Teraz już Mickiewicz był pewny, że stary żyd chce go obrabować i dlatego pyta się o ilość pieniędzy; nie odpowiedział więc nic, ale wziął broń do ręki.

Jankiel, bojaźliwy, jak wszyscy żydzi, zaczął przekładać młodzieńcowi, ażeby schował pistolet, „bo może być, broń Boże, wypadek...“

Te namowy zwiększyły jeszcze podejrzenie Mickiewicza, który uważał, że jest zupełnie na łasce Jankla, gdyż dwaj inni żydzi spali, chrapiąc mocno; choćby więc nawet nie pomagali Janklowi, nie pomogliby i jemu.

Stary Jankiel, widząc, że namowy jego są daremne, wydobyl z pod kapoty grubą „kozicę“ to jest torebkę ze skóry kozłowej, a pokazując Mickiewiczowi znajdujące się w niej pieniądze srebrne, złote i papierowe, rzekł:

— Widzi panicz, że ja mam daleko więcej pieniędzy, a gdybym panicza zabił, toby mi sąd cały mój majątek zabrał i samego wsadził do więzienia, a potem wysłaliby mnie na Sybir.

Przekonało to Mickiewicza: wstydząc się swoich podejrzeń, zdmuchnął proch z panewki i schował pistolet do kieszeni. Potem wdał się z Janklem w rozmowę; doświadczony kupiec dawał mu różne „mądre rady“ jak żyć na świecie i jak zdrowie szanować.

— Bo to widzi panicz — mówił Jankiel, — dotychczas panicz był w szkole i w domu rodzicielskim, to go pilnowali

i profesorowie i rodzice; mówili, że to wolno, a tamtego nie wolno, że to szkodzi zdrowiu, a to nie. A teraz to panicz sam żyć musi na świecie, odrazu wypuszczony ze szkoły i z domu... Taka wielka i raptowna swoboda niejednego zgubiła na zdrowiu i na kieszeni. Niech panicz pamięta, że ten tylko żyć będzie długo, i starość będzie miał czerstwą, kto za młodu pędził życie oszczędne, umiarkowane, spokojne i kto zdrowie szanował. Trzeba pracować, ale nie zanadto; nie ślęczyć nad książką po nocach, albo po dniach całych. Trzeba także bawić się, ale szlachetnie, bez marnotrawstwa pieniędzy i czasu, bez straty zdrowia...

I długo tak prawił stary Jankiel; rady te zapamiętał Mickiewicz i nieraz później przypominał je w rozmowie z przyjaciółmi.

Z przybyciem do Wilna kończy się pierwszy okres życia Adama — jego dzieciństwo, o którem wspominał później często i ze łzami.

W Wilnie przebywał cztery lata, pracując w gronie zanej młodzieży, która za radą starszego kolegi, — Tomasza Zana, zawiązała „Towarzystwo Przyjaciół nauki i cnoty“. W roku 1819 Mickiewicz ukończył uniwersytet.

Następnie przebywał w Kownie, później w Odessie, Moskwie i Petersburgu. Potem wyjechał za granicę.

Mickiewicz gorąco ukochał ziemię swoją i tak cudnie opisał jej zwyczaje, uczucia i wierzenia, iż czytając go, zapomina się o świecie Bożym i naprzemian człowiekowi to smutno, to wesoło, to śmiać się chce, to płakać, — a zawsze mu się zdaje, że widzi te miejsca i tych ludzi, których poeta opisuje, że zna ich i kocha, że z nimi razem i radość i boleść czuje. A jak on to wszystko opisuje! Toć każdy człowiek potrafi na przykład powiedzieć, że będąc zagranicą, tęskni do swoich łąk zielonych i do pól zbożem pokrytych, — ale nikt tego nie wyrazi tak, jak Mickiewicz, kiedy się serdecznie modli do Panny Przenajświętszej:

...przeñoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,

Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panięskim rumieńcem, dzięcielina pała,
A wszystko przepasane niby wstęgą miedzą
Zieloną; na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Dlatego każdy w utworach Mickiewicza znajduje dla siebie coś chwytającego za serce, a czytając myśli tego wielkiego poety i zacnego człowieka, pokocha wszystko co szlachetne i lepszym się stanie.

97. Odwiedziny u Lelewela.

W małej, zimnej i ubogiej izdebce siedział starzec, pochylony nad stołem, założonym książkami, i pilnie coś pisał. Mróz świecił na ścianie, ale on tego zdawał się nie czuć, pióro jego ciągle posuwało się żwawo po papierze. Wtem drzwi się otworzyły i do pokoju weszła dziewczyna, niosąc tacę, a na niej filiżankę czystej herbaty oraz suchą bułkę i postawiła to na stole. Tuż za dziewczyną wsunął się do izby jakiś wytwornie ubrany jegomość i kłaniając się grzecznie, rzekł:

— Witam pana, panie Lelewel.

Starzec podniósł głowę, skłonił się uprzejmie gościowi i rękę do niego wyciągnął.

— Witam cię, Ludwiku — rzekł — proszę, siadź bliżej przy mnie.

Gość przysunął się spiesźnie, ścisnął podaną sobie dłoń i zajął próżne krzesło, stojące przy stoliku.

— Ależ zimno u pana potężne! — rzekł, zacierając ręce. — Eh! nie zimno, mój panie, przy pracy krew się rozgrzewa i mrozu się nie czuje — odparł starzec wesoło.

— Szczęśliwyś pan, że w tak późnym wieku tak łatwo znosisz zimno; lecz skoro opał pana nic nie kosztuje, to mógłbyś przynajmniej na posilniejsze pozwolić sobie śniadanie — odparł gość, patrząc na skromną herbatę.

— Co kto lubi, mój panie, kochany. Ja np. wolę na śniadanie porozmawiać z Herodotem, ojcem historyków, lub z naszym Bielskim, niż jeść bażanta. Mnie tego rodzaju pożywienie więcej sił doda, niż najwykwintniejsze specjały. Na wykwintry

pokarmowe nie stać mnie, wybieram więc to co mi więcej smakuje.

Gość uśmiechnął się, przypuszczając skąpstwo w zacnym starcu i nic na to nie odpowiedziawszy, zwrócił rozmowę na inny przedmiot. Minęło pół godziny. Znowu drzwi izdebki się rozwarły i w progu jej stanął jakiś biedak.

— Panie zlituj się nademną, syn mój chory śmiertelnie, nie mam go za co ratować — rzekł drżącym głosem.

Lelewel podniósł głowę, w oczach jego odmalowało się współczucie; dobył z kieszeni woreczek, wyjął kilka sztuk srebrnej monety i wsunął je w rękę biedaka.

Gość przypatrywał się tej scenie z zaciekawieniem wielkiem, a gdy obdarzony wyszedł, błogosławiąc dobroczyńcę, przysunął się do starca i całując go w rękę, rzekł z uczuciem i drżącym głosem:

— Przebac, zacny panie; patrząc na twe aż nazbyt skromne życie, nieogłędnie posadziłem cię o skąpstwo. W tej chwili poznałem błąd mój... Wybacz więc, żem pozór wziął za prawdę.

— Nie gniewam się — odrzekł Lelewel — i nie dziwię się twej omyłce. Pozór u ludzi ma wielkie znaczenie, z pod którego prawda z trudnością się wydobywa. Jam z pozorem zerwał na zawsze, wyglądam też jak stare biedaczysko; ludzie zaś nie wiedzą, żem bogacz, bo nic od nich nie potrzebuję.

98. Ks. Piotr Baudouin.

Ksiądz Piotr Gabryel Baudouin, założyciel szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, urodził się z zamożnej rodziny, dnia 5 kwietnia 1689 w Francji.

Po skończeniu nauk zapragnął pójść do klasztoru, lecz za namową rodziny na razie tego zaniechał i pojechał do Paryża, gdzie wstąpił do szeregów gwardji królewskiej Ludwika XIV. Po krótkim jednak pobycie poczuł, iż minął się z prawdziwem powołaniem, więc, nie namyślając się długo, zapisał się do nowicjatu zgromadzenia Misjonarzy, a w trzy lata po wstąpieniu do zakonu przyjął święcenie kapłańskie.

W roku 1717 Baudouin przybył do Warszawy, porzucając proponowane mu duchowne godności, i tu postanowił w spokoju pracować dla dobra ludu, którego języka bardzo prędko się nauczył. Z początku został jednym z nauczycieli seminarjum duchownego, mieszczącego się przy kościele świętego Krzyża i przełożonych Sióstr Miłosierdzia.

Ówczesna Warszawa, wyczerpana wojnami i panującymi zaraźliwymi chorobami, kryła w swoich murach wiele nędzy. Zdarzało się, że ten lub ów z nędzarzy, nie mogąc wyżywić, porzucał na ulicach dziatwę swoją na wolę losów, czekając, aż ją kto litościwy przygarnie. Widząc tę wielką niedolę, świętobliwy mąż postanowił zaradzić złemu. Ponieważ majątku swego rodzinnego zrzekł się na korzyść innych, pozostała mu jedyna droga kołatania do serc litościwych. Z prawdziwym zaparciem się siebie, zebrząc o jałmużnę dla opuszczonych, ksiądz Baudouin zebrał w r. 1732 na podziw tyle pieniędzy, iż zakupił na Krakowskim przedmieściu, wprost kościoła św. Krzyża kamienicę, gdzie pod opieką Sióstr Miłosierdzia umieszczał opuszczone dzieci, przygarnięte na ulicach Warszawy.

Jako jeden z prawdziwie świętobliwych objawów wielkiej miłości chrześcijańskiej przytoczymy podanie, które się przechowało o księdzu Baudouinie. Pewnego razu, kiedy kapłan ten przebiegał ulicę Warszawy, wśród chłodu, deszczu i błota, dążąc od domu do domu ze skarboną jałmużniczą, wszedł do jakiegoś pałacu. Niepostrzeżony wsunął się do komnaty, gdzie przy stole siedzieli panowie i grali w karty, a przed nimi leżały stosy złota. Zbliżył się ku nim kapłan i, przerywając grę, zażądał jałmużny. Jeden z graczy, zapomniawszy o godności ludzkiej, w odpowiedzi na tę prośbę wymierzył kapłanowi policzek. Święty prawdziwie mąż spokojnie odrzekł: — „To dla mnie, a co dla biednych?“

W okamgnieniu i ten, co go obraził, i inni możni panowie rzucili się do nóg sługi Chrystusowego i, całując jego ręce, składali złoto, które mieli przy sobie, a ten, który postąpił tak niegodziwie, ze skrucłą błagał przebaczenia.

Baudouin darował winę i rozradowany zaniósł otrzymane pieniądze na otarcie łez nędzy.

W roku 1754, widząc, że zakład nie wystarcza na potrzeby ludności, a przytem, że prócz sierót, cierpi wiele kalek, chorych i bezdomnych dorosłych, zamierzył większy gmach wybudować.

W tym celu nabył grunta i położył kamień węgielny pod budowę okazałego gmachu, który z małemi późniejszymi przeróbkami widzieliśmy jako gmach szpitala Dzieciątka Jezus.

Budowa byłego gmachu szpitala Dzieciątka Jezus trwała lat 8. Ukończono ją w roku 1762, a poświęcił uroczyście biskup Załuski, przy uroczystej asyście władz ówczesnych.

Szpital mianowano głównym szpitalem Warszawy i kraju, gdyż był on największy ze wszystkich wówczas istniejących. Przeniesiono do niego wspomniany przytułek dla niemowląt i opuszczonych dzieci z Krakowskiego Przedmieścia, a oprócz tego dodano oddziały dla wszelkich kalek, chorych umysłowo, żebraków i cierpiących na różne choroby.

Wielki, pełen poświęceń ksiądz Baudouin umarł d. 10 lutego 1768 roku i pochowany został uroczyście w podziemiach kościoła św. Krzyża. Przed jego zgonem najznakomitsi ludzie biegali doń, prosząc o błogosławieństwo.

Dziś szpital Dzieciątka Jezus na placu Wareckim już nie istnieje, przeniesiono go na folwark Świętokrzyski, a na pozostałych placach wybudowano okazałe gmachy. Pozostał tylko kościółek pod wezwaniem Imienia Jezus, w roku 1762 zbudowany w pośrodku ówczesnego szpitala.

99. Policzek.

Gdy pił król August, naród był pijany *),
Brodził w rozpuście, zbytku i swawoli;
Pan się weselił, a jęczał poddany,
I nikt nie ulżył nędzy i niedoli

Stolicę państwa, jak Sodomę drugą,
Owiała zawsze pijana pomroka;
Wszystko wróżyło noc ciemną, noc długą...
Próżne przestrogi! nie było proroka.

*) Słowa Krasickiego.

W onym to czasie przyszedł do Warszawy
Sługa Chrystusa z nadsekwańskiej ziemi;
Zwał się Boduin; a był człowiek prawy,
Co umiał uczuć litość nad bliźniemi.

I widział w państwa możnego stolicy,
Z bólem dla serca, hańbą dla ludzkości,
Widział! o zgrozo, jak się na ulicy
Psy ujadają o dziecięcia kości.

Gdy otarł oczy napelnione łzami,
Wzniósł je w niebiosa i wyrzekł w pokorze:
Ty, co opiekę masz nad sierotami,
Myśl moję czystą pobłogosław Boże!

Od tej godziny starca i kalekę,
Dziecię rzucone na łup poniewierce,
Choć skarbów nie miał, w silną wziął opiekę;
Bo umiał wmówić litość w każde serce.

Razu jednego gdy swoim sierotom
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Aniół, co jego przewodniczył cnotom,
Zawiódł go w domu wspaniałego progi.

Był to dom graczy. O ty, co w podziale,
Oddajesz nędzy grosz wdowi wesoło,
I chleb z nią złamiesz pieczony w popiele,
Słuchaj i z dumą wznies ku niebu czoło.

W bogatej sali, przy zielonym stole,
Dwunastu graczy zasiadło w milczeniu;
Trzynasty z piętnem Judasza na czole,
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.

Gdyby to złoto, co błyszczy przed niemi,
Rozdał ludzkości ginącej w potrzebie;
Ileżby jęków, łez oszczędził ziemi!...
Litości! gdzieżto śmiałem wspomnieć ciebie.

Na tej zapadłej, trupiobladej twarzy,
W oku, co mało z głowy nie wyleci,
Litość że ogniem tak dzikim się żarzy?
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.

Patrzcie, to młode, szlachetne oblicze
Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina;
Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
A matko, matko! płakać będziesz syna.

Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najhojniej miotał kruszec złoty,
Głos do pokornej, cichej prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.

W tej właśnie chwili odwiecznym wyrokiem,
Co ludzkim sprawom pewien cel zmierzył,
Gracz przegrał kartę; więc z iskrzącem okiem
Skoczył, kapłana w policzek oderzył.

Rozszedł się 'odgłos po obszernej sali,
A potem cisza, potem zimna trwoga;
Gracze zadrżeli, pobledli, powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.

Choć stał spokojny, cichy, niewzruszony,
Tylko blask chwały, iza w oku zaświeci,
Tylko natrętniej potrząsnął skarbowy,
I rzekł: „to dla mnie, Panie, cóż dla dzieci?“ —

Cnota tak wzniosła godny triumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczule;
A złoto czarta niesione w ofierze
Idzie w ubóstwa i nędzy szkatułę.

O! jeśli kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży
Dzieciątka Jezus w Warszawie budowy,
A uczi męża i w cnotę uwierzy.

Jaśkowski.

100. Z życia Jerzego Waszyngtona.

W Ameryce podczas wojny o niepodległość, dowódca małego oddziału wojska rozkazał kilku żołnierzom, aby podnieśli w górę wielki kłoc drzewa, potrzebny do naprawy obwarowania. Była to praca nadzwyczaj ciężka. Żołnierze nie mogli jej podolać, lecz dowodzący stał nad nimi i wołał:

— Dalejże, prędzej, dźwigajcie do góry!

Wtem nadjechał konno jakiś pan w cywilnem ubraniu, spojrzął na pracujących i zapytał dowodzącego, dlaczego sam nie pomaga w tak ciężkiej pracy.

— Panie — odpowiedział zapytany z miną poważną — ja jestem kapralem.

Na to przybyły zdjął z uszanowaniem kapelusz, uklonił się nisko i rzekł:

— Przepraszam uprzejmie, panie kapralu, nie wiedziałem o tem. Potem zeskoczywszy z konia, pomagał żołnierzom, aż mu pot spływał z czoła.

Gdy już belkę podciągnięto i umieszczono, nieznajomy pan obrócił się do kaprała i rzekł: — Jeżeli będziesz pan miał jeszcze jaką ciężką robotę, której żołnierze jego sami nie podołają, pošlij po swego naczelnego wodza, aby ci pomógł, a przyjdę natychmiast.

Był to Jerzy Waszyngton, oswobodziciel Stanów Zjednoczonych.

101. Z życia Benjamina Franklina.

Całe życie Benjamina Franklina jest znakomitą wzorem, do czego człowiek dojść może własną pracą, o własnych siłach i jak wiele dobrego zrobić dla społeczeństwa.

Syn ubogich rodziców, w dziesiątym roku życia przestał chodzić do szkoły, a wkrótce potem zaczął dla zarobku pracować w drukarni starszego brata. Zdolny i zamięlowany w nauce, już jako dzieciak każdą wolną chwilę poświęcał pracy, nad sobą, czytaniu książek pożytecznych, a przede wszystkim odczuwając brak dokładnej znajomości języka ojczystego, starał się kształcić w tym kierunku. W tym celu wybierał z książek ustępy, odznaczające się pięknym językiem, jasnością stylu, ścisłością wyrażań, — odczytywał je kilkakrotnie, notował sobie najtrudniejsze lub najpiękniejsze zwroty, a po kilku dniach starał się bez pomocy książki opisać to samo, jak można najpodobniej do autora. Jeżeli takie czytanie przy porównaniu z książką wymagało dużo poprawek, powtarzał je parokrotnie i tym sposobem nabył zupełnej łatwości poprawnego wysławiania swoich myśli.

Miał lat 14, gdy brat jego zaczął wydawać gazetę, jedną z pierwszych gazet w Ameryce. Co wieczór schodzili się do niego najwykształceńsi obywatele miasta, odczytywali swoje prace, radzili nad tem, które z nich można wydrukować, i o czem należy pisać. Benjamin przysłuchiwał się z uwagą tym rozmowom, nieraz miał ochotę wtrącić swoje zdanie, brakło mu jednak odwagi odezwać się wobec starszych, którzy mogli go wyśmiać. Lecz chęć wypowiedzenia swej myśli przemogła.

Pewnego razu Benjamin napisał artykuł i położył go na progu pokoju, w którym miała zebrać się redakcja gazety. W ten sposób artykuł nieznanego autora podjęto, odczytano i — co najważniejsza — uznano za dobry. Można sobie wyobrazić, jaką niespodzianą radością było serce Franklina, gdy goście brata, chcąc odgadnąć nazwisko ukrywającego się pisarza, wymieniali ludzi poważnych i uzdolnionych. Wkońcu rzecz się wykryła, młodego chłopca otoczono szacunkiem i uznaniem. Nic też dziwnego, że w kilka lat potem, jako powszechnie szanowany pisarz i doskonały drukarz, znalazł wspólnika, który mu zaproponował założenie własnej drukarni. Dawał na nią kapitał, od Franklina wymagał pracy. Młodzieńiec wziął się do niej — jak to mówią: zakasawszy rękawy. Z brzaskiem dnia był już na nogach i kładł się do snu ostatni. Nie pogardzał też najzwyczajszą robotą. Widziano, jak w prostym stroju robotnika przewoził taczkami papier przez sam środek rynku. Sąsiedzi podziwiali jego pracowitość. Odrywała go tylko czasami książka, ale i to upodobanie w tym czasie starał się zagłuszać w sobie, gdyż kapitał wspólnika nie wystarczał, i Franklin musiał zaciągnąć długi. Spłacić pożyczone pieniądze i postawić drukarnię na stopie możliwej doskonałości było pierwszym celem Franklina. Amerykanie znają wartość pracy i cenić ją umieją. Ufano mu i pożyczano, niby bogatemu przemysłowcowi, bo poważni ludzie wyrażali się o nim, jako o człowieku niepospolitej pracy i zdolności.

Wówczas to Franklin zachęcił kilku swoich przyjaciół, ażeby zbierali się raz na tydzień dla wspólnej nauki i poważnej rozmowy. Zebrania te nazwano „Junta“ od hiszpańskiego wyrazu „zgromadzenie“; w mieście przezywano je też zebraniem skórzanych fartuchów, a to z tej przyczyny, że przeważnie składało się ono z rzemieślników.

Każdy z członków miał prawo zadawać pytanie, dotyczące nauki lub sprawy ogół obchodzącej. Następnie jeden ze zebranych podejmował się opracować rzecz na piśmie, a to w celu uniknięcia doraźnych i nieobmyślonych odpowiedzi. Reszta obznajmiała się też z przedmiotem, i po dokonanych dopiero samodzielnych pracach, przystępowano do rozpraw

i rozstrzygania zdań spornych. Przytem jeden z wybranych przestrzegał, żeby rozprawy nie przybierały charakteru sprzeczek, żeby nie chodziło o błyszczenie, popisanie się dowcipem, ale o miłość prawdy i gruntowne zbadanie przedmiotu.

Z początku liczba członków Junty była ściśle ograniczona, z czasem jednak każdy młody człowiek w Filadelfji zaczął poczytywać sobie za zaszczyt, jeżeli dopuszczono go do tego poważnego zgromadzenia. Niedługo wszyscy rozumni i lepiej myślący ludzie połączyli się w stowarzyszenie Junty, gdzie rozstrzygali wszelkie ważne sprawy i kierowali opinią nie tylko Filadelfji, ale i całej prowincji.

Za przykładem Filadelfji poszły i inne miasta amerykańskie. Zaczęto stowarzyszać się w różnych celach i ogólnie nazwano takie zebrania klubami. Jednocześnie prawie z założeniem pierwszego klubu w Ameryce, Franklin dał początek drugiej poważnej instytucji w Filadelfji.

Na pierwszych już zebraniach Junty członkowie przy sporach musieli odwoływać się do książek, które pozostawili w domu. Franklin zaproponował, żeby w celu uniknięcia tej niedogodności wszyscy złożyli swe książki w mieszkaniu Junty. W ten sposób każdy z pojedynczych członków mógł korzystać z książek, należących do całego zgromadzenia. Taki był pierwszy zowiązek pierwszego publicznego księgozbioru w Ameryce. Liczył on zaledwie kilkadziesiąt książek, w ostatnich zaś latach biblioteka ta szczyciła się posiadaniem 80 000 dzieł. Piękny marmurowy posąg Franklina, który tam stoi, zdaje się uśmiechać i cieszyć się z tego, że jego dzieło tak się rozwinęło i zolbrzymiało.

Nie zaniedbał też Franklin i drukarni. Widząc, że jedyne wychodzące natenczas pismo w Filadelfji nie posiada żadnej wartości i jest źle redagowane, Franklin począł wydawać własną gazetę, która stała się najpoczytniejszem pismem.

Za jego radą utworzono też straż ogniową i zabezpieczono miasto od nieszczęsnych pożarów. Dla ochrony mieszkańców od grabieży i rozbojów ustanowiono stróżów nocnych. Oczyszczono i wybrukowano błotniste i brudne ulice, nieznośną ciemność rozjaśniły latarnie.

A nie było to dziełem żadnego bogacza, ani wysokiego urzędnika, lecz prostego przemysłowca, który z ubogiego pracownika w drukarni wyrósł na najużyteczniejszego człowieka w mieście.

Jeśli dodamy do tego jego prace naukowe, wynalazki i usługi, oddane ojczyźnie podczas wojny z Anglią o niepodległość, zrozumiemy, jak wielką siłą jest energia, dobra wola i rozum każdej jednostki, która chce szczerze te dary zużytkować dla dobra ogółu.

Podług F. Morzyckiej.

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

A. Mickiewicz.

Niemasz wykształcenia bez charakteru; żadna szkoła nie zastąpi wykształcenia życiowego.

St. Szczepanowski.

102. O miłości Ojczyzny.

Wyjątek z kazania.

...Miłujcie ojczyznę, a mówcie tak z serca z Dawidem: — Jeśli cię zapomnę, ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki mojej! ...

Jako tej najmilszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła, i wychowała, nadała i wyniosła? Rozmyślcie, jakie od niej dobrodziejstwa i upominki macie. Dała wam złotą wolność, dostatki i pokój, jakiego wiele królestw nie mają. Macie od tej ojczyzny sławę wojenną. Rodzi wam ta matka mężne, mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają. Taż matka najmilsza uczyniła wam sławę u wszystkiego chrześcijaństwa i pogaństwa od wschodu do zachodu.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować, i one w całości zatrzymywać, i dla zdrowia jej wszystkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? One miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mniemacie,

abyście dobrze sobie czynili i życzyli? Nie tak jest. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie; i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszystkim, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majątkością którą ma na okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszystkiego zapomniawszy: dopiero swe wszystko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował.

Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas nie-
sie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle
dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wy-
lewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bez-
pieczności jego wszystkim, co w domu jest, nie pogardzamy:
— zatonie, i z nim my sami poginiemy!

Ks. Piotr Skarga.

103. Śmierć zdrajcy ojczyzny.

Noc była ciemna, milczenie ponure
Łało spokojność na całą naturę;
Wtem księżyc zajaśniał miłe,
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy nieba skrycie
Na promykach gwiazdy schodzą,
I gorzkie nędzarzów życie
Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem,
Toczy mętne wały,
Błyszczą gmach wspaniały.
Tam zdrajca kraju obrzydły
Leżąc, gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swemi skrzydły
Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu,
Po kunsztownych lampach skryty,
Pokazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty.
Starannie przez długie lata
Zgromadził tam zbytek złoty.
Wszystkie niemal skarby świata;
Nie stawało snu i cnoty.

Już czas chyży
W twardej spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził
A sen jeszcze nie przychodził.
On biegał po małych chatkach,
I przytulał tych w tej chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście:
Jak jesienne wędną liście,
A smutki serce mu bodły.
Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.

Wtem niebo znak dało grzmotem,
Pioruny trzasły,
Ogień zagasły,
Wicher drzewi wyparł z łoskotem.
Wchodzi naprzód księżyc błądy,
A za nim w ślady,
Jakaś poważna osoba,
Na niej żałoba;
Smutna postawa
Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe
Drży zdrajcy serce lękliwe;
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: „To strachy czyje?
„Stój! bo zabije!”
Ale postać błąda,
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha,
I wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą,
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął,
Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztrąca,
Środek postaci przeszyla;
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem,
Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącym
Wspiera się łokciem oziębiallyjącym,
I odpoczywa.
On mdleje,
Potnieje,
I za drugą broń porywa.

Wtem ona do niego rzecze
Głosem takim jakim ciecze
Słodki strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
„Stój! mnie kula nie zabije,
Na waszym świecie nie żyję.
Synu! ty w ciemnym zamknęłaś mię grobłą,
A ja przychodzę dać ratunek tobie.
Widzę twą duszę smutkiem obciążoną,
Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności łono.
Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
Mścić się nad synem“.

Wtem razem roztrzęśli się gmachy
Zadrzały dachy,
Jękla noc blada,
Przez okna wpada
Duch czarnej postaci,
I rzecze głosem zagrzmienia:
„Niemasz, niemasz przebaczenia
Temu, co przelał krew braci!
Pan przedwieczny, sprawiedliwy:
Stań przed jego sąd straszliwy“.

Tak wyrzekł i wnet ponury
Ciało zbrodnia w łóżę cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury;
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

Antoni Górecki.

104. Na fujarce.

A eżemuż wy, chłodne rosy,
Gadacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosi,
Głód w chacie?...
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole,
I policzył łyzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Zać żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo.

Przyjdzie słońko, na niebiosy
Wschodzące,
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyszło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże.

Marja Konopnicka.

105. Nadziei nie trzeba tracić.

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoś się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.

Patrzaj teraz na lasy
Jako przez zimne czasy
Wszystkie swą krasę drzewa utraciły,
A śniegi pola wysoko pokryły.

Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg znienagła zejdzie,
A ziemia, skoro słońce jej zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.

Nic wiecznego na świecie:
Radość się troską plecie;
A kiedy jedna weźmie moc największą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą.

Ale człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje;
Więc też kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

Lecz na szczęście wszelakie
Serce ma być jednakie:
Bo z nas fortuna w żywe oczy szydzi,
To da, to weźmie, jako się jej widzi.

Ty nie mlej za stracone,
Co może być wrócone:
Siła Bóg może wywrócić w godzinie;
A kto mu kolwiek ufa, nie zginie.

J. Kochanowski.

106. Myśli.

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie:
Nie znajdziesz Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Nauką i pieniędzmi drudzy się bogactw,
Mądrość musisz sam z siebie własną zdobyć pracą.

Głupiec jak muł we młynie związane ma oczy
I ciągle ruszając się, ciągle w miejscu kroczy.
Mędrcy prawdziwie wielcy jak niebieskie ciała,
Zdają się stać, gdy każde z nich leci i działa.

Adam Mickiewicz.

107. Nie boję się nikogo.

Gdym spełnił powinność moję,
To nikogo się nie boję;
Idę, śmiało patrzę w oczy,
Kto nie taki, niech mi zboczy.

Przejdę lasy, przejdę góry,
Nie lękam się czarnej chmury;
Czy wśród ognia, czy na rzece,
Bóg niewinnych ma w opiece.

Wesół śpiewam piosnkę moję
I nikogo się nie boję;
Czy dniem idę czyli nocą,
Bóg mi zawsze jest pomocą.

Kiedy złego mijam człowieka,
To odemnie sam ucieka,
Bo wyczyta z mego oka,
Że mnie chroni Pan z wysoka.

Trzaska piorun, a ja stoję
I niczego się nie boję;
Pan Bóg zechciał, to ja żyję,
Zechce Pan Bóg, to zabije.

Niechaj będzie wola Boga,
O! ja nie znam, co to trwoga,
Idę śmiało, śpiewam sobie:
Wielki Boże! Chwała Tobie!

Jachowicz.



ROZDZIAŁ IV.

Z dziejów ojczystych.

108. Pieśń o Domu Naszym.

(W skróceniu).

Dzisiaj moi towarzysze
Ja wam Polski dom opiszę:
Jego skarby i nadzieje —
Jego węgly i koleje.

Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali,
To ten dom wasz w Panu strzeże.

Więc ni z drzewa, ani z cegły,
Dom ten stawił wiek ubiegły:
Duch to Polski budowniczym —
To nie zburzyć domu niczem!

Ni powodzią ni pożarem,
Ani mieczem, ni rozbojem:
Bóg zamieszkał w domu starym
Duch zamieszkał w domu twoim.

A dla Wiary i dla ducha
W ziemi dziadów śmierci niema:
Choć rwie wieków zawierucha,
Dom się w węglach swoich trzyma.

I dostoi — i przestoi
Wszystkie burze, wszystkie złości,
Bo krew dziadów we krwi twojej,
A kość żyje w twojej kości.

Skarby chowa ziemia lacka
I piękności co Bóg stworzył;
Dziwnie cudne zlemskie cacka
Dał nam Pan Bóg — abyś ożył.

Wielkim duchem z ojców ziemi
I szedł torem za lepszymi. —
Więc gdy wdziękiem ziemia wita,
O skarb ducha Bóg zapyta.

A więc słuchaj, co Ci powiem:
Jeżeli dziejów masz życ zdrowiem,
Winy trzeba szukać w sobie —
Prawdy w Wierze — życia w grobie. —

Innych skarbów w duszy niema:
Ah! i tylko tyle trzyma,
Co za siebie człowiek streści!
Bo i któż Ci duszo młoda,
Któż Ci skarby ducha poda
I te wielkie z nieba wieści?
Kto Cię patrzeć, czuć naucze
I podsłuchać głos tej ziemi?
Kto Ci wielkie poda klucze;
Abyś duchem wielu ożył,
I przybytku drzwi otworzył,
I w nim stanął z Wybranemi?

Jest w podaniu tajemnica,
By ten żywot przysposobić
Dla rycerza i dziedzica,
Co tych skarbów ma się dobić. —
Znaj podanie twego rodu,
Wielkie dzieje twojej ziemi;
W dziejach świata prąd Narodu,
A wyniesiesz — i z pogromu
Sojusz dziadów ze Świętymi!
To, co wynieść z ziemi trzeba:
Zrąb polskiego swego domu;
I dla domu łaskę nieba!

Puśćmy Synu się po kraju,
Na te sioła i dziedziny —
Z poczynmy oględziny,
W jakim żyją obyczaj, —
Za kopcami i za miedzą,
Ci co zdawna w ziemi siedzą?

Bo masz wziąć w domu Twoim,
Za ich wzorem, za ich strojem,
I wziąć w polu — i wziąć w lesie.
Co obyczaj ziemi niesie:
Patrz! tu stara mszysła strzecha:
Dąb odwieczny ją ocienia —

To tu będzie i pociecha!
Bo co miło jest z wejrzenia,
To i czyste w sercu bywa. —
Gospodarzu głowa siwa:
Coś zadumał się głęboko,
I jak Piast na przyspie siedzi:
Znać gdzieś w przyszłość zwrócił oko,
Lecz, nie znalazł odpowiedzi...

Tutaj synu rzeknij w progu:
Pochwalony! — Sława Bogu! —
Na te słowa — patrz, powstaje
I gościowi cześć oddaje,
I do chaty go prowadzi,
I za wielkim stołem sadzi:
Bo gdyś w Bogu go pozdrowił,
Toś przymierze ziemi znowił;
I po Piaście dom stateczny
Wita gościa już bezpieczny. —

Chata roić się poczyna:
Ojciec zleca gościom Syna,
Matka córę — i nakrycie
Na stół daje — by przybycie
Gościa poczcic, bo „gość w domu,
To Bóg w domu“. — Taka wiara,
Gdzie pod dębem chata stara.

Synu gazdów i oraczy!
Czy wiesz, co się tobie znaczy?
Czem to trzeba dom ozdobić?
Co świat daje, — czem Bóg raczy? —
Ha! na wszystko trzeba zarobić,
O co serce się pokusi —
Wszystko człowiek zdobyć musi! —

Zdobyć! zdobyć! — owo sprawa!
Bo nie darmo się nie dawa:
Co Bóg daje, lub co Boże,
To jest tylko Ci zwierzone:
Co świat daje, lub dać może,
To wieczyście zaprzeczone...
I od chleba aż do nieba,
Wszystko — wszystko zdobyć trzeba —

Synu gazdów i oraczy!
Twądy żywot Ci się znaczy:
Zdobyć, zdobyć! owo sprawa!

Bo nic darmo się nie dawa —
I jedynie to posiedziesz,
Co na siłę sam zdobędziesz!

Trzeba zdobyć: — pracę — zdrowie,
Siłę — męstwo — ducha — wprawę
Miarę w oku — miarę w mowie —
I już z młodu dobrą sławę.
Trzeba zdobyć: rozum — wiedzę
Zdobyc statek — zdobyć wolę
Trzeba zdobyć i miedzę —
I zasługi własnej pola.
Trzeba zdobyć serce wierne —
Wiernych sprawie towarzyszy —
Zdobyc szczytne — zdobyć mierne
Wiara — pracą — w łasce — w ciszy. —

Sam za siebie oracz orze:
Nikt Ci w pracy nie pomoże:
Sam utargać musisz wołu —
I dostatek twego stołu
Znieść i zbliśka i zdaleka —
Utrzymać konia i człowieka —
Utrzymać własną duszę hardą —
Utrzymać wolę pracą twardą —
Ukuć oręż na obronę,
I uzbroić się odwagą —
I obrabować swoją stronę —
A to wszystko piersią nagą.

Z pierwszym krokiem drogi świętej,
Z tchnieniem duszy nieśmiertelnej,
Stoi w księdze wierzytelnej
Dług żywota zaciągnięty...

I dług pierwszy — Boże znamię,
I sumienie Ci nie skłamie:
Dług ostatni — krzyża ramię,
Co w wieczności świeci bramie.

Miedzy pierwszym, co Ci gwiazda,
A ostatnim — co Ci zbroja —
Wszystkie inne długі stoją —
I zaciężą nad twą jazdą:
Więc je wszystkie spłacić trzeba;
Bo zaklęcie poszło z nieba:
Spłacić — spłacić owo pańskie —
Owo ludzkie — chrześcijańskie! —
Spłacić trzeba krew i kości,
I pieluchy i miłości.

Splacić trzeba perłę cenną
Dobrej woli i ofiary —
I lżę każdą — noc bezsenną —
Wedle sprawy, wedle miary.

Splacić trzeba życia wdzięki
Co świat dawa na zaranie —
Każdy uścisk wiernej ręki —
Poświęcenie i kochanie.

Splacić trzeba to, co dane,
I co w nas jest rozpoczęte —
I co ziemskich skarbów złane —
I co ludzkie i co święte —
I co tylko w drodze długiej
Padło sercu bez zasługi —
Dobre słowo — oko tkliwe —
Radę zdrową — pomoc żywą —
I przestrogi miłościwe —
I najmniejszą chęć zyczliwą. —
Splacić trzeba dobro jawne
I tajemne splacić w rodzie
Splacić w domu — i w narodzie,
Tak nieznane jak i dawne;
Bo krew długiem — imię długiem,
Czy za tarczą, czy za pługiem,
Wielkim długiem ojców czyny,
Ojców cnoty i wawrzyny:
Więszym jeszcze stare winy,
Z pokolenia, w pokoleniu,
W księdze długów niezmazane,
A w modlitwie i w cierpieniu
Na Chrystusa rany zdane.

Bo są tacy, co nie płacą,
Ani sercem — ani pracą —
Nie zaciężni, nie wysłużni —
Co nikomu nic nie dłużni —
Nie miłują, ani życzą —
Lecz stanęli tylko na tem,
Że świat liczą — albo ćwiczą —
I jak złodziej idą światem
Milczkiem, chyłkiem, pokryjomu,
Na niesławę tego domu.

Nieużyte, duchem sprośne,
Śmietne mózgi — serca postne —
Lekkoduchy i mitręgi,
Pod nieszczęsną ziemi gwiazdą —
Co nic nigdy nie zdobyli,
I nic nigdy nie splacili —

Lecz skalali stare gniazdo —
Im jak bydłu odlać cięgi;
Bo podlejsi tu od zwierza,
Jak gad zjadły żywot sączą;
Więc jak owad bez lzy skończą
I w grób padną bez pacierza,
Bez czci ludzkiej, bez imienia,
Wymazani z pokolenia! —

Wychowanku polskiej strzechy!
Są uśmiechy i pociechy,
Których Polska nie poskapi
Temu, co jej nie odstąpi.
Idź jej prawem i jej likiem,
Byś się skarbem jej ozdobił.
Nie na bruku, nie językiem,
Obyczajów lud się dobił:
Sercem stawał przed kościołem,
Przed wrogami stawał czołem,
I przez wieki tak się porał,
Że z tej ziemi skarb wyorał —
Skarb największy, co dziedziczy
Miłość ziemi tej Piastowej,
Żywot prosty i sąd zdrowy,
I obyczaj ów rolniczy.
Stąd gdzie kopiec, tam granica —
A gdzie kościół, tam Bóg mieszka;
Gdzie mogiła, tam strażnica —
A gdzie droga, tam i ścieżka.

Jeśli w służbie chcesz iść prosto,
Nie szatańskim obcym tańcem;
Jeśli nie chcesz zostać chłostą,
Kłatwą ziemi — Samozwańcem —
To idź znanym w dziejach torem,
Za wybranych wielkim wzorem:
Bo nam tylko tędy dalej
Chodzić trzeba, kędy dziady
W służbie ziemi tej chadzali:
Więc idź śladem w dziejów ślady.

Synu ziemian i rycerzy!
Wielki skarb w Twych dziejach leży;
Więc go podnieś duchem, chwałą,
Bo nie na tem jeszcze stało.

Jeśli masz iść dziejów chodem,
Czcij krew ojców i ich kości,

Ale żywe bierz miłości,
Z za czas swój idź z narodem.
Polska, wielka duchów kseni!
Więc są orle duchy z rodu,
Co z najgłębszej siowa rdzeni
Wydobyli dla narodu
Skarby wielkie — prawdy czyste —
I ofiary wiekuiste.

My za siebie w wielkiej treści
To streścili, co jest własne,
Bo miłości i boleści,
I wyskoki ducha jasne;
A za wszystkich to co Boże,
Co powszechne i co wieczne:
Więc pleśń nasza gra jak morze
I o drogi trąca mleczne.

Jak do ula znoszą pszczołki
Dary Boże — jakb mrowie
Znosi pilnie — wonne smolki —
Tak i naród, po tem słowie,
Znosi skrzętnie skarby ducha; —
I jak gołąb w gołębniku
Koło gniazda swego grucha.

Tak tu idą prace z szyku,
Po miłości i po znoju: —
Więc po kotle i po trąbie,
Jeden szczerby szablą rabie,
Drugi w ciszy i w pokoju
Skarby ducha wydobywa;
Więc i uczy, radzi, śpiewa —
I po siwej szła tu brodzie
Mądrość, w starym tym narodzie.

I są półki gdzieś dębowe,
W wielkiej straży, w wielkiej cenie:
Na nich stawia księgi nowe
Każde nowe pokolenie. —
Księga stara obok nowej
Kiedy staje po zwyczaju
Jest jak puhar ów godowy;
Jest jak wino od Tokaju.
Co i krzepi i zagrzewa:
I tym strojem idą dzieje,
I z nich serca się posiewa,
Co przez wieki w dziejach grzeje.

Księgo polska, wielkie dobro!
Bo jak oręż w dziejach chrobry,

Tak spisano przeszłość chrobra,
W onej księdze — i jest dobry,
Co i sławy tej poprawia,
I mądrości przeszłe mawia.
Księga polska, wielka tarcza!
I na wieki jej wystarcza:
Bez tej księgi w naszym domu,
Miałbyś dzisiaj dzieje sromu,
Bez przewodu i bez gwiazdy:
I lat tysiąc krwawej pracy,
Co odparły te najazdy,
Bez osłody i bez płacy
W tych mogiłach by zamarły.
Po tej księdze tyś olbrzymem,
Coś się dźwignął duchem, rymem;
A dokoła Ciebie — karły!

W. Pol.

109. Pójdź na Wawel.

Pójdź na Wawel! — z wolą Bożą,
Choć w pierwospach miasto leży
I dzwon północ bije z wieży,
Nam się wszystkie drzwi otworzą.

Jak z wyższego nakazania,
Na zakłęcie zmartwychwstania,
Polskich grobów sklepy jękną
I te wieka trumien pękna.

Tutaj uderz naprzód czołem,
Przed grobami i kościołem:
Lud co żywi, broni, wierzy,
We łzach tutaj krzyżem leży.

A tu przyłóż teraz ucho —
Czy rozumiesz, czy pojmujesz,
Jak tam w Polskim grobie głucho —
I marmuru chłód czy czujesz?

Co zamarło w ciele skrzepłem,
Musisz duchem twym odtworzyć;
A i serca twego ciepłem
Ukochane musi ożyć.

W. Pol.

110. Chrzest Polski.

Do X wieku miał naród nasz religję wielobożną, a chociaż za czasów Ziemowita i dwóch jego następców, to jest Leszka i Ziemomysła, już religja chrześcijańska zaczęła gdzieś się rozszerzać, naród jednak cały przyjął ją dopiero

za panowania Mieczysława I w r. 965; inne ludy słowiańskie, a mianowicie Morawianie i Czesi przyjęli wiarę świętą już w drugiej połowie IX wieku. Do nas ostatecznie religja chrześcijańska dostała się za pośrednictwem Czechów. Mieczysław bowiem ożenił się z Dąbrówką, księżniczką czeską, która pod tym tylko warunkiem poszła za niego, że Mieszko obiecał wraz z całym narodem przyjąć wiarę chrześcijańską.

Wraz ze światłem wiary zaczynają rozjaśniać się i dzieje, to jest stają się pewniejsze; jednak naród nie tak łatwo pozbył się dawnych błędów, i księża, którzy wraz z Dąbrówką przybyli, nie mało ponieśli trudu, zanim lud nawrócili. Przedewszystkiem trudno im było rozmówić się z Polanami, którzy ich mowy nie rozumieli, bo księża ci mówili po czesku lub po łacinie; a chociaż wkrótce nauczyli się mowy Polan, to wszystkie obrządki i ofiary nowej religji odprawiane były w języku łacińskim. Lud, przyzwyczajony do swoich dawnych pieśni pogańskich, które śpiewał czy to na wojnie, czy podczas wesela, czy przy pogrzebach, niechętnie słuchał pieśni łacińskich, których nie rozumiał.

Z początku przyjął wprawdzie religję chrześcijańską, ale to było tylko pozornie, z rozkazu księcia; potajemnie zaś wracał do swoich obrządków pogańskich. Księża jednak chrześcijańscy z całą gorliwością wzięli się do dzieła, aby nową wiarę ugruntować w sercach ludu. Widząc zaś, że lud ten wszystkie obrządki religijne łączył zawsze z jakąś ucztą rodzinną, a w każde święto pogańskie całe rodziny łączyły się, aby wspólnie to święto obchodzić, składając bogom ofiary, zachęcali księża również do zbierania się i wspólnego obchodu uroczystości chrześcijańskich. Stąd powstały owe nieodłączne u nas uczty, zastawiania stołów podczas każdych świąt do- rocznych, jak n. p. wigilja Bożego Narodzenia, święcone podczas Wielkiejnocy i t. p.

Jestto zwyczaj tylko słowiański, który choćby dla samej pamiątki zwyczajów przodków naszych staramy się zachowywać. Powoli zaczęto tworzyć i pieśni religijne w języku ojczystym. Pieśń wnikała coraz więcej do serca ludu, a obrządki i religja, z początku nierozumiane, zrosły się z Polanami

i wyrobiły z naszego narodu późniejszych gorliwych obrońców wiary.

Mieszko założył pierwsze biskupstwo w Poznaniu, budował kościoły, jak w Tumie pod miastem Łęczycą, w Lubuszu nad Odrą, a gdzie tylko mógł kazał burzyć świątynie pogańskie i na ich miejscu stawiał chrześcijańskie.

Dąbrowa.

111. Uczta w Gnieźnie r. 1000.

Było to w roku 1000. W mieście Gnieźnie ruch wielki panuje, lada chwila oczekują w nim bowiem przybycia Ottona III, cesarza Niemiec; na wszystkich ulicach tłoczno, gwarno i wesoło. Znany z pobożności cesarz zapragnął odwiedzić grób świętego Wojciecha, którego ciało Bolesław sprowadził do Polski z sąsiedniej Polanom ziemi pruskiej, gdzie był zamordowany przez dzikich Prusaków za to, że chciał wiarę Chrystusa wśród nich szerzyć. Mówiono też, że inna jeszcze pobudka skłoniła cesarza do nawiedzenia Gniezna: oto chciał on poznać Bolesława, który po ojcu swym Mieszkowi władzę kneziowską nad Polanami odziedziczył, a rządząc mądrze i dzielnie, zyskał sławę nie tylko wśród swoich, lecz i wśród obcych.

Zwykle taką pielgrzymkę pobożny, choćby z najdostojniejszej rodziny pochodził, choćby to był sam król, sam cesarz — odprawiał boso, w koszuli.

Wiedział o tem Bolesław, więc kazał od samego Poznania aż do Gniezna i przez Gniezno całe aż do kościoła Wniebowzięcia Panny Marji, gdzie spoczywały zwłoki świętego męczennika, wysłać drogę czerwonym sukniem i na spotkanie cesarza w licznym orszaku rycerstwa podążyć.

Około południa pobożny orszak ujrzał wśród błyszczących zdala, jak wielkie szmaragdy jezior i stawów, naprzeciw siebie mury Gniezna, otoczone wieńcem wzgórz. Przodem szedł Otton III boso, w koszuli, obok niego Bolesław Chrobry w świecącej zbroi, w hełmie na głowie za nimi na koniach panowie niemieccy i rycerstwo polskie z których jeden wiodł konia Bolesławowego, drugi Ottona; za tymi szli łucznicy,

i tarczownicy, którzy stanowili piechotę Bolesława. Rycerstwo polskie strojnie i bogato było przybrane, wszystko na jedwabiach, w złocie, a każdy oddział inną barwę miał na sobie: błękit, purpura, szmaragd mieszały się tu razem i tworzyły olśniewającą górę kolorów.

Minawszy mury, otaczające miasto, weszli do środka i skierowali się ku górze, zwanej Lechową, na której wznosił się kościół Wniebowzięcia Panny Marji, wspaniała murowana świątynia.

W progu kościoła spotkał cesarza, otoczony młodszymi kapłanami, biskup poznański Ungier i poprowadził go do wnętrza, gdzie w samym środku kościoła wznosiło się wspaniałe mauzoleum, mające na ołtarzu trumnę, ozdobioną srebrnymi blachami, na których zasługi świętego Wojciecha były wypisane. Trumna zawierała kości męczennika, na niej spoczywał ze srebra wyrobiony sam święty w szatach biskupich.

Na widok grobu świętego męża cesarz Otton padł na kolana, i, zalawszy się łzami, modlił się gorąco; inni też samo uczynili. Gdy powstał, Bolesław zaprosił go do siebie na ucztę; udali się przeto na zamek, lecz pierwszej w zakrystji kościoła cesarz przybrał się inaczej: wdział suknię jedwabną, płaszcz purpurowy, podbity gronostajami, trzewiki i złocistą koronę.

Zamek gnieźnieński skromnym był z pozoru: drewniany, prostej budowy — gdyż innych wówczas jeszcze w Polsce nie znano, tylko kościoły stawiano murowane, — lecz wnętrze świadczyło, jak Polska bogatą się stała.

W wielkiej i długiej świetlicy, której ściany obite były kościami, stał stół dębowy, ciągnący się przez całą jej długość, a nakryty kijowskim obrusem śnieżnej białości. Jarzące światła z czterech wielkich, sześcioramiennych świeczników, ulanych ze szczerego srebra, padało na ten stół i na mnóstwo naczyń ze złota, srebra i kryształu, pod któremi stół się ugiął. Około stołu ustawione były ławy, suknem czerwonym kryte, a w środku, na podwyższeniu wznosił się tron cesarski, purpurą posyty, ze złotymi frendzlami.

Na ścianach tej świetlicy błyszczały przepyszne zbroje, pancerze, hełmy, miecze, włócznie, topory, a pod ścianami

stały beczki z piwem, miodem i winem zamorskiem. Obok beczek stali pięknie przybrani podczaszowie i stolnicy czekając na pojawienie się gości.

Wśród odgłosu trąb, piszczałek i bębnow wszedł cesarz Otton III, a za nim Bolesław Chrobry, jego żona Kunilda, kobiety dworskie, biskupi, księża i rycerstwo obu monarchów.

Gdy wszyscy zasiedli na przeznaczonych sobie miejscach, służba poczęła roznosić jadło: na olbrzymich srebrnych półmiskach udźce sarnie, pieczenie wołowe i cielęce, poledwice z dzika, ptactwo wszelkiego rodzaju, a między niem pawia sztucznie upieczonego, że wszystkie pióra miał na sobie i lśniący ogon roztaczał; śliczne podplomyki z miodem, kluski obsypane indyjskimi korzeniami. Cały stół tem zastawiano i wszyscy biesiadnicy zabrali się do tej uczty żwawo. Podczaszowie zaczęli nalewać wina, miodu i piwa w czasie, dzbany i rogi, a choć stokilkadziesiąt osób przy uczcie zasiadło, nie brakło nigdzie niczego. Cesarz Otton jadł mało a mówił jeszcze mniej. Wziąwszy przed siebie cietrzewia, obłamywał na nim palcami kostki i ogryzał je wolno, rzadko podnosząc swe wielkie czarne oczy. Za to Chrobry jadł ze smakiem, a pił jeszcze lepiej. Ogromna jego twarz zaczerwieniła się mocno, a oczy ciskały groźne błyskawice, patrząc, czy gdzie czego nie brak. Zobaczywszy kamernika swego, Niemirę, skinął na niego i rzekł:

— Po uczcie wszystkie naczynia złote i srebrne, kobierce z tej izby i zbroje z tych ścian zaniesiesz, jak wczoraj i onegdaj, do komory cesarza. Niech pamiętają mnie Niemcy.

Jedzenie było dobre, w świetlicy jasno i ciepło; napoju wbród, to też wkrótce zarumieniły się twarze i gwar mnóstwa głosów i języków rozległ się po sali.

Nagle Chrobry podniósł się i olbrzymia jego postawa zdawała się panować nad całym tym tłumem. W rękę trzymał róg bawoli, w złoto okuty, i podnosząc go w górę, zawołał donośnym głosem:

— Za zdrowie, a mego gościa!

Zagrzmiały tysiączne okrzyki; wszyscy się podnieśli, Otton powstał także, i biorąc róg z rąk Chrobrego, kazał so-

bie nalać węgła wina i rzekł swym cichym melancholijnym głosem: — Piję za zdrowie mego brata, Bolesława, króla polskiego! — i duszkiem wychylił puhar.

Wyrazy „króla polskiego“ zrobiły ogromne wrażenie na wszystkich. W izbie zapanowała cisza, a wszyscy patrzyli na Bolesława, który zerwał się na równe nogi i stał, mocno wzruszony.

Cesarz milczał przez chwilę, poczem tonem uroczystym mówił:

— Rzekłem „króla polskiego“. Nie godzi się bowiem tak wielkiego męża hrabią albo księciem nazywać.

To powiedziawszy, zdjął z swej głowy małą koronę i włożył na potężną lwia głowę Chrobrego.

Na ten widok wszystkie piersi zagrzmiały potężnym okrzykiem. Jedni krzyczeli: „Niech żyje król Bolesław“ inni „wiwat!“, inni „hoch!“, jeszcze inni „żywie i sława!“ Wrzawa była ogromna, a jakby na dobitkę zapiszczały piszczałki, zagrzmiały trąby i surmy; rycerstwo nalewało puhary, piło i krzyczało. Polscy wojewodowie pozrywali się z ław i biegli do króla. I chwycili go na ręce, i podnieśli w górę, i obnieśli tak dokoła po wszystkich izbach, około wszystkich stołów, wołając z pełnych piersi: „Oto nasz król! Niech żyje Bolesław!“ A Chrobry, przytrzymując ręką małą koronę, śmiał się i mówił: „Jedźcie i pijcie i bawcie się wesoło“, lecz w duchu myślał: „Jakie on ma prawo mnie koronować? to przecież tylko jeden papież uczynić może. Ja tu na swoich śmieciach taki cesarz, jak i on“.

Podług Teresy Jadwigi.

112. Pieśń o Bolesławie Chrobrym.

W nurty Łaby i Sali,
Wśród Dnieprowych wód fali,
Kto to słupy żelazne tam bije?
Z za gór wielkich wyżyny
Aż po morza głębiny
Czyje godła i znaki lśnią, czyje?

To Bolesław, król Chrobry,
Ludów swoich pan dobry,
Ale straszny na zdrajce i wrogi,

Złączył Polan, Lechitów
I jak orzeł z błękitów,
Precz daleko rozpuszcza swe drogi.

A gdy z wrogów pogromu
Wrócił wreszcie do domu
I swój szczerbiec zwycięski położył,
Trud rozpoczął wytrwały,
By lud polski już cały
Nowem życiem zakwitnął i ożył.

Rządził mądrze, oświecał,
Świątą wiarę rozniecał,
Swą mądrością zasłynął na świecie —
A gdy legnął już w grobie,
Naród chodził w żałobie,
Jako smutne po ojcu swym dziecko.

M. Ilnicka.

113. Świetność Bolesława Chrobrego.

Bolesław kończył, rozwijał gmach polski razem i wewnątrz i zewnątrz — dusza jego rwała się do czynu tęskniła do wielkości. Rządy jego wewnątrz despotyczne, jedynowładne, zewnątrz wojenne, zdobywcze, nie mogły w społecznych pokoleniach znaleźć mu i nie znajdowały przyjaciół.

Nie rozumiały ludy Bolesławowe, dlaczego mają tworzyć jeden naród polski, dlaczego wojna, która była im do tej pory tylko złą koniecznością, zamieni się teraz w systemat, dlaczego Bolesław żelazną ręką gnębi poczucia swobodne ludów.

Uderza przede wszystkim Bolesława rycerskość, powierchowność, polor czysto europejski, nie narodowy. Niczem on się nie różni od wspaniałych komesów i książąt zachodu. Owszem, na sposób cesarski otacza się majestatem i króluje w orszaku swoich przybocznych radców, którzy są naprawdę jego komesami, towarzyszami. Bolesław lubi, więc ściga ze wszech stron rycerzy. Radby uorganizować w Polsce stan wojowniczy, tak mu potrzebny do rozległych przedsięwzięć. Ściga zaś ich prawdziwie rycerską, chrześcijańską grzecznością, hojnością, wystawą. Nie żałował dla nich żadnych wydatków. Wyprawiał im wspaniałe uczyty, urzędnikom swoim po grodach kazał podejmować rycerskich ludzi ucztami, odzieżą, pięknymi podarunkami.

Żył wśród ciągłej wystawności, jeżeli tylko wojny nie prowadził. Opowiadają kroniki, że dwór Bolesławowski był głównym obozem, w którym przy 40 stołach większych, a niezliczonem mnóstwie mniejszych, zasiadały codzień do biesiady tysiące rycerstwa. I jeszcze narzekał, że miał za mało gości przy ucztach. Rzeczywiście dla króla rycerza, który orężem rozprzestrzeniał granice swojego państwa, największe poczty rycerstwa były zawsze za małe.

U siebie w kraju tworzył Bolesław rycerstwo czysto polskie, zagraniczne pociągał. Każdy, kto wchodził w to wojownicze koło, kto podzielać chciał prace i uczty Bolesława, nazywał się gościem i nabywał przez to znaczenia na dworze. Gość taki, jeżeli się walecznością popisał, był już nie rycerzem, ale synem królewskim, najdroższym przyjacielem.

Bolesław szkodę i niedostatek takich rycerzy wynagradzał hojnemi darami. Więc nie pojedynczy już rycerz, ale całe poczty ludzi wojennych, zbrojne drużyny spieszyły do znakomitego króla; nie było to wprawdzie w pierwszej chwili jego rządów, ale później cokolwiek, kiedy się rozstawił szeroko po świecie szczodroblivością swoją i miłością dla rycerskich mężów.

Wtedy to dwór Bolesławowy, ów główny obóz, składał się z dziwnej mieszaniny narodowości. Byli u niego Niemcy, Madziary, Waregowie, Pieczyngowie, cóż mówić o słowiańskich braciach z Czech, cóż o swoich, polskich? Król jednakże w tłumach tych gości umiał zachowywać karność.

Największy triumf Bolesława był w tem, że ścigał ku sobie rycerstwo niemieckie, które pomimo wszelkich zakazów, opuszczało cesarza i własnych książąt, ażeby walczyć pod знаmionami Bolesława. Pod jego opieką znajdowało ono bezpieczną ochronę od niebezpieczeństwa, ale i świetne stanowisko i dostatek.

Rycerstwo, które pragnęło sławy i niebezpieczeństw, nie zysku, zapalał Bolesław przykładem swoim, nieustraszonnością, krwią zimną, bohaterstwem. Wojownik dzielny, sam sprawiał pułki swoje do boju, sam je prowadził w ogień i prawie zawsze zwyciężał, nigdy nie tracąc głowy. W boju ruchliwy, jak bły-

skawica, śmiało uderzał i stanowił rażącą sprzeczność z Niemcami, którzy z natury swojej działali leniwo, posuwali się zwolna nawet na wojnę.

Niedosyć rycerskość i bohaterstwo. Posiadał Bolesław nadzwyczajne zdolności umysłu. Kroniki współczesne opowiadają, że był Bolesław „jako nikt drugi na świecie“ pod względem rozumu. Dla swoich serdeczny, otwarty, Niemców nieraz pokonywał chytrą, podstępem, sam ich wprowadzał w zasadzki.

Ponieważ wszystko łamał, co mu stało na drodze, można łatwo sobie wystawić, jak podniósł wysoko w kraju władzę, którą piastował. W całej rodzinie Piastów Bolesław był najsamowładniejszym mężem. Więc w całym państwie polskim, wśród tłumu gości, wśród narodów, nad którymi panował, tylko wola jego się pełniła. Było to dobroczynnem dla młodego państwa, bo wszystkie jego siły skupiało w odpór najazdowi niemieckiemu.

Król z charakteru swego był zdobywcą, szerzycielem państwa polskiego po ziemiach bratnich słowiańskich. Nie tym zdobywcą, co miłował wojnę dla samej nienasyconej żądzy panowania, co jak uragan dziki wywraçał państwa, do spokojnych narodów zanosił zgrozę i zniszczenie. Bolesław był zdobywcą plemiennym, wyzwolicielem. Jeżeli go nie pojmowały własne ludy, które krew swoją dla jego zamiarów musiały przelewać, rozumieli go za to dobrze bracia z nad Łaby, Odry i Cisy, których panowaniu Niemców wydzierał.

Bali się go też i przeklinali Niemcy. Ustupując przed nim wszędzie, tracąc dawno nabytą ziemię, mścili się zniewagami nad Bolesławem, bo inaczej nie mogli. Współczesny kronikarz niemiecki, Dytmar, pełnym jest dla niego nienawiści. Bolesław jest to „lis chytry“, albo „gad jadowity“, albo „lew ryczący“. Kiedy się słów przebrało, Dytmar pisze o Bolesławie poprostu „wróg nasz“, albo „prześladowca nasz“.

Mylna pogłoska o śmierci Bolesława przejmując całe Niemcy radością, a jeżeli zdarzył się rok jaki, w którym Bolesław „nie szkodził“, Dytmar wspomina o tym w kronice, jako o chwili rzadkiej spokojności i pomyślności państwa. Dytmar

znał go i był mu wrogiem nieubłagany; św. Bruno zaś, który na dworze polskim przesiadywał, i dlatego widział nawskroś duszę Bolesława, jako prawy, poświęcony miłośnik kościoła, nie mógł nie uznać jego szlachetnych dążeń.

Jak Dytmar nienawidzi, tak święty Bruno nie miał dosyć słów uwielbienia: „Gdyby kto nawet powiedział“ — pisze do cesarza, który go posądzał o słabość do Bolesława — „że ku temu panu większą mam wierność i przyjaźń, byłoby to prawdą, kocham go zaiste, jak duszę moją i więcej jak życie moje“.

Bolesław stworzył państwo polskie, niestety, następcy zmarnowali jego dzieło i Polska krwią i pracą długą musiała się dobijać potem praw i znaczenia Bolesławowskiego.

Juljan Bartoszewicz.

114. Dzielny drwal.

Za czasów króla Bolesława Śmiałego, już z górą 800 lat temu, żył Paweł Cholewa.

Nieprzyjaciel wpadł do kraju i wiele narobił szkody i spustoszenia. Król więc Bolesław rychło zebrał wojska z dzielnych złożone rycerzy i puścił się w pogoń za wrogiem.

Dowiedział się o pogoni królewskiej nieprzyjaciel, więc co tchu umykał w lasy, któremi wówczas cała Polska była pokryta, i dopadł ich szczęśliwie.

Król Bolesław Śmiały dowiedział się, którędy wróg uchodzi, więc puścił się za nim; ale skoro doszedł do owych lasów, widząc straszne gęstwiny, rzekł zasmucony do swoich rycerzy:

— Otóż masz! będziemy musieli przedzierać się przez gęstwiny, a tymczasem nieprzyjaciel nam ujdzie.

I zapuścił się król w lasy, a wojsko za nim dążyło. Ale czy zły duch wziął nieprzyjaciela w opiekę, że las stawał się coraz gęstszy i na żaden sposób nie można było dopatrzyć drogi, a wojsko szło bardzo powoli.

— Trzeba nam będzie wrócić — mówi jeden ze starszyzny, do króla — a szukać innej drogi.

— Czy słyszycie — mówi król — ktoś drzewo rąbie w lesie.

I król spał konia i poskoczył żywo w tę stronę, z której słychać było odgłos siekiery.

— Hej, człowieku! — zawołał król — ktoś ty taki?

Poznał chłop króla po złocistej zbroi, a zdjęwszy czapkę, rzecze:

— Jam biedny drwal, miłościwy królu, a zowie się Paweł Cholewa.

— Czy dawno tu drzewo rąbiesz? — pyta się król.

— Od samego świtu, miłościwy królu — odpowie Paweł.

— A wiesz, gdzie się ukrył nieprzyjaciel?

— Oj, wiem dobrze, miłościwy królu — odpowie Paweł — skrył się ten bestyjnłk w kępie za lasem.

A król aż podskoczył na koniu z radości, a zbroja zabręczała, że o mało iskry z niej się nie sypnęły.

— A czy doprowadzisz mnie i całe wojsko do nieprzyjaciela jak najkrótszą drogą?

— Jest tu krótki manowiec, to go będzie można odrazu dopaść i bić — odpowie Paweł.

Prowadź, człowieku, a jak doprowadzisz dobrze, to już więcej siekierą w lesie nie będziesz pracował!

Cholewa skłonił się królowi i puścił się naprzód, a wojsko posuwało się za nim cichutko i ostrożnie.

W godzinę może potem już było widać przez rzadsze drzewa okrutną czerń wroga, który się na kępie rozłożył obszernem obozowiskiem.

— Boga-Rodzico! — zawołał król ognićcie, i ruszył z kopyta a za nim całe wojsko wpadło na nieprzyjaciela.

Wśród bitwy jeden srogi wojak zakradał się do króla, i już miał go ugodzić szablą w głowę, kiedy podskoczy Paweł Cholewa, położył trupem wroga u stóp króla, któremu ocalił życie.

Za miesiąc wraca zwycięski król do swojej stolicy. Alę któż to obok niego w złocistej zbroi i w kosztownych szatach jedzie? — Pewnie hetman albo wojewoda?

Oj, nie hetman ci to, ani wojewoda, ale prosty chłop, drwał Paweł Cholewa. Zaraz po bitwie wszystkich las i całą ziemię, którądy wojsko na nieprzyjaciela prowadził, król Bolesław darował mu na wieczne czasy.

115. Poselstwo Skarbka.

Za czasów Bolesława Krzywoustego najechał Polskę cesarz niemiecki, Henryk V. Gdy już wojska miały uderzyć na siebie, Bolesław pomyślał sobie, żeby lepiej było nie przelewać krwi ludzkiej i pogodzić się. Posłał więc Skarbka, rycerza do obozu cesarza z oznajmieniem, że będzie miał pokój, jeśli się pogodzi i ustąpi. Skarbek pospieszył do cesarza i powtórzył mu słowa swego pana. Cesarz jednak z dumą oświadczył mu, że tego nie uczyni, dopóki Bolesław nie złoży mu hołdu i nie spełni jego żądań.

Po tych słowach pokazał Skarbkowi skrzynię złota i rzekł do niego z zarozumiałością: „Patrz, mam ja za co pobić twego pana“. Na to poseł polski zdjął pierścień z palca i rzucił go do skrzyni, mówiąc: „Idź, złoto, do złota, my Polacy w ostrem kochamy się żelazie“. Cesarz podziękował mu słowami: „Hab' dank“, a Skarbek wrócił do swego pana i zdał mu sprawę z poselstwa.

Rozpoczęła się zatem wojna, i pokazało się, że żelazo lepsze od złota, gdyż cesarz niemiecki w bitwie pod Wrocławiem stracił prawie całe wojsko i sam haniebnie musiał uchodzić z Polski. Bolesław na pamiątkę poselstwa, z taką godnością odbytego, nadał Skarbkowi przydomek Habdank.

116. Leszek Biały.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbalym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe.

„Ty się śmiejesz, dziecię lubie!
Bo nieznasz twojej niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę;

Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota.
A jam wdowa, ty sierota.

Zrodzony, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winę
Wszystkoś na świecie postradał,
Tulasz się biedną dziecino!
Ja cię przytulę do łona,
Lecz skądże inna obrona?”

„Powściągnij lzy tve królowo!”
Zawołał Goworek stary,
„Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary;
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie spadnie“.

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały,
I szedł chlubnym Piastów torem:
Był sprawiedliwy i śmiały,
Zręczny w rycerskich gonitwach
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
Oddał Goworka, korona
Nazad ci będzie wrócona.

Królowa w modrzewim dworze
W skromnej siedziała komnacie
I w skromnym była ubiorze;
Nie miała złota na szacie;
Przy niej, poselstwem zdziwiony
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milkną, Goworek stary
Tak ich zdumienie przerywa:
„Przyjm księżę ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa,
Niech kraj na tem nie szkodzi,
Ze mnie zawiść prześladuje“.

Ja stary, władzy nie chciwy,
Do skromnej ojców zagrody
Wróć, wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie usuniesz niezgody,
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

Jeśli za to, żem pracował
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród polski błogosławi,
Niech umrę w cieniu mej strzechy,
Bez słodkiej sercu pociechy.

Tu gdy płakała królowa,
Gdy w łzach wszyscy przytomni,
Księżę odpowie w te słowa:
„Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi.

Nie chcę, by mąż, com niewspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał,
Nie chcę państwa, ni korony.
Nad blask, co berło udziela,
Wyżej cenię przyjaciela“.

Nagrodziły nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męstwa
Leszek zwycięzca na wojnie,
Odzyskał wydarte księstwa,
Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

J. Niemcewicz.

117. Mongołowie.

Był to naród koczujący, który rozdzielony na drobne hordy pod dowództwem swych naczelników, zajmował część środkowej Azji pomiędzy Persją, Indjami i Chinami, ponad jeziorem Bajkał aż do rzeki Amur.

Tatarzy prowadzili życie koczownicze, zajmowali się mordem, a podbiwszy różne pokolenia w Azji, nawiedzać poczęli Europę. Na wspomnienie Tatara truchleli starzy i młodzi, bladły kobiety, mężczyźni zacinali zęby. Imieniem Tatara matki straszyły dzieci. Twarze mieli Tatarzy szerokie, nosy,

płaskie, oczy ukośne, niby szpary, cerę brudno śniadą. Kożuchy na wierzch wełną wywrócone, na głowie baranie kołpaki, na plecach dwa lub trzy łuki i sajdak, pełen strzał zatrutych, u boku topór i szabla krzywa, w ręku nahajka na konia — oto był strój i przybór wojenny Tatarów.

Koniki ich małe były niezmiernie zwinne. Pożywieniem ich było mięso końskie, którego nie piekli, ani gotowali, tylko kładli pod siodło, i póty na niem jeździli, aż skruszało. Za napój służyło im mleko klaczy.

Władzca ich zwał się „chanem“; był on zarazem dowódcą na wojnie, prorokiem i prawodawcą.

Celem ich życia były podboje; sławą największą mordy i pożogi. Powiadano o tych chanach, że po każdej bitwie stoczonej kazali poległym wrogom ucinać głowy, zbierać je do worów, i z głów tych następnie stawiać w swem państwie wieżę. Chanowie głosili, że jak jeden Bóg jest w niebie, tak z czasem chan jeden będzie tylko na ziemi.

Tatarzy wiedli ze sobą zwykle nieprzeliczoną ilość koni, aby, gdy jedne się zmęczą, mieć drugie do zmiany, wielką ilość machin oblężniczych, wozów z żywnością, toporami i strzałami, że ziemia drżała pod ciężarem, jaki dźwigały, a rzenie konie, ryk wielbłądów, krzyki Mongołów tworzyły razem tak ogłuszający hałas, że daleko i szeroko nikt słowa ludzkiego nie rozumiał.

Starców i niemowlęta Tatarzy zwykle zabijali, kobiety i dzieci starsze zabierali ze sobą, aby im służyły. Mężczyznom w sile wieku często darowali życie dlatego, by wskazywali im drogę po kraju, którego nie znali, więc i łatwo mogli w nim zbłądzić. Jeńców zwykle powrozami przywiązywali do

Z początku XIII wieku połączył jeden z naczelników Temuczyn, kilkanaście hord w jedną całość i wzrosłszy tym sposobem w potęgę, podbił prawie całą Azję pod swoje jarzmo i przybrał wtenczas nazwisko Dżengis-chana, to znaczy światorządzczy. Nadał on opanowanym hordom treściwe, a okrutne ustawy i uzasadnił wiarę w jednego Boga.

Wojsko jego powiększało się niesłychanie i coraz więcej krajów zdobywał. W roku 1224 wpadli Mongołowie po pierwszy raz do Europy pod dowództwem syna Dżengis-chana; połączeni książęta ruscy stawili się do boju, lecz nad rzeką Kalką zostali zwyciężeni. Po śmierci Dżengis-chana synowie jego zdobywali różne kraje i dzielili się nimi, a wnuk Dżengis-chana, Batu-chan, wpadł w roku 1236 do miasta Moskwy. Cała Ruś zadnieprska i Księstwo Kijowskie zostały zupełnie zniszczone i zamienione w prowincje tatarskie.

W r. 1241 wpadli Tatarzy pod dowództwem Batu-chana, wnuka Dżengis-chana, do Polski i Węgier. Działo się to za panowania króla Bolesława Wstydliwego. Tatarzy zniszczyli Kraków, ziemię Sandomierską, Sieradzką, Łęczycką i Kujawy. Bolesław Wstydlivy stawiał się raz do boju z Mongołami niedaleko Wisły, lecz zwyciężony schronił się w góry Tatrzańskie, a kraj cały został zalany krwią mieszkańców i zaciemniony dymem palących się miast i wiosek.

Wpadli następnie Mongołowie do Śląska. Tam pod Lignicą na Dobrem Polu stawili się do walki połączeni książęta śląscy, mazowieccy, wielkopolscy, nawet książę pomorski nadesłał posiłki. Chrześcijańskim wojskiem dowodził Henryk Pobożny, książę wrocławski, syn świętej Jadwigi, księżnej wrocławskiej, która ze swym małżonkiem pierwszym Brodatym, księciem wrocławskim, w roku 1203 wystawiła klasztor w Trzebnicy, mieście oddalonem o 3 mile od Wrocławia. Henryk Pobożny walczył z Tatarami nieustraszony, i kiedy wróg przemógł na wielu miejscach bitwy, on wytrzymał śmiertelny bój; opuszczony od innych, z czterema tylko towarzyszami jeszcze walczył z najeźdźcami.

Wreszcie włócznią, od Tatara rzuconą, przez pancerz przeszyty, prawie martwy upadł z konia. Rzuciła się tłuszcza na konającego; ucięto mu głowę i zatknięto na włóczni, obnosząc wkoło murów przerażonej Lignicy, wzywając ją do poddania. Dzielne mury miasta przy pomocy obrońców walczących ocaliły oblężonych. Ciało Henryka, znalezione na placu bitwy, naród wśród płaczu pochował w Wrocławiu.

Pokrzepiona wiarą święta Jadwiga, pewna wiecznej dla syna od Stwórcy nagrody, z poddaniem się religijnem cios ten przeniosła.

118. Królowa Kinga.

Po dniach trwogi i niebezpieczeństw nadeszły chwile rozweselenia. W lat kilka po pierwszej burzy tatarskiej, prawdopodobnie około r. 1247, udała się księżna krakowska, żona Bolesława Wstydliwego, Kinga, w odwiedzinę do ojca. Król Bela obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa. Między innemi zwrócono podróż ku stronom gór karpackich w krainę marmoruską, rozciągającą się wzdłuż południowych granic Pokucia. Słynęła ta okolica z nadzwyczajnie bogatych kopalń soli rodzimej.

Ojciec księżny krakowskiej chciał ucieszyć swego miłego gościa widokiem podejmowanej w kopalniach pracy górniczej. Zatrzymał się podróżny dwór królewski u jednej z żup tutejszych, otwierających się kilku szachtami czyli szybami w solną głęb ziemi. Niezwyczajny obraz podziemnego trudu kopaczy zabawił wielce księżnę młodzieńczą. Żywe atoli przywiązania do ziemi po tamtej stronie gór i do narodu nadwiślańskiego, zasępiło zabawę myślą: czemu i kraina krakowska nie osiągnęła tak pożądanego błogosławieństwa niebios?

Polska nie знаła jeszcze podówczas swych własnych skarbów solnych. Rodziło wprawdzie całe pogórze Krakowskie niemało soli, lecz była to prawie wyłącznie sól warzona, tak zwana surowica. Wydobywano ją od najdawniejszych czasów na górze Soła w Bochni, w Wieliczce, tudzież w wielu innych miejscach przyległych. Były więc dawno przed świętą Kingą warzelnie i kopalnie soli w ziemi krakowskiej, była mianowicie w Bochni sól źródłowa, a w Wieliczce źródłowa i kamienna.

Wszakże nie wystarczały one nawet codziennym potrzebom ludności okolicznej. Miała zatem dobrotliwa księżna krakowska wszelki powód do ubolewania nad swoim krajem, iż nie posiada takiej urodzajności solnej, jaką właśnie zdziwiała gości królewskich kopalnie marmoruskie.

W podobnem usposobieniu ozwała się księżna polska do ojca, aby jej darował jeden z szybów kopalni, w który właśnie z nad powierzchni ziemi spoglądano w tej chwili, a którym matka ludu pragnęła przyjść w pomoc niedostatkowi swojej drugiej ojczyzny. Prośba świętej Kingi zdawała się tem mniej niezwykłą, ile że w czasach owych tak w Węgrzech, jako też w Polsce każda kopalnia królewska szła pospolicie już to darem, już wypłatą zaległej należitości, w podział i posiadanie wielu osobnych nieraz wcale oddalonych, ulubieńców lub słuzebników królewskich.

Niezdziwiony tedy prośbą swej córki uczynił jej zadość król Bela, przyznając świętej Kindze darem szyb zażądany. Dobroć ojca rozweseliła księżnę młodzieńczą. W natchnieniu igraszki niewinnej, umyśliła ona wziąć w posiadłość dar rodzicielski, jakoby chcąc zapobiec, aby niczyja protekcja nie mogła zaprzeczyć go w przyszłości. Dopełniano wówczas takiego w właszczaniu się różnemi symbolicznemi znakami, bądźto uroczystem przywdzianiem podanej sobie przez łaskodawcę czapki, bądźto uniesieniem z sobą grudki ziemi z gruntu darowanego, bądź wreszcie godłem pierścienia, którym albo pan łaskodawczy wwlążywał obdarzonego w nową posiadłość, albo sam obdarzony brał ją wrzuceniem obrączki swojej w jawne odtąd dzierżenie.

Świętej Kindze podobał się ten ostatni, najwłaściwszy w tej chwili sposób. Zdjęła więc niewielki złoty pierścionek z palca i z uprzejmym uśmiechem wrzuciła go w głąb szybu tuż pod stopami. Wszyscy obecni za żart to raczej, niżli za rzecz istną przyjmowali. Tymczasem błogi ten żart wprowadzał księżnę i ziemię krakowską rzeczywiście w używanie szybu darowanego.

Pierścień świętej Kingi spadł pomiędzy pracujących w głębi górników, a jużto jednocześnie z powracającą nad Wisłę księżną, jużto w pobliskiej temu chwili ciągnęły liczne do Polski wozy, naładowane solą z szybu marmoruskiego i wędrowali tam z Marmoruszu górnicy solni, mianowicie kopacze z szybu świętej Kingi, zawezwani do żup krakowskich w celu lepszego onych urządzenia, zbadania i rozszerzenia.

Jakoż okazują się w Polsce około tego czasu istotnie ślady nowopodejmowanych trudów w tej mierze. Przy jednej z takich prób roku 1251 zajęci wygłębieniem studni górnicy, prawdopodobnie węgierscy, może nawet ci sami, wobec których święta Kinga swój pierścionek w szyb marmoruski wrzuciła, dokopali się w Bochni twardych pokładów soli.

Dano o tem upragnionym zdarzeniu czempredziej wiadomość do Krakowa, księstwu obojgu, a zwłaszcza księżnie Kindze, która zewszzechmiar najgorliwszy w tem brała udział. Z błogosławioną nowiną przynieśli górnicy do Krakowa zarazem ów złoty pierścionek marmoruski, opowiadając, iż go znaleziono w pierwszym rozbitym bałwanie szybu nowego.

W tej chwili pamięć szczęśliwego odkrycia skarbów bocheńskich, będącego niejako tylko następstwem onego żartu w kopalni zakarpackiej, zespoliła się nierozzerwanie z jego narzędziem, z cudownym pierścieniem świętej Kingi.

Karol Szajnocha.

119. Władysław Łokietek.

Zdobia Polaków liczne cnoty, jak męstwo, miłość ojczyzny, gościnność i t. d., ale rzadką pomiędzy nami jest wytrwałość. Łatwo się zapalamy do wielkich i szlachetnych czynów, ale wnet zapal ostyga, a nieraz zwątpienie ogarnia nasze serca, chociaż niema słuszych powodów, aby tracić nadzieję i wątpić o pomyślnym skutku usiłowań. Ten brak wytrwałości sprowadził ciężkie klęski na nasz naród i dotąd jest główną przyczyną naszych niepowodzeń.

Najpiękniejszym dla nas wzorem jest dzielny Władysław Łokietek, król polski, który pierwszy raz zaczął panować 1290 r. jako książę krakowski. Nie utrzymał się długo w Krakowie, gdyż książę śląski Henryk zajął Kraków, a Łokietek ratował się ucieczką. Roku 1297 został znowu powołany na tron polski, ale gdy jego żołnierze dopuszczali się zdzierstwa i gdy sam Władysław popełniał liczne błędy, ofiarowano koronę polską Wacławowi, królowi czeskiemu, który panował od r. 1300 do 1305.

Łokietek stał się wygnańcem. Udał się on na pielgrzymkę do Rzymu, gdzie opłakiwał grzechy młodości. Po zgonie Wacława wrócił do Polski na czele szczupłego oddziału rycerzy, aby się dobijać na nowo tronu. Wielkie wówczas panowało w naszym kraju zamieszanie. Wielkopolanie uznali za pana Henryka księcia głogowskiego; Kraków zajął Bolesław, książę opolski, Krzyżacy opanowali zdradą Gdańsk, a przytem zagarnęli żyzne Kujawy; oprócz tego silne wojsko czeskie usadowiło się w kilku grodach, aby zapewnić tron polski młodocianemu synowi Wacława.

Nie uląkł się tych trudności Łokietek, a chociaż mu się nie zawsze powiodło, chociaż niejedną poniósł klęskę, przecież wkońcu zapomocą męstwa, roztropności, a nadewszystko wytrwałości pokonał wszelkie przeciwieństwa i zasiadł na tronie przodków. Roku 1319 odbyła się jego uroczysta koronacja w Krakowie w katedrze na Wawelu.

Łokietek ma tę wielką zasługę, że chociaż nie wszystkie, to przynajmniej większą część rozerwanych ziem polskich spoił w jedną całość, a mianowicie połączył Wielkopolskę, gdzie leży Gniezno i Poznań, z Małopolską, gdzie się wznosi Kraków. Śląska i Pomorza nie zdołał przywrócić Polsce, chociaż gorąco tego pragnął, gdyż jeszcze na łożu śmiertelnym zalecał synowi, aby się nie zrzekał dwóch tych ważnych polskich krain.

Władysław Łokietek zakończył życie 1333 roku w Krakowie. Zwłoki jego spoczywają w katedrze krakowskiej, ozdobione pięknym pomnikiem, który przedstawia postać króla, wykutą z marmuru.

Łokietek zapalał nieraz naszych przodków do wytrwałości i zachęcał, aby nie rozpaczać mimo chwilowego niepowodzenia. W roku 1656 za panowania Jana Kazimierza opanowali Szwedzi całą Polskę z wyjątkiem Gdańska i Częstochowy. Król szwedzki, przybywszy do Krakowa, udał się do katedry, aby się przypatrzyć pomnikom i pamiątkom tej wspańiałej świątyni. Oprowadzał go zacny i zasłużony ksiądz kanonik Starowolski, dając objaśnienia i wskazując godne wi-

żenia zabytki. Gdy stanęli przed grobowcem Łokietka, na którym niema żadnego napisu, zapytał król szwedzki:

— A kto tu spoczywa?

— Władysław Łokietek — odrzekł Starowolski — trzy razy był wygnańcem, a jednak wkońcu wrócił do kraju i zasiadł na tronie polskim, a w tej tu właśnie świątyni był koronowanym.

— Ale wasz król obecny Jan Kazimierz, ten już nigdy nie wróci — zauważył butnie szwedzki zdobywca.

Na to Starowolski odrzekł z prostotą:

— Bóg jest cudownym, a szczęście zmienne.

Słowa te przejęły głęboko króla szwedzkiego, zaraz też zdjął kapelusz, rozmawiał łagodnie i dziwnie był zadumany. Ziściła się przepowiednia Starowolskiego, gdyż Szwedzi ustąpili z Polski, a Jan Kazimierz, podobnie, jak wytrwały Łokietek, wrócił do kraju.

Józef Chociszewski.

120. Król kmiotków.

I.

Wskrzeszeniem podupadłej ojczyzny dopełnili Piastowie swego historycznego zadania. Teraz jakby złotym owocem tego dojrzenia rozświtają Polsce czasy rządów ostatniego Piasta w koronie, Kazimierza Wielkiego.

Patrząc na sędziwą postać tego króla gospodarza, tego uśmierzyciela zatargów narodu z sąsiadami, opiekuna rolników, prawodawcy ojczyzny, mniemamy w tym ostatnim koronnym potomku błogosławionego kołodzieja z Kruszwicy widzieć ziemiańskie oblicze samegoż praojca Piasta, tak ściśle narodowe, bo i legendą wymarzone i historją sprawdzone rysy odznaczają naszego „króla kmiotków“. I ten to przez żadnego z naszych królów tak dokładnie, jak przez Kazimierza, nie osiągnięty ideał króla narodowego, zjednał mu nazwę „Wielkiego“, nieprzyznaną ani wielkiemu wskrzesicielowi ojczyzny, ojcu Kazimierzowemu, ani, większemu jeszcze, założycielowi narodu Bolesławów, Chrobremu.

Jak Piast, tak i Kazimierz, jest przedewszystkiem ziemianinem, gospodarzem. Przyciśniony koniecznością, zapuszcza on niektóre ziemie ojczyste, jak Pomorze i Śląsk, na zawsze lub do czasu, ugiorem. Za to jednak rozprzestrzenia on zagrodę narodową nabytkiem nowej, rodzajnej ziemi, Rusi Czerwonej. Potomek kołodzieja napęlnia Kazimierz całą Polskę gwarem wszechstronnej fabryki domowej. Naddziad pracował drzewem, wnuk ciosem.

W stu różnych miejscach kraju, stutysięczna skrzętna czeladź króla-murarza zakładała nowe miasta, opasuje dawne murami, buduje grody, stawia kościoły. Zarazem ku zbudowaniu umysłów wznoszą się szkoły, pada węgielny kamień akademii krakowskiej. A jako zgoda najlepszym jedynym każdej nowej budowy bywa cementem, tak o zgodę najgorliwiej nasz Piast drugi ma pieczę. Zgodą, acz drogą uspił on krzyżaków aż do krwawego na polach grunwaldzkich przebudzenia.

A że zgoda, praca, gospodarność rodzą dostatki, więc bogatym we wszelkie skarby tej ziemi, możliwym jak żaden król ówczesny, był nasz Kazimierz. A nie byłby królem dawnych Polaków, gdyby się był przytem nie okazał gościnnym. Toż nie tylko tłum cudzoziemskich przybyszów, ale cały naród wygnańczy, żydowski, wyszczwany okropnem prześladowaniem z Francji i z Niemiec, miał swobodny w ziemi jego przytułek, używał do syta jego szczodroty i gościnności.●

I przybywało z czasem coraz więcej ubogich i dostojnych przyjaciół, koronnych i niekoronnych ochotników dóbr ziemi polskiej w gościnę do starego króla, szafarza łask i dóstatków, w zaloty do jego bogatej wnuki pomorskiej, w zawody o jej wiano, uniesione wreszcie przez pierwszego z monarchów europejskich, pana korony cesarskiej Karola Luksemburczyka. Sprawiona z tego powodu uczta weselna w Krakowie godna iść w porównanie z ucztą starego praojca Piasta. Nie było tam wprawdzie aniołów Pańskich, jak ongi w zagrodzie błogosławionego kołodzieja, lecz w tomiast trzech królów ziemskich i jeden cesarz siedziało wokoło stołu nad-

wnuka kołodziejowego i wokoło stołu jego służebnika, mieszczanina krakowskiego Wierzynka.

Pamięć narodowa świadoma podobieństwa pomiędzy pierwszym a ostatnim Piastem, uzupełniła je nadanym Kazimierzowi w przypomnienie kmiecostwa praojca Piasta przydomkiem „króla kmiotków“. Ubogi kmiołek z Kruszwicy rozpoczyna ród Piastów, „wielki“ kmieć krakowski kończy jego zawód koronny.

Karol Szajnocha.

II.

Liczne ustawy wydali poprzednicy Kazimierza Wielkiego. Słyszymy o nich już za Bolesława Chrobrego, wiemy, że wydawali prawa także jego następcy, ale przygodne te rozporządzenia stosowały się tylko do poszczególnych wypadków i nie były powszechnie znane. Gorzej jeszcze działo się po śmierci Krzywoustego, gdy w każdej prawie dzielnicy powstawały nowe przywileje, nowe ustawy i wyrabiała się nieraz odrębna praktyka sądowa. Nie ulegało zaś wątpliwości, że Polska jakkolwiek zjednoczona pod berłem jednego monarchy, tak długo nie będzie państwem jednolitem, póki istnieją różnice, jakie powstały w czasie podziałów, póki jednakowe ustawy, jednakowa moneta i jednakowe urzędy nie zleją w jedną całość różnorodnych dzielnic.

W pierwszym rzędzie było powołaniem do tego prawodawstwo. Z ustaw okolicznościowych, z spraw rozmaitych, przechowywanych zwyczajowo, ale wcale dotąd nie spisanych, należało stworzyć księgę ustaw, obowiązujących w całym państwie. Nie było to rzeczą łatwą, zwłaszcza w ówczesnej Polsce, która nie miała ani szkół wyższych, ani ludzi przysposobionych do prac tego rodzaju, i tem większa chwała należy się królowi, że pomimo tak znacznych trudności wielkiego dzieła dokonał. Na szczęście znalazł on wśród duchowieństwa polskiego zdolnych pomocników. Jednym z nich był Jarosław Bogorya Skotnicki, wyćwiczony w słynnej akademii bolońskiej, drugim siostrzeniec jego Jan czyli Janusz Strzelecki, zwany Suchywilk, późniejszy kanclerz i arcybiskup gnieźnieński. Oni to głównie zajęli się zebraniem ustaw, z czego powstał

statut wielkopolski, przyjęty na wiecu Wielkopolan w Piotrkowie, i małopolski, uchwalony przez Małopolan w Wiślicy w roku 1347. Oba statuty ujęto później w wielką księgę, czyli w kodeks, a całe dzieło nosi nazwę Statutu Wiślickiego.

W dalszym ciągu przystąpił król do uporządkowania prawa niemieckiego, którem rządziły się liczne miasta i osady, założone po napadach mongolskich. I tu bowiem panowała wielka różnaitość t. zw. praw niemieckich, tłumaczono je dowolnie, a co gorsza, odwoływano się w wątpliwych wypadkach do obcych sądów w Magdeburgu lub Halli, co pociągało za sobą znaczne koszta i ubliżało powadze królewskiej. Ażeby tym wszystkim niedogodnościom koniec położyć, ustanowił Kazimierz Wielki w roku 1361 dla miast na prawie niemieckiem założonych, sąd nadzorczy główny na zamku krakowskim i zniósł zarazem wszelkie apelacje do Magdeburga i Halli.

Ustawodawcza praca Kazimierza Wielkiego miała na celu nietylko spisanie praw i uregulowanie stosunków społecznych, ale także powściągnięcie nadużyć i podniesienie władzy monarszej. Dążąc wytrwale do podźwignięcia kraju czuwał król troskliwie nad utrzymaniem pokoju wewnętrznego i karał surowo zbrodniarzy wszelkiego rodzaju, bez względu na stan i pochodzenie.

August Sokołowski.

III.

Był Kazimierz — jak nas pouczają stare kroniki — „wzrostu urodziwego, stanu udatnego, ciała otyłego, włosów gęstych a kędzierzawych, brody zapuszczonej, wymowy ogromnej, jednak troszeczkę przyzajaklejszej“. Natura była to wybuchowa i krewka, fizycznie i duchowo wybujała nad przeciętną miarę, natura żadna wielkich bohaterskich czynów. Potrafił syn Łokietkowy noce spędzać nad zwojem starych pergaminów, skąd uczył się prawa dawnej, zamartej już Polski, aby przez cały dzień następny uganiać się za dzikiem lub niedźwiedziem w kniei, a wieczorem weselić w pałacu Łobzowskim w towarzystwie licznej drużyny, dla której pan łaskawy i hojny, sute wyprawiał festyny, a śmieszków aż z dalekiej sprowadzał Italji.

Z szczególną zapobiegliwością dźwigał Kazimierz kościoły kamienne i zamczyska, a nader liczne grody opasał ścianą murowaną i zamienił w twierdze niezdobyte. Kromer wybiera do stu miast i klasztorów, zbudowanych z jego rozkazu. Jakoż przed ogromnem jego pracowitości i przed genjuszem wielkiego monarchy ze czcią schylali głowy najbardziej nawet rządowi jego niechętni.

A karty starych kronik aż świecą się od czynów wiekopomnych mądrego króla. Boć przypomnijmy sobie tylko, że król Kazimierz pierwszy uporządkował dawne prawo zwyczajowe polskie i nadał statut Wiślicki, że założył akademię krakowską i Ruś Czerwoną do Polski przyłączył, że odzyskał prawa zwierzchnicze nad Mazowszem, wziął mieszczan, chłopów i żydów pod opiekę sądów królewskich, że budował, jak się wyżej rzekło, liczne klasztory, zamki i kościoły, trzebił lasy, osuszał bagniska i wśród nich wygodne przeprowadzał gościńce, że dla innowierców był tolerancyjnym, a przez potężną opiekę nad rolnictwem, handlem i przemysłem przyczynił się do wzmożenia takiego dobrobytu, iż prosty mieszczanin krakowski, Wierzynek, mógł podejmować w swem domostwie gości koronowanych i zamożnością ich zadziwować.

Ale przydomek „Wielki“ należy się Kazimierzowi przede wszystkim dlatego, że rządy swoje oparł na sprawiedliwości dla ubogiego ludu, a szlachcie dla pożądanej równowagi stanów chciał przeciwstawić zamożne mieszczaństwo polskie. I gdyby polityka Kazimierzowa była się utrzymała nadal, miasta nasze takby rozkwitły i słynęły po szerokim świecie, jak bogate grody niemieckie i włoskie.

Z dumą i radością możemy powołać się na fakt osobliwy, żeśmy w połowie czternastego wieku mieli monarchę, wyższego nad swe otoczenie, a sprawującego rządy w epoce barbarzyństwa rozumniej i sprawiedliwiej, niż to się w niejednym kraju zdarza w oświeconym wieku dwudziestym. Nasz Kazimierz zrozumiał to już lat pięćset temu, że źle się dzieje w państwie, gdzie cały odłam ludności żyje poza prawem. Nie nad tłumem nędznych niewolników, ale nad wolnym i oświeconym narodem, nie deptać i uciskać, lecz dobrotliwie pano-

wać i uszczęśliwiać pragnął syn Łokietkowy, budownik nowej odrodzonej Polski, wiekopomny „król pospółstwa“.

St. Kozłowski.

121. Weselne gody w Krakowie.

I.

U dworu Kazimierza Wielkiego w Krakowie wychowywała się wnuczka króla, Elżbieta, córka szczecińskiego księcia Bogusława, od lat kilku osierocona po matce. Celowała ona niepowszednią urodą i rzadką krzepkością i siłą. Posłowie papiescy umyśleli połączyć księżniczkę małżeńskimi ślubami z cesarzem Karolem Luksemburczykiem, od kilkunastu miesięcy wdowcem po trzeciej żonie. Obie strony chętnie zgodziły się na ten związek. W kwietniu roku 1363 miały się odbyć w Krakowie uroczystości weselne.

Spieszyło tedy do Krakowa na miesiąc kwiecień tak liczne i dostojne towarzystwo weselne, jakie mało która stolica widziała kiedykolwiek w swych murach. Przedewszystkiem przybył ojciec oblubienicy, książę pomorski Bogusław; z nim przyjechał jego bratanek Waldemar, głośny na północy król duński. Zmierzał też do Krakowa król węgierski Ludwik, sławny w ówczesnym świecie jako pan wiele koron.

Przy boku syna Ludwika znajdowała się także królowa Elżbieta. Każdy z monarchów średniowiecznych poczytywał sobie za obowiązek honoru mieć w swoim orszaku kilku książąt hołdownych. Przybywali tym sposobem z cesarzem Karolem IV książe bawarski i świdnicki, Otto i Bolko, z królem Ludwikiem Władysław, książe opolski, nareszcie mazowiecki hołdownik Kazimierza, książe Ziemowit. Nie chybiło dalej poselstwo od sprzymierzonych książąt rakuskich; nie brakło też posłów papieskich, sprawców całej uroczystości.

A cóż za tłumy pomniejszych książąt i pośledniejszego rycerstwa płynęły obecnie do Krakowa, jak zawsze w porze podobnej! Wszakże nad wszelką mieszaniną tak różnobarwnych drużyn gościnnych niższego rzędu, nawet poniekąd nad owe znajome głowy monarsze, świecił oczom ówczesnym i świeci wspomnieniu dzisiejszemu pewien obcy z daleka nadciągający

przybysz królewski: był to król Jerozolimy i Cypru z rycerskiego rodu Luzynjanów francuskich. Mimo krótkości panowania zasłynął on w dziejach jako Piotr „Wielki“; a pełna przygód historia jego rodu i życia niezwykle dodawała mu uroku.

Już się wszyscy książęcy i królewscy goście zjechali byli; brakowało tylko cesarza, któremu godność pierwszego monarchy w chrześcijaństwie nakazywała przybywać wszędzie ostatnim. Gdy wreszcie oznajmiono, iż się zbliża, wsiedli na koń wszyscy czterej królowie: Ludwik, Waldemar, Piotr i Kazimierz, i w towarzystwie nuncjusza papieskiego, poprzedzeni nieprzejrzanym tłumem panów każdego dworu, wyjechali naprzeciw cesarzowi. O milę od Krakowa obaczyły się z daleka oba nadciągające ku sobie dwory. Nastąpiła zwyczajna wówczas walka grzeczności i ceremonji. Uradowany wyrządzoną sobie attencją, cesarz zsiadł z konia i szedł pieszo na spotkanie monarchów. O czem od dworzan swoich usłyszawszy, królowie zeskoczyli czempredzej z siodeł i podobnież pieszo nieśli powitanie gościowi.

Wtedy przy podaniu sobie rąk przez monarchów, przy wielokrotnych uściskach pomiędzy nimi, przy podobnemże witaniu się książąt i rycerstwa wszystkich dworów, witaniu się tylu języków i narodów na małym ziemi polskiej kawałku, cóż za radość przejęła wszystkie serca! Następnie wsiedli wszyscy znowu wesoło na koń i posunęli się ku miastu. Tuż przed bramami miejskimi czekał ojciec oblubienicy cesarskiej, książę Bogusław, wraz z panną młodą, otoczony strojnem gronem małżon i dziewic. Za czem nowe ceremonje i przywitania, nowe dalej pokłony witającego w bramach stolicy duchowieństwa, mieszczaństwa, wszystkich stanów! Zeszedł na tem dzień cały i dopiero pod wieczór stanęli monarchowie w zamku królewskim.

II.

Rozmieszczeniem przybyłych gości królewskich zajmował się stolnik sandomierski i podskarbi królewski Mikołaj Wierzynek. Z obowiązku tego wywiązał się znakomicie. Cesarz

z królami i książętami otrzymali „przepyszne mieszkania i komnaty na zamku, strojne w kosztowne opony i kobierce, w złotogłowie i klejnoty rozliczne“. Mniej znakomitym panom, niezliczonemu tłumowi zaproszonych i bez zaproszenia przybyłych zewsząd rycerzy wyznaczono „uczciwe“ gospody w mieście. Każdemu z panów, każdej gospodzie miejskiej przydano osobnego komornika czyli przystawa, mającego pamiętać o wszystkich wygodach gości. Wszystkim przystawom zalecił król Kazimierz słuchać rozkazów najwyższego zawiadowcy, Wierzyńka.

Pod jego kluczem rozwarły się wszystkie skarbcce, komory, piwnice i owe z dawno nagromadzonych zapasów słynne spichrze Kazimierzowskie. Przyszyłoby całą księgę napisać, gdybyśmy chcieli opowiadać wszystkie szczegóły uraczenia gości królewskich. Dość będzie nadmienić, iż każdy nietylko do zbytku otrzymał tego, co zwyczajnie należy się gościowi, lecz nadto dawano mu obficie, czego tylko zażądał, czego zapragnął z sobą na drogę lub do domu. Nasławszy wszystkim wszystkiego do komnat w zamku i gospód w mieście, porostawiano jeszcze na rynku krakowskim ogromne w wielu miejscach beczki i kadzie, pełne wina i owsa, z których każdy czerpał nietylko w miarę potrzeby, lecz nawet według upodobania, bo natychmiast stawały pełne, jak wprzód. A jaki ład w obsłudze, jaki dostatek panował w zaopatrzeniu, taka też wesołość niezwykajna ogarnęła serca wszystkich gości weselnych.

III.

Już trzeciego dnia po zjechaniu oblubieńca odbył się ślub cesarski. Odbył się zaś w katedrze zamkowej w obecności wszystkich zgromadzonych królów, nuncjusza papieskiego, książąt, panów i szlachty, cudzych i swoich. Celebrował przesławny arcybiskup gnieźnieński Jarosław, jeden z najznamienitszych mężów tego czasu, starzec blisko dziewięćdziesięcioletni (jeszcze 13 lat mający żyć na świecie), już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrszy z żyjących wówczas Polaków“.

Po ślubie nastąpiła wypłata posagu, oznaczonego przez Kazimierza Wielkiego w sumie 100 tysięcy złotych florenckich. Nastąpiły też uczty kosztowne i wesołe, uczty blisko trzech tygodniowe, które miały rozgłosić uroczystość wesela cesarskiego w Krakowie i chwałę gospodarza godów, Kazimierza. Codziennie przez dni dwadzieścia szły nieprzerwaną koleją turnieje, biesiady, tańce, krotochwile i uciechy wszelkiego rodzaju. Z turniejami łączyły się ceremonie rozdawania przez Kazimierza bogatych danków rycerskich; każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, zdumiewającymi swoją kosztownością.

IV.

Ale nie sam tylko Kazimierz chciał tym sposobem zaspokoić ambicję swoją. I możny jego zarządcza dworu, pan stolnik sandomirski, milionowy bogacz, Wierzynek, zapragnął urządzić ucztę bezprzykładnej okazałości. Mógł monarcha krakowski przez dni tak wiele podejmować gości wspaniale, to jego sędziwemu mistrzowi dworu godziło się pożądać na chwilę tego zaszczytu. Za czyjem staraniem królowie i wszyscy goście mogli tak długo oddawać się w swobodzie i wygodzie wszelkim uciechom, temu należała się wkońcu odwdzięka krótkiego pobiesiadowania pod jego własnym dachem.

Pozwolili tedy królowie zaprosić się przezeń na ucztę i majestatycznym pochodem udali się z książętami i pany do jego domu, opodal zamku krakowskiego. Gdy już zasiadać miano do stołu, pokłonił się starzec monarchom i prosił, aby według własnego zdania mógł oznaczyć miejsca każdemu z królów. Otrzymawszy zaś to pozwolenie, obrócił się Wierzynek do króla Kazimierza i rzekł: „Tobie, najjaśniejszy Panie, winienem wszystko, co mam. Ty swojemi dobrodziejstwami bez miary wzbogaciłeś mnie, przybysza; między najpierwszemi panami posadziłeś mnie, gościa w twojem królestwie; tobie też pierwsze miejsce u mego stołu!”

I posadził Kazimierza najwyżej. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi Karolowi IV. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski Ludwik, przy Ludwiku cypryńczyk Piotr,

a ostatnie miejsce zajął Waldemar duński. U jednego tedy stołu siedziało pięciu monarchów, z których czterech potomność uczciła przydomkiem Wielkich: „Kazimierz Wielki, Karol IV, „Wielki“ król Czech, „Wielki“ w Węgrzech, król Ludwik i cypryjski Piotr Wielki. Reszta książąt i panów rozsadowiła się według zwyczajnego porządku.

I wszczęła się wielka uczta, głośniejsza w pamięci pospolitej od wszystkich zdarzeń współczesnych. Kto na niej nie był, temu trudno uobecnić sobie jej rysy, tak różne od dzisiejszych, jej wesołość rubaszną, jej dziwną mieszaninę przesadnej ceremonijalności z prostoduszną poufalnością, jej śmiechy szczere i wiwaty ochocze.

Najweselszą jednak zabawę przygotował gospodarz dopiero pod sam koniec zebrania. Gdy goście królewscy mieli już opuścić gościnny dom Wierzyńka, uczcił on ich upominkami niezmiernej ceny, stopniującej się według stopnia dostojności, każdego z królów. „Różne dary“, opowiada kronikarz, „które otrzymał w ten sposób król Kazimierz, dochodziły, jak słyhać, wartości stu tysięcy złotych florenckich“. Jakże pamięć ludzka nie miała była przylgnać chciwie do tej uczty królowej, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach!

V.

Wśród scen takiego przepychu zbliżył się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samemi Świątami Zielonemi, upłynęła pora godom weselnym. Przez dni dwadzieścia weseliły królów nieprzerwaną koleją krotokwile wszelkiego rodzaju, gonitwy, płasy, osobliwie huczne bankiety w komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w one kobierce i purpury, na których wytwornym haftem perłami i kamieniami drogiemi wyobrażone były orle i inne herby królewskie — w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy ze szczerzego złota, naczynia z jaspisu i kryształu, niezliczone rogi do picia, wysadzane złotem i srebrem, o których mowa jest w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach,

Cały ten wielodniowy przeciąg czasu wydał się jednym nieustającym bankietem i uchodzi też rzeczywiście w kronikach za jedną wielką ucztę, wyprawioną dla okazania zamożności korony. Na koniec w tymże samym zamiarze, jak bogaty Wierzynek, tak i Kazimierz Wielki uradował gości królewskich różnemi gościńcami, przeznaczonemi roznieść po dalekich krajach sławę bogactw i gościnności gospodarza swadźby krakowskiej. Całe wesele cesarskie w stolicy polskiej było jednym, głośnym na wszystkie świat, dokumentem jedności pomiędzy monarchami i przyjaźni.

Karol Szajnocha (Szkice).

122. Pogrzeb Kazimierza Wielkiego.

1. Idą posępni
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
A grają im dzwony
Żałobne.
2. Idą posępni
A niosą korony
Ozdobne,
Misterne, a dla nich
Ciężące, jak olów,
Korony czerniałe,
Pogrobne.
3. A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
A szumią, łopocą
Szarfami przyczołów
Chorągwie, proporce
Pogrzebne.
4. A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
Ogromne, tętniące,
Podniebne.
5. A śpiewy nad nimi,
Jak skrzydła aniołów
Kołyszą się górne,
Wróźebne.
6. A idą posępni
Ze wszystkich kościołów
Z cechami, wieńcami,
Co kwitne, pachnące,
W tysiące były liczone,

7. I chłopcy sukmanne
I pany strojone
W pasowe żupany, delije.
8. I dziewczki przekrasne,
Panięta przejasne,
Jaśniejsze niż białe lilije.
9. A idą żałobni
A idą posepni
Przez długie ulice podgrodne;
A idą żałobni
A idą posepni
Choć niebo błękitem pogodne.
10. Wiatr chmury przegania,
To skrywa, odsłania
Orszaki pochodne, stokrotne;
11. A cienie się wiją
To jaśnia, to kryją,
To w biegu znikają przelotne.
12. A oni posepni,
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów zawodne.
.....
13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą
Czyli kwiaty wycięte się skarżą, —
Czyli łąki i łąny się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
14. Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
15. Za orszakiem — czy to łąki szarzeją...
Za orszakiem, czy to łąny już gwarzą,
Za orszakiem, czy to bory się chwieją
Za orszakiem, czy to lasy już idą...
Czyli pszczelne roje tak brzęczą
Za orszakiem, — czyli ziemie tak jęczą...
16. A idą żałobne
Posepne, pogrzebne
I łąki pachnące
I lasy podniebne,
Wnuczęta jego pogrobne.
17. A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
Ogromne, tętniące,
Wróżebne.
.....
.....

123. Jadwiga i Jagiełło.

Po śmierci króla Ludwika młodziotka córka jego Jadwiga przybyła nareszcie po dwuletnich naradach z Węgier do Polski, aby, jako wnuczka siostry Kazimierza Wielkiego, zasiąść na tronie piastowskim. Wkrótce po przybyciu, w dzień swoich imienin, została ukoronowaną przez arcybiskupa Bodzantę; za ciężką koronę musiało dwóch panów wciąż trzymać nad jej głową podczas całego nabożeństwa.

Młoda dziewczyna królowa od pierwszej chwili pociągnęła serca Polaków ku sobie. Niewinność i czystość serca, szlachetność jej duszy, podnosiły jeszcze piękność i urodę ciała. Po koronacji Polacy zajęci byli tem, kogo jej dać za męża, chociaż ona od dzieciństwa zaręczoną była z Wilhelmem, księciem austriackim. Wielkopolanie chcieli Ziemowita, księcia mazowieckiego, ale ten, dobijając się o berło i o rękę nadobnej królowej gwałtownie, dopuszczał się bezpraw i większą część narodu zraził od siebie. Małopolanie tedy gdzieindziej oczy zwrócili — na Jagiełłę, litewskiego księcia, upatrując w tem korzyści dla kościoła i dla Polski.

Państwo litewskie rozciągało się już wtedy od Bałtyku do morza Czarnego. Szukając obrony przeciw Krzyżakom i Moskwie, postanowił Jagiełło zbliżyć się do Polski i wyprawił do Krakowa poselstwo z oświadczeniem, że przyjmie chrzest z całym narodem, Litwę i ruskie krainy z Polską połączy, odzyska utracone ziemie, jeżeli Jadwiga odda mu swoją rękę.

Zamiarom Jagiełły przeciwnym był Władysław, książę Opolski, który życie swoje poświęcał pilnowaniu interesów niemieckich. Wpłynął on na matkę Jadwigi, królowę węgierską, żeby odnowiła umowę z domem austriackim i jemu poruciła dopilnowanie, żeby Jadwiga małżeństwo z Wilhelmem zawarła. W drugiej połowie roku 1385 przybył tedy do Krakowa naraz Wilhelm austriacki i Władysław Opolczyk. Było w średnich wiekach prawo kościelne, że po zaręczynach w wieku dziecięcym uważano małżeństwo za prawnie zawarte i już nierozwiązalne, skoro tylko dzieci te dorósłszy razem zamieszkały.

Wilhelm, obecny w Krakowie, potrzebował tylko dostać się na zamek, zamieszkać choćby tylko dzień jeden z Jadwigą — a cały plan litewski przepadł! Na zamek nie wpuścił jednak Wilhelma kasztelan; księżę Wilhelm zamieszkał tedy w mieście. Jadwiga chciała poznać młodzieńca, którego jej rodzice przeznaczyli, bo uważała nawet za swój obowiązek, poślubić go. Władysław Opolczyk nie zaniedbywał zachęcać jej do tego i wkońcu obmyślił sposób i środki, żeby Jadwiga zeszła się z Wilhelmem w refektarzu francuskiego klasztoru. Poznawszy młodego księcia, towarzysza niegdyś dziecinnych igraszek, pokochała go całym sercem.

Gdy to panowie małopolscy spostrzegli, chcieli położyć koniec spotkaniom u Franciszkanów; ale młodziuchna królowa, już koronowana, zaczęła rozkazywać i wręcz oświadczyła, że pragnie Wilhelma za męża i że go na zamek do siebie sprowadzi. Zdwojono tedy strażę na Wawelu i czuwano dniem i nocą na murach zamkowych.

Jadwiga zaczynała piętnasty rok życia; młode dziewczę szło za popędem serca. Nieprzyjaciele Jagielly przedstawiali jej litewskiego księcia w najgorszym sposobie; córce najwspanialszego europejskiego dworu mówili, że władca litewski, to barbarzyńiec, który żadnej nie ma cywilizacji, że chłop ordynarny, a przytem bardzo brzydki, z wykrzywioną twarzą i cały porosły rudym włosem; że Litwini skórąmi tylko się odziewają, w norach mieszkają, że to istni dzicy ludzie. Wmawiali w nią, że wstydem będzie, żeby taka księżniczka wychodziła za pogańskiego księcia, który — jak mówili — dlatego tylko się ochrzczi, żeby pozyskać koronę, ale w duszy dalej poganinem będzie; twierdzili, że żaden z monarchów europejskich ręki mu nie poda i że cały świat z pogardą będzie patrzył na taki dwór królewski. Młoda dziewczyna, cała zaszczona, widziała w Wilhelmie zbawcę od wszystkich tych wymyślonych okropności.

Panowie małopolscy stali jednak twardo przy swoim i oświadczyli, że królowa musi przynajmniej pozwolić przyjechać do Krakowa dziewczętom litewskim; liczyli na to, że przy tej sposobności królowa przekona się, iż Litwini nie są

dzicy ludzie, że ją umyślnie okłamują stronnicy Wilhelma. Najbardziej przeszkadzał im Opolczyk, ale udało im się nareszcie przekupić go; na razie nie żądano odeń nic innego, jak tylko żeby opuścił Kraków. Gdy Opolczyk wyjechał, Wilhelm ujrzał się bez pomocy. Czekając na poselstwo litewskie, pilnowano tymczasem królowej w zamku.

Jadwiga postanowiła jednak znowu pójść do Franciszkanów; wychodząc, zastała bramę zamkową zamkniętą. Kazała otworzyć; straż nie miała kluczków, które trzymał u siebie kasztelan. Gdy go królowa zawołać kazała, przybyli razem z nim inni panowie i rzucili się do kolan królowej, błagając, żeby zaniechała swego zamiaru. Królowa, w której wzburiła się krew młoda, wyrwała wtenczas topór jednemu ze straży i zaczęła rąbać w bramę, żeby się wydostać na miasto. Słaba dłoń dziewczicy nie wiele toporem sprawiła i po kilku uderzeniach poznała, że to na nic się nie zda. Wzruszeni panowie prosili o przebaczenie, bo im samym szczerze żal było młodziuchnej osoby, której przykrość wyrządzać musieli.

Musieli — tak, było to ich obowiązkiem. Małżeństwo z Wilhelmem, to zadowolenie jednego tylko serca i to może tylko nie na długo. A małżeństwo z Jagiellą — to wielka sprawa przed Bogiem i światem. Nawrócenie całego narodu, rozszerzenie chwały Bożej w dużym państwie, koniec pogaństwa w Europie, wpływ na schyzmę ruską, posunięcie cywilizacji europejskiej i katolickiej kultury o dwieście mil dalej na północ i wschód, odjęcie podstawy potędze krzyżackiej, zdwojenie sił do walki z nim, nadzieja, że odzyska się Pomorze, ujście Wisły i wybrzeże morza Bałtyckiego; wzmożenie Polski tak, żeby mogła odebrać to wszystko, czego rad nie rad musiał się wyrzec Kazimierz Wielki; a nadto przez połączenie z Litwą trzykrotne powiększenie jej obszaru: — to wszystko było wianem, które Jagiello dawał Jadwidze. Polska miała pozyskać wielką zasługę dziejową i sama stać się największym państwem w Europie!

Powoli zaczynała to wszystko rozumieć Jadwiga; nie przystawała jeszcze na nic, ale przynajmniej mówić sobie o tem pozwalała i do Wilhelma już się nie wyrывała, który

widząc, że królowa nikogo do niego z wiadomością nie posyła, zdradzony przez Opolczyka, opuścił wreszcie Kraków.

Przybyli dziewosłębi z Litwy, bracia Jagielly i królowa przekonała się, że nie ustępują w niczem rycerzom zachodniej Europy. Z ich własnych ust dowiedziała się, jakie na Litwie stosunki, jak Krzyżacy budzą narodową nienawiść przeciw chrześcijaństwu i przekonała się, że Litwa przyjmie katolicyzm tylko od Polaków, albo go wcale nie przyjmie; pozostanie w pogaństwie lub chyba przejdzie na schyzmę, ale o chrzcie z rąk wrogich Krzyżaków nie chce ani słyszeć. Przekonała się teraz sama, że losy całej wschodniej Europy są w tej chwili w jej ręku: od jej woli zależy przyciągnąć Litwę do prawdziwego kościoła, albo ją od niego na zawsze odepchnąć. Zrozumiała piętnastoletnia królowna, iż korona nakłada wielkie obowiązki na tego, kto się nią ozdobić pragnie. Zrozumiała, ile to wielkich spraw zależy od jej postanowienia, jaka to ciężka odpowiedzialność na nią spada wobec Boga, kościoła i dwóch narodów. Zaczął wołać głos sumienia, że tutaj trzeba serce złożyć na ofiarę kościołowi i narodowi; ale głos serca, taki silny w młodych latach, także się jeszcze odzywał. W rozterce duszy pobiegła do kościoła, u stóp ołtarza szukać otuchy, pociechy i siły.

Jest w królewskim kościele na Wawelu, w lewo za wielkim ołtarzem, cudowna figura Zbawiciela na krzyżu. Olbrzymich rozmiarów krzyż, czarno szmelcowany, srebrną siatką ogrodzony, z daleka wygląda poważnie, posępnie; zawieszona głowa Ukrzyżowanego do dziś dnia spogląda na klęczących u stóp wiernych, wzywając, żeby każdy dźwigał ten swój krzyż, który mu Opatrzność wyznaczy, jako obowiązek za przykładem Boga-człowieka, który najcięższy sobie wziął krzyż do dźwigania. Tutaj u stóp tego ołtarza klęczała Jadwiga, pogrążona w gorącej modlitwie. Legenda opowiada, że Zbawiciel przemówił do niej z krzyża. To pewna, że już się nie namyślała, ale dziękowała Bogu, że w Opatrzności swojej ją właśnie wybrał na narzędzie cudownych swoich w historii wyroków.

Przystąpiła królowa, żeby posłać po Jagiełłę. Cała Polska triumfowała i dziękowała Bogu. Dnia 15 lutego 1386 przyjął Jagiełło chrzest w katedrze na Wawelu; po trzech dniach odbył się ślub i koronacja. Ofiarą szlachetnego serca dźwignęła się Polska i rozpoczęła nowy, najświetniejszy okres swojej historii, zwany okresem Jagiellońskim. Nowa dynastia królewska panowała w Polsce do 1572 roku i pozostawiła po sobie najlepsze wspomnienia w historii.

Podług Konecznego.

124. O królowej Jadwidze.

Oto Jadwiga królowa!
Wonna róża z Piastów rodu —
A Polska pamięć jej chowa
Jako świętości narodu!
Bo jako anioł ofiary
Ostatnia z rodu na straży
Podparła królów dom stary —
I Litwę z Polską kojarzy!
Gdy przywiodła pod krzyż Pański
Całej Litwy lud pogański,
Pan Bóg przymierze odnowił,
Bo z krzyża do niej przemówił!
Co rzec raczył — tajemnicą,
Ale w łasce Bożej rosła —
I tę starą szkołę wzniosła,
Która światła jest krynica...
Choć ostatnia z Piastów krzewu
Przecie sławna jest z posiewu
Wiary, światła i miłości,
Co narodom drogę prości:
To też naród ją najczulej
W wielkim ołtarzu pochował,
I tak ją wielce miłował,
Że tron odtąd naszych króli
Na Jadwigi stawiał grobie —
I korona siadła sobie:
A krucyfiks słynny cudem
Kirem odtąd zapuszczony —
I dziś świadczy między ludem
O tej Polsce bez korony.

W. Pol.

125. Chrzest Litwy.

Wyprawę Jagiełły w celu ochrzczenia Litwy przyrównano do wypraw morskich, odkrywających świata nieznane dotąd lądy i skarby. „Otworzył król portugalski swojemi wędrownemi żaglami indyjskie i afrykańskie strefy południa— mówi polski spółcześnie lat Kolumbowych. — Jagiellonowie odsłaniają nam coraz dalsze ziemie i ludy, rozpostarte ku biegunowi północy i ku wschodowi słońca“.

Z nadzwyczajną też okazałością wybrał się król Władysław w pierwszą drogę tych odkryć Jagiellońskich. Przedewszystkiem wyszło świetne poselstwo do Krzyżaków, złożone z wielu książąt pod przewodnictwem Konrada Oleśnickiego, a wzywające mistrza Konrada Zolnera do wiecznej zgody i unji, zapomocą której mógłby Jagiełło tem snadniej ochrzcić Litwę. Poczem o pierwszych mrozach październikowych wyruszył nowy król polski z niezmiernie licznyim dworem na wschód. Omijając Ruś Czerwoną, obrano trakt wołyński na Lublin, Włodzimierz ku Łuckowi. Towarzyszył Jagielle tamtędy nader tłumny orszak duchowieństwa, książąt, wojewodów i kasztelanów polskich.

Im głębiej zapuszczały się cugi podrózne w stronę Litwy pogańskiej, tem nowszy, tem osobliwszy obraz ziemi i ludu zadziwiał polskich towarzyszy Jagiełły. Wjeżdżano w ostatnie zakątki, w ostatnią leśną kryjówkę pogaństwa w Europie, równie odmienną od reszty kraju Zachodu, jak wiara i obyczaj mieszkańców od obyczajów reszty narodów europejskich.

Właśnie spoczywał lud po uroczystościach jesiennych — ostatnich uroczystościach pogańskich. Przejazd dworu apostolskiego nie wywoływał w nim żadnej niechęci; owszem, wystawność i okazałość, z jaką każda podobna wyprawa apostolska występowała zwyczajnie w kraju pogańskim, budziły ciekawość i dziecinny podziw w jego mieszkańcach, pociągały ku sobie ludność ubogą. Dlatego jednomyślnie z apostołem Słowian pomorskich, św. Ottonem, starał się każdy rozkrzewiacz ewangelji przybyć pomiędzy pogan „bogaty w pieniądź złoty i srebrny, w postawy sukna, i złotogłowi, kosztowności

wszelkiego rodzaju nawet w zapasy zboża, wiezione za nim czasami na pięćdziesięciu wozach“.

Temuż przypisać należy niezwykłą okazałość, która uświetniała teraźniejszą podróż Jagiełły w ziemię litewską. Jakeśmy widzieli przy wyjeździe, otaczała go wspaniała rzesza biskupów, książąt litewskich, mazowieckich i śląskich, wojewodów i kasztelanów polskich. Mnogie sanie ładowne wiozły za dworem obfitość towarów polskich, mianowicie sukien wełnianych, tego powszechnego wówczas dostatku ziemi polskiej.

Symbol odzyskanej chrztem niewinności, a przeto zwyczajny niegdyś podarek nowochrzczeńców, — szaty białe wełniane, bywały wielką pomocą przy każdej próbie nawracania pogaństwa w Europie. Szły one więc i za Jagiełłą w znacznej ilości. Jakoż skłoniwszy ku sobie całą płócienną Litwę, przyczynił się ten podarek sakramentalny niemało do rozstrzygnięcia losów bałwochwalstwa litewskiego w myśl dawnej przepowiedni krajowej.

Albowiem oprócz wielu innych wpływów przeciwnych, podkopywała jeszcze pogaństwo Litwy wróżba o niechybnym upadku Znicza. Przed wielu laty, w czasie budowania głośnej świątyni pogańskiej w Wilnie, udał się jej książęcy założyciel do najsławniejszej wyroczni na Żmudzi z zapytaniem, jak długo będzie stała świątynia. Wyrocznia odpowiedziała: „Dopóki pogaństwo w Litwie“. A w domiar otrzymał książę od wyroczni dar pewnej liczby cegieł o znakach mistycznych z tem poleceniem, aby co roku wmurowywano po jednej cegle w ścianę świątyni.

Przez lat sto dwadzieścia i jeden działa się zadość temu zleceniu. Na obecny rok 1387 pozostała cegła ostatnia, a znakiem jej był krzyż podwójny. Zaczem wypadło jedynie ukazać się Jagielle ze swoim chrześcijańskim orszakiem w Wilnie, a znikąd nie groził opór dziełu zbawienia. Początek roku 1387 sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna.

Stołeczny gród Litwy, osiadły na południowem wybrzeżu Wilji, między tą rzeką, a wpadającą do niej z prawego brzegu rzeczulką Wilną, składał się z dwóch całkiem różnych połowic. Jedną połową było małe Wilno, ale warowne i zamożnie

zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce, drugą — miasto rozległe, ale lichej budowy, po największej części przez cudzoziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie.

Tamto, książęce, w samo kolano Wilji i Wilny wsunięte, tworzyło jedną wielką warownię, złożoną z dwóch różnych zamków, Wyższego na Turzej górze, i Niższego czyli Krzywego u jej podnóża, a oblaną dokoła obydwoma rzekami i połączonym z nimi przekopem. Tu znajdowały się mieszkania książęce i gmachy dworskie, wielki posąg Perkuna, wieża, z której kapłani pogańscy przemawiali do ludu, wreszcie na t. zw. „Świętej łące“ Swentoroga, naczelną świątynia pogańska, gdzie płonął wieczysty ogień „Znicz“, główna świętość narodu.

W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na nierównie szerszej przestrzeni, rozlegało się raczej kilka wiosek, niż jedno wielkie miasto; kupiły się gromady ubogich, drewnianych domków, bez śladu ulic, przedmieść lub murów miejskich; kwitnęły pomiędzy nimi przestronne łąki, pola, ogrody.

Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona przez cudzoziemców, w szczególności Niemców i Rusinów, pomiędzy którymi liczyło się także wielu niechrześcijan, bądźto Tatarów, bądź żydów. Według różnicy wyznania dzieliło się to chrześcijańskie miasto znowu na dwie odrębne dzielnice, ruską i łacińską, czyli niemiecką.

Dzięki temu zbiegowi okoliczności, przyrosła Wilnu pogańskiemu cała druga połowa, chrześcijańska; i stało się, że gdy obecnie Jagiełło wyjechał ze swoim orszakiem na „dolny zamek“, tylko „jedna połowa Wilna“ była do odrodzenia chrztem świętym. Przystąpiono tedy do aktu nawrócenia, którym ostatni kaganiec bałwochwalstwa w Europie zgaśł w powszechnym blasku jednego wielkiego słońca, zaczem przygotowawszy wszystko, co chciano postawić na zwaliskach przeszłości, przyłożono topór do jej pnia spróchniałego. Zwołano wszelkie pogaństwo okoliczne do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni.

Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Niepoślednią też pobudką niechęci była obawa zemsty bogów pogańskich. Należało tedy przekonać publicznie o ich nieudolności. Gwoli temu rzucili się chrześcijanie do obalenia świętości bałwochwalczych. Zalany został Znicz święty i pogaszone ognie wieczyste. Padły pod siekierą święte dęby na zanku i w gaju na Łukiszkach. Powybijano święte węże, jaszczurki, zarówno nieświadome przyczyn dawniejszej czci, jak teraźniejszej zagłady.

Przypatrując się tej ruinie, pogaństwo zawodziło wielkim, żalobnym płaczem. Ale tylkoż tyle oporu, tylko jęki i łzy spotkał przed sobą rozkaz książęcy, „zresztą nie śmiał nikt ani piśnąć“ — mówi jeden z naocznych świadków zdarzenia. A gdy taka wola książęca padła, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać, ochłonęła z trwogi zgraja pogańska i oświadczyło plemię „płochę a lekkomyślną“, jak Litwinów nazywali Krzyżacy, iż chce się ochrzcić.

Nastąpiła zatem katechizacja. Sam król pobożny pomagał w tym względzie polskim nauczycielom duchownym. Najwięcej dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. „Tak wielu bogów“ — mniemano — „okazało się bezwładnymi a jeden miałby większą mieć władzę?“ Nie było atoli pory do rozumowań. Wkrótce uznano uczniów dojrzałymi do chrztu i zaczęto chrzcić ich z osobna.

Każdy nowo ochrzczeniec dostał białą szatę wełnianą. Schludny, bogaty w oczach Litwina strój uszczęśliwił nędzę pogańską. W okamgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się. Zbiegały się zewsząd tłumy pogaństwa. Szczupła stosunkowo garstka duchownych polskich nie mogła podolać ochotnikom. Nie godziło się przecież nie korzystać z powszechnego natchnienia. W takim położeniu chwyтали się polscy apostołowie środka, nieznanego dotychczas w chrześcijaństwie.

Zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i chrzczono je ryczałtem przez pokropienie święconą wodą. Każda gromada męska lub żeńska otrzymywała toż samo imię

świętego albo świętej. Wychodziły w ten sposób z pod kropidła całe tłumy litewskich Stanulów, Janulisów i Piotrulisów albo Katrin i Jadziul. Moźniejszych chrzcono ciągle z osobna. I ci biegli w zawody po nową wiarę. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczy i ubogich, panów i niewolników.

Tak więc cichym i łagodnym sposobem zajaśniało obecnie światło nowej wiary. Po ochrzczeniu swojej pogańskiej „połowy Wilna“, nie naruszając wolności wyznania drugiej, przeważnie ruskiej połowy, wybrał się Jagiełło około marca w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niej duchowieństwo łacińskie, a w każdym miejscu pobytu powtarzały się też same sceny apostołstwa, co w Wilnie.

Pobożny król nietylko kazaniami do ludu pomagał kapłanom polskim, lecz owszem jak prawdziwy zesłannik Boży sam chrztu udzielał, a nawet książętom i panom polskim toż samo czynić kazał. Wszędzie burzono świątynie bałwochwalcze, stawiano krzyże i kaplice łacińskie, ogłaszano rozporządzenia na rzecz duchowieństwa nowego.

Ten objazd apostolski trwał kilka miesięcy. Nie obeszło się przedewszystkiem bez dalszych starań o wkorzenie wiary łacińskiej. Wzniosły się dwa nowe kościoły rzymskie, jeden św. Marcina w zamku wileńskim, drugi św. Jana w mieście. Tak nowej katedrze litewskiej, jakoteż reszcie kościołów, nadeszła królowa Jadwiga obfity zapas kielichów, obrazów, mszałów, ornatów i t. p. przyborów.

Po całym dalekim świecie rozbiegła się wiadomość o chrzcie pogaństwa litewskiego. Poselstwo królewskie zostało wyprawione do Watykanu, niosąc należną sprawę z apostolskiej czynności w Litwie. Złożył ją u stóp papieża Urbana poznański biskup Dobrogost Nałęcz z Nowego Dworu. Był to pierwszy poseł Jagiełły, który stanął przed obliczem papiejskiem. Przyniesione przezeń wieści litewskie przejęły niezmierną radością serce Ojca św. Oprócz nawrócenia ostatniej społeczności pogańskiej w Europie jaśniała w nich nadzieja coraz dalszego wpływu Rzymu na wschodzie, coraz bliższej unji chrześcijaństwa wschodniego z Rzymem.

Karól Szajnocha.

126. Bitwa pod Grunwaldem.

Żadna z wojen wieków średnich nie była tak śmiało i rozlegle pomyślana, z taką punktualnością i energią prowadzoną, jak wielka wojna polsko-litewska przeciw Zakonowi za Władysława Jagiełły. Z licznych zabiegów, które bitwę pod Grunwaldem poprzedziły, wnosić możemy, że obiedwie strony wyteęzały wszystkie siły, aby się należycie przysposobić do tej stanowczej chwili, która rozstrzygnąć miała o ich losach. Obydwa wojska nieprzyjacielskie stanęły naprzeciw siebie w dniu 15 lipca 1410 roku, bitwa się jednak długo nie rozpoczynała. Krzyżacy nie zaczęli jej dlatego, iż uważali Polaków, ukrytych częścią w lesie, za niezupełnie gotowych do bitwy, a podług pojęć rycerskich, walka z nieprzyjacielem, aby była szlachetną i dawała rzeczywiste prawo do triumfu, powinna była być stoczoną w jednakowych warunkach i w jednakowym położeniu bojowym. Polacy zaś czekali na hasło i rozkaz króla. Ten modlił się długo, wysłuchał bowiem w tym dniu dwie msze święte. Napróżno przybiegali do niego gońce od rycerstwa polskiego i wielkiego księcia Witolda z doniesieniem, że nieprzyjaciel stoł w zupełnej gotowości i lada chwila może napasć na wojsko królewskie, Jagiełło żadnej nie dawał odpowiedzi i nie przerywał modlitwy.

Gdy nareszcie skończył nabożeństwo, przywdział zbroję i zostawiwszy na boku wszystkie oznaki królewskie, prócz niewielkiej chorągwi z wyszytym na niej orłem białym, który przed nim niesiono, podał hasło: „Kraków i Wilno“, poczem siadł na konia i pojechał do wojska. Tu stanawszy na wysokim pagórku, skąd łatwy i dokładny podawał się widok, długo przypatrywał się zastępom nieprzyjacielskim; zjechał potem na równinę, gdzie mnóstwo szlachty, przybiegłej do niego, przepasał mieczem, na rycerzy ją pasując. Ukończywszy tę czynność, zwrócił się do nich z krótką ale silną przemową, przypominając każdemu rycerską jego powinność i cnotę. Wzruszeni rycerze poprzysięgli zwyciężyć albo zginąć.

Zyndram Maszkowski, sporządziwszy szyk wojska polskiego, stanął na czele wielkiej chorągwi; kierował zaś jak się

zdaje, wojskiem połączonym Witołd, który lubo dowodził bezpośrednio wojskiem litewskim, biegał i między szeregami, otoczony nieliczną drużyną i był na wszystkie strony czynny.

Gdy za rozkazem króla otrąbiono hasło bojowe, wojsko polskie, zanuciwszy: Bogarodzico Dziewico! i złożywszy kopje, biegło z ufnością i odwagą do bitwy.

Na chwilkę przed spotkaniem spadł łagodny, ciepły deszczyk, który nieco ziemię zwilżył i przybił kurz, dobywający się z pod kopyt końskich. Starcie nastąpiło z obu stron, przy wielkim okrzyku i w pełnym pędzie koni, w dolinie, tak że oba wojska z góry przeciw sobie biegły. Potykano się jak zwykle na kopje; ale gdy te się skruszyły, sieczono się toporami i mieczami. Bój był niezmiernie zacięty i żadna strona nie ustępowała. Już godzinę trwała walka, a nie widać było, kto górę otrzyma. Nareszcie Litwini, jako na słabszych koniach siedzący i gorzej uzbrojeni, chwiać się poczęli. Postrzegłszy to krzyżacy podwoili usiłowania i zmusili lud wielkiego księcia Witołda naprzód do ustąpienia, a potem do zupełnej ucieczki. Wszystko wojsko litewskie poszło w rozsypkę, pomimo wołania i razów wielkiego księcia, których nie szczędził on swym żołnierzom. Tylko rycerze smoleńscy nie splamili się ucieczką, a lubo w jednej chorągwi większa część ich padła, dwie inne dzielnie walcząc, uszły z boju zwycięsko i połączyły się później z wojskiem polskim. Krzyżacy rzucili się w pogoń za uciekającymi. Stojące na prawym skrzydle chorągwie polskie w tej chwili uderzyły na nich z boku, część odcięły, wielu pozabijały i do niewoli zabrały, reszta atoli krzyżaków, ku lewemu skrzydłu, ścigała zapamiętałe Litwinów, siekła ich lub do niewoli brała.

Porażka Litwy musiała sprawić przygnębiające na Polakach wrażenie, zaczęli też słabnąć i tracić serce. Upadła wielka chorągiew, a Czesi, zwątpiwszy o zwycięstwo, ustąpili z pola. Już rozlegały się okrzyki Krzyżaków: „Christ ist erstanden!“, lecz niestrudzony Witołd, niezrażony klęską swoich, rzucił się naprzód do Jagielly i błagał go, aby sam prowadził swoich rycerzy, potem wpadł między szyki polskie, zagrzewał ducha, zachęcał do wytrwałości, a tymczasem

skierowane przez niego hufy posiłkowe dzielnie podparły słabnących na siłach. Gorący bój zawrzał na nowo. Krzyżacy znużeni długiem i trudnem pasowaniem się wśród ożywionej przez Polaków walki, niepokrzepieni świeżemi chorągwiemi, gdyż walczyli w jednym tylko hufie, chwiać się już i ustępować poczęli. Ale w tym trudnem położeniu pokazały się na polu bitwy chorągwie walnego hufu, wracające z pogoni, które spostrzegłszy co się z ich braćmi działo, rzucili jeńców i łupy i poszli na ratunek swoim. Walka na nowo się rozgrzała, lecz nie mogła już pozbawić Polaków zdobytej przewagi, gdyż posiłki hufu odwowego były niewielkie, a przybywający z pościgu wstępowali w bój częściami. Napierani silnie Krzyżacy musieli ustępować. Polacy posuwali się zwycięsko naprzód, gdy w stronie północnej od ich stanowisk pokazał się nowy zastęp wojska. Były to pozostałe w odwodzie, nietknięte jeszcze 16 chorągwi krzyżackich, które sam mistrz prowadził do boju.

Ukazanie się znacznego zastępu z boku musiało powstrzymać Polaków w dalszym postępie. Nastąpiła pauza, podczas której obie strony formowały swe szyki i gotowały się do nowego starcia. Nadchodziła chwila, mająca rozstrzygnąć o losie bitwy. Manewr wielkiego mistrza, uderzającego na czele pozostałych szesnastu chorągwi na prawe skrzydło Polaków, jednocześnie z napadem z czoła reszty wojska, byłby bardzo trafny, gdyby mógł być wykonany szybko. Ale przy ówczesnym ociężałem manewrowaniu, potrzebował mistrz na to za wiele czasu i stracił najpożądańszą sposobność korzyści w bitwie, ponieważ nastęrczał nieprzyjacielowi możność przygotowania się na jego odparcie. Część Polaków odparła atak z czoła, inne chorągwie polskie wspólnie z czeską uderzyły z boku na wystawione lewe skrzydło odwowego zastępu, a tymczasem należące doń chorągwie Chełmińskie i inne puściły swe znaki i uszły z pola. Krzyżacy ujrzeni się ze wszystkich stron otoczeni, zawrzała krótka ale krwawa walka, w której mistrz i wszystka prawie starszyzna zakonna tudzież mnóstwo rycerstwa poległa. Wielu dostało się do niewoli. Reszta wojska krzyżackiego częścią poszła w rozsypkę, częścią do obozu się schroniła, gdzie opasując się worami, chciała się jeszcze

bronić, — lecz zwycięskie rycerstwo polskie, nie dające jej ani chwili odetchnienia, wdarło się do obozu i sprawiło tu rzeź prawdziwą. Więcej tu trupa padło aniżeli na pobojuwisku. Obóz zaś zasobny w wielkie bogactwa, przez żołnierzy i czeladź opanowany i złupiony został z niemalą korzyścią zwycięzców.

Król posuwając się dalej z wojskiem swoim, wstąpił na wzgórze, z którego widać było mnóstwo uciekających. Tu ukląkłszy, podziękował Bogu za darowane mu zwycięstwo; rycerstwo zaś poszło w pogoń, dotarło do jakiegoś bagna i wpadło krzyżakom na karki. Nie śmieli oni stawiać oporu i poddawali się w niewolę. Noc dobroczynna dla porażonych wstrzymała dalszą pogoń. Zabrano działa, ryszstunek wojenny i 52 chorągwie.

Skończyła się bitwa godzinę przed zachodem słońca. Na noc kazał król wytknąć obóz, w którym trzy dni pozostawał. Nazajutrz po bitwie odprawiono trzy Msze święte. Cały ten dzień równie jak i następny znoszono do króla chorągwie oraz przyprowadzano jeńców. Wyszukano ciało wielkiego mistrza, które Jagiello, odziane w purpurę do Malborge wyprawił.

Konstanty Górski.

127. Władysław Warneńczyk.

I.

Niemasz w dniach owych ani jednego głosu, któryby nie przyznawał młodemu monarsze Władysławowi III zalet wielkich, któremi celowali wszyscy niemal Jagiellonowie i dzięki którym widnieją w dziejach jako zjawiska sympatyczne. Łaskawy, ujmujący, szczodroblivy aż do samozubożenia, otwarty, dostępny, wdzięczny i przywiązany, usłużny i pobłażliwy, kierujący się raczej wzruszeniami serca, niż rozumem — takim był Władysław, takimi byli wszyscy potomkowie Jagielly. Urodzony Benjaminskim w najistotniejszym słowa znaczeniu, widział się od pierwszych chwil żywota otoczonym tkliwością sędziwego ojca, tkliwością, która wedle zachodzących okoliczności napewno nie zmierzała ku temu, by w duszy dziecięcej wyrobić rysy surowości i niezłomności.

Co tylko fantazja człowieka onej doby podniecić mogła, wszystko to snuło przed oczyma młodzieńca obrazy olbrzymie. Dwa wielkie narody w świętej sprawie zjednoczyć, w zgielku bitew sławę wszechświatową zyskać, dzikich i rozbojniczych Saracenów pokonać, całe chrześcijaństwo do ostatniego potężnego ciosu wezwać i miecz poświęcony we krwi straszego wroga zanurzyć: cóż to za powołanie, co za zawód w życiu! Władysława z całym żarem młodego serca dźwierży w więzach legat, czarujący go wykształceniem, wzniosłością umysłu, marzycielstwem i urokiem. Rada legata zawsze jest dla króla „najroztropniejszą, zawsze duszę wzrusza“. A ku czemu dążą mądrego starca pomysły i zamiary, prace i czyny, mowy i kazania, wszystko to jest najgorętszem życzeniem królewskiego młodzieńca.

Nadeszła wreszcie chwila i przez Cesariniego nie pożądana goręcej, jak przez króla Władysława; można nakoniec rozpocząć pochód przeciw Turkom. Zwerbowano 25 000 najemników; do tego przybywa trochę Czechów na żołdzie papieskim, kilka banderij ochotniczych, nieco marzycielskich krzyżowców z Niemiec i Francji, garść wiernych Polaków oraz Serbów i Wołoszy. Ogółem obliczono armję na czterdzieści tysięcy ludzi. Późną porą roku, w jesieni, zaczął się pochód. Juliusz Cesarini nie opuścił króla i z całym zapalem znosił przykrości życia obozowego. I zdawało się, że wielkie jego nadzieje winny świetnie się ziścić. Po szeregu utarczek zwycięskich nastąpiła bitwa pod Niszem, tudzież na lodowcach Hemusu, wśród zimy około Bożego Narodzenia, szczęśliwe zdobycie tak zwanych wrót Trajana. „Naprzód! naprzód!“ prze legat papieski. Lecz zima, żwioly straszne, skały urwiste i głębokie czeluście Hemusu, pod którego osłoną hufy tureckie miecą chmury strzał na chrześcijan — są potężniejsze; one zmagają do odwrotu. Cóż za radość w Budzie, kiedy młodociany król, odznaczwszy się męstwem osobistem w szeregach walczących i otrzymawszy w rękę od strzały tureckiej ranę, wstępował w dniu Matki Boskiej Gromnicznej do kościoła Marjackiego w stolicy Węgier! Podobien rodzicowi, wracającemu z bojów do domu zwycięzcą, bosą nogą młody Włady-

ślaw wkraczał do stolicy wśród weselnych okrzyków ludów swoich. Jak rodzic w katedrze krakowskiej, podobnież syn w budzińskiej świątyni Marji Panny zawiesił na ścianach cho-rągwie wrogów, tarcze najwaleczniejszych swych wojowników: dwanaście polskich i dwanaście węgierskich. Król dwu państw, liczący niespełna lat dwadzieścia, azaliżby, upajając się rozkoszą zwycięstwa, nie miał być odurzony! Przybywają wysłannicy Francji, Anglii, Hiszpanji, Neapolu, Burgundji, Medjolanu, Florencji i Genui, aby zbawcę chrześcijaństwa powitać, złożyć mu życzenia i do nowych pobudzić go czynów. Na ustach ich obietnice poparcia złotem, ludźmi, okrętami brzmią na wyścigi z uwielbieniem dla narzędzia wybranego przez Boga.

Pierwszego sierpnia staje w Szegedynie z Turkami ugoda. Sułtan podaje warunki „niepodobne do wiary“. Zobowiązuje się „ustąpić Serbję, Albanję, kilka innych ziem wraz z dwudziestu czterema wybornemi twierdzami“; zobowiązuje się dalej uwolnić jeńców, wypłacić 100 000 czerwonych złotych, dostarczać do rozporządzenia królowi Władysławowi 25 000 zbrojnych na każdą wojnę, jaką w przyszłości prowadzić będzie. Węgrzy się dziwią, wątpią — Cesarini nie odradza, milczy. Traktat zawarty i król stwierdza go przysięgą.

II.

W cztery dni później Juljusz Cesarini dzierży w swych rękach inną przysięgę piśmiennie przez króla poręczoną, że wojnę natychmiast prowadzić zacznie i 1 września nad Dunajem stanie.

Dla poparcia dowodzeń Cesariniego zbiegają się na domiar pod tę porę w Szegedynie okoliczności zewnętrzne. Wnet po zawarciu pokoju przybyły obietnice cesarza greckiego — dowiedziano się dalej, że nawet Niemcy na sejmie uchwalili nieść Węgrom pomoc, co wywarło niechybnie wrażenie nadzwyczajne. Gromadka ochotniczych krzyżowców spotęgowała zapewne nastrój pełen zapału. Nareszcie doniesiono z Epiru, że w razie wojny 30 000 Macedończyków przejdzie na stronę chrześcijan.

Macedończycy, krzyżowcy, Grecy, floty, krasomówcy dworów europejskich, aureola papieża — toć to za wiele naraz, iżby czarująco nie oślepić dwudziestoletniego króla, któremu na zamku krakowskim wszystkie te rzeczy znane były z opowieści jeno. Często — opowiadają — Władysław z żalu i zgryzot sumienia roni łzy nad złamaniem przysięgi, ale mimo to rzuca się w objęcia przeznaczenia. Zaledwie z 15 000 jazdy, wyrusza 14 września z Szegedyna.

Pochód odbywał się żwawo. Pod Orsową wojsko przeprawiło się przez Dunaj i niebawem stanęło przed bramami Nikopolu, którego przedmieście spalono. Tu w 4 000 wojowników połączył się z Węgry Drakuł, gospodar wołoski, jedyny, co słowa dotrzymał. Grecy i Macedończycy zawiedli, co widząc Drakuł radzi wyprawy zaniechać, gdyż Murad na polowanie zwykle więcej bierze ludzi, aniżeli ich wynosi armja chrześcijańska. Lecz u Władysława i Juljana rozważa nie znajduje posłuchu. Z Nikopolu tedy puszcza się król dalej starym gościńcem rzymskim. Tak wojsko chrześcijan dotarło aż do Warny. A kiedy w poniedziałek wieczorem 9 listopada rozłożono się obozem, ujrano błyski czatowniczych ogni armji tureckiej. Widać, że i Murad niewiele potrzebował czasu, aby z liczną armją przebyć drogę z Małej Azji aż hen do Warny. Jak we wszystkich niemal bitwach ówczesnych, stają obie armje naprzeciw siebie w trzech sztykach. Król stanął w pośrodku wojska chrześcijańskiego — w dniu tym niedomagał fizycznie, ale pała żądzą rzucenia się w zgiełk bojowy.

W obozie zaś tureckim, Murad, kierując się szyderstwem sobie właściwem, kazał dokument szegedyński na wysokim przybić słupie. Pod słupem uwijają się janczarowie jego. Rankiem 10 listopada, w dzień świętego Marcina wszczyna się bitwa. Przez cały dzień waży się to na jedną, to na drugą stronę. Wojsko chrześcijańskie trzyma się licho. Prawe skrzydło pod Janem, biskupem wielkowiarydzkim, za pierwszym natarciem pierzcha z placu boju. Król Władysław wyrwa się z swego stanowiska wcześniej, aniżeli był powinien, walczy mężnie, przedziera się daleko w głąb szeregów nieprzyjacielskich ze swym orszakiem, aż wreszcie znika w chma-

rze janczarów. Nikt nie mógł powiedzieć, czy poległ, czy do niewoli się dostał. Pod wieczór cała armja krzyżowców w dziękłej, szalonej ucieczce. Hunyady i Cesarini jadą razem konno, ale w strasznym zamęcie rozprężenia i odwrotu gubią się nawzajem. Wielki legat dopada sam jeden brzegów Dunaju. Fli-sak wołoski, przewożąc, znęcony złotem, morduje kardynała, zabiera pieniądze i odzież, a trupa rzuca w fale Dunaju. Tak brzmi jedna wersja, druga przypisuje śmierć jego Turkom; wzruszająca zarówno jedna, jak druga.

Mało w historii momentów, w którychby wypadki tyle posiadały tragiczności, jak w chwili zwięzłe tu przedstawionej. Na polach warneńskich padła ofiara młodzieńcza polityki wszechświatowej, zdala od ziemi rodzinnej, której ciężkie dolegały rany. Tragiczność potęguje fakt, że tu młodociany król szlachetnego, dobrego, gorącego, łagodnego, walecznego serca pod pozorem spełnienia najwyższej powinności zniewolon został do złamania przysięgi.

Jakób Caro.

128. Obrona Olsztyna.

Wśród wzgórz wapiennych, na wysokiej skale, wznosił się przed wiekami Olsztyn, gród starożytny. Dziś z dawnej wspaniałości pozostały tylko szczątki baszt i łączących je murów, ale te trzymają się krzepko.

Niby rycerz na czatach — stoi baszta stara,
Samotna, ona jedna wichrom się ostała;
Silna, jak pierś praojców, co trwogi nie znała,
Prosta i niezachwiana, jak praojców wiara“.

Piękne historyczne wspomnienie wiąże się z Olsztynem. — Działo się to przy końcu XVI wieku. Po śmierci Stefana Batorego Polacy radzili nad wyborem nowego monarchy, nie mogąc zgodzić się na jedno, bo niezgoda jest główną wadą Polaków, powodem wiele nieszczęść, jakie ich spotkały. I tak jedni chcieli obrać na króla Zygmunta Wazę, królewicza szwedzkiego, syna Katarzyny Jagiellonki — drudzy Maksymiljana, księcia austriackiego. Większość jednakże była za Zygmuntem, ale zanim tenże przybył z odległej Szwecji, już Maksymilian wkraczał z wojskiem do Polski. Przyjęto go

wszakże nie jako pana — lecz wroga. Odpędzony od Krakowa, ruszył dalej i jeden oddział wojska pod mury Olsztyna skierował.

W Olsztynie dowodził mężny rycerz, Kasper Karliński. Chociaż ojciec licznej familii, był jednak osamotniony. Jedni z synów już polegli w obronie kraju, drudzy za niego walczyli. Pozostał tylko Karliński ostatni syn — niemowlę na ręku piastunki. Tego syna biedny ojciec chciał ocalić i na wieść o zbliżającym się wrogu wysłał dziecko wraz z piastunką, by w sąsiedniej wiosce bezpieczne znalazło schronienie.

Tymczasem żołnierze niemieccy schwytali dziecko i wymyśleli rzecz tak straszną, że na wspomnienie serce ze zgrozy drętwieje. Oto przystępując do szturm, popędzili przed szeregi wojska piastunkę z dzieckiem na ręku. Myśleli nikczemnicy, że schowani za takim puklerzem, bezpiecznie dojdą pod mury zamku, że Karliński podda się i bramy otworzyć każe, bo przecież nie będzie miał serca i odwagi strzelać do własnego dziecka.

Ale właśnie, że Karliński miał prawdziwą odwagę, bo gdy puszkarze na straszny widok prowadzonego na rzeź dziecięcia, opuścili ręce, on schwycił lont zapalony i do działa go przysunął.

— Strzelać — zawołał gromko.

Zginęło dziecko, ale Olsztyn ocalał, bo Niemcy, przerażeni nadludzką odwagą Karlińskiego, odstąpiłi od zamku.

Prawdopodobnie zamek wybudowany był przed wiekami przez jakiegoś niemieckiego przybysza, czego dowodzi nawet pierwotna nazwa jego Holstein, czyli wydrążona skała. Tych skał wydrążonych pełno w okolicach Olsztyna. W niektórych odnaleziono szczątki zwierząt przedpotopowych.

129. Piotr Skarga.

Do najslawniejszych ludzi w XVI wieku w Polsce należy ks. Piotr Skarga Pawęski, znakomity kaznodzieja i światły pisarz. Urodził się w Grójcu pod Warszawą z rodziny mieszczańskiej. Uczył się w Grójcu i Krakowie, gdzie pod sławnym

mistrzem Maciejem z Pilzna chlubnie ukończył akademię. — Wezwany do Warszawy na kierownika szkoły średniej, zwrócił na siebie powszechną uwagę nauką i zdolnościami, to też Jan Tęczyński, kasztelan krakowski, obrał go na wychowawcę swego syna, z którym Skarga bawił w Wiedniu na dworze cesarskim. Za powrotem do kraju porzucił dwór pański, udał się do Lwowa, przyjął święcenia kapłańskie, pełnił urząd kaznodziei i został kanonikiem katedralnym.

Niebawem udał się do Rzymu i wstąpił do zakonu Jezuitów. Wróciwszy do ojczyzny, miewał kazania tak piękne i budujące, że dobrzy utwierdzali się w cnocie, źli porzucali grzechy, a odszczepieńcy i niedowiarci wracali na łono kościoła. Sława jego kaznodziejska sprawiła, że go król Zygmunt III powołał na kaznodzieję nadwornego, który to urząd pełnił lat dwadzieścia cztery. Zagajał sejmy, przemawiał w świetnych chwilach wielkich zwycięstw, gromił postęпки, przepowiadał karę Bożą za nie, wstawiał się za biednym ludem, wzywał do miłości Boga, ojczyzny i kościoła. Kazania jego, prześliznym pisanym językiem, są najważniejszymi jego dziełami pisaarskimi, a nadto Żywoty Śwłych i Roczne dzieje Kościoła. Dzieła te czyta naród po dziś dzień, wielbiąc imię Skargi.

W sędziwym już wieku pożegnał dwór i stolicę i, przybywszy do Krakowa, dokonał zasłużonego żywota w ubogiej celi zakonnej w roku 1612. Spoczywa snem wiecznym w kościele św. Plotra w Krakowie.

Był to mąż milej powierzchowności; miał bystre nader pojęcie, trafny i przenikliwy rozsadek i żywą wyobraźnię. Był to umysł niezmiernie pracowity, aż do ostatniej życia chwili.

Prócz tego posiadał duszę szlachetną i serce anielskie, wspierał ubogich i przebaczał doznane krzywdy. Chociaż był kaznodzieją nadwornym, żył jak święty. Główną jego zasługą było, że wzniosł kaznodziejstwo polskie na niedostępne prawie dla innych wyżyny, wydoskonał do wysokiego stopnia język i styl prozaiczny polski, był żarliwym i dzielnym obrońcą kościoła i wymową swoją wiele rodzin polskich nawrócił z drogi protestanckiej na drogę wiary katolickiej. Nie mało też zasłu-

zył się przez to, że zakładał mnóstwo szkół jezuickich, a dla ulżenia nędzy założył w Krakowie do dziś dnia istniejące źródło pomocy: Bractwo miłosierdzia i Bank pobożny. Działalność jego świadczy o tem, że był w całym znaczeniu kapłanem-patrjotą.

130. Stanisław Żółkiewski.

Jeden z największych mężów stanu, wodzów i patrjotów, jakich kiedykolwiek Polska wydała, zwycięzca z pod Kluszyzna, gdzie w 6 000 rycerstwa na głowę pobił osiem razy liczniejszą armję Wasyla Szujskiego, pogromca Kozaków i Tatarów, pradziad Jana III, wielki hetman i kanclerz koronny, Stanisław Żółkiewski, świeci niby gwiazda wspaniała na niebie polskiej historii, a długi jego żywot pozostanie na zawsze niedoścignionym wzorem jak ofiarnie, wytrwale i z miłością służyć należy ojczyźnie.

Wszystkie też rysy charakteru jego składają się na dziwnie świetlaną całość. Wychowany w zasadach głęboko religijnych, rozumiał, że „wiara bez uczynków martwa jest“, i tego przestrzegał zawsze, to też życie jego było ciąglem wyznaniem wiary, jaśniejącej w czynach. Wielkie zaszczyty i wielkie zasługi nie wbiły go w dumę. Sam prosty i daleki od pychy, miał odwagę wytykać drugim błędy otwarcie, ale bez namłetości. Radził zwłężle i jasno.

W boju z odwagą żołnierską łączył zimną krew i odwagę starego wodza. Siebie nie oszczędzał, wojska bez potrzeby nie narażał i z małemi siłami wygrywał bitwy, w których jeden człowiek był ośmiu. W czasach, w których swawola szlachecka brać poczyniała górę, w których Rzeczpospolita chwiać się zaczynała dla braku silnej władzy, a król coraz to mniej znaczył, był jednym z nielicznych, co rozumieli, iż wzmocnienie tronu dać może ostoję zachowania nabytej przed wiekami wielkości, a poniżenie jego powagi i ubezwładnienie go rozpęta bezrząd i sobkostwo szlacheckie na zgubę ojczyzny.

Przy tronie też i przy ojczyźnie mocno stał Żółkiewski przez całe życie. Jako polityk snuł potężne i daleko sięgające

plany ugruntowania wpływu Polski na słowiańskim wschodzie przez osadzenie dynastji Wazów na tronie moskiewskim. W czasie pokoju był skrzętnym gospodarzem, dbał o oświatę, zakładał szkoły. Nadewszystko przecież był żołnierzem.

Miał przeczucie, że śmierć w boju go spotka; powtarzał to nieraz i takiej śmierci pragnął, jak największego szczęścia. „Daj to Boże — powiadał — żebym się tak fortunnie urodził, żebym położeniem żywota mógł posłużyć Rzeczypospolitej i zacnej sławie narodu naszego“. W testamencie tak o tem wspomina: „Sławniejszy żywot i śmierć Władysława, co u Warny zginął, niż wiele innych, co na ich nagrobki patrzymy. Życzę sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej i dla ojczyzny, ale nie wiem, jeśli tej łaski od Pana Boga godzien“.

I dodaje jeszcze te piękne słowa: „Jeśli bym w potrzebie, (t. j. w bitwie) umarł, miał aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumną pokryta będzie szkarłatem na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej, a to nie dla chwały żadnej, lecz dla pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny“.

Synowi daje takie napomnienie i naukę: „Nie zostawiam ci włości i majątności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód niemały; wszystkom obracał na służbę Rzeczypospolitej i część majątności ojcowskich uprzedalem, ale mi tego nie żal. I mnie i tobie to nie zgnie... Mnie wierz: z nauki wielką pomoc do godności, do służby Rzeczypospolitej i do uczciwego życia mieć będziesz, próżnowania się strzeż, jak powietrza, mistrzem zaraz być nie chciej, byś nie pobłądził... Niech przez ciebie nie będzie polżona, ale owszem pomnożona uczciwa sława moja“.

Ten wódz znakomity, ten obywatel wielki zginął chlubnie i zaszczytnie, jak żył: na polach cecorskich, kładąc siwą głowę w boju z nieprzyjacielem ojczyzny.

Przed bohaterstwem i wielkością Żółkiewskiego ukorzyli się nawet ci, z którymi walczył, a jeden z ówczesnych poetów tureckich słauił wierszami jego pamięć. Uciętą głowę hetmana prosto z obozu pod Cecorą wysłano do Stambułu, gdzie na

znak radości ze zwycięstwa nad niepokonanym dotąd wódcem zawieszoną została u stropu sultńskiego pałacu. Pozostała wdowa hetmańska Regina z Herburtów, straciwszy męża, który poległ, i syna, który pojmany został w niewolę, zniosła ten cios podwójny, rozdartem, ale mężnem sercem.

Wykupiwszy zwłoki hetmana z rąk wrogów za olbrzymią sumę 200 000 czerwonych złotych, złożyła je w grobie rodzinnym w Żółkwi i ku pamięci męża wzniosła pomnik, na którym wyryte zostały owe przepiękne wyrazy: „słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę“ i inne jeszcze, jakby w prorockiem jasnowiedzeniu tu położone: „z kości naszych powstanie mściciel“.

Podług Seweryna Gołębiowskiego.

131. Chłop polski w walce przeciw Szwedom.

Rok 1655 jest dla Polski nietylko nieszczęśliwym, ale nawet upokarzającym, gdyż kilkanaście tysięcy Szwedów zawojowało Polskę prawie bez wystrzału. Szlachta porzuciła prawowitego króla Jana Kazimierza, uznając za swego pana Karola Gustawa, króla Szwedów. Tylko duchowieństwo polskie dochowało przeważnie wierności prawemu monarsze. Ksiądz Kordecki dzielną obroną Częstochowy pobudził naród do obrony. Chrobry Stefan Czarniecki, jeden z największych polskich wojowników, zwyciężał Szwedów w licznych potyczkach. Przykład jego pobudził nietylko szlachtę, ale także mieszczan i chłopów do walki ze Szwedami.

Żył podówczas na pomorskiej ziemi młynarz Michałko, którego Szwedzi przemocą do swego wojska zabrali. W krótkim czasie dostąpił on stopnia kaprała, gdyż był pojętnym i walecznym. Po niejakiem czasie powiedział sobie wieśniak Michałko, że jako Polak powinien bronić Polski, dlatego zebrał kilkudziesięciu ludzi, a stanawszy na ich czele, wystąpił do walki przeciw Szwedom. Przebywał on najchętniej w borach tucholskich, gdzie znał dokładnie wszelkie ścieżki i manowce.

Napadał z szybkością błyskawicy małe oddziały szwedzkie i w pień je wycinał. Przez długi czas nie wiedzieli Szwedzi,

kto im wyrządzał wielkie szkody. Gdy mu się sprzykrzył pobyt w borach, postanowił zająć jakieś obronne miasto. Wśród ciemnej dżdżystej nocy uderzył na Człuchów, a choć załoga szwedzka stawiała dzielny opór, zdobył gród warowny, gdzie założył główną swą kwaterę. Posiadając warowne miejsce, wojował z większym powodzeniem, tembardziej, że nawet szlachta spieszyła w jego szeregi, nie uważając sobie za hańbę służyć wojskowo pod dowództwem młynarza.

W niedługim czasie zdobył jeszcze Starogard i Lipinki. Stał się odtąd strasznym dla Szwedów przeciwnikiem. Korzystając z swej znajomości okolicy, pojawił się nagle tam, gdzie go się najmniej spodziewano, a poruszał się tak szybko ze swoim oddziałem, jak gdyby w jednej i tej samej chwili w kilku naraz znajdował się miejscowościach.

Przeważniejszych liczbą oddziałów szwedzkich nie zaczęplął nigdy w otwartem polu, ale w lasach i pomiędzy górami rzucał się na dwójnasób większe siły. Nieraz docierał do samych murów miasta, gdzie przebywali szwedzcy żołnierze, szerząc pomiędzy nimi popłoch i zamieszanie. Z Człuchowa przeniósł swą główną siedzibę do Starogardu. Szwedzi dowiedziawszy się, że Michałko posiada tylko szczupłe siły, gdyż znaczną część swego oddziału wysłał na zniesienie hufcą nieprzyjacielskiego, zebrali znaczne wojsko i otoczyli zewsząd Starogard.

Michałko poznał, że trudno się bronić długo przeciw przemocy, dlatego choć z bólem w sercu rozpoczął układy z wrogami. Szwedzi nadspodziewanie położyli łagodne warunki, gdyż pozwolili opuścić Starogard całej polskiej załodze z bronią w rękę, a żądali tylko wydania zuchwałego wodza. Michałko przystaje na ten warunek, nie zważając ani na prośby swych towarzyszy, którzy nie chcieli go odstąpić w niedoli, ani też na to, że jako zbieg od szwedzkich sztandarów idzie na śmierć oczywistą. Oddał się więc sam dobrowolnie w ręce mściwych Szwedów.

Uradowani tą zdobyczą odwieźli go pod zbrojną zasłoną do Malborga, gdzie go czekała śmierć niechybna i męczarnie. Jednakże dawniejszemu młynarzowi przyświecała szczęśliwa

gwiazda, gdyż Polacy, dowiedziawszy się o jego pojmaniu, uwiadomili Szwedów, że jeżeli zamordują jeńca lub męczyć go będą, odpłacą się podobnie jeńcom szwedzkim, a że nawet znakomici generałowie przebywali w polskiej niewoli, przeto Michałko został obdarzony wolnością wzamian za kilka jeńców szwedzkich. Upominali go jednakże usilnie, aby porzucił rzemiosło wojskowe i przestał nadal Szwedów niepokoić.

Michałko nie miał wcale ochoty słuchać tej rady, gdyż wnet zebrał znaczny oddział, zaczął walkę na nowo i stał się nawet jeszcze straszniejszym dla Szwedów, niż dawniej. Przy oblężeniu Grudziądza dokonywał cudów waleczności i jego to głównie było zasługą, że ta warownia wpadła w ręce polskie. Doczekał się Michałko tej pociechy, że król Jan Kazimierz zamianował go rotmistrzem jazdy.

J. Chociszewski.

132. List króla Jana Sobieskiego do żony pisany z obozu pod Wiedniem.

W namiotach wezyrskich, 13 Septembra w nocy. Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Wielbłądy, muły, bydła, owce, które to nieprzyjaciel miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą; drudzy zaś osobiwie renegaci, na dobrych koniach i pięknie ubrani, od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospółstwem tu w mieście i u nas w obozie była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciel nazad się wróci.

Prochów samych i amunicji porzucił więcej, niżeli na miljon. Widziałem tu nocy przeszłej rzecz tę, którą sobie widzieć pragnął. Kanałja nasza w kilku miejscach zapaliła te prochy, które cały sądny dzień reprezentowały, bez szkody ludzkiej: pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nie-szczęście wielkie, bo pewnie na miljon w nich uczyniło szkody.

Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam został jego sukcesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się dostały splendory, a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za Wezyrem postępując, sprzedał się jeden pokojowy i pokazał namioty jego tak obszerne, jako Warszawa, albo Lwów w murach. Mam wszystkie jego znaki wezyrskie, które nad nim noszą: chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziś jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego pocztą.

Namioty, wozy wszystkie dostały się i tysiące innych rzeczy bardzo pięknych i bardzo kosztownych, ale to bardzo kosztownych, lubo się jeszcze siła rzeczy nie widziało. Niema porównania ze zdobyczą chocimską. Kilka samych sajdków rubinami i szafirami sadzonych, stoją kilku tysięcy czerwonych złotych. Nie rzekniesz mnie więc tak, moja daszo, jako tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, żeś „ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił“, bo ten, co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wśzystkiem siedzeniem, i samego mocno dojeżdżano, ale się przecie salwował. Kłhają jego, t. j. pierwszego człowieka po nim zabito i paszów nlemało.

Złotych szabel po wojsku pełno i innych wojennych rynsztunków. Noc nam przeszkodziła, i to, że uchodząc, okrutnie się bronią. Jańczarów odbiegli w aproszach, których w nocy wycinano: bo to była taka hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta; jakóż mieli czem co począć.

Ja ich rachuję prócz Tatarów, na trzykroć sto tysięcy: drudzy tu rachują namiotów samych na trzykroć sto tysięcy i biorą proporcją trzech do jednego namiotu, coby to wynosiło niesłychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilka obozów. Dwie nocy i dzień rozbierają je, kto chce już, i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą.

Ludzi niewinnych, tutecznych Austriaków, osobiwie białychgłów i ludzi siła porzucili, ale zabijali, kogo tylko

mogli. Siła bardzo zabitych leży białychgłów, ali i siła rannych, które żyć mogą. Wczoraj widziałem dzieciątko jedne we trzech leciech, chłopczyka najmilszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę. Ale to trefna, że Wezyr wziął tu był gdzieś w którymści cesarskim pałacu strusia żywego dziwnie ślicznego; tedy i tego, aby się nam żywcem nie dostał, kazał ściąć.

Co zaś za delicje miał przy swych namiotach, wypisać nie podobna. Miał łaźnię, miał ogródek i fontanny, króliki, koty, i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojąć.

Dziś byłem w mieście, któreby już było nie mogło się trzymać nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co tam miny porobiły. Z beluardów podmurowanych okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowały, że więcej trzymać się nie mogły. Pałac cesarski w niwecz od kul zepsowany.

Wojska wszystkie, które dobrze bardzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu, a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciół uchodzić począł i dał się przełamać, (bo mnie się przyszło z Wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło sprowadził, tak, że już nasz środek albo korpus, jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystko swoje niemieckie posiłki do mnie obracały) — przybiegały do mnie książęta, jako to elektor Bawarski, Waldek, ściskając mię za szyję, a całując w gębę, gienierałowie zaś w ręce, nogi: cóż, dopiero żołnierze, oficerowie i regimenty wszystkie kawalerji i infanterji, wołały: „Ach unser brave König!“

Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi. Cóż dopiero dziś rano, książę lotaryński, saski, bo mi się z nimi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do pana marszałka nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi; cóż komendant Staremburg tuteczny! Wszystko to całowało, swym salvatorem zwało. Byłem potem we dwóch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce i nogi, suknie, drudzy się tylko dotykali, wołając: „Ach! niech tę rękę tak waleczną całujemy!“

Naszych nie mało zginęło w tej potrzebie: osobliwie tych dwóch żał się Boże, o których już tam opowiedział du Pont. Z wojsk cudzoziemskich książę de Croi zabity, brat postrzelony po kilku innych znacznych zabitych. Pade d'Aviano, który mę się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą nad wojskami się naszymi przelatującą.

My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie mę odstąpić nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże; za co mu niech będzie na wieki cześć, sława i chwała! Kiedy już postrzegł Wezyr, że wytrzymać nie może, zawoławszy synów do siebie, płakał jako dziecko. Potem rzekł do Hana: „Ty mę ratuj, jeśli możesz“. Odpowiedział mu Han: „My znamy króla; nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli“.

Teraz dopiero znaleziono okrutną jeszcze moc wozów z prochami i ołowiem. Ja nie wiem, czem oni już będą strzelali. W ten moment dają nam znać, że ostatnie kilkanaście działek małych letkich porzucił nieprzyjaciel. Już wtedy wsiadmy na koń ku węgierskiej stronie prosto za nieprzyjacielem; i jakom dawno wspomniał, że się da Pan Bóg, w Stryju aż z sobą przywitamy, gdzie Pan Wyszyński niech każe nam kończyć kominy i stare poprawiać budynki.

List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat zrobić gazetę, napisawszy, że to list króla do królowej. Książęta saski i bawarski dali mi słowo i na kraj świata iść ze mną. Fanfanik dzielny w najwyższym stopniu, na piędź mę jeszcze nie odstąpił. Ma się wybornie w takich fatygach, jakie większe być nie mogą i robi się przystojnym.

Z księciem bawarskim, który lezie wszędzie do nas i wczora przejechał do nas od komendanta, dowiedziawszy się o mnie, (jest) jako brat z bratem. Zdobyczy mu swoje Fanfanik rozdaje ostatnie. Książę de Hesse von Cassel, którego tylko nie dostawało, przybył tu do nas. To wojsko przypomina bardzo zastępy, które Godfryd prowadził do Ziemi świętej.

Jużże tedy kończyć muszę, całując i ściskając ze wszystkiego serca najśliczniejszą moją Marysienkę. Niech się

wszyscy cieszą a Panu Bogu dziękują, że pogaństwu nie pozwolił pytać się: „A gdzie wasz Bóg?“ Dzieci całują. Minjoniek ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew Wezyra zła-mała i sławę największą u wszystkiego utrzymała wojska. Do Litwy piszę, t. j. do dwóch hetmanów, aby już nie tu, ale prosto szli do Węgier; Kozacy zdrajcy niechaj za mną idą. Te listy do hetmanów litewskich odsyłać jak najpilniej. Którędy będą mieli iść, Litwa oznajmi się drugą okazją.

133. Marcin Kątski.

Przez wiele lat wrzała ciągła walka na pograniczu. Setki ludzi uprowadzali Turcy w niewolę i, jak bydło, powiązanych, gnali na targ, sprzedawali za niewolników do najcięższych robót. Nieraz, „gdy siedą południać żniwiarze, wróg uzbrojony obiad im przerywa“. To też na pograniczu szabla w pochwie nie rdzewiała, i zameczki obronne dróg strzegły.

Nad jarem przepastnym, na wyniosłości obronnej wznosi się Kamieniec. Nielada to była forteca. Pod murami jej tuliło się wiele wiosek i miasteczek. Rolnik z ufnością uprawiał swą niwę, a rzemieślnik dążył na targ, spokojny, że Kamieniec niezdobyty obroni go przed napaścią turecką.

Ale przyszły złe czasy. Nie stało dość sił i poświęcenia, by wroga odeprzeć — Kamieniec wpadł w ręce Turków, wtenczas gdy panowie polscy kłócili się z sobą o zaszczyty.

Długich trzeba było walk i wysień, by stratę odzyskać. Wreszcie po trudach niezmiernych, dzięki krwi walecznych, Kamieniec wracał w ręce polskie. Turcy zwyciężeni mieli go oddać. Polacy wyznaczili do odbierania generała artylerji Marcina Kątskiego. Turecki aga był pełen wściekłości, że Kamieniec będzie dla Turcji stracony. To też, gdy przyszli do zapasów prochu, porwał ów aga lont tlejący i rzucił na beczkę prochu, życie własne ważąc. Gdyby się proch zapalił, cały Kamieniec byłby wyleciał w powietrze. Spostrzegł to Kątski. Chwyta w tej chwili lont zapalony, zanim płomień do prochu doszedł, kładzie na rękę i spokojnie czekał, aż się spali. Ogień wypalił

ślady na dłoni, ale Kątski nie drgnął nawet z bólu. Przecież to losy Kamieńca ważą się w jego ręce.

Kamieniec był dla Polski uratowany.

134. Rozbudzenie się narodu polskiego w drugiej połowie 18-go wieku.

W drugiej połowie XVIII wieku naród polski zaczyna się dźwigać z ciężkiego upadku, w jaki popadł przez ciemnotę ogólną i wszechwładzę stanu szlacheckiego.

Gdy ciemne i pijane masy szlacheckie wołały: Nierządem Polska stoi — rozumniejsi przewidywali bliski upadek i chcieli go uniknąć.

Jakiż był na to sposób?

Należało przeprowadzić reformy i zmienić ustrój państwa, znieść przekłętę liberum veto, które stało się tylko źródłem przekupstwa szlachty: znieść wolną elekcję, aby obce mocarstwa nie mogły korzystać ze śmierci króla polskiego dla wprowadzenia swych wpływów i rządów: powiększyć liczbę wojska do obrony granic.

Prócz ustroju państwa, powinno się też było zmienić położenie mieszczan i chłopów w Polsce.

Wprawdzie i w innych krajach stany te były upośledzone, ale tam wolności nikt nie miał, a królowie trzymali silne wojska do obrony swych państw. U nas szlachta miała wolności aż nazbyt i stworzyła zupełnie odmienne od innych europejskich państw. Ale to państwo tak odmienne, obronić się nie mogło siłami samej tylko szlachty.

Wolność bowiem zawsze jest zagrożoną, jeśli jej dobroczynne promienie nie na wszystkich padają. Nie można jej zamknąć i schować tylko dla siebie, bo zmarnieje i jak ptak uwięziony zginie.

Garstka ludzi starała się o przeprowadzenie reform jeszcze za panowania Augusta III, Sasa, a gorąco już wzięła się do tego wraz ze śmiercią tego króla-pijaka.

Ale usiłowania te były płonne, bo naród ciemnota jeszcze wielka przyniatała, nie widziano grożącego niebezpieczeństwa.

Pierwszy rozbiór Polski w 1773 roku ocucił śpiących. Wzięto się do pracy z całą siłą.

Przedewszystkiem zupełnie zmieniono naukę we wszystkich szkołach, a czuwała nad tem t. zw. Komisja Edukacyjna złożona z najrozumniejszych ludzi. Uczono teraz więcej polskiego, niż łaciny, zapoznawano dzieci z życiem roślin i zwierząt, z różnemi nowemi wynalazkami, np. z elektrycznością, która wielki podziw budziła. Ciemnym zacofańcom, co to lubili, żeby wszystko tak szło, jak za dziada i pradziada, zdało się, że koniec świata nadchodzi. Nie mogli się pogodzić z różnemi nowemi, a nawet zdarzało się, że synów ze szkół odbierali i uczyli potajemnie, wpajając stare błędy. A tymczasem młodzież z ulepszonej nauki była bardzo zadowoloną i rozumiała jej korzyści. Co najważniejsza, uczyła się żyć uczciwie, gardzić pochlebstwem i przekupstwem, liczyć na własną pracę, myśleć o pożytku kraju. Co roku przy końcu nauk odbywał się popis, a na nim rodzice mogli się przekonać o postępach dzieci. Kręcili głowami myśląc z podziwem, czego to uczą w tych szkołach!

Wraz z wychowaniem musieli się zmienić ludzie.

Przedewszystkiem zrozumieli, że uczyć się ciągle trzeba, nie tylko w szkole, lecz i w dalszem życiu, bo kto nie postępuje naprzód, ten się cofa. Nauka, książki, stały się potrzebą.

Wprawdzie jeden z poetów tych czasów, Adam Naruszewicz, opowiadał o kimś, co przyjechał do Warszawy, że poszedł do księgarni i nic w niej nie znalazł ciekawego, prócz kalendarza. Takich jednak ciemnych coraz mniej się zdarzało. Nawet ten, którego opisuje Naruszewicz, mówi: „Teraz świat jest uczony“, czuje i on, że trzebaby coś czytać, tylko, że niema pojęcia, co wybrać. W roku 1765 zaczyna nawet wychodzić w Warszawie pierwsza gazeta, a za nią wnet zjawia się i druga, trzecia, coraz więcej i więcej.

Szczególniej w ciągu 4 lat: od roku 1788 do roku 1792 to jest w czasie tak zwanego „sejmu czteroletniego“ ruch umy-

słowy był wielki, podobnie jak w XVI wieku. Ileż to wtedy gazet wychodziło, ile różnych książek i książeczek! Ledwie kto jakiś swój nowy pomysł wydrukował, już odbierał mnóstwo odpowiedzi, również drukowanych. Ci mu winszowali rozumu, chwalili go, mówiąc, że dobrzeby jego rady posłuchać; tamci śmieli się, ganili pomysł, gniewali się na autora. Lecz wszystko szło na dobre, bo ludzie przynajmniej o sprawach ogólnych myśleli, nietylko o tem, by dobrze zjeść i wypić, albo dużo zebrać pieniędzy.

Wł. Weychertówna.

135. Tadeusz Reytan.

Chociaż poeta, ksiądz Paweł Woronicz, w hymnie do Boga mówi, że

... gdy nie możesz karać bez przyczyny,
Los nasz być musi skutkiem własnej winy —

uznając przecież wielkie winy swoje, przeciwstawić im możemy tyle pięknych postaci i przykładów, iż nie czujemy się gorsi od innych, a dzieje nasze w najsmutniejszych chwilach budzą jeszcze uczucia dumy, bo niema w nich tak czarnej karty, na którejby nie jaśniało godne pamięci imię.

Oto wybiła bolesna godzina pierwszego rozbioru Polski. Za wiekową ciemnotę, lekkomyślność, nierząd — zapłacić trzeba ziemią, którą zabiorą sąsiedzi. I nietylko zabiorą, lecz żądają, aby sejm uznał zabór i potwierdził.

Zabrać mogą, gdyż są silniejsi, ale hańba sejmowi, który przyzna, że oddaje część kraju dobrowolnie.

Taki sejm król zwołuje, — jakąż zostawi on pamięć?

Niełatwo pokonanym i bezbronnym oprzeć się żądaniom potężnych zwycięzców, — wiedzą o tem Polacy, i pierwsza ich myśl: wcale na sejm nie pojechać. Nie będzie posłów, nie będzie i sejmu.

Prędko jednak spostrzegli, że błąd popełnili: nie pojadą uczciwi i najlepsi, to właśnie zbiorą się słabi i ciemni.

Przeszkody na sejmikach tyle tylko dokazały, że połowy nawet posłów nie obrano, około stu zaledwie, po większej czę-

ści narzędzi w rękę sprzedażnych zdrajców. Gdy chciano złe naprawić, już było zapóźno: sejmiki prawie ukończone. Zdołano wybrać tylko jedenastu posłów, którzy spieszyli stanąć w obronie ojczyzny.

Siły nierówne.

Z jednej strony Adam Poniński, pan rozrzutny i lekko-myślny, obojętny na sprawy kraju, za 3000 dukatów miesięcznej pensji podejmuje się doprowadzić sejm do zgody i podpisania zaboru.

Z drugiej — Tadeusz Reytan, poseł nowogródzki, przy pomocy Korsaka i kilku jeszcze towarzyszy chce odważnie stać mu czoło.

Czy zwycięży — nie wie, — ale nie traci nadziei. A choćby zginął zostawi świadectwo, że nie wszyscy Polacy gotowi za złoto sprzedać ojczyznę i braci.

W Warszawie powitały go już smutne wieści: chytry Adam Poniński przed rozpoczęciem obrad zebrał posłów w swoim prywatnem mieszkaniu i złotem, obłudą, kłamstwem nakłonił prawie wszystkich (76) do podpisania aktu konfederacji sejmu, (t. j. że nie może być zerwany), a zarazem do obrania siebie za marszałka.

A marszałek to przecież pan obrad sejmowych, od niego zależy wszystko: on daje i odbiera głosy, zamyka i otwiera posiedzenia, rządzi wszystkim.

Jeśli sejmu zerwać nie można, a marszałkiem Adam Poniński, to cóż tu Reytan zrobi?

Mimo wszystko — ręk nie opuści: przemówi do współbraci, może nie wiedzą co czynią. Jako poseł ma obowiązek oprzeć się bezprawiu; marszałek w izbie musi być obrany, w izbie tylko wolno posłom wiązać się w konfederację. Więc walka zacząć się musi o łaskę marszałkowską: ten wygra, kto ją zdobędzie.

Trzy dni trwał bój niekrwawy, ale ciężki: jedenastu mężów przeciw całej izbie, a Reytan na ich czele.

On zastępuje drogę Ponińskiemu, gdy ten chce zasiąść w krzesło marszałkowskie, — przypomina, że teraz kolej

posła z Litwy i pyta, kto obrał zdrajcę? Sam chwytą drugą laskę, którą trzyma odźwierny królewski, odwołuje się do izby, aby go poparła, aby nie pozwoliła na bezprawie.

Rozdzielają się głosy, sumienia posłów przemawiają, topnieje większość Ponińskiego, najuczciwsi z pomiędzy jego sprzymierzeńców zaczynają się wstydzić swego wodza.

Widzi to Reytan i sił mu przybywa, budzi się w sercu nadzieja zwycięstwa, — widzi także Poniński i zaniepokojony ogłasza, że na dzisiaj obrady skończone, następne sesja jutro o 9, teraz wzywa do wyjścia.

— Zostańcie! — woła Reytan — obierzcie marszałka, nikt jeszcze nie ma prawa rozkazywać!

Ale większość ciśnie się tłumnie ku wyjściu: tam nagrody i obietnice — tu surowy wyrzut sumienia.

Widząc, że ich nie wstrzyma, i Reytan naznacza sesję na dzień następny o 9, — może jutro przekona i zwycięży.

Lecz nazajutrz toż samo: spór, wrzawa, zamieszanie, Ponińskiego niema, nie chcą Korsaka dopuścić do głosu, — przemawia wreszcie, i chwieją się słabi. — Prawda ma wielką siłę!

I znów Poniński zjawia się, by przerwać niebezpieczne obrady; znów większość idzie za nim, gdy do rozejścia wzywa; jutro szala zwycięstwa przeważać się musi stanowczo. Tak, musi się przeważać, bo Poniński uzyskał już tymczasem wyrok na Reytana, jako na gwałciciela prawa i porządku. Ma być oddany pod sąd kryminalny, dobra jego skonfiskowane, jemu grozi kara wygnania.

Kiedy o 7 rano chce wejść do izby sejmowej, zastaje straż przy wejściu. Wchodzi, ale wie dobrze, że po raz ostatni: więcej go tu nie wpuszczą. Więc dziś triumf, lub klęska.

Jakże przemówi do nich? W jakich słowach przedstawi im przyszłość ojczyzny? Hańbę, która ich czeka, i pogardę ziomków?

Niema do kogo mówić: posłów prawie niema, są ci tylko, którzy tak myślą, jak Reytan.

Cała konfederacja wraz z Ponińskim zjawia się wreszcie około południa, tłumnie, hardo, zuchwale, po to tylko, aby oznajmić, że sesja znów do jutra odłożona.

Do jutra? Nie, na Boga! Stójcie! Dziś powiedzcie, żeście synami Polski, nie sługami zdrajcy! Zostańcie, aby spełnić obowiązek. Jutro będzie za późno, — dziś lub nigdy! Błagam, zostańcie! Zaklinam na Boga! na krew Chrystusa przelaną za braci, nie bądźcie Judaszami! Ha po ciele mojem ten próg przestapicie! Zabijcie mnie, zadepczcie — nie chcę przeżyć tej chwili!

Napróżno ich wstrzymuje, — rzucił się na progu, pierś obnażył na ciosy, i jeszcze zaklina — na Imię Boga, na miłość ojczyzny...

Po jego ciele przeszli, — zamykając oczy, nie chcąc widzieć i słyszeć — przeszli...

Zostało jedenastu. O północy wezwano ich do króla. Reytn sam pozostał w izbie.

Nazajutrz oznajmiono, że król i senat przystąpili do konfederacji, — dalszy opór na nic się nie zda.

Lecz została pamięć Reytna. Gdy chcieli go przekupić kilku tysiącami dukatów, ofiarował dwa razy tyle, aby odstąpili złej sprawy. Obcy, nieprzyjaciele otaczali go szacunkiem, cześć oddawali męstwu: generał rosyjski Bibinow powiedział: Godzien jest, aby wszystkich ministrów orderu na jego piersiach zawieszono.

Nie przeżył Reytn nieszczęścia ojczyzny: dotknięty melancholją, nie mógł znieść widoku ludzi; raz w przystępie obłędu skaleczył się śmiertelnie szkłem stłuczonej szyby.

136. Konstytucja 3-go Maja.

Każdy Polak wie o konstytucji, choć nie każdy zna jej treść, nie każdy rozumie znaczenie. Trzeci maj stał się świętem narodowym, a setna rocznica nadania konstytucji wstrząsnęła tak silnie Królestwem, że od niej zaczyna się obudzenie się po klęsce 1863 roku. Jeżelibyśmy chcieli sądzić prawo 3-go maja dzisiejszym naszym rozumem, to doznalibyśmy wielkiego rozczarowania. Niema tam ani głosowania powszechnego, ani ośmiodzinnego dnia pracy, ani nawet zrównania wszystkich stanów ba! niema nawet zniesienia pańszczyzny.

Jeżeli porównamy konstytucję naszą z francuską, ogłoszoną w tym samym czasie przez rewolucję, to się okaże, że Francuzi zrobili daleko więcej: ogłosili równość wszystkich obywateli wobec prawa, znieśli wszystkie przywileje szlachty i panów.

A przecie mimo to wszystko nasza cześć dla konstytucji 3-go maja i jej twórców jest wielka. Widzimy w prawie tem zapowiedź odrodzenia narodu polskiego.

Dlaczego? Aby to zrozumieć, musimy na chwilę przenieść się myślą w ostatnie czasy przed rozbiorami.

Za królów Sasów, t. j. w początkach XVIII wieku, Polska wyglądała, jak staw duży i piękny, ale zupełnie zarosły zielenią, stojący, martwy, gnijący.

Pierwsze lata panowania Stanisława Augusta, ostatniego króla, to czasy, gdy obcy rozporządzali się u nas, jak u siebie. Naszych posłów i senatorów wywożono w głąb Rosji, choć posła na całem świecie ruszyć nie wolno. I my na takie bezprawie pozwalaliśmy! Staw zarosły rozsiewał woń zgnilizny dokoła.

Pierwszy rozbiór 1773 r. był jakby uderzeniem w głowę tych, co śpiąc leniwie, powtarzali sobie na pocieszenie: Nierządem Polska stoi. Okazało się, że nierząd doprowadza do upadku, trzeba było wszystko zmienić.

I zaczęła się mocarna praca we wszystkich kierunkach, życie zatętniło. Nowe szkoły Komisji Edukacyjnej przygotowywały nowych ludzi postępowych.

Przeszło lat kilkanaście i obraz Polski zmienił się nie do poznania. Ludzi odszedł sen gnuśny — postanowili żyć ofiarnie dla ojczyzny, dla przyszłości.

Ale poseł rosyjski od początku panowania Stanisława Augusta siedział w Warszawie i groził wojną, jeśliśmy chcieli wprowadzić w rządach jaką zmianę na lepsze.

Dopiero, gdy Rosja wplątała się w wojnę z Turcją, można się było z pod jej opieki wyzwolić.

W r. 1788 zebrał się sejm, który trwał lat 4 i dlatego nazywa się czteroletnim. Ma on też drugą nazwę — Wielki, bo wielkie rzeczy na nim postanowiono.

Ponieważ wiadomo było, że sejm wielki ma wprowadzić w Polsce zmianę rządu, każdy chciał wypowiedzieć, co mu się zdało słusznem, lub przynajmniej czytał i słuchał, co inni mówili. Każdy czuł się obywatelem.

Mieszczanie, namówieni przez prezydenta Warszawy, Dekieotą, wybrali swoich posłów w każdym mieście i przysłali ich do stolicy. Tu mieli oni powiedzieć sejmowi szlacheckiemu, że wszystko oddadzą dla obrony ojczyzny, jeśli ich szlachta dopuści do praw.

Groźnie brzmiał manifest mieszczan, a niemniej groźnie wyglądała t. zw. czarna procesja. Z ratusza po dwóch przedstawiciele miast czarno poubierani wyruszyli w karetach do zamku królewskiego. A poczet był liczny: tam już wysiadano, a tu dopiero ruszały ostatnie karety. Snuł się ich sznur przez kilka ulic, a szlachcie, patrzącej na to, cierpły serca, bo wiedziała, że we Francji mieszczanie na gorąco biorą się do rzeczy, a krwi herbowej nie żałują.

Tylko, że u nas mieszczan było mniej niż szlachty, a prztem byli oni na ogół biedni i mało wykształceni — nie stanowili siły. To też do praw, które im się należały, nie mogli dojść przez rewolucję. Zdobyli się tylko na demonstrację. Ale i to miało znaczenie, zwłaszcza, że mieszczanie obiecywali bronić wolności kraju, a szlachta wiedziała, że tego będzie potrzeba.

Już nawet się spieszyć należało, bo Rosja kończyła wojnę z Turcją, a Prusacy, którzy dotychczas udawali naszych przyjaciół, spodziewając się wojny z Austriakami, teraz się z nimi pogodzili. Czas nagił.

To też gromadka ludzi najlepszych i najmądrzejszych postanowiła 3-go maja 1791 roku przeprowadzić całą konstytucję, to jest wszystkie prawa konieczne zamiast długo omawiać każdą sprawę w sejmie.

Kilkanaście osób ułożyło projekt. Byli to ludzie postępowi, wiedzieli, co naówczas stanowiono we Francji i mieli ochotę na podobne prawa. Ale wiedzieli, że sejm musi koniecznie nowy rząd zaprowadzić spiesźnie, bo kraj jest nad

przepaścią, a gdy w nią runie, to przepadną wszystkie wolności.

Dlatego to zniesiono przedewszystkiem to, co istnieniu kraju zagrażało: liberum veto i wolną elekcję. Nie mógł już teraz jeden poseł zrywać tego, co postanowił sejm cały, otwierała się więc możność poprawienia praw w przyszłości.

Nie potrzeba się też było obawiać, że po śmierci Stanisława Augusta wrogowie zagarną Polskę i skorzystają z zamieszek, aby ją rozebrać.

Obok tego jednak twórcom konstytucji szło o zmianę w stosunkach między ludźmi; o rozszerzenie praw mieszczan i chłopów.

Mieszczanie zdobywają wolność osobistą, zniesienie wszelkich ograniczeń, mogą też wybierać swych posłów do sejmu. Prócz tego z łatwością mogą się stać szlachcicami. Kto kupi ziemię, kto był posłem w sejmie, kto wreszcie co użytecznego zrobi dla kraju, czy to w nauce i sztuce, czy w handlu i rzemiośle, ten stanie się szlachcicem.

A co to znaczyło być szlachcicem? Znaczyło to być obywatel, posiadającym, wszystkie wymarzone wolności konstytucyjne.

Najmniej konstytucja 3-go maja mówi o włościanach. Bierze pod opiekę ich prawa i stanowi, że jeśli są umowy, to panom łamać ich nie wolno.

I jakże to gorący i postępowi twórcy konstytucji mogli dać tylko tyle chłopom, których los był najcięższy? Dlaczego nie postawili żądania zniesienia poddaństwa i pańszczyzny i uwłaszczenia włościan?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się zastanowić nad tem, kto miał potwierdzać konstytucję, kto zasiadał w sejmie? Wszakże nikt inny tylko szlachta. Dopiero w przyszłości mieli się z nią połączyć mieszczenie. Czyż szlachta sama dobrowolnie miała stanowić prawa, które uszczuplałyby jej znaczenie i dochody? Jednostek szlachejnych i sprawiedliwych zapewne nie brakło, ale przypuszczać, że wszyscy sejmujący są tacy, byłoby straszną omyłką. Straszną, bo spowodowałyby ona odrzucenie projektu. Do tego nie można było dopuścić.

Że jednak ludzie, układający konstytucję, czuli potrzebę czegoś więcej, niż się odważali przeprowadzić, tego dowodzi postanowienie, że co 25 lat zmieniać się będą prawa na sejmie nadzwyczajnym.

Przez 25 lat można całe pokolenie wychować, wpoić w nie sprawiedliwość i uczucia obywatelskie, a wtedy nie bać się o postęp.

Niestety! nim przeszło lat 25, Polska zupełnie utraciła niepodległość. Konstytucja rok tylko była prawem i przez ten czas wprowadzono ją w całym kraju.

Nieszczęściem 3 magnaci zawiązali konfederację Targowicką i pomogli wrogom do zwalczania patriotów, których nazywano rewolucjonistami. Nastąpił drugi rozbiór 1793 roku.

Bohaterskie powstanie Kościuszki nie uratowało sprawy i w 1795 roku trzeci rozbiór wykreślił Polskę z liczby państw europejskich.

Wł. Weychertówna.

137. Tadeusz Kościuszko.

W rządzie tych mężów, co za kraj swój znosili rany i niewolę, byle go dźwignąć i uratować od upadku, pierwsze zajmuje miejsce Tadeusz Kościuszko. Urodził się dnia 12 lutego 1746 roku na Litwie we wsi Mereczowszczyźnie, którą ojciec jego trzymał w dzierżawie. Pierwsze początki nauk pobierał Kościuszko w domu, a w osiemnastym roku życia został oddany do szkoły kadetów, założonej w Warszawie przez króla Stanisława Augusta, do której samych tylko najzdolniejszych i najpilniejszych młodzieńców po ukończeniu ówczesnych gimnazjów przyjmowano.

Tutaj tak się odznaczył w naukach, że go książę Adam Czartoryski, brat cioteczny króla, a komendant tej szkoły, własnym kosztem wyprawił do Paryża na dalszą naukę. Skończywszy i tam chlubnie przepisane nauki wrócił Kościuszko do Polski, gdzie zaciągnął się do wojska i otrzymał odrazu stopień kapitana.

Rozpoczął się był właśnie wtedy w Ameryce północnej bój o wolność tamtejszych mieszkańców, uciskanych przez Anglików. Ponieważ w Polsce panował wówczas spokój, mógł przeto Kościuszko poświęcić tymczasem swój oręż sprawie, wprawdzie obcej, lecz świętej. Pospieszył więc do Ameryki i tam, walcząc przy boku naczelnego wodza Jerzego Waschingtona jako jego adjutant, męstwem swem i zasługami wojskowemi zjednał sobie powszechną cześć i miłość.

Posuwał się też szybko ze stopnia na stopień, a po szczęśliwym ukończeniu wojny otrzymał w nagrodę zasług wysoki order, stopień generała, dobra w ziemi i wynagrodzenie ze skarbu publicznego. Kościuszko jednak poprzestał na odznakach honorowych, dobra zaś i pieniądze przeznaczył na założenie szkoły wojskowej i na wykupienie z niewoli pewnej liczby niewolników murzyńskich.

Po skończeniu wojny, stęskniony za ojczyzną Kościuszko wrócił do Polski, gdzie wkrótce otwarło mu się pole działania. Sejm wielki pracujący około odrodzenia Polski, ogłosił właśnie wiekopomną konstytucję 3 maja, 1791 r. która wprowadzona w życie, byłaby zapewniła krajowi pomyślny rozwój i poważanie u państw postronnych. Aby tego nie dopuścić, Rosjanie wypowiedzieli Polsce wojnę i z wielkiem wojskiem wkroczyli w jej granice. Naczelnym wodzem wojsk polskich w tej wojnie był książę Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta.

Był to wówczas młody jeszcze człowiek, pełen wprawdzie odwagi i zapału, lecz nie mający doświadczenia w prowadzeniu wojny. Pod jego naczelnictwem dowodził Kościuszko lewem skrzydłem armji i nieraz przytomnością umysłu i zręcznością obrotów przyczynił się znacznie do odniesienia nad nieprzyjacielem korzyści, a zwłaszcza wsławił się w bitwie pod Dubienką. Kiedy jednak król uległ obietnicom Rosji i zgodził się na drugi rozdział kraju, Kościuszko wraz z innymi towarzyszami broni wyjechał za granicę.

Zwycięzcy Rosjanie postępowali sobie teraz w Warszawie samowolnie i gospodarowali jak we własnym kraju. Uciśkani Polacy oburzyli się na te bezprawia, przygotowywali się

więc na powstanie i wezwali Kościuszkę na naczelnika. W marcu 1794 przybył Kościuszko do Krakowa, gdzie publicznie na rynku złożył narodowi przysięgę i wezwał lud wiejski do obrony kraju, przyrzekając mu wolność po oswobodzeniu ojczyzny.

Tłumnie spieszyli chłopci z kosami na szerc wbitemi w szeregi naczelnika, który krakowską przywdział sukmanę i tem sobie lud wszystek ujął za serce; w tej powierzchownej oznace bowiem upatrywał lud poszanowanie naczelnika dla włościańskiego stanu, to też ufał jego przyrzeczeniu. Już dnia 4 kwietnia 1794 r. w bitwie pod Racławicami odniósł Kościuszko na czele szczupłego wojska i kosynierów sławne zwycięstwo. Na jego odgłos zapal narodu szerzyć się począł w całym kraju.

Rozpaczliwa to jednak była wojna. Ze wszech stron bowiem ciągnęły wielkie siły nieprzyjacielskie, by ostateczny cios zadać walce narodowej. Chcąc niedopuszczyć połączeniu się z sobą dwóch wojsk rosyjskich, wdał się Kościuszko w bitwę pod Maciejowicami, niedaleko Warszawy.

Nie pomagało rozpaczliwe męstwo garstki Polaków; większa ich część zginęła śmiercią walecznych na polu bitwy, a Kościuszko ciężko ranny, znaleziony bez przytomności na pobojuwisku wzięty został w niewolę i wraz z wielu znakomitymi Polakami wywieziony do Petersburga.

Cesarz rosyjski Paweł, następca Katarzyny, ceniąc w Kościuszcze szlachetne poświęcenie się dla ratowania ojczyzny zaraz po swoim wstąpieniu na tron obdarzył go wolnością. Kościuszko po dwuletniej niewoli, znękany cierpieniem i żalem po stracie ojczyzny, udał się do Ameryki, aby wspomnieniami lat młodszych a pełnych sławy pokrzepić skołataną umysł.

Wkrótce jednak wrócił do Europy, gdzie zamieszkał najprzód we Francji, później w Solurze w Szwajcarji przy zacnej rodzinie Zeltnerów, do której się przywiązał nierozzerwanym węzłem przyjaźni. W tem zacisznem ustroniu przepędził ostatnie kilkanaście lat życia.

Cały sposób życia Kościuszki był zawsze umiarkowany, pokarm niewykwintny, a ubiór prosty. Jediną ozdobą jego codziennego ubioru był ulubiony goździk, wetknięty w dziurkę od guzika prostej granatowej kapoty. Mieszkańcy Solury, wiedząc o tem upodobaniu jego do goździków, ubiegali się w pielęgnowaniu tych kwiatów, że nawet w zimie otrzymywał codziennie świeży pączek goździkowy.

Znany był Kościuszko ze swej dobroczynności. Codziennie popołudniu wyjeżdżał konno i odwiedzał w okolicy miasta jakiego ubogiego lub chorego, co potrzebował wsparcia i pomocy. Nigdy też nie pominął ubogiego bez ofiarowania mu jałmużny. Koń nawet jego tak już był do tego przyzwyczajony, że spotkawszy żebraka, sam stawał i póty się nie ruszył z miejsca, póki ubogi nie otrzymał datku. — Kochał też staruszek dzieci i lubił otaczać się ich gromem.

W październiku 1817 roku zachorował Kościuszko i nie powstał już więcej z łóża. Czując się bliskim śmierci, kazał sobie podać pałasz, którym dowodził pod Racławicami; wznosił go po raz ostatni w górę ze łzami w oczach i prosił, by go z nim razem włożono w trumnę. Umarł dnia 15-go października 1817 roku. Zwłoki jego sprowadzono do Krakowa i pochowano w kamiennym, skromnej roboty grobowcu, ale w grobach królewskich, obok Jana Sobieskiego i ks. Józefa Poniatowskiego.

Lecz naród wznosił mu pomnik wspanialszy nad inne; usypał ku czci jego mogiłę pod Krakowem. Obok mogił Krakusa i Wandy przekaże ona w późne wieki pamięć czci i miłości narodu dla bohatera, który walczył za wolność ojczyzny.

138. Kościuszko w Ameryce.

Przed stu przeszło laty Ameryka Północna toczyła z Anglią walkę o swoją niepodległość. Wielu znakomitych, a wolność miłujących mężów spieszyło z Europy na drugą półkulę, ażeby czynną przyłożyć rękę do dzieła oswobodzenia walczącego o swoją swobodę narodu.

W końcu grudnia 1777 r. przybył także Kościuszko do Ameryki. Bez wszelkich środków i pism polecających stanął przed Washingtonem.

— Cóż pan zamýślasz począć? — zapytał wódz naczelny, który zawsze mówił bardzo zwięźle.

— Przychodzę jako ochotnik, aby walczyć o niepodległość Ameryki — również krótko i stanowczo odpowiedział Kościuszko.

— Cóż pan umiesz? — spytał następnie Waschington.

Na co odrzekł z właściwą sobie szlachetną prostotą Kościuszko:

— Racz mnie doświadczyć, generale!

Stało się temu zadość i Washington wkrótce przekonał się o dzielności szlachetnego Polaka. Oddano mu najpierw kompanję; a kiedy podczas odwrotu Anglików z Filadelfji ścigali ich Amerykanie, Kościuszko na czele kompanji ochotników cudów waleczności dokazywał.

Francuz Lafayette, który dowodził oddziałem ścigającym nieprzyjaciela, w wieczór po krwawym dniu dowiadywał się o dowódcę owych ochotników.

— Jest to młody Polak, szlachetnie urodzony, ale ubogi i, jeśli się nie mylę, nazywa się Kościuszko — odpowiedziano.

Ochotnicy stali o pół mili od obozu; Lafayette dosiadł konia, pospieszył do ochotników i kazał się zaprowadzić do Kościuszki.

Wszedłszy do namiotu, zastał go jeszcze obryzganego krwią i okrytego kurzem. Kościuszko siedział wsparty na ręku przy stole, na którym była rozłożona mapa. Tu się poznali obaj młodzi bohaterowie i od tej chwili ścisła łączyła ich przyjaźń.

Lafayette doniósł o waleczności Kościuszki Washingtonowi, a ten odtąd pilną na niego zwracał uwagę. Kościuszko odznaczył się w wyprawie na Rode Island i przy oblężeniu Nowego Jorku.

Kiedy Washington, objeżdżając szeregi, zbliżył się do oddziału Kościuszki, ten, wystąpiwszy naprzód, zawołał z zapalem:

— Wodzu! — jutro w wieczór zdobęde baterję nieprzyjacielską lub zginę!

W samej rzeczy, korzystając z ciemnej nocy, Kościuszko podsunął się pod baterję; ale pomimo ostróżności, odkryty, krwawą musiał stoczyć walkę. Ciężko raniony w prawą rękę, chwycił w lewą pałasz i wiódł oddział do szturm. Odwagą i zapalem jego zagrzani żołnierze wyparli wroga; Kościuszko zdobył trzy działa i dwa sztandary i zabrał znaczną liczbę jeńców.

Jak go żołnierze kochali, świadczy następujące zdarzenie.

Żołnierz trafiony kulą, kiedy go towarzysz, podnosząc z ziemi, chciał ratować, rzekł:

— Zostaw mnie, ja tylko prostym jestem żołnierzem; raczej ratuj naszego kapitana i zdobyte armaty!

Kiedy po zdobyciu Nowego Jorku Washington dziękował oficerom, ujął Kościuszkę za zranioną rękę i wobec zebranych, chwając jego zasługi i męstwo, wyniósł go na stopień podpułkownika i swego adjutanta; a gdy go bliżej poznał, synem swoim nazywał. Umiał cenić te zaszczyty Kościuszko, bo w liście do Niemcewicza tytuł ten „uważał za swoje najwyższe na ziemi dobro, które najbardziej szanuje.

Kościuszko w charakterze swym wiele miał podobieństwa do Washingtona: waleczny w boju, był zarazem ludzkim dla nieprzyjaciela. Dał tego dowód, kiedy jeden z generałów amerykańskich rozkazał mordować zwyciężonych Anglików. Kościuszko oparł się temu rozkazowi i pod karą śmierci nakazał swym żołnierzom, aby szanowali życie nieprzyjaciół. To też tak męstwem swem jako też ludzkością zjednywał sobie miłość i uszanowanie żołnierzy.

Wojsko amerykańskie zrazu przyjmowało służbę tylko na pewien czas, po upływie którego oddziały wracały do domu, lub na nowo się zaciągały. Tak sobie postanowił był postąpić pewnego razu oddział, którym dowodził Kościuszko: a ponieważ nawet służył nad czas oznaczony, głośnie wznosił przeciw temu skargi. Słyszac to Kościuszko przyznał użalającym się na to słusność, wreszcie w te do nich odezwał się słowa:

— Przyjaciele! słowo uwolnienia was od służby jest wam dane, a to słowo jest dla mnie święte i niezłomne. Jeżeli dobrowolnie nie chcecie zostać, tedy idźcie w pokoju, ja was ze służby uwalniam. Co się zaś mnie tyczy, nie opuszczę powierzonego mi miejsca i zostanę z tymi, którzy razem ze mną chcą walczyć.

Słowa te cudownie podziały na wzburzone umysły; zabrzmiał też jednomyślny okrzyk:

— Zostaniemy przy tobie; nie opuścimy naszego wodza!

Po skończonej wojnie niepodległa Ameryka, wdzięczna za tyle usług, ozdobiła piersi Kościuszki orderem Cyncynata, wyniosła go na stopień generała brygady, nadała mu prawo obywatelstwa, a oprócz pensji rocznej, wyznaczyła znaczne obszary ziemi. A kiedy Kościuszko w roku 1817 umarł w Solurze, Stany Zjednoczone uczciły pamięć jego pomnikiem w mieście Westpoint.

Z wypisów polskich Próchnickiego i Wójcika.

139. Ostatnia nobilitacja.

Było to w kwietniu 1794 roku w śliczny dzień wiosenny. Chociaż był to wyborczy czas do roboty, w Rzędowicach żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą niedzielą dla Rzędowian.

Miano powitać wracającego z pod Raławic Kościuszkę i jego zwycięskich wiarusów. Jakoż ruch niezwykle panował we wsi: kobiety pomagały starościnie gotować obiad dla bohaterów, a starsi chłopcy przyrządzać ławy i stoły; ba, nawet pacholęta i dziewczątka stawiały z gorączkowym pospiechem bramę triumfalną z świeżo rozpekłych wiklin i wiecznie zielonej choiny.

Przez tę to bramę triumfalną przeciągnęła tęgim klusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznajmiając szybkie Kościuszki przybycie. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział spiesznie kontusz i żupan swego województwa, przypiął karabelę i podając rękę staroście, rzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pospieszyło ku bramie, a z kościoła parafialnego ozwały się radośnie dzwony.

Na czele kosynjerów, w białe sukmany odzianych, jechał na siwej kłacz pan Tadeusz Kościuszko, w stroju tychże kosynjerów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał spokój na twarzy, dziwną, rzewną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej, radości, jaką tylko niebianie czuć potrafią.

Potrójne: „Niech żyje!“ ozwało się po obu stronach bramy; deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i zdjęwszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól.

Starosta ujął Kościuszkę w długi serdeczny uścisk.

Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypiec i basów. Była to niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego muzyka wiejskiego.

Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu, a gdy wreszcie wstano od stołu, Kościuszko, podając rękę staroście, szepnął adjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potem do patriotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę:

— Moje najserdeczniejsze podziękowanie w imieniu sprawy narodowej za szlachetną pomoc, przysłaną mi przez Bartosza Głowackiego. Odebrałem cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałam tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniejszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Głowackiego, praca kilku lat może, może kilkunastu.

Kościuszki oko zabłysło łzą.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzieckiego.

Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędownicka. W środku powiewał sztandar z orłem białym.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartosza Głowackiego.

Oficer kosynjerski wystąpił pewnym krokiem przed front, nie mogąc się atoli pozbyć pewnej układności chłopa, zbliżającego się do pana.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożywszy rękę na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczyście:

— Mój kochany Bartoszu, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze pracowitym a pocziwym rolnikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym człowiekiem, wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmiecia rola twoją jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogosławi!

Bartosz skłonił się, a wnet Naczelnik ozwał się w te słowa:

— Żołnierze! Widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina, Bartosza Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby odszczególniający się w boju i dobrze zasłużony Polsce ozdobiony był zaszczytem szlachectwa, na znak, że szlachetnie służył krajowi, aby pieczętował się herbem, przypominającym potomkom obowiązek podobnej służby. Stosując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę w Polsce dziś piastujący, czynię cię, Bartoszu, wraz z potomkami twemi szlachcicem, i nadaję ci herb mój własny, herb Roch. Niech żyje porucznik Głowacki.

Głośnie: „Niech żyje!“ rozległo się w powietrzu.

— A wy — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego! Wiedźcie, że powołani przez ojczyznę, macie

otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi.

Kosynjerowie z krzykiem pogarnęli się ku Kościuszce, całując jego ręce i szaty. Bartosz, ocierając oczy sukmaną chciał wodza ująć za kolana, ale Kościuszek objął go i uściskał.

Przy wieczerzy Głowacki siedział z żoną wśród gości dystyngowanych. Trudno go było nakłonić do tego, ale nareszcie ustąpił naleganiom starosty. Kościuszek, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— Mości poruczniku, skądże to do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartosz zaczerwienił się, jak dziewczyna:

— Stąd, mój Bartoszu — dodał Kościuszek — żeś był szlachcicem pierwszej, nimeś nim został.

Józef Szujski.

140. Przysięga Kościuszki.

Na krakowskim rynku
Wszystkie dzwony biją,
Cisną się mieszczany
Z wyciągniętą szyją.

Na krakowskim rynku
Tam ludu gromada,
Tadeusz Kościuszek
Dziś przysięgę składa.

Zagrzmiały okrzyki,
Jak tysiączne działa...
Swego bohatera
Wita Polska cała!

Wyszedł sam Kościuszek
W krakowskiej sukmanie,
Odkrył jasne czoło
Na to powitanie.

Odkrył jasne czoło
Kłęknał na kolana:
„Ślubuję ci życie,
Ojczyzno kochana!

Ślubuję ci życie,
Ślubuję ci duszę,
Za Bożą pomocą
Wolność wrócić muszę!”

A mówił te słowa
W tak ogromnej ciszy,
Zdało się, że Pan Bóg
Tę przysięgę słyszy!

Zapłakał, zaszlochał.
Naród dookoła...
Wstał Kościuszek, wstrząsnął
Krukuskę u czoła.

A głosy buchnęły
Wskroś rynku i grodu:
„Niech żyje Kościuszek,
Naczelnik narodu!”

141. Zwycięstwo pod Racławicami.

Po złożeniu przysięgi na rynku krakowskim i po ogłoszeniu aktu powstania narodu polskiego, zgłosili się do Kościuszki wieśniacy z Czernichowa: Wojciech Sroka, Jan

Grzywa i Tomasz Brandys, a podawszy mu czapkę zaczęli w nią wysypywać przyniesione, w trzosach dukaty. Radowało się serce wodza na widok tej ofiary wieśniaków polskich, to też oddawszy dukaty w ręce adjutanta, uściskał serdecznie tych, co je przynieśli.

Ale jeszcze większa radość czekała wodza. Gdy kilka dni później 1 kwietnia wyruszył z Krakowa, nie liczne miał wojsko, niemogące się równać z siłą nieprzyjaciela, ale oto 3 kwietnia, gdy stanął dla odpoczynku w Koniuszy ujrzał w oddali błyszczące w promieniach wiosennego słońca jakieś jasne ogniski. Patrzy — aż oto już widać i białe sukmany — to zbliżał się dwutysięczny zastęp chłopów z krakowskiego powiatu uzbrojonych w nabite na sztorc kosy. Radość wielka wstąpiła w serce wodza bo czuł, że te młode, świeże, z głębi narodu wyrastające siły, muszą przynieść zwycięstwo.

Już też cały dzień był nimi zajęty, uczył ich, jak mają nacierać na wroga, jak się bronić i późną nocą dopiero ruszył dalej ku Raławicom.

Dnia 4 kwietnia zeszło jasno wiosenne słońce i napełniło otuchą polskie zastępy. — Idą, śpiewają, patrzą — aż tu pod Raławicami, na Górze Kościejowskiej stoją liczne, dobrze uzbrojone, wyćwiczone szeregi nieprzyjaciół. Ale nikt z Kościuszkowskiej drużyny się ich nie przestraszył, bo każdy czuł w sobie tę siłę wielką, co idzie z miłości Ojczyzny. — Kościuszko sprawił wojsko. Najgorsze było to, że wróg miał dwaście armat, a on żadnej. Zawrzała walka, już Zajączek i Madaliński odparli pojedyncze oddziały nieprzyjacielskie, ale Moskale cofnęli się pod armaty i pod ich zasłoną rażą naszych śmiało, bo wiedzą, że strzały armatnie nie dopuszczają do nich kosynierów.

Kościuszko stoi i patrzy — w myśli coś waży — nareszcie zwrócił się do chłopów ozbrojonych w kosy i krzyknął wielkim głosem: „Hej, chłopcy, zabrać mi te armaty, Bóg i ojczyzna! Naprzód wiara!“

Na głos ten chłopci rzucili się bez pamięci ku siejącym ogniem armatów. Ten i ów padł raniony kulą armatnią ale nikt na to nie zważał. Lecieli jak leci burza z ogromnym krzykiem,

z ogniem w oczach, z kosą w ręku. Kościuszko obok nich na koniu, a na czele Bartosz Głowacki i Stach Świstacki, Dębicki, Gwoździski i inni, których nawet imion nie znamy.

Nie zdzierzył nawet tej sile wróg, i żelazne nie zdzierzyły armaty. Gołemi rękami zdobyła je polska chłopska wiara, a straszne gardziele zatykała czapkami.

Walczone jeszcze całych pięć godzin, ale gdy armat nie stało, wróg już był prawie pokonany. A Kościuszko radował się, bo czuł, że w chłopach jest siła, bo widział, że gdy tak wszyscy powstaną, cały lud, co żyje na polskiej ziemi, to żadna moc najeźdnicza ujarznić ich nie potrafi.

142. Pogrzeb Kościuszki.

Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęcza, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad nimi dzwon Zygmunta, żalność górująca,
Wszystkie chłonie, — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści,
Jasnovidza nie zważyły uwodzące wieści;
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany.

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żalną zwiłyły się rosą,
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniejsze szlocha.

Toć to dzieci są hetmańskie, szlochają jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar! W koło niego tłum jęcząc wykrzyka:
„Koso nasza! choć z daleka patrz na Naczelnika!”

O panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chłopci,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczerą skropi;
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

I na Wawel między królów ponieśli hetmana
I rozwarła się świątynia złotem nabijana;
U jej progu stanął Kmita i „Co raz on?” pyta,
„Swój! swój! świętszy od waszeć — puszczaj mości Kmita!”

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: „Ja, król chłopków, rękę ci podaję,
Wzdy obydwa my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!”

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopci o głaz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stają przed kościołem...

Już skończono mszę żalobną; w chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczone...
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłoptwo wzniosło krzyk boleści: „Och, już go zamknęli!”

„Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie naszy;
Ciemność sklepień blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach!

„Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące,
Co dnia ptakby ciebie witał i słońce wschodzące;
Wśród upałów twej mogile cień dąłaby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

„Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słońko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką;
Tybys cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy —
Cóż dopiero, kiedy kosy na szterc nabijemy!

„Jeśli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogilę, w pomoc wezwać ciebie;
Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogilę, „A czyja to?” spyta“.

Tak lud żali i marzy — urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

I mogilę wnieborostą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona, cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... Hej do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia;
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą, bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament“.

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopci i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: „Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie...
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie...”

I urosła; już ją widzi przechodzeń daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą: Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie Mogiła Kościuszki!

Kornel Ujejski.

143. Mogiła Kościuszki.

W roku 1818 złożono w grobach królewskich pod kościołem na zamku zwłoki Kościuszki. Ten od powrotu swego z Ameryki mieszkał w Szwajcarii, w mieście Solurze. Kiedy Napoleon ofiarował mu dowództwo nad wojskiem polskim, nie przyjął, bo nie wierzył w szczerość zamiarów Napoleona. Po jego upadku nalegał znów na Kościuszkę cesarz Alexander, żeby wrócił do kraju i do wojska, ale on znów nie ufał, i znowu nie przyjął. Stary już i coraz słabszy na zdrowiu, żył spokojnie i cicho w tej Solurze, odwiedzany przez podróżujących Polaków, którzy spieszyli złożyć uszanowanie dawnemu Naczelnikowi, a otoczony najwyższym szacunkiem Szwajcarów. Trudnił się wiele w starości dziećmi i ubogimi.

Był taki liściwy, że nigdy nie minął żebraka, żeby mu coś nie dał; aż koń, na którym jeździł, tak się do tego przyzwyczaił, że sam z siebie stawał przy każdym ubogim, i czekał dopóki pan nie da jałmużny. Umarł Kościuszką 12 października 1817. Tyle było w całym świecie uszanowania dla ostatniego obrońcy Polski niepodległej, że w Europie całej śmierć jego zrobiła wielkie wrażenie; a nawet w Ameryce, gdzie pamiętano jego zasługi w wojnie przeciw Anglikom i jego przyjaźń z bohaterem Ameryki, Waschyngtonem.

Tyle było jeszcze w świecie sumienia i honoru, że nikt nie śmiał dziwić się Polakom, że chcą okazać żal i cześć swojemu Naczelnikowi, ani im w tem przeszkadzać. Nawet pod

rzędem rosyjskim, na Litwie i Rusi, wolno było odprawić nabożeństwa za Kościuszkę po wszystkich kościołach. Wszystkie trzy dwory zgodziły się odrazu na przewiezienie zwłok i pochowanie ich w Krakowie. Wysłano więc osobnych delegatów do Solury, żeby ciało przewieźli. Gdy przybyło, złożono je najprzód w kościele św. Florjana; a gdy na zamku grobowiec był już gotów, przeprowadzono je w nader okazałym pochodzie na zamek, gdzie przez trzy dni trumna stała na katafalku w kościele, a 23 czerwca złożoną była w grobach.

Mowę pogrzebową miał biskup Woronicz, a drugą świecki, prezes senatu Wodzicki. Ale po pogrzebie nasunęło się samo z siebie pytanie, jaki pomnik postawić Kościuszcze. Różne były zdania, wielu myślało o spiżowym posągu na krakowskim rynku. Aż Marcin Badeni i prezes Wodzicki, wpadli na myśl szczęśliwą.

„Co tam posągi!“ — mówili — „czas je zwała, czasem i człowiek je zniszczy. Nie mamy tu pod Krakowem samym dwóch pomników, co wieki przetrwały? Z nich bierzmy wzór. A jak nasi przodkowie kiedyś usypali z ziemi mogiłę temu Krakusowi, co pierwszy miasto założył i smoka zabił, tej Wandzie co sobie śmierć zadała, żeby kraj od nieprzyjaciela ocalić, tak my usypmy trzecią mogiłę temu, co ostatni w dawnej Polsce i dla niej walczył, co zwyciężył niejeden raz a cześć naszą uratował“.

Myśl dobra przyjęta była w całej Polsce z największym zapalem. Ze wszech stron zaczęły się sypać składki; i nie z Polski tylko, ale z Francji, z Anglii, z Niemiec, z Ameryki, zewsząd. Prezes Wodzicki opowiada w swych pamiętnikach, że bogaci dawali duże kwoty, a włościanie, co który mógł, po złotówce, po dziesięć groszy i mniej, ale bardzo licznie. Często wsie całe robiły składkę u siebie, a zebrane pieniądze przez wójtów do prezesa senatu odsyłały. Złożył się z tego fundusz tak znaczny, że w dwa lata po pogrzebie Kościuszki można było przystąpić do sypania mogiły.

Z tego co piszą współcześni świadkowie, widać, że była uroczystość wspaniała i rozrzewniająca. Tygodniem naprzód ściągali ludzie do Krakowa zdaleka i zbliska, tak że ludność

miasta zdawała się podwojoną i potrojoną. Wysłano urzędników Wolnego Miasta, i paru starych żołnierzy, do Racławic, żeby stamtąd przywieźli ziemię, którą chciano złożyć w samym środku mogiły. Ziemia ta miała być z tego samego miejsca, na którym stały rosyjskie armaty, kiedy je lud krakowski, z Bartłomiejem Głowackim na czele, kosami zabrał.

Ale na tem miejscu właśnie, stanął od tego czasu piec garncarski. Biedny garncarz, kiedy się dowiedział o co chodzi, sam własnymi rękami zburzył piec i ziemię z pod niego wydobył. Sprowadzono także ziemię z Maciejowic, z tego znowu miejsca, na którym padł Kościuszko ranny i z którego wzięty był do niewoli. Przywieziono ziemię i ze Szczekocin i z Dubienki (na Wołyniu, gdzie Moskale byli pobici w roku 1792). Wieziono tę ziemię na wozach, kwiatami ubranych przez Kleparz, Rynek, Zwierzyniec na górę św. Bronisławy, i włożono je, każdą w osobnem marmurowem naczyniu, w sam środek tego miejsca, na którym miała się wznosić mogiła.

Złożono także spisany na pergaminie akt urzędowy, opisyjący zasługi Kościuszki, i powody usypania tej mogiły. Potem prezes senatu pierwszy, a za nim kto tylko był obecny, zaczął sypać ziemię na mogiłę, łopatami, taczkami, nawet rękami. Działo się to 18 października 1820 roku. Długo jeszcze mieszkańcy Krakowa wychodzili na ochotnika, i wozili ziemię, starcy, kobiety, nawet dzieci. Rozumie się, że największa część pracy dokonała się za opłatą.

Tak stanęła nad Krakowem trzecia pamiątkowa mogiła, obok dwóch starych Krakusa i Wandy. A dziś te trzy mogiły tak należą do Krakowa, że bez nich wyobrazić go sobie nie można, a po nich można go poznać zdaleka jak po osobnym znaku, i od każdego innego miasta odróżnić. To jego cecha, jego święta pamiątka i jego chluba. Tamte dwie mogiły są przedwieczne, sięgają pogańskich czasów, ta trzecia jest nowa. Tamte dawnością swą dowodzą, że się nie zapomina nic, co do dziejów narodu należy, a czci i kocha się wszystko, co w tych dziejach było szlachetne i chwalebne.

Mogiła Kościuszki tak samo po wiekach przypominać będzie ostatnie walki Polski niepodległej; a kiedyś, w lepszych

‘daj, Boże czasach, patrząc na nią będą ludzie mówili, że musiał kochać swoją ojczyznę naród, co w upadku swoim taki wzniosł pomnik bohaterskiemu obrońcy tej ojczyzny.

St. Tarnowski.

144. Rok 1812.

O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju!...
Wojna! wojna!... nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnymi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział, oprócz spółleśników —
Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr brodaczy sędziwy
Zadrzał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera
I potrząsając brodą, zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat: kręci się, wre, świszczce,
Pękł z hukiem, jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł, w głębszem schować się ukryciu.
Bitwa!... Gdzie? W której stronie?... pytają młodzieńce,
Chwytają broń — kobiety wznoszą w niebo ręce;
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
„Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!”

A. Mickiewicz.

‘Jak rzeka płyną wojska, jak nieskończone morze. Nie pamiętają nawet baśnie takiej armii — chyba wszystkie narody wyruszyły w pole na wezwanie tego niskiego człowieka, o szerokich ramionach, w szarem tużurku i trójkątnym kapeluszu, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, który stoi na wzgórzu i patrzy na fale głów ludzkich, płynące u stóp jego bez końca... bez końca...

Płyną miesiące całe, bo zdaleka. Kolei niema, całą Europę żołnierz przejść musi pieszo, lub przejechać konno, całą Europę, od Francji do Rosji. — Więc idą długo, długo.

Pocóż idą?

Pokonać ostatniego na stałym lądzie Europy chrześcijańskiego monarchę, który śmiał się opierać woli Napoleona. Rozkazuje już wszystkim, tylko Aleksander I, cesarz Rosji, nie uznał jego władzy. Muszą nakoniec zmierzyć swoje siły.

Pokonane narody ciągną na rozkaz władzy — Austriacy, Prusacy, Bawarowie, Sasi, wszystkie państwa niemieckie, Szwajcarzy, Włosi, a nawet Hiszpanie, nawet nienawidzący go z całej duszy Hiszpanie.

Ksiązę Józef wie dzie Polaków — jest ich 80 tysięcy. Ci nie idą z przymusu, wszak wielki cesarz powiedział wyraźnie: że jest to „wojna polska“, widziano go w obozie w płaszczu polskiego ułana, do wodzów polskich mówił: „Kocham wasz naród — gdybym był Polakiem, postępowałbym, jak wy — święta wasza sprawa zwycięży“.

Więc rosną pułki polskie Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Zajączka, Krasińskiego, Chłopickiego, tylu innych!

Tylko Kościuszki niema. Nie wierzy Napoleonowi.

W kraju zostali starcy, kobiety, kaleki i dzieci. Kto broń udźwignie, wstydziłby się zasnąć na łożu, pogardziliby nim ziomkowie; przecież to wojna polska, losy ojczyzny się ważą.

Wszyscy wielcy wodzowie Francji otaczają Napoleona, jego bracia, szwagrowie, krewni, nowe, lecz znane w historii nazwiska, kwiat męstwa i odwagi. I stara gwardja, co dzieliła wszystkie trudy i chwałę wodza. Wszyscy z nim idą teraz, wszystkich potrzebować może — więcej niż pół miliona ludzi idzie za nim.

Lecz chociaż wczesną wiosną wyszli z Francji, w czerwcu dopiero przekroczyli Niemen; 7 lipca ujrzał ich Adam Mickiewicz wstępujących do Nowogródka. Te wrażenia opisał w „Panu Tadeuszu“.

Zajęto Wilno. Popłoch, zamieszanie: jedni z pośpiechem opuszczają miasto, inni się cisną by zobaczyć armję, by powitać wielkiego wodza.

Napoleon rozkazał wezwać Jana Śniadeckiego, rektora uniwersytetu, męża wielkiej zasługi, nauki i powagi. Chciał powierzyć mu różne sprawy, zasięgać wiadomości od człowieka, którego zadaniu mógł ufać zupełnie.

Zaproszenie podobne było do porwania. Staruszek nie miał czasu zmienić stroju, wiedziono go pośpiesznie wśród ścisku i tłoku przez błotniste ulice Wilna, stawiono przed cesarzem w zabłoconych butach, poplamionej odzieży.

Audjencja trwała krótko. Gdy wyszedł z pokoju, gdzie rozmawiał z Napoleonem, zmęczony, zabłocony, zwrócił się z niecierpliwością do tych, którzy go tu sprowadzili:

— Czy wy, panowie wojskowi, zawsze się tak spieszycie?

— Tem zwycięzamy.

— Hm! pośpiech bywa dobry, lecz można raz wywrócić i kark skrócić.

Uśmiechnęli się wojownicy na to gderanie starca, który, nigdy nie był na wojnie.

Pod Smoleńskiem w połowie sierpnia pierwszy napotkali opór. Lecz ten zwyciężyli łatwo; gorsze od bitwy to głód i zmęczenie, brak żywności dla koni i butów dla wojska. Straszna droga, bez końca! Wojsko rosyjskie cofa się w głąb kraju, paląc i niszcząc wszystko. Płoną wsie i miasteczka, ludność ucieka w bory. Czemże na takiej drodze wyżywić olbrzymią armję? jak utrzymać w karności głodnych i niechętnych.

Książę Józef proponuje Napoleonowi, aby go z częścią wojska wysłał na południe tam znajdzie żywność, przygotuje pomoc.. Lecz Napoleon odrzuca ten projekt.

Nakoniec wielka bitwa! Trzy dni oba wojska walczą bez wytchnienia, z równem męstwem i wytrwałością. Trzeciego dnia Rosjanie ustąpili — droga do Moskwy otwarta.

Więc zwycięstwo — wojna skończona! Teraz cesarz Aleksander I poprosi o pokój. Napoleon zgodzi się chętnie i będzie panem Europy.

Dziwnie jednakże pusta ta stolica: armja ją opuściła, zaможniejsi mieszkańcy wyjechali, niema żadnej władzy ani urzędników — zostali cudzoziemcy i biedacy.

Jakkolwiekbydź będzie tu można przezimować, bo już blisko połowy września: wojsko odpocznie, odzieje się, odżywi, wzmocni, a na wiosnę...

Lecz w Moskwie niema chleba ani zapasów żywności, niema skóry na buty, sukna ani futer. — Nagle wybucha pożar — płonie miasto całe, sześć dni szaleje płomień, jak rzeka ognista zalewając całe dzielnice.

Teraz dopiero pojął Napoleon, że to grób, że zapada się nad nim mogiła!

Ratować trzeba wojsko, ratować z przepaści! Odwrót! — Lecz gdzie! dokąd! wśród zimy?

Pójdziemy na południe.

Jeżeli pozwolą. Armja rosyjska silna, wypoczęta, leży dokoła Moskwy, oczekuje, strzeże. Daremne próby przebicia się przez nią — odwrót wolny jedynie po zniszczonej drodze Smoleńskiej.

Na niej znowu znalazły się nieszczęsne wojska pod koniec października.

Cecylja Niewiadomska.

145. Stanisław Staszyc.

Z oficyny dawnego pałacu Zamoyskich na Nowym-Swiecie w Warszawie wyszedł ubogi odziany staruszek i otulając się wytartym płaszczem, gdy wiatr jesienny silniej przeciągnął ulicą, z wyrazem zamyślenia na poważnej twarzy skierował się ku Wiśle przez Obożną. Widocznie szukał samotności, by w ciszy ducha coś rozważyć.

Szedł w zadumie, może nie widząc gdzie idzie, machinalnie zgarniając czasem poły płaszcza, lub nasuwając głęboko na czoło stary wypłowiały od słońca kapelusz.

Nareszcie zamiast murów, ujrzał przed sobą Wisłę i daleki horyzont. Odetchnął głęboko i zapatrzony w przestrzeń, zatopiony w myślach, szedł wciąż dalej przed siebie.

Wtem zastąpił mu drogę żołnierz, stojący na warcie przed jakimś rządowym budynkiem.

— Tu niewolno — rzekł szorstko. — Wróć się.

Staruszek spojrzał na niego zdziwiony.

— Wróć się, powiadam, bo się dostaniesz do kozy — upominał go żołnierz. — Nie wiesz, że tu niewolno?

A gdy staruszek milczał, wartownik już wyciągnął rękę, by go mniej delikatnie usunąć na stronę.

Lecz staruszek cofnął się ruchem spokojnym.

— Jako żołnierz nie masz prawa nie znać urzędników — rzekł surowo — powinieneś wiedzieć, do kogo przemawiasz.

Wtedy dopiero żołnierz spojrzał na niego uważniej i przeżony drżącymi rękami usiłował broń prezentować. Poznał bowiem teraz jednego z najwyższych urzędników w kraju, radcę stanu, męża pełnego zasług i cenionego powszechnie: Stanisława Staszycą.

Tak ubierał się człowiek, który wydał miliony dla ojczyzny, uszczęśliwił tysiące ludzi, a sam mieszkał w dwóch pokoikach oficyny, za całą służbę miał starą kucharkę, lokaja i stangreta, za paradę urzędową i do pomocy starym nogom nędzną kołasę i liche szkapiny, jadał prawie raz na dzień skromny obiad, złożony z rosółu i kawałka mięsa, a gdy znużony pracą chciał pozwolić sobie na największą przyjemność — teatr, który niezmiernie lubił, owijał się wytartym płaszczem, nasuwał na oczy wypłowiały kapelusz i siedł na najwyższe miejsca czyli t. zw. jaskółkę, gdzie niepoznany przez otaczających, zachwycił się sztuką i dobrą grą aktorów za najtańsze pieniądze.

Oprócz Skargi nie mamy w historii człowieka, któryby tak mało potrzebował dla siebie, a nie mamy nikogo, kto by tyle zrobił dla innych.

Syn zamożnego mieszczanina z Piły otrzymał za granicą wyższe wykształcenie, a z natury obdarzony wyjątkowymi zdolnościami, mógłby jako urzędnik służyć ojczyźnie z pożytkiem, ale mieszczanin wówczas nie miał do urzędów prawa.

Czuł tę niesprawiedliwość i bolał nad nią bardzo, ale więcej nad krajem, niż nad sobą, gdyż rozumiał, że więcej krzywdy wyrządza to krajowi niż jednostkom. A oprócz tego nie on był najnieszczęśliwszym — nędza i krzywda ludu, te go bolały najbardziej. Wypowiedział to wkrótce w pierwszej pracy swojej: Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego.

W pierwszej części tego dzieła daje obraz zasług hetmana i kanclerza, tłumaczy jego rozumne myśli i przypomina, do jakich już wtedy zmian koniecznych w rządzie Rzeczypospolitej dążył ten wielki obywatel. W drugiej części przedstawia

obecny stan kraju: wszystkie bezprawia, krzywdy, niesprawiedliwości, i maluje, jaki ten rząd być powinien: sprawiedliwość dla wszystkich, prawa dla mieszczan i chłopów, sejm, którego zerwać nie można, tron dziedziczny.

A pisał tak gorąco i rozumnie, że wzruszył i zajął wszystkich, wszyscy czytali i zastanawiali się nad jego słowami, można też powiedzieć śmiało, że to jest pierwszy zarys konstytucji trzeciego maja, a więc, że Staszyc pierwszy jest konstytucji tej twórcą.

Posłuchajmy np., jak przedstawia nędzę ludu.

„Widzę miliony stworzeń, które chodzą wpół nago, lub ostrą siermięgą nakryte, wyschłe, znędniałe i brudne, posępne i głupie, — a to jeszcze największą ich szczęśliwością, bo całej swojej nędzy nie pojmują. Ich żywnością chleb czarny, albo zielsko, napojem woda i wódka, pałaca wewnętrznosci. Ich pomieszczeniem w ziemię zapadłe szałas, gdzie słońce niema dostępu, a dym wygryza oczy i dusząc skraca życie niemowlętom. W tej smrodliwej ciemnicy pracą strudzony gospodarz na zgnitym spoczywa barłogu, a obok naga dziatwa na tem samem legowisku, na którem krowa z cielęciem i świnia z prosiętami leży.

Kiedy na to patrzę, a pomyślę, żem Polakiem, wstyd mię dalej mówić; kiedy sobie przypomnę, żem człowiekiem, porzywa mię rozpacz i zgroza! Nie lękajcież się, iż spełni się na koniec miara nieprawości waszych? Jeżeli Bóg jest sprawiedliwy, nie może być w oczach Jego zbrodni większej nad zbrodnię waszą! Macie wy miłość ojczyzny? Nie obywatelami, ale nieprzyjaciołmi Polski jesteście! Więcej szkodzicie krajowi, niż szkodzili Szwedzi, Niemcy, Turcy i Tatarzy: ich okrucieństwo przemijało prędko, a wasze trwa ciągle i kładzie przeszkodę, aby Polska ze sławą powstać mogła.

Upamiętajcie się! Widzę straszne nieszczęście nad głowami waszemi!... Kochając Polskę i będąc Polakiem, jak kraj ten ratować, myśle ustawicznie!...“

Tak czuł i myślał ten szlachetny człowiek, tak śmiało wskazywał winy, a gorąco jak Skarga wzywał do poprawy, jak Skarga przepowiadając straszną karę.

A tak jak mówił, czynił. Zakupił wielkie dobra koło Hrubieszowa nad Bugiem i zajął się losem włościan, chcąc uczynić ich szczęśliwymi. Najpierw dał im dobrobyt i oświatę a po takim przygotowaniu obdarzył ich dopiero ziemią i wolnością. Cały majątek ziemski podzielił między drobnych właścicieli-chłopów, utworzył z nich jakby jeden związek bratni, który miał wspólną kasę zapomogi w razie nieszczęścia, szpital, ochrony, szkoły, schronienie dla starców i zupełny samorząd, to znaczy, że sami myśleli nietylko o własnych lecz i wspólnych swoich potrzebach.

Już wtenczas wielu w Polsce rozumiało, że pańszczyzna jest krzywdą i klęską, wielu też uwalniało swoich włościan, rozdawało im ziemię, ale nikt nie postąpił tak mądrze i hojnie jak Staszyc, bo on nie chciał nic dla siebie i tylko dobro bliźnich miał na celu.

Po powrocie z zagranicy Staszyc przez lat kilkanaście był nauczycielem synów Andrzeja Zamoyskiego, jednego z najzacniejszych i najrozumniejszych obywateli kraju. Potem osiadł w Warszawie, ogłosił swą pracę i zajął się innemi badaniami.

Był on zamiłowanym przyrodnikiem, pragnął poznać przyrodę swego kraju i zaczął po nim długą, ciekawą wędrówkę, najgorliwiej badając wszędzie ziemię, aby poznać, jakie skarby w niej ukryte. Przekonał się, że skarbów mamy wiele, ale nikt o nich nie wie i nikt ich nie szuka. Więc znów napisał dzieło o górnictwie, zachęcając szczególnie młodzież, ażeby się kształciła w tym kierunku. A że kształcić się mogła tylko za granicą, więc wysyłał ochotników swoim kosztem. Dzięki jemu otwarto kopalnię w Chęcinach, a szkołę górniczą założono w Kielcach.

Słusznie też nazywają go ojcem górnictwa. A to jeszcze nie wszystko.

Gdy w Warszawie powstało Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wybudował mu piękny pałac na rogu Nowego-Światu, ofiarował swą bibliotekę i zbiory naukowe, przed gmachem własnym kosztem postawił pomnik Kopernika, dla uczczenia pamięci tego wielkiego rodaka, był najgorliwszym z członków Towarzystwa i przez lat kilkanaście sam kierował jego pracami.

Po sejmie czteroletnim i przyłącju konstytucji trzeciego maja upadło wreszcie niedorzeczne prawo, które mu dotąd nie pozwalało objąć żadnego urzędu. Otrzymał miejsce w Komisji oświecenia, potem przemysłu, coraz wyższe zajmując stopnie; ale nie zmieniając życia, bo nie chodziło mu nigdy o godności i dochody, lecz o pożyteczną dla narodu pracę, o moc czynienia dobrze, uszczęśliwiania bliźnich.

Za jedyną drogę do szczęścia uważał zawsze oświatę, dla niej też przedewszystkiem pracował życie całe. Widzieć przed śmiercią kraj swój oświeconym, widzieć szkoły otwarte dla wszystkich rodaków — to było jego główne i najgorętsze pragnienie.

W testamencie cały jeszcze ogromny majątek zapisał na cele publiczne: szpitale, sale zajęć, przytułki i szkoły, dla siebie żądał bardzo skromnego pogrzebu i grobu na Bielanach.

Tam też został pochowany, ale skromny pogrzeb uczyniły wspaniałym tłumy, które pragnęły pożegnać i oddać cześć zasłużoną jednemu z najszlachetniejszych i najzasłużeńszych rodaków.

I nie było chyba nikogo, kto by nie wziął udziału w tej smutnej uroczystości. Szły szkoły, biura, urzędnicy, cechy, uczeni i wojskowi, kupcy i rzemieślnicy, lud i wielcy panowie, duchowieństwo. Pomimo mrozu nikt nie wracał z drogi, tłum czarny płynął jak wezbrana rzeka, czując, jak wielkie serce bić dla niego przestało.

Kamienna płyta pokrywa grób prosty, a na niej krótki napis:

Stanisław Staszyc
ur. 1755 † 1826, 20 stycznia.

Cecylja Niewiadomska.

146. Mazurek Dąbrowskiego.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy;
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski;
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami;
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz i t. d.

Jak Czarniecki do Poznania,
Po szwedzkim zaborze,
Dla Ojczyzny ratowania,
Wrócim się przez morze.
Marsz i t. d.

Mówił ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz i t. d.

147. Boże, coś Polskę.

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Twej opieki
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały.
Przed Twoe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!

Ty, któryś potem tknięty jej upadkiem,
Walczących wspierał za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnażał jej sławę.
Przed Twoe ołtarze i t. d.

Wróc biednej Polsce świetność starożytną!
Użyźniaj pola, spustoszone łąny,
Niech szczęście, wolność na wieki w niej kwitną,
Przestań nas karać, Boże zagniewany!
Przed Twoe ołtarze i t. d.

Niedawno wolność zabrał z polskiej ziemi,
A już krwi naszej popłynęły rzeki,
O jakże musi być okropnie z temi,
Którzy Ojczyznę utracą na wieki!
Przed Twoe ołtarze i t. d.

Boże, którego ramię sprawiedliwe
Żelazne berła władców świata kruszy,
Skrusz naszych wrogów zamiary szkodliwe,
Obudź nadzieję w biednej naszej duszy.

Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże Najświętszy! Od którego woli
Istnienie świata całego zależy,
Wyrw!j lud Polski z tyranów niewoli
Wspieraj szlachetne zamiary młodzieży.

Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże Najświętszy! Przez Chrystusa rany,
Świeć wiekuiście, nad braćmi zmarłymi,
Wejrzyj na lud Twój, niewolą znękany,
Przyjmij ofiary synów polskiej ziemi.

Przed Twe ołtarze i t. d.

Boże Najświętszy! Przez Twe wielkie cudy,
Oddalaj od' nas klęski, mordy boju,
Połącz wolności węzłem Twoje ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju.

Przed Twe ołtarze i t. d.

Gdy naród polski dzisiaj we łzach tonie,
Za naszych braci poległych błagamy,
By ich męczeństwem uwieńczone skronie,
Nam do wolności otworzyły bramy.

Przed Twe ołtarze i t. d.

Jedno Twe słowo ziemskich władców Panie,
Z prochów nas znowu podnieść będzie zdolne;
A gdy zasłużym na Twe ukaranie,
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne.

Przed Twe ołtarze i t. d.

148. Do Boga.

Z gruzów więzienia wołamy do Ciebie:
Wróć nam Ojczyznę, o Boże na niebie,
Bez której równie, jak bez Ciebie Boże!
Nikt żyć nie może.

Ojcowie nasi twierdz żadnych nie znali,
W piaskach na skałach kościoły stawiali,
Tobie się dali — Ty miałeś być mężnym
Obrońcą wszechpotężnym.

Gdy Twój przyjęli zakon uświęcony,
Miecza dobyli dla jego obrony,
Dziesięć go wieków, dopóki nie padli,
W pochwy nie kładli.

Tobie zdobycze, Tobie wszystkie trudy,
Tobie okolne hołdowały ludy,
I gołą piersią od pogańskiej stali
Naród zbawiali.

Ani ich zmożyły pogańskie napady,
Ani zakonnych odstępców Twych zdrady;
Za to od Ciebie mieli sobie daną
Wolność kochaną.

Wiara i wolność to były ich hasła!
Aż wiara — wolność w ich sercach wygasła;
Tyś twarz odwrócił, a oni spętani
Obcym poddani.

Ze snu gnuśnego dzisiaj ocuceni,
O Boże ojców, biegniem do Twej sieni,
Powróć już wolność na Sarmacką ziemię,
Dźwignij jej plemię.

K. Brodziński.

149. Śpiew Mogiły.

Leci liście z drzewa,
Co wyrosło wolne;
Nad mogiłą śpiewa
Jakieś ptaszę polne:
Nie było, nie było
Polsko dobra tobie:
Wszystko się prześniło,
A twa dziatwa w grobie.

Popalone miasta,
Spustoszone sioła;
A w polu niewiasta
Zawodzi dokoła:
Wszyscy poszli z domu,
Wzięli z sobą kosy;
Robić nie ma komu,
Giną w polu kłosa.

Kiedy pod Warszawą,
Dziatwa się zbierała,
Zdało się, że z sławą
Wróci Polska cała;
Bili zimę całą,
Bili się przez lato.
A w jesieni za to
I dziatwy nie stało.

Skończyły się boje,
Ale próżna praca,
Bo w dziedziny swoje
Nikt z braci nie wraca;
Jednych ziemia gniecie,
A drudzy w niewoli, —
A inni po świecie
Bez chaty, bez roli.

Ni pomocy z nieba,
Ani z ludzkiej ręki,
Pusto leży gleba,
Darmo kwiatów wdzięki.
O! biedna kraino!
Gdyby ci rodacy,
Co za Ciebie giną,
Wzięli się do pracy.

I po garstce ziemi
Z ojczyzny zabrali,
Jużby dłońmi swemi
Polskę usypali:
Bo wybić się siłą,
Ani daj nam, Boże!
Gdy wrogów przybyło,
A nikt nie pomoże.

W. Pol.

150. Do moich synów.

Synkowie moi, poszedłem w bój,
Jako wasz dziadek, a ojciec mój,
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legjonami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej ojczyzny.

Synkowie moi, da nam to Bóg,
Że spadną wreszcie kajdany z nóg,
I nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawą się stanie, co dziadek śnił:
Szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
Łan naszej wolnej ojczyzny.

Synkowie moi, lecz gdyby Pan
Nie dał zejść zorzy z krwi naszych ran:
To jeszcze w waszej piersi jest krew
Na nową świętą wolności siew:
I wy pójdziecie pomni spuścizny
Na bój dla naszej drogiej ojczyzny.

Jerzy Żuławski.

151. Hasło.

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy.
My polski naród, polski lud,
Królewski szczep Piastowy.
Nie damy, by nas zniemczył wróg...
Tak nam dopomóż Bóg. —

Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziemy bronić ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Nam twierdzą będzie każdy próg...
Tak nam dopomóż Bóg. —

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił,
Wstanie orężny hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił.
W ten dzień, gdy zagrzmi złoty róg...
Tak nam dopomóż Bóg. —

Marja Konopnicka.

ROZDZIAŁ V.

Opisy i obrazki geograficzne.

152. Gdzie ją znajdę?

Gdzie ją znajdę w cudzym kraju
Takie kwiaty, jak w tym gaju,
Takie brzozy, jak dziewice?
Takie gwiazdy złotolice?
Takie chaty niskie, krzywe,
Takie pieśni żałosliwe?
Takie wierzby rosochate,
Ziemie w krzyże tak bogate?
Gdzie ją znajdę w cudzym kraju,
Takie wody jak w ruczaju?
Takie cudne, dziwne stroje?
Takie bluszcze i powoje?
Takie dzieci białowłose
W koszulinach, zawsze hose?
Takie bajki przy kądzieli?
Takie śpiewy, że anieli
Pewnie lepszych nie umieją,
Gdy się modlą i sny sieją?
Oj nie znajdę nigdzie w świecie
Tylko u nas, — wszak to wiecie!

T. Lenartowicz.

153. Ziemie polskie.

Organiczna jedność ziem polskich nie wyłącza bogatej różnorodności tak ich wewnętrznego ukształtowania, jak i zewnętrznej postaci.

Zanim ludzie ziemie te dzielili, już one dzieliły się same przedziwną różnorodnością swoją. Dzieliły się rozbudową gór

i dolin, głębokim mrokiem puszczy i świetlistością jezior, hukiem mórzy i milczeniem stepów, szerokim wolnym oddechem równin, i zatajonym ziewem przepaścistych bagien.

W przedziwnej różnolitości ukształtowania Polski jest rys jeden naczelny, rys naznaczony najsilniej, rozwinięty najszerzej, wyżłobiony najgłębiej w jej obliczu. Rysem tym jest wielka jej polność.

Ona to nadaje ziemi naszej koloryt, charakter i ton tak wybitny, że nie mają mocy zatrzeć go, ni przeprzeć ani Tatry, dźwigające na zawrotną wyżynę poszarpane wirchy, ani morza, bijące zapienioną pletwą o dwubrzeże nasze, ani pojeziorne rozcieki i zatajone puszcze Litwy, ani bagniste zapadliska kotliny poleskiej, ani ukraińskie stepowe rozłogi.

Jakoż gniazdo nasze nie leżało na wysokiej skale, choć orla mamy narodowym znakiem.

Nisko było ono usłane i całkiem przyziemnie. Wypiały nas równie szerokie, przestrzenne, wolne; wyhodowały role chlebne, dorodne, łęgi głębokie, zapaszyste, bujne.

Jak oko puścić od Wisły po Odrę, ścielą się szczerze pola zielenią i złotem. Spojrzysz za wiatrem, a tu ci się zda, kraj cały gdzieś idzie, gdzieś płynie. Jakowaś mocna fala życia wznosi się i opada nieustającym tchem pracy na tych spokojnych, uciszonych ziemiach. I oto idą, płyną mazowieckie, kujawskie, Wielkopolskie łany morzem traw i zbóż. Idą, płyną w majowych runiach wiosny, w śniadej kurzawie wykłoszonych pól, w barwistej siedmiokrasie łągów, w mocnych woniach sianokosów, w siności dymów wioskowych, w nieprzełożonym smętku ugorów, w złotych ścierniskach jesieni, w oparach świeżych rozorów, w taśmach miedzi i przęsłach opłotków; w rozechwianiu wierzb nadwodnych, w strzelistości przydrożnych topoli.

Idą, płyną gaje, lasy, jakoby wyspy zwartszej, ciemniejszej zieleni, na morzu tem siadłe. Idą, płyną obłoki niebem to modrem, to szarem, a falistemu ruchowi temu wtóruje rytmiczna pleśń szmerów i poszumów polnych, zanoszenie się wichrowe borowych czeluści i mocna gędźba wód mnogich, któremi cała ta dziedzina mieni się, gra, świeci, modrzeje.

Wielkie jej rzeki dawno wykipiały z górskich swych źródlowisk. Dawno przebiegły gęsto zarosłe stoki i podgórze. A teraz oto, dopadłszy polnych, szerokich roztoczy, zaczęły morza dech, zwolniły wartu i, spotężniałe obfitym przytokiem wód żywych, płyną w całej wadze i powadze swojej, niosąc na sobie statki, pełne płodu swych bogatych ziem.

Oto graniczna Odra, pokrewna Wiśle po zielonym Beskidzie-Rodzicu, prze się wyżyną Śląska, przebiega zatajone moczary, brnie przez borowe bagna, chłonać chciwie pomniejsze ciek i wodne, czai się, skręca, prowadzi; omyła, aż się wybije na widne skroś równie, ciężka od wagi przeznaczeń dziejowych.

Bieży pod Racibórz, pod Wrocław, pod Głogów, stare nasze lenna; ściga strugi, przez nieszczęsne lignickie pola płynące.

A oto Warta rodowa, nad którą Polanie pierwszym się uwiązali rojem i zarabiali pierwszy plastr dziejowy Piastowego miodu.

Ciek jej kapryśny, niskiem zabrzeżem sparty, pruje łęgi bogate i głębokie pasze, zapławia żyzne niziny wiosennym rozlewem; napawa ziemie dobre ludem dorodnym osiadłc. A oto wyroczone Gopło, nad którym siedzi koronna Kruszwica; oto zwierciadło Ślesińskie, w którym się przeglądały Światowidy nasze. Wszystko to wody ważne pamiętne, zadumane ogromną przeszłością narodu. Wody pełne w sobie jakiejś złotej baśni, która się tu opowiada w przeciągłych poszumach, z wieku na wiek, z rodu na ród; pełne jakowychś wielkich niedośpiewanych rapsodów, których ostatnie tony na harfie czasów nie rozbrzmiały jeszcze.

Ale na wschód od Gopła, od Warty, tam gdzie niegdyś czerniały mazowieckie puszcze, pierś ziemi dźwiga się i opada głębokim, mocnym i żywiącym ruchem. Tam bije samo serce Polski. Miasta tu gęste, zasobne, przemysłne, jedne pracą licznym rojowisk ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów; inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem; jeszcze inne nawpół sielskie prawie, rozciekające się po okrajach w dwory i dworki, w półka, ogrody, w pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk warowny niegdyś i basztowy; tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

Tu siedzi stare Płocko nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromem brzegowisku sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer, tu bohaterska Wola, tu Praga z przebitą piersią, tu Wisła, i tu — Warszawa.

Wisła i Warszawa, to prawie że nie miano grodu albo rzeki, ale zaklęcia, na śmierć i na życie, ale hasła, obwoływane z wieku na wiek po strażnicach narodowego ducha.

Wsie tu rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dufne w siebie, rodzinowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia.

Lud, to się kwieci, modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to bieje siwemi lnami siermię i płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skibie.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy; tu sierpy, jak mieściące, nisko przy ziemi chodzą; tu łęgi tętnią po rosie stadem spętanych żrebic i podjezdków; tu znojne skrzypienie płuzyc, soch, lemiesz, tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewski szum Wisły.

Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słuca gromkiego jej huku. Gdy ona potężnym niekieleżnanym pędem się zanieśie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona pogodzi się podą, cały kraj tchnie błogosławieństwem ciszy i płodności. Gdy ona idzie a przewodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze! ...

W szumach jej słyhać odwieczne rozmowy starego Beskidu, i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody.

Nad nią siadł Kraków królewski, nad nią koronny Wawel strażę wysoką trzyma. Nad nią szerokie, szpizowe dźwięki Zygmuntowego dzwonu, i szept harfiany czarnoleskiej lipy, od-mawiającej psalterz wicków i pokoleń.

Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San spieszy z pod Czerwiennych grodów; z nią się łączą i jednoczą święte wody Bugu nierozwalną i wieczystą unją.

Za nią idą gonne sosny naszych borów i królewskie dęby, pomostami w tratwy wiązane idą pszenice złote i sine lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyście dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrem przesłem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy; bieży pod Toruń, kędy poczerniałe wieże pełne są jeszcze widzenia rzeczy wiecznych; uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw, roztwiera oboje ramion, i — zanim rzuci się w odmęty Bałtyku, potężnym, szerokim od Gdańska po Królewiec — uściskiem obejmuje te ziemie, na których nam ciekim swoim wyznaczyła wielką, historyczną drogę.

Tam, gdzie bujne wody mnogich rzek do Bałtyku idą, rozsypał się, potoczył po granitowem podłożu ziem tych, cały sznur modrych i srebrzystych pereł, cały system małych i dużych jezior, od Odry po Niemen, od Niemna po Dźwinę, tworząc wielkie pojezierza nasze. Dźwiga się tu przychyłona ku morzu ziemia, zsiada, tężeje w położystą a silną wyżynę, odziewa się runem wrzosowisk, cieniem buków, cisów, modrzewi, i na ogromnej przestrzeni zasnuwa swą szatę przepyszny haftem wodnych arabesek.

Tysiąc strumieni gra tu, świeci, brzęczy, niewiedzieć skąd się bierze, niewiedzieć gdzie ginie. Rzeki się snują, przędą, brną przez jeziora z zatajonych źródlisk, wypływają z nich, chowają się w nie, giną. Całe to pojezierze pomorskie, żmujdzkie, litewskie, to jedna wielka Rzeczpospolita wszelakiej nacji wodnej. Tłum szary, często bezimienny, mnogością swą wyściskający silne piętno na całej dziedzinie.

Niezmierne rozlewiska wodne tu owdzie tylko błyskają w borowych mrokach szybą jasną, widną, drażąc sobie tajemne drogi, podziemne przechody przeguby.

Szerokie płachty wrzosowisk nakrywają piaski pełne okrzosków z prawieka. Dymy chat kurnych, tłuką się pod powalem, nie dając wejrzeć oku do wnętrza, przejętego smolną i żywiczną wonią. Jakaś milcząca, skryta, skupiona, jakaś zacięta praca natury ziem tych idzie spodem życia. Nic się tu nie rzuca w oczy, nie błyszczy, nie świeci.

Spojrzysz na ziemię, aliści czujesz ją mocną, oporną i nie ugłaskaną. Spojrzysz na ludzi, — aliści ujrzysz twardość, nieufność pierwszego wejrzenia!

Życie ma tu tak samo jak puszcza swoje mateczniki, niedostępne zgoła.

Ogromne bory starej Litwy, na górnym trzonie zanie-meńskim siadłe, schodzą ze swego podniesienia w kraj niski, zapadły, który, iż ich potęgi żadną miarą zdzierżyć nie jest mocny, muszą się w pochodzie swoim dzielić i rozdrabniać.

Jeszcze po Berezynę falują litewskie wzgórza. Jeszcze się tu ziemia dźwiga, jak może, podając czoło słońcu. Zaczem zwarty rdzeń jej wolnieje, rozrabia się, topnieje, a moczary bagniste biorą nad nim przewagę.

Tu już, — jak oko puścić, — świat staje się najosobliwszą płataniną rzek i rzeczek, z których każda zadzierzguje gęste oka sieci wód mnogich, jaka nakrywa tę najgłębszą zapadłość ziem naszych, ową to kotlinę poleską, wiecznie tchem oparów dymiącą.

Zwierz, ptak, przyodziewa ziemi, kolor obłoków, chody chmur, pędy wichrów samopas lecących, a także człowiek i obyczaj jego.

Świat tu zamknięty w sobie własną swą naturą, nielatwo dopuszczający do tajników swoich. Świat oparzelisk, mateczników, odeszłych kęp, zapustów leśnych, oblanych rzeczniemi łąkami ostrowów, a nadewszystko świat bagnistych zapaści, wśród których siedzą silnie zwarte łozy, wilczych łęgów pełne. Łozy te, te warownie wilcze, do których dostępu ludzkiej nodze czasu lata niema, pokazują ciekawe widowisko na twardej jesieni.

Nie zna Polesia ten, kto go nie widział czasu wiosennych rozlewów wód jego.

Kiedy z głębokich zapaści swoich wystąpi wezbrana Prypeć; kiedy Pina, Słucz, Styr, Horyń, Stochód szeroko wykipią z swych łożysk i przeleją się nagle przez wręb; kiedy ta cała płatanina wód bieży, goni się, prześciga, szumi, huczy, dopada, łączy i rozłącza; kiedy wystąpią nawet z kruzów swoich jeziora tej kotliny, — wtedy nie wiesz, gdzie rzeka, gdzie bagno, gdzie susza, a cały kraj widzi się jednym wielkiem morzem, na którym sadyby ludzkie wyglądają niby drobne wyspy.

Wtedy i Poleszuka poznasz w przyrodzonym mu żywiole, gdy, ocieężały, niezdarny na suszy, nagle wiatru nozdrzami chwyciwszy, z byle pniaka czółno sobie zrządził, i zwinnie, szybko, obrotnie kieruje niem po niezmiernych bezdrożach wodnych, od smolarni do smolarni, od boru do boru, ocknięty jakby na duszy i ciele, i cały ochoczko podany na wolę rozbudzonego instynktu tych prastarych nawodnych plemion, z których idzie rodem.

Tam, na północ, rozciąga się Ruś Biała w zielonej krasie swych głębokich borów, w których pomruk niedźwiedzia łączy się z górnym, po wierzchołkach odwiecznych stolbów idącym poszumem. Tam ci ona rozbłyśnie w modrej światłości pięknych swoich jezior, które, aż Inflant sięgając, są jako niedonizane, pogubione perły wielkich pojezierzy.

Ale skoro się od tych dzierzaw ku południowi odwrócisz, zasinią ci się, zatumanią na wschód i na zachód Dnieprowy Ukrainne ziemie, a świat zatoczy ci się stepem po najdalsze, niedojrzane krańce.

I wydźwignie się step na twarde podłoże z grząskich zapaści, a ziemie, podane ku południo-wschodowi, pocznie umiatać potężnie wiatr suszący i szerokoskrzydły, buszując w ogromnych trawach samorodnej postaci, w trawach przebujnych, na nietykanej sochą ani pługiem surowicy samopas rosnących.

I roztoczą się, rozprzestrzenia potężne, nieobjęte okiem dale, i ogarnie cię świat nowy zgoła, i nowy wiatер duszę ci obwieje.

Tu poszumy niekiełznane chodzą stepem, niby wielkiem morzem; tu trawa idzie za wichrem jak fala, a poświst gra

w bodziakach pieśń dziką, a orzeł kracze nad głową, a czerwona pełnia miesięczna wstaje gdzieś nad kurhanami i nagle step krwawo rozświećla. Wstają wtedy z pod kurhanów upiory starej chwały, a przesławne Atamany dmą w złoty róg na mołojce po mogiłach uśpione.

Na całej dziedzinie ziem naszych, niema tak cudnie ośpiewanej przeszłości i ludowej doli, jak jest ośpiewana na tej Ukrainie.

Step, Dniepr i Pieśń oto jest jej dusza, jej wyraz, jej życie.

A tam, gdzie rzeki rozpruły, rozszarpały ziemię, aż do ich skalnego podłoża, siedzą w głębokich jarach zatajone futory. Nakryte szumem jaworów, oświetlone czerwienią kalin, rozzielenione sadem, wyzłoczone słonecznym kasztanem siedzą futory ciche, zadumane, gdzie u przełazka dotąd śpiewa dziewczyna o mołodeckiej sławie Ukrainy. Pieśń ta sama, co niegdyś, i nuta, i echa też same, ale już to nie to, już nie to!

Tymczasem Dniepr wzmacza się, natęża, przyśpiesza wartu, zanosi się coraz sroższym, coraz potężniejszym gniewem, aż zagrzmi, zahuczy w skaliste porohy, i buchnie przez nie na łeb na szyję, nawałnością wód rozbitych, rozkipiałych w piany.

Cała połąć ziem naszych między Dnieprem i Dniestrem, od Krzemieńczuga do Chocimia zamknięta, a przypierająca do Besarabskich stepów, cała ta podolna kraina jest żywą panoramą osobliwszej krasy.

Dzwonią tu ruczaje, pachną chlebne ziemie, lipina wiankiem po majdanach stoi, szumiąc pszczelnym rojem, gną się pod ciężarem płodu jabłonie i grusze, w zasobnej chacie, na wysoko usypanej przyźbie, dziewczyna-kalina weselne ręczniki wzorzyście wyszywa, a gospodyni słomą w piecu pali na kółacz, na biały, na pszenny.

Ale na zachód słońca płaskowyż ten zwolna się łamie, fałduje, wznosi, zapada, utracą spokój ziem połogich razem z ich niesłychaną płodnością i wkracza w dziedziny borowe.

Idą bory.

Nie rozbiegają się, nie ścielą wdzięcznych przygajów, ale idą harde, zwarte, górne, rosnącą moc swoją czujące.

.Tu siadły grody Czerwienne; tu Ruś Czerwona ociera się o chlebne Pokucie i o Huculszczyznę; tu rwący Prut grzmi po kamiennem podłożu; tu Seret, tu Czeremosz się srebrzy.

Tu dźwignie się świat nowy, rozsili, rozpiętrzy, rozniesie, rozbuduje w sobie; zaskali powierzch łuską krzemieniny i sztorcem przeciw lemieszowi stanie. Z dolin wstąpi na górcę, na regle, na hale, przyodzieje się w smreki i w kosodrzewinę, aż buchnie w omglone, dzikie, poszarpane wirchy i zamodrzeje na otoku nieba zębata koroną turnic.

A tak wyjawia się Tatry.

Jakieś olbrzymie wrota i wrzeciądze, jakieś komory, jakieś okna, jakieś jaskinie z przedpotopu jeszcze; jakoweś wieże, kościoły, zamczyska, jakoweś Mnichy skamieniałe z dziwu. Przyciąga to, oczynia urokliwie, mocno, upaja sobą do zapamiętania. Zasię odpycha, grozi i w śmierć strąca, wyjąc po przepaściach stuwichrowym chórem.

Ten ci jest świat wyniosły gór naszych, i ta ci jest granitowa zawora ziem polskich.

Tu jest ich moc i jądro. Tu wybuch ich potęgi i dzikiego piękna. Tu utwierdzenie, na którym sparło się było w zamierzchłych przedczasach ono stare morze, z którego się wyluskała cała ta kraina. To morze, które dotąd błyska w Tatrach jasnem swoim Okiem.

Tutaj to ziemie nasze, polne, otworzyste, przykłonne a łaskawe wszelakiemu życiu, biorą na lico rys ostry, surowy. Tu zamarszczają granitowe czoło. Tu zrzucają siermięgę oracza, a wdziewiają królewskie szaty i ornaty. Piast—Kmieć wypuszcza tutaj z ręki grzędziel pług, a jąwszy się berła i korony, na majestat siada.

Świat to tajemniczy i groźny, wspaniała granitowa karta, dopełniająca przedziwnie polny krajobraz ziem polskich.

Marja Konopnicka.

154. Wezwanie.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyna, kędy gina,
W jakim kraju i dunaju? .

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co w nich leży?
O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy.

... Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzód,
Nim twe serce krwią dziedziczną,
Kochać mogło ziemię śliczną.

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Milać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię...

W. Pol.

155. Do Wisły.

Nasza się Wisła ukochana toczy
Przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy;
Z źródeł Karpackich coraz szersza bieży,
Unosząc obraz rozkosznych wybrzeży.
A nad nią owdzie wioska się uśmiecha,
Chatka się bieli, pochyla się strzecha,
I ryczy bydło, pomrukują trzody,
Gdy je dziewczęta prowadzą do wody.
A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słyhać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały,
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze,
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stoją swe czoło w zieloności szate.
Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławia w jej nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce.
A nadwiślańska topola wspaniała;
Nad nurtem wielkie konary rozwiła.
Ty płyniesz Wisło! a jak kapłan stary,
Zamek Krakowski chrzci cię swym obrazem;
Kapłan to siwy, ale młodej wiary,
Pełen zniszczenia i wielkości razem!

On cię, nim w morskie popłyniesz przepaści,
 Świętym kryzmatem pamiętek namaści.
 Ty pod Warszawą rozprzestrzeniasz łona,
 Płyniesz spokojnie płyniesz niespłoszona,
 I coraz szersza, coraz więcej pańska,
 Spieszysz do niegdyś lennego ci Gdańska,
 A pod Krakowem, na długim galarze
 Gwarzą i kurzą fajczyńska węglarze.
 Po boku węgiel w ośmiu kupkach leży,
 We środku budka, u rudla flis czuwa.
 Włos mu się gruby z pod czapki kędzierzy,
 On ją z fantazją na bakier nasuwa,
 Zwiја koszuli rękawy bufiaste,
 I szarawary poprawia pasiaste;
 Ma kaftan długi z czerwonym podbiciem,
 A twarz z wąsikiem, rumieńcem i życiem.
 W Wiśle się kocha, z Wisłą się nie zwarzy,
 Na niej jak w własnej chacie gospodarzy,
 I wiezie śmiało dzielny flis krakowski
 Węgiel brzęczkowski, albo laryszowski.
 Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze
 Nasze ziarniste, pożłociste zboże.
 I cynk srebrzysty, i sól i gips biały,
 Wapno i jaja i świeże nabiały.
 Niesiesz, gdy zechcesz, a gdy nie masz woli,
 Próżno berlinka żaglami swawoli.

Ptaszki świergocą w nadbrzeżnej wiklinie,
 U góry bocian wyciągnięty płynie,
 A lekki wietrzyk marszczy twoje wody.
 A gdy cię, Wisło, ścisną zimne lody,
 Tyś jak zwierciadło, jak srebrna tablica,
 Na której słońce maluje swe lica,
 Aż lód przepali; wtedy z strasznym grzmotem
 Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
 Pienisz się, płyniesz szeroko wspaniale,
 I pierś twą wzdymasz za wiosny powrotem.
 A kiedy w górach potopnieją śniegi,
 Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
 Zalewasz pola i unosisz z sobą
 Wieśniacze chaty z całą ich chłudobą;
 Powalasz domy i na twojej fali
 Nieraz niemowlę w kołysce się żali;
 A potem znowu wracasz w twe ukrycie,
 I cicho płyniesz w odwiecznym korycie.
 W starem korycie, o rodzinna rzeko!
 Niechaj spokojnie twoje nurty cieką;
 Niech na twych błoniach, tak pełnych tęsknoty
 Łóg litościwy da urodzaj złoty!

Wtedy twe fale pokrajają na pręgi
Niosące zboże ładowne komiegi,
A flis krakowski, twój przyjaciel stary,
Kupi ci suknię za gdańskie talary.

A. Czajkowski.

156. Straż nad Wisłą.

(W skróceniu).

O Wisło wód twych bieg
Trójsieczny gnębił miecz,
Wróg zaległ wszystek brzeg,
By fale cofnąć wstecz.

Zieloną brzegów skroń
Morderczy kalał ptak,
By zatruc czystą woń,
Rozpuścił sępy w szlak.

Z ranną wiślaną mgłą
Wzłata nad brzegiem jej
Cień drogiej matki tej,
Do której serca tchną.

I błogosławi lud:
Ludu, co czucia masz!
Zbierz u ojczystych wód,
Nad Wisłą postaw straż.

Za nami laury mkną:
Splotła je dziejów dłoń,
Synu! skrop laury iza,
I brzegów Wisły broń!

Na głos ten stawia lud
— Boże! Ty lud ten znasz.
Ojczystych bronić wód,
Nad Wisłą pełnić straż.

Ojczyzny polskiej łódź
Prowadź nam Boże nasz,
Ku niej nam serce zwróć,
A wzmocnim Wisły straż.

Już strachem zadrzał wróg,
Silniej lud gnębił nasz;
Przetrwała Wisły straż,
Bo nad nią czuwał Bóg.

S. N. Szczutowski.

157. Warszawa.

Warszawa, stolica Polski w ostatnich czasach, jest znacznie późniejszą od Krakowa, gdyż jeszcze w roku 1224 była nieznaczną wioską. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa Warszawa założoną została przez czeską rodzinę Werszowców, i od nich nazwano ją Werszawą, a później Warszawą. Wspólna nazwa wsi i osad przy Pradze w Czechach i przy Warszawie nad Wisłą wskazuje na czeski naszej stolicy początek. Przedmieście Warszawy zowie się Pragą, a Praga jest stolicą Czech, w której sąsiedztwie istnieją Werszewice, Wawrzec, przypominające naszą Warszawę, a Solec, Ujazdów, Sielce, Rakowiec znajdują się w Czechach nad Woltawą i przy Warszawie nad Wisłą.

Od roku 1341 stała się Warszawa stolicą księstwa mazowieckiego; a dopiero w roku 1526 po wygaśnięciu książąt mazowieckich z rodu Piasta połączył się ich kraj z Królestwem polskiem. Wkrótce potem zaczęły się tu odbywać sejmy polskie, gdyż Kraków, leżąc na końcu państwa był wielce niewygodnym dla posłów i senatorów z Litwy, Prus i Rusi; a 1595 r., gdy zgorzał zamek krakowski Zygmunt III przeniósł stanowczo stolicę do Warszawy. Kraków zachował tylko przywilej, że tu koronowano i chowano królów polskich.

Przeniesienie stolicy państwa do Warszawy, przyczyniło się do szybkiego wzrostu miasta. Obecność wspaniałego dworu naszych królów, posłów zagranicznych, napływ magnatów, dostojników świeckich i duchownych, otoczonych liczną drużyną — wszystko to oddziaływało korzystnie na rozwój stolicy; podniósł i ożywił się przemysł i handel — zakwitło w całej pełni życie narodowe.

Za panowania Jana Kazimierza dotknęły wielkie klęski gród nadwiślański, gdyż łupili go Szwedzi i Brandenbury. Dopiero za czasów Stanisława Augusta zaczął się zwrot ku lepszemu: Warszawa stała się duchową stolicą ziem polskich i ogniskiem oświaty w całym znaczeniu tego wyrazu, ozdobiła się wspaniałymi pałacami, kamienicami i różnemi gmachami, w czym sam król dawał dobry przykład. Odnowił on wspaniałe zamek królewski, wybudował prześliczne Łazienki i wznosił pomnik Sobieskiemu.

Po upadku Polski 1795 r. przeszła Warszawa pod panowanie pruskie. Klęski wojenne uszczupliły prawie o połowę liczbę mieszkańców, gdyż 1791 liczono ich 120 000, a 1799 r. tylko 64 000. Po roku 1807, a mianowicie od r. 1815 stała się Warszawa znowu stolicą głównej części ziem polskich, a obecnie liczy pomimo tylu klęsk narodowych około miliona mieszkańców. Pod względem przemysłowym zajmuje Warszawa drugie miejsce pomiędzy miastami polskimi; zaś co do ruchu handlowego sławny Lesseps przepowiedział naszej stolicy najświetniejszą przyszłość, że, zagarnawszy w swoje ręce cały handel i wszelaki stosunek Europy z jej wschodem, stanie się jedną z pierwszych stolic świata“. Chlubą War-

szawy są: wielki ogród saski, położony w środku miasta, Łazienki, wspaniałe aleje: Ujazdowska, Jerozolimska; ulice: Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, Marszałkowska i t. d.

158. O Warszawie.

Wielkie miasto — głośna sława!
A to nasza jest Warszawa!
Druga w ojczyźnie stolica,
Co całej Polsce przyświeca:
I z miast wszystkich najludniejsze —
Pałacami panów strojne,
I z miast wszystkich najszumniejsze —
Tysiącami myśli rojne!
Jak zepsute Polski dziecię,
Lubi piękne cacka psować,
Umie grzeszyć i miłować —
Więc też głośno o niej w świecie;
Stąd Warszawa dwa ma lica:
Czarodziejka, rozkosznica!
Wdzięczna, zdradna, strojna, wonna —
To jak święta męczennica
Krwawa, łzawa i zakonna;
Więc gdy cenne stanie w cenie,
To w narodzie i kościele
Jako świętej Magdalenie
Przebaczone będzie wiele
Bo wiele kochała.

W. Pol.

159. Kraków.

Pięknie jest położony Kraków! Okolice jego należą nie tylko do najbardziej malowniczych w dawnej Polsce, ale nawet w Europie. Na północ i wschód ciągną się nieprzejrane równiny, od południa wije się pod Wawel i Skałkę szeroką wstęgą Wisła, a za nią podnoszą się coraz wyżej Krzemionki, góry nagie, wapienne; w głębokiej zaś oddali ciągną się sine grzbiety Karpat, a wśród nich rozsiadła się stożkowata Babia góra. Ku zachodowi, podnosi się góra św. Bronisławy, a dalej Sikownik, piaskowe Panieńskie skały i Bielany — pokryte lasami, jakby umyślnie dla upiększenia widoku, oddzielone od miasta przestronną równiną — Błoniami. Już o dwie mile, od strony południowej, z gór Mogiłańskich, przedstawia się po-

dróżnemu wspaniałe to miasto, ale najpiękniej wydaje się od zachodu, z Błoń lub Łobzowa, gdy jest oblane promieniami słońca. Wtedy Kraków ze swemi czterdziestoma kościołami, licznemi w niebo strzelającymi wieżycami, zamkiem na wyniosłości, okolony wieńcem plantacyj, przedmieściami, fortyfikacjami, oblany z jednej strony Wisłą, przerżnięty Rudawą — śliczny sprawia widok i wydaje się miastem daleko większem, niż jest w rzeczywistości. Bielski, pisarz polski z XVII wieku, opisując Kraków, te słowa mówi: „Patrzącemu z góry, z daleka — miasto wydaje się podobne do orła, którego głowę przedstawia Zamek, Grodzka ulica szyję, a przedmieścia zasię około niego są, jak skrzydła jakie“. To trafne porównanie odnieść można i dzisiaj do właściwego Krakowa, znajdującego się w obrębie plantacyj, to jest prześlicznych alei, otaczających miasto. Plantacje te założono w miejscu, gdzie były dawne, z wielu basztami, mury forteczne; zabytkiem owych baszt jest starodawna brama Florjańska, prawdziwa ozdoba miasta. Środkowym punktem Krakowa jest rynek, na którym znajduje się starożytny gmach Sukiennice, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, a w naszych już czasach na nowo przebudowany. Na dole tej wspaniałej budowli znajdują się sklepy, a na górze — sale z galerjami obrazów, pomiędzy którymi najpierwsze zajmują miejsce arcydzieła naszego najznakomitszego malarza, Jana Matejki, zmarłego w r. 1893. Po zachodniej stronie Sukiennic stoi wieża dawnego ratusza, służąca obecnie za strażnicę wojskową, a po zachodniej — kościół świętego Wojciecha, który już w r. 999 miał istnieć. Największą ozdobą rynku jest kościół Marjacki, zbudowany z cegły, z dwiema wieżami, z których jedna niska, a druga wysoko wystrzeliła w górę.

Szczyt jej zdobi wieniec wysmukłych wieżyczek, a nad niemi błyszczy olbrzymia, z połączanej miedzi, korona, mająca szesnaście łokci w obwodzie.

Oddawna jest ten zwyczaj w Krakowie, że rano, gdy pierwszy promień słońca padnie na szczyt Marjackiej wieży i korona, co ją wieńczy, złotem zabłyśnie, z wieży rozlega się pieśń poranna na cześć matki Bożej, zwana hejnałem. A hejnał ten to hasło dnia dla miasta całego. Na odgłos tej pieśni

budzą się mieszkańcy Krakowa do życia, do pracy, do nowych cierpień i radości. Wewnątrz budowa świątyni godnie odpowiada zewnętrznej postaci. Bardzo wspaniała jest wielki ołtarz, zabytek XV wieku, cały roboty snycerskiej, zamykany w kształcie wielkiej szafy. Zewnątrz, na drzwiach, przedstawione są różne chwile z życia Zbawiciela, a wewnątrz zasnienie Panny Marji wśród Apostołów. Jest to dzieło Wita Stwosza, krakowianina, sławnego rzeźbiarza, który żył za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Z rynku rozchodzi się — połączonych przecznicami — jedenaście ulic. Na jednej z nich, zwanej ulicą św. Anny, znajduje się uniwersytet. Najwyższa ta szkoła została założona pierwotnie pod Krakowem przez Kazimierza Wielkiego w r. 1365, lecz gdy za króla Ludwika bardzo podupadła, córka jego, królowa Jadwiga, dbająca bardzo o oświatę narodu, przeznaczyła na jej podźwignięcie znaczny fundusz. Po śmierci Jadwigi, spełniając wolę swej ukochanej małżonki, Władysław Jagiełło przeniósł uniwersytet do Krakowa i pomieścił go w umyślnie na ten cel przeznaczonym gmachu, i dlatego dotąd nosi on nazwę uniwersytetu albo wszechnicy Jagiellońskiej. W XV wieku była ona najlepszą z pomiędzy wszystkich tego rodzaju szkół w Europie. Dużo kształciło się w tej szkole sławnych polskich mężów, między innymi: sławny astronom, Mikołaj Kopernik, poeta Jan Kochanowski i waleczny król Jan Sobieski. Niedawno obok starego uniwersyteckiego gmachu zbudowano bardzo piękny nowy, który służy do wykładów; w starym mieści się biblioteka, obejmująca 150 000 dzieł.

Ulica Grodzka prowadzi do zamku. Stopy jego modra Wisła myje, a czoło wznosi się dumnie ku niebu! Stoi stary zamek, stoi od wieków, z wysokiej góry panuje nad miastem i marzy o przeszłości. A przeszłość ta daleka, bo zamek na Wawelu jest tak dawny, jak Kraków, a może dawniejszy.

W zamierzchłych czasach był on drewniany; dopiero Kazimierz Wielki zbudował go z ciosanego kamienia, ów król mądry i gospodarny, co Polskę zastał drewnianą a zostawił murowaną.

Do największej świetności doszedł zamek za panowania Zygmunta: zadziwił on wtedy cudzoziemców przepychem swych sal. Z upadkiem Polski i zamek krakowski podupadł. W roku 1846 zamieniono go na koszary; przed rokiem opuściło go wojsko, i zabrano się do jego odnowienia.

Wawel — to jakby małe miasto. Jest tam dużo różnych budowli, trzy dawne baszty, a oprócz zamku, główną jego ozdobą jest katedra, wspaniała świątynia, przebudowywana kilka razy, obejmująca 22 piękne kaplice, mnóstwo grobowców i pomników historycznych. Na wyróżnienie zasługują: grobowiec Władysława Łokietka i pomnik Kazimierza Wielkiego, gdzie spoczywają prochy tego monarchy, uczczone powtórny pogrzebem w 1869 roku, oraz sarkofag królowej Jadwigi, wykuty z kararyjskiego ¹⁾ marmuru. W górnym kościele znajduje się trumna srebrna z ciałem świętego Stanisława Szczepanowskiego, a w dolnym prochy królów polskich i Tadeusza Kościuszki.

W r. 1890 przywieziono z Paryża do Krakowa szczątki pośmiertne Adama Mickiewicza i złożono je w grobach królewskich, w osobnej krypcie.

Skarbiec w katedrze posiada bardzo wiele cennych pamiątek jak: berło Bolesława Chrobrego, buńczuk turecki, zdobyty przez Polaków pod Wiedniem, i wiele, wiele innych. Strzemię wielkiego wezyra tureckiego, zdobyte także pod Wiedniem, wisi u stóp ukrzyżowanego Chrystusa w ołtarzu, przed którym najbardziej lubiła się modlić królowa Jadwiga. Na wieży kościelnej wisi dzwon, Zygmuntem zwany, gdyż go król Zygmunt I odlać kazał z armat, zdobytych na Wołochach.

I inne kościoły krakowskie zasługują na uwagę: trudno jednak je wszystkie wymienić. Wspominamy tylko jeszcze o kościele na Skałce, gdzie król Bolesław Śmiały zabił św. Stanisława Szczepanowskiego roku 1079. W podziemiach tego kościoła spoczywają zwłoki zasłużonych mężów, mianowicie: historyka Długosza, wspomnianego już Wincentego Pola, poety Lenartowicza, powieściopisarza Kraszewskiego, Adama Asnyka i innych.

J. Chrząszczewska i J. Warnkówna.

¹⁾ Karara — miasto we Włoszech z kopalniami białego marmuru.

160. Na Wawel.

Krakowiak.

Na Wawel, na Wawel,
Krakowiaku zwawy,
Podumaj, potęsknij,
Nad pomnikiem sławy.

Dzieje twojej ziemi
Na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby
Uściskiem powitaj.

Popatrz się po górach,
Po dolach, równinach,
Niech dziewic miłością
Krew ci zawrze w żyłach.

Tu twych ojców kości,
Bieleją z pod sochy,
Tam w powietrzu drgają
Braci twoich prochy.

Przyłóż usta do nich,
Ślodyczy wysysaj,
Na ich łonie głowę
Do snu ukołysaj.

Do snu ukołysaj,
Niech się przyśnią tobie,
Tysiące, tysiące,
Co już legły w grobie.

E. Wasilewski.

161. Gdy chcesz wiedzieć!

Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
Nasza przeszłość w swoim łonie,
Jako stara sława płonie, —
To jedź bracie do Krakowa.

Jeśli poznać chcesz zabawy,
Serce niewiast, świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy:
To jedź bracie do Warszawy.

Jeśli myśl ci przyjdzie mylna
Zwątpić w przyszłość i w swobodę,
Wówczas bracie jedź do Wilna,
Poznać z hartem dusze młode.

Gdy widoku szukasz złota,
Patrz, gdzie nędza, obok błota;
Gdzie człek żyje wśród spodlenia,
Znajdziesz ducha poświęcenia.

Jeśli zwątpisz w siebie, w ludzi,
Patrz na cichą pracę w roli,
A znów duszę twą obudzi
Serce pełne dobrej woli,
Co każdemu nihy bratem,
Co nas jedna z Bogiem, z światem.

Gdzie upadku, nędzy wiele,
Gdzieś tam blisko znajdziesz złoto;
Gdzie się godność człeka ściele,
Tam się spotkasz ze sromotą.

Gdzie źle tylko wiele czyni,
Tam winnego każdy szuka,
A choć do drzwi Chrystus puka,
Świat cię tylko tam obroni.

W. Pol.

162. Wieliczka.

Złota, srebra i drogich kamieni nie posiada Polska prawie wcale, za to dał jej Bóg obficie chleba, oraz soli, aby można ten chleb posolić. Chlebem i solą witali nasi przodkowie gości — chleb i sól stały prawie zawsze w każdym polskim domu na stole. Choć sól jest bardzo ludziom potrzebna, jednakże są kraje, jak n. p. Czechy, Szwajcaria, Serbja i t. d., które jej nie posiadają. Polska zawiera nieprzebrane pokłady soli, oraz źródła solne. Sławne są kopalnie soli w Bochni i Wieliczce, które dawniej były pierwszemi co do wielkości na kuli ziemskiej, oraz uważano je za ósmy cud świata. Z dalekich krain przybywali sławni i uczeni mężowie, celem zwiedzenia żup, czyli kopalni wielickich.

Początek kopalni w Wieliczce ginie w mgle wieków. Niezawodnie już nasi pogańscy przodkowie używali słonej wody, która się tu z głębi ziemi na wierzch wydobywała. Podług podania ludowego królowna węgierska święta Kinga, zostawszy żoną Bolesława Wstydliwego, chciała zabrać ze sobą do Polski jedną kopalnię soli i wrzuciła do niej swój pierścień. Przybywszy do Krakowa, kazała kopać w okolicy i znaleziono w Wieliczce pierścień jej w bryle soli. W rzeczywistości zaś musiało być tak, że Kinga sprowadziła z Węgier górników, którzy sól w Wieliczce odkryli.

Od tego czasu upłynęło lat 600, a sól ciągle wydobywają i jest jej jeszcze nieprzebrana ilość. W rozmaity sposób można się dostać do wnętrza kopalni: windą, po schodach, albo spuścić się na grubych linach. Dziwnie ponuro i uroczyście razem wyglądają pod ziemią te ciemne sklepienia, podparte ogromnemi słupami soli lub stosami pni drzewnych. Światło słońca nie dochodzi tu nigdy; kto się spuszcza pod ziemię, wchodzi w wieczną noc, czarną i ponurą.

Czy na dworze słońce i burza, czy mróz lub skwar letni, tu zawsze jeden i ten sam chłód, powietrze czyste, bez odmian i burz. Zamiast słońca i gwiazd migają blade kagańce robotników w ciemnych korytarzach i na chodnikach, pnących się w górę po stromych urwiskach. Gdzie się tylko dotkniesz, wszędzie twarda, kamienna sól: ściany z soli, sklepienia z soli, podłoga z soli.

Zaraz na pierwszym piętrze znajduje się kaplica świętego Antoniego. Stopnie, ołtarz, krzyż, świeczniki, ambona i posągi — wszystko wykute z soli. Odprawia się tu nabożeństwo dla górników, których kilkuset w kopalni pracuje. Sól wyrabiają żelaznemi drągami lub rozsadzają prochem, ładują w beczki, a potem wyciągają w górę.

Prócz pierwszego piętra, są jeszcze dwa niższe, do których się schodzi wykutemi w soli schodami. Jest tych schodów przeszło 1000, bo głębokość kopalni wielka; a tyle w niej dróg i chodników, że, chcąc wszystko dobrze obejrzeć, trzeba by ze 4 tygodnie po kopalni chodzić.

Do przewożenia soli urządzona jest w kopalni nawet kolej żelazna, po której konie ciągną wózki, naładowane solą. W jednej z obszerniejszych pieczar jest piękny dworzec kolejowy, który ślicznie wygląda, oświetlony kolorowemi lampkami. W innej pieczarze jest wielkie podziemne jezioro, w którym można pływać łodzią albo promem, i które oświetlają niekiedy lampami i wspaniałemi ogniami.

163. Polska Szwajcaria.

Na północ od Krakowa leży jedna z najpiękniejszych okolic królestwa polskiego: jest to malownicza dolina Prądnika, o której pisze poeta Salezy Dmochowski:

Gdy ci obce kraje znane,	Poco szukać obcych krajów,
Wstydem lica twe zarumień,	Alp odwiedzać grzbiet wysoki?
Jeśliś widział Tyber, Sekwanę,	Wśród Ojcowa skał i gajów
A Prądnikaś minął strumień.	Równie szczytne masz widoki.

Podróżny, jadąc kamienistą drogą od Olkusza, znużony jednostajnym widokiem równiny, przerzynanej tylko łąkami zbóż, smugami lasów i gdzieniegdzie grupą chat wieśniaczych,

nagle zaczyna spuszczać się w dolinę. Jar coraz głębszy, droga coraz spadzistsza, a miejscami tak wąska, że dwa wózki góralskie minąć się nie mogą, chłód i półcień zwiększają się, i oto jesteśmy w uroczym zakątku, słusznie Polską Szwajcarią nazwanym.

Długa na dwie mile, zygzakowato biegnąca dolina, to zwęża się, to rozszerza, to łączy z innemi dolinami. Wszystkie strome, przepaściste skały piętrzą się dokoła. Trudno opisać dziwaczność ich kształtów. Jedne przypominają ruiny zamków, inne wieżycy kościelne. Tu roztwiera się wspaniała brama, tam sterczy baszta — owdzie zbite w jeden szereg skały, tworzą niby mur, opasujący gród obronny — a gdzie indziej jeszcze zdaje się, że to leży lub stoi jakiś zadumany, olbrzym z hełmem na głowie i z pod spuszczonej przyłbicy na świat spogląda.

Najpiękniejszą jest dolina ojcowska. Wyobrażenia ludu różne, nieraz bardzo trafne ponadawały tym skałom nazwy. Jest więc między niemi „Klasztorna Góra“, „Iglica“, oryginalny odłam z okrągłym otworem u podstawy, niby uszko igły. „Rękawica“ zupełnie przypominająca kształtem jakąś potwornie wielką ręką z rozpostartemi palcami, „Skała Twardowskiego“, „Krakowska Brama“ i wiele innych jeszcze. Niektóre skały zbliżając się ku sobie, zamykają niewielką przestrzeń i tworzą — niby studnię, zwaną przez lud ogrodzińcem lub ogrójcem. Do takiego ogrójca dostęp jest niemożliwy, bo na śpiczasty i jak igła ostry szczyt nawetby koza się nie wdarła, a przez wąskie szczeliny między skałami, zaledwie wąż przesunąć się może. Węże też tylko, oraz ciekawe pewnie i rzadkie gatunki roślin, są jedynymi mieszkańcami ogrójców.

Liczne groty i jaskinie kryją się między skałami, a z każdą prawie jakąś ciekawa łączy się legienda. Niedaleko najwyższej góry Chełmowej znajduje się grota króla Łokietka, także królewską zwana. Prowadzi do niej otwór ziejący chłodem i wilgocią. Niegdyś zdobiła go korona ze stalaktytów t. j. podłużnych utworów kamiennych powstałych wskutek przeciekania wody przez wapień. Wewnątrz groty wąski korytarz wiedzie

do istnego labiryntu większych i mniejszych pieczar; to też bez przewodnika niebezpiecznie by było po raz pierwszy tam się zapuszczać. Po krótkiej wędrówce podróżny przychodzi nad brzeg jakiejś przepaści, wstępuje w głąb jej po bardzo niewygodnej drabinie i znajduje się w obszernej sali — właściwej kryjówce Łokietka. — Istny to grób — ciemny i duszny — a jednak tam właśnie król tułacz spędził długie dni i noce, prześladowany przez Wacława, króla czeskiego, który około roku 1300 nie tylko Łokietkowi tron odebrał, ale jeszcze jak dzikie zwierzę, po lasach i górach tropić kazał. Przewodnicy do dziś dnia pokazują wilgotną framugę w skale, niby łożo króla Łokietka i pleśnią pokryty kamień, przy którym spożywał skromny posiłek, dostarczony przez wiernych i kochających monarchę wieśniaków.

Z drugiej strony doliny wąska prawie prostopadła ścieżka prowadzi do groty zwanej ojcowską. Jest to olbrzymia sala wsparta w środku na odłamie skały, niby na filarze. Jest jeszcze w tej okolicy dużo innych jaskiń obszernych i ozdobionych stalaktytami śnieżnej białości. Wszystkie te wyźłobienia skalne były od tysiący lat, bo jeszcze w czasach przedhistorycznych zamieszkałe. Uczni, badając troskliwie wnętrze pieczar ojcowskich znaleźli głęboko zagrzebane w mule i w ziemi, niezgrabne kamienne siekierki, igły i szydła z kości zrobione, skorupy naczyń glinianych i różne wyroby nieudolnych jeszcze rąk ludzkich. Znalezione również kości zwierzęce, rogi turów, kły niedźwiedzi, zęby i nawet całe szczątki olbrzymich przedpotopem żyjących stworzeń.

Mocno przetrzebione lasy jodeł, sosen i buków szumią na wierzchołkach i stokach gór ponad doliną, środkiem której „z tysiącem pstrągów dzwoniących u pasa Prądnik, jak rzeński Krakowiaczek hasa“. Nie tylko hasa, lecz i pracuje. Ludzie zużytkowali siły wartkiego strumienia i kazali mu poruszać piły tartaków, obracać koła młynów, gęsto po całej rozrzuconych dolinie. Ludzie zrobili więcej jeszcze — przekonawszy się o zdrowotności Ojcową, utworzyli tam zakład leczniczy, pobudowali domy, postawili odpowiednio urządzone łazienki, by osłabieni i chorzy mogli wzmacniać się zimnemi kąpielami

w Prądniku. Z obu stron strumienia to niżej, to wyżej rozsiadły się piękne wile, hotele i chaty wieśniacze.

Osłoniąca skałami od wiatrów, zroszona obficie wodą, dolina ojcowska niby jeden wielki ogród wygląda, bo wszędzie, gdzie niema skały, grunt jest żyzny i urodzajny. Już w najdawniejszych czasach okolice te gęsto były zamieszkałe; dużo tu znajduje się budowli prastarych n. p. wspaniałe jeszcze dziś ruiny zamku w Ojcowie i na Pieskowej Skale kaplica św. Salomei w Grodzisku i t. d.

Droga, idącą równoległą z biegiem Prądnika, dochodzi się do Pieskowej Skały. Jest to dość rozległa dolina, ujęta w ramy wzgórz, zarosłych bukowym lasem. Zaraz u wstępu ciska się w oczy dziwnych kształtów skała, niby maczuga, cieńszym końcem utkwiona w ziemi. Grubość jej u dołu wynosi ledwie cztery łokcie, w górze zaś trzydziestu dochodzi. Stoi skała samotnie, od siostrzyc swoich odcięta, cała biała i naga, wierzchołek jej tylko stroi krzak jałowcu i wieńczą stada kawek i kruków. Lud mówi, że niegdyś gnieździły się tam sokoly i zowie głaz Sokolą Skałą.

164. Jasna Góra.

Na północny zachód od Krakowa, na drodze wiodącej ze Śląska ku Warszawie, nad rzeką Wartą, wśród szeroko ciągnących się równin leży Częstochowa, której założenie sięga niepamiętnych czasów. O pół mili od tego starożytnego miasta wznosi się Jasna Góra, na której szczycie są warowne mury Ojców Paulinów i kościół, gdzie się znajduje ów słynny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Mury klasztoru były niegdyś silną warownią i niejednokrotnie oparły się szturmom wojsk nieprzyjacielskich. Dziś pozostały już tylko szczątki dawnych fortyfikacyj.

Przez cztery bramy i mosty, niegdyś zwodzone, wchodzi się w dziedziniec klasztorny. Nad czwartą, głęboko sklepioną bramą w ostatnim wale, wymalowany jest wizerunek Władysława, księcia opolskiego, który na dłoni trzyma kościół częstochowski, na znak, że on to kościół ten założył i w nim sławny ów obraz umieścił. Wokoło kościoła i klasztoru ciągną

się zabudowania różnego kształtu i przeznaczenia, jako to: sala do bierzmowania, zbrojownia, pokoje królewskie, apteka, stajnia, słowem, całe miasteczko, pancerzem obronnego muru objęte.

Pielgrzym, wszedłszy do kościoła, dąży jaknajspieszniej do kaplicy, w której znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, wymalowany na cyprysowej desce, według podania, przez św. Łukasza. Tłok pobożnych, którymi zawsze przepełniona jest kaplica, z trudnością pozwala zbliżyć się do jej wnętrza. Przed ołtarzem wisi osiem lamp srebrnych, z których jedna jest darem króla Jana III. Sam obraz obwieszony jest kosztownymi darami, klejnotami i drogiemi kamieniami. Równie bogate są mnogie dary królów i panów, z czcią największą przechowywane w skarbcu klasztornym. Jest tam krzyż srebrny i takąż monstrancja, dar Zygmunta I; pomiędzy wielu ornatami szczególną na siebie uwagę zwraca ornat perłami wyszyty własną ręką królowej Jadwigi; znajduje się sztandar turecki i zegar brązowy, ofiarowany przez Sobieskiego, jako zdobycz wyprawy pod Wiedniem. Są tam kosztowne buławy hetmanów, n. p. Stanisława Rewery Potockiego, a obok nich widzieć można także skromny kij pielgrzymi, z którym Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką, odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej, do grobu Zbawiciela.

Po starodawnej stolicy Krakusa, od najdawniejszych czasów żaden gród polski nie jest tak drogim każdemu sercu jak właśnie klasztor jasnogórski. Władysław Jagiełło, wyruszając na krzyżaków, modlił się w Częstochowie i błagał pomocy i opieki Marji. Piotr Skarga gorąco nieraz w kaplicy jasnogórskiej prosił Boga o natchnienie, i wielu innych znakomitych mężów, wielu mocarzy przed świętym obrazem klęczało. Z rozkazu Władysława IV krótko przedtem rozszerzony i przebudowany klasztor otoczono murami, zmieniając go w silną warownię. Chyba przecucie jakieś kierowało tym czynem króla, bo niedługo potem świątynia jasnogórska ważną w dziejach naszych odegrała rolę.

Wojska szwedzkie załapały kraj; jedno miasto po drugim wpadało w ich ręce, nawet Kraków musiał najeźdźnikom otwo-

rzyć bramy. Przyszła kolej na Częstochowę. W r. 1655 Müller dowódca wojsk szwedzkich, na czele licznego wojska zbliżył się do murów klasztoru i zażądał, by mu otworzono bramy, a gdy zakonnicy odparli, iż nigdy tego nie uczynią — gradem kul sypać rozkazał. Zaczęło się oblężenie, któremu podobnego nie było może w historii świata. Garstka żołnierzy, kilku dziesięciu ubogich mnichów z odwagą stawiało czoło tyśiąckroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, przed którym drżał świat cały. Ale nad klasztorem czuwała moc potężniejsza niż wszystkie ziemskie moce — czuwała opieka Panny Marji! Klęska po klęsce spadały na Szwedów. Kule, wprawną ręką szwedzkich puszkarzy kierowane, cudownem zrządzeniem przelatywały nad klasztorem, nic mu złego nie czyniąc.

Oblężeni i raz po raz dniem i nocą robili wycieczki i znie-nacka, niby grom spadali na Szwedów, kładąc ich trupem w około, jak nawałnica gradowa, gdy w pole pszeniczne uderzy. Żołnierzami w twierdzy jasnogórskiej dowodził Stefan Zamoyski, miecznik sieradzki, ale prawdziwą duszą oblężonych był przeor Paulinów, ks. Augustyn Kordecki, którego pomnik bieleje wśród ogrodu klasztornego. W sam dzień Bożego Narodzenia, wstydem i hańbą okryci, odstąpili Szwedzi od Częstochowy po pięciutygodniowym oblężeniu, a bohaterska obrona garstki mnichów i żołnierzy taki wzbudziła zapal we wszystkich, tak skrzepiła osłabione serce, że kraj cały jak jeden człowiek dźwigał się z odrętwienia. Ręce za oręż chwyciły, i niezadługo potem okrutnych najeźdźników wypędzono z Polski.

Ufność i miłość do Matki Bożej z biegiem lat wzrastały i wzrastają. Jak rok długi ciągną do Częstochowy tłumy pielgrzymów ze stron najodleglejszych. Ile tu westchnień gorących popłynęło do nieba, ile łez rzewnych spadło na ziemię, ile prośb błagalnych i dziękczynień wzniosło się ku niebiosom, ilu strapionych znalazło spokój, a nadewszystko ilu grzeszników pojednało się z Bogiem! — Stolicą duchowną ludu polskiego była i jest świątynia jasnogórska. „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy“. Tem wezwaniem Bogarodzicy rozpoczyna nasz wieszcz swój najślawniejszy poemat.

165. Jak to na Mazowszu.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
 Pochylone chaty drzemią na dolinie,
 Nad wodą zgarbiony stary dąb żyłasty,
 Kędy bielą płótna wesołe niewiasty;
 Po łące stapają bociany powolne,
 W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
 A z borów cienistych leśnej okolicy
 Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
 Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
 Słoneczkiem — przeciekłe pod błękitem suną;
 Na wodzie, na Wiśle, śród ciszy poranka,
 Płynie łódź flisowska jak szara cyranka...
 A za nią łądowsze pszenicą galary,
 Szum wiosel na falach i śmiechy i gwary.
 Po boru jagody dziewczę rwie we wrzosie
 I śpiewa miłemu: „Pędź, głosie, po rosie”. —
 Po długiej dolinie smętne oczy cieką,
 I słyhać piosenkę daleko, daleko...
 I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
 Brzmi nuta serdeczna, za bydłem, za pługiem,
 Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
 Jakby jedna dusza była w całym kraju.
 Oj, śliczna to ziemia to nasze Mazowsze!
 I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze —
 I sosny rośniejsze i dziewczki kraśniejsze,
 I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze,
 Gdzie mi kto na świecie tak zagra od ucha?
 Gdzie mi się rozśmieję tak rażno dziewczucha?
 Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
 Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
 Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
 Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
 Serce moje, serce do tych lasów goni,
 Do Wisły, do Wisły, — oj, tęskno mi do niej!...
 Szczęśliwe kuliki, szczęśliwe rybitwy,
 Co nad nią powietrzne zawodzą gonitwy!
 Oj, Mazur ja, Mazur, pomiędzy obcemi
 Zmarnuję ja młodość na nieswojej ziemi.
 Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,
 Pod wieczór się za mną słońce obejrzało —
 Oj, poczerwienione, jak oczy matczyne,
 Co mnie błogosławiąc patrzyła w dolinę;
 Wiatr szumiął po polu, a pszeniczne kłosy,
 Strząsały na ścieżkę kroplę jasnej rosy,
 Po borze, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
 Na gałęziach wrony krakały nade mną,
 Sierocemu sercu tak się wydawało,
 Jakby coś po lesie w powietrzu płakało.

Spojrzałem przed siebie, nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło;
Daremno po drodze patrzałem za siebie
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie.
I ta utonęła w ciemnej, mrocznej fali,
Nie było nikogo, — i poszedłem, dalej...
I dalej i dalej w świat szeroki, długi —
Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi!
Skrzypki moje, skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też, Mazury chętnie posłuchajcie.
Dziś tułam się oto i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię też się napiję.
I tak zchodzi zima i za zimą lato...
Boże dopuszczenie — chwała Mu i za to!
Zagrajcie skrzypeczki, niechaj wdzięczne granie
Cichy wiatr zaniesie, gdzie moje kochanie.
— Witaj że mi, witaj, kraino kochana,
W boleści, w tęskności — oj dana, oj dana!

Lenartowicz.

166. Łysogóra.

Wyżyna sandomierska jest jedną z najpiękniejszych okolic polskiej ziemicy. Wznosi się ona pomiędzy Pilicą, Wisłą i Nidą; grzbiet jej ciągnie się półkołem, w którym królują wyniosłością swych szczytów Łysogóry, zwane także górami Ś-to Krzyskiemi.

Początek łańcucha tych gór stanowi Łysica czyli góra św. Katarzyny, biorąca nazwisko od położonego u jej stóp klasztoru panien Bernardynek. Jest to najwyższa z wszystkich gór w Królestwie, gdyż wznosi się 1908 stóp nad poziom morza Bałtyckiego. Dalej idzie góra Łysa albo Łysica, na wierzchołku której zawieszony w obłokach klasztor po — benedyktyński, — panuje nad całą okolicą, a widać go także o mil kilkanaście. Po tych idą mniejsze góry, jak Jeleniówka, Witosławka, Królewska i Książęca.

Podgórze w całej swojej rozciągłości stanowi pas ziemi urodzajnej, z ogromnemi wypukłościami i wklęsłościami, pomarszczonej jak lice zgrzybiałego starca, poszarpany w dziwny zygzwatowy sposób, na której potop lub jakiś straszny kataklizm natury położył swe niszczące piętno. Wśród tych malowniczych parowów snują się gdzieś niegdzie jak węże strumyki lub czernią się małe kępy lasu i krzaków.

Strony te znane były jeszcze w dobie przedhistorycznej naszego kraju. Widocznie dla górzystego swego położenia, dla gęstych i dziewiczych lasów, które prawie aż do naszych czasów dotrwały, przedoјcowie nasi, poganie, zbierali się tu na tak zwane wiece. Tu decydowali o wojnie i o obronie, a wkońcu mieli tu na najwyższej górze swoją świątynię, po której się odbywały uroczystości i odprawiano modły, tu mianowicie obchodzono rok rocznie „święto dziadów“. Na gruzach tej świątyni pogańskiej, wystawił Bolesław Chrobry kościół i klasztor i sprowadził dla zakonników reguły św. Benedykta, którzy coraz więcej krzewiąc wiarę, byli zarazem prawdziwymi pionierami dla ciemnego ludu pogańskiego, oni go uczyli gospodarstwa zakładali piękne owocowe ogrody — słowem przynieśli z sobą mieszkańcom dobrobyt, a i sami obdarowani przez panujących i magnatów, urosli prędko w znakomite mienie. To też chciwe łupiestw oczy sąsiadów już w pierwszej połowie XIII wieku zaczęły tu zaglądać. W r. 1260 Mongołowie po bitwie Lignickiej otaczają i łupią klasztor, pomordowawszy zakonników i mieszkańców, którzy tu schronienia szukali. W sto lat później najeżdżają klasztor Litwini, za Jana Kazimierza Szwedzi pod wodzą Karola Gustawa.

Klasztor ten i kościół doznawał szczególniejszej opieki królów polskich, dlatego mimo tych klęsk jaśniał coraz większym blaskiem. Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki obdarzają Benedyktynów przywilejami i dobrodziejstwami. Władysław Jagiełło jeszcze jako poganin jadąc do Krakowa po chrzest i koronę wstąpił tu aby zobaczyć drzewo krzyża św., które się tu w kościele przechowuje.

Ze szczytu wieży kościoła roztacza się przed nami prześliczny krajobraz. W dali mająceją Kielce, Chęciny, Busk, w mgle błękitnowej rysuje się Kazimierz nad Wisłą. W południowej stronie sinieje pasmo Karpackiego Podgórza.

U stóp naszych bory — pną się po zboczach gór wysmukłych, coraz wyżej... wyżej!... W dolinach pola kobiercem leżą barwnym, haftowane złotem pszenicznych i żytnich łanów, łąki, puszystych traw zielenią i kwieciem różno-koloro-

wem przetkane — bieleją ściany chat niskich, polskich, poprzytulanych do stóp wzgórz lesistych.

Po niższych częściach stoków gór wyniosłych, zielonemi smugi ciągną się pola i łąki kwieciste, wyżej ciemne bory wółdzkie pieśnią drzew prastarych rozśpiewane; górskie strumienie wartkimi potokami szemrzą, szumią, srebrne fale kaskadą pereł spadają z kamiennego łóżyska, z tła przepysznej zieleni wyłaniają się skalne głazy, wielkie, jasne, tak gęsto pośród gór rozrzucone, że nazwa „Łysogóry“ od tych właśnie ogromnych, łysiną świecących głazów początek swój wzięła.

Łysogóry, pokryte bujnemi lasami, strojne kobiercem puszystych traw i ziół rozlicznych, liśćmi paproci i leśnego kwiecia bogactwem niezrównanem, są także wielką, cenną skarbnicą dla górnictwa polskiego w łonie swajem mieszczą minerały. Dostarczają nam pięknych krajowych marmurów, rudę miedzianą, ołowianą i żelazną, wapień, piaskowiec, glinę ogniotrwałą i t. p.

W najdalszych zakątkach kraju rozpowszechnione jest między ludem mniemanie, że Łysa Góra jest siedliskiem diabłów i czarownic. Na zachodnich stokach ogołoconych z lasów, pokrytych głazami, które w gwarze ludowej nazywają się gołoborzami, zgromadzają się co sobotę z całego kraju czarownice i wyprawiają przez noc różne harce z biesami. Czarownica siada na miotłę i mówiąc: „Płot, nie płot — Wieś, nie wieś, — Biesie wieź!“ leci na Łysą Górę.

167. Step.

Szumią trawy i burzany
O zielono skroś — o sino!
Jako fale wciąż hurhany
Step — a step — a rozbujany
Morze twoje, Ukraino!
Kędy wzdłuż i wszecz za Turkiem
Koń i Kozak chodzą nurkiem.

Witaj — wielki Mogilniku,
Krwia praocjów naszych żyzny!
Co w około zgiełku — kliku?
Tabunowych ślad bez liku,
Trzód bez liku rogacizny,

Ponad wodą tam zieloną,
Pohasują — płyną — toną!

Patrzaj — patrzaj — nad rozdoly!
Różnowzory tłum skrzydlaty,
Który — jako gmin wesoly,
Na chorągwie, na powiaty.
Rządzą orły a sokoly,
I czerń zgodna — rażno, strojnie,
Wyśpiewuje — jak po wojnie.

Stepie — stepie — nasz rodźimy,
Po Rodzicu — och! z Rodzica
Zadumane nasze lica!
My tu wszyscy pobratymy!
Och! i Duma to Siostrzyca,
Jako nasze — jej oblicze,
Tęskne — dziwne — tajemnicze.

A taż wieczna tu muzyka;
Niby rozbrzęk gdzieś gęślowy,
Co nie wiedzieć skąd wynika?
Och! sehliwa — jakoś dzika
Podmogilnej wyraz mowy,
W rozpierzchnione zdaje szumy!
Czyż nie nuta naszej Dumi?

Dumoż — dumo — Bojanowa!
Tu tak bujno — i przestronno
Że nabrzmieją w rozhuk słowa!
Cięży dzisiaj czemuś głowa:
Dumo! kiedyż zbrojno — konno
Hukniem w Stepie? kiedyż po nim
W szcząk orężnych pieśń zadzwonim?

B. Zaleski.

168. Sobótka.

Przeddzień św. Jana, t. j. 23 czerwca poświęcony jest starosłowiańskiemu obrzędowi, tak zwanej sobótce. Zapalano w tym dniu na wzgórzach stosy drzewa, które w górzystych krainach przedstawiały istotnie malowniczy widok. W całej prawie dawnej Polsce zbierała się młodzież wiejska za wsią, gdzie niecono ogień samorodny, przez tarcie dwóch żerdzi wydobyty. Ten ogień służył do zapalenia kupy drzewa, chróstu, a często i beczki smolnej, aby długo w noc gorzała. Naokoło ognia dziewczęta wiejskie, z wieńcami bylicy na głowie, od-

bywały starodawne płasy z odpowiedniami pieśniami. Młodzież skakała przez płomienie w przekonaniu, że to oddala w ciągu roku choroby. Jan Kochanowski opisał sobótkę w obszernym poemacie, w którym tak śpiewa jedna z dziewcząt:

Siostry, ogień zapalono,
A placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,
Broń wiatrów i nagłej wody;
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Mamy czekać rannej zorze.

Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana
Zawždy sobótką palana.

Dzieci, rady mej słuchajcie
Ojcowski rząd zachowajcie
Święto niechaj świętem będzie
Tak bywało przedtem wszędzie.

A teraz ten wieczór sławny
Święćmy, jako zwyczaj dawny,
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.

W ziemi krakowskiej palono i palą sobótki nie w wilję św. Jana, lecz podczas Zielonych Świątek. Tam parobczaki zapalają nietylko kupy drzewa, ale także snopeczki słomy, na kijach lub żerdziach zatknięte, z którymi biegają po górach, miedzach, śpiewając wesołe Krakowiaki. W wielu miejscach lud twierdzi, że sobótki odwracają chorobę i zarazę od bydła.

Na Rusi zowie się sobótką kupałą. Znana była także i jest dotychczas po części sobótką u Czechów, Słowaków, Serbów i Łużyczan. W Śląsku wznosi się pięć mil od Wrocławia góra zwana Sobótką (po niemiecku Zobten). Górę tę uważali dawni Słowianie na Śląsku i w przyległych polskich ziemiach za świętą. Palono na niej uroczyście sobótki. Lud polski w niektórych okolicach zachował podanie o „Sobotniej górze“, na której ma się znajdować źródło ożywczej wody.

Duchowieństwo występowało gorliwie przeciw sobótkom, jako zwyczajowi mającemu początek w pogańskich czasach, i dlatego głównie w wielu miejscach sobótki zaginęły. W Wielkiem Księstwie Poznańskim odbywał się ten obchód dawniej w powiecie czarnkowskim, a mianowicie we wsi Rosku. Dotychczas w wilję św. Jana panuje zwyczaj strojenia mieszkań zielenią. Jest to pamiątka odległej starożytności.

W wilję św. Jana ma podług podań ludowych zakwitać paproć. Lud mniema, że kto posiada kwiat paproci, odgaduje przyszłość i widzi skarby w ziemi.

J. Chociszewski.

169. Wigilja.

Pamiętacie Wigilję w miłych braci kole?
Na samo jej wspomnienie skakało pachole.
Z jakąż niecierpliwością wyglądały dzieci,
Rychło na modrem niebie gwiazdeczka zaświeci!

Ileż to w owe czasy sprawiały uciechy:
Choinka ze świeczkami, z złotemi orzechy,
Pełne rumianych jablek cynowe półmiski,
Opłatki, z których siostry kleiły kołyski!
Jakośmy się cieszyli, ujrzawszy przed świecą
Na opłatku Jezusa z Przeczystą Dziewicą!

Pamiętacie to wonne na ziemi postanie,
Gdzie się dzieci swobodnie tarzały po sianie,
A rodzice wróżyli z pszenicznego snopka
O przyszłym urodzaju pocziwego chłopka?
A potem ledwie kogut, co z swego poddasza
Donośnem pianiem północ w chałupach ogłasza,
Uderzył się po bokach złotemi skrzydłami.
Jak niesłychana radość podrzucała nami!

Biegliśmy na pasterkę, gdzie na wiejskim chórze
Śpiewaliśmy kolędy, jak skowronki w górze,
Spoglądając z okienka, rychło anioł Boży
Wiecznej jasności wrota gwiazdziste otworzy,
I w blasku, co go oko wytrzymać nie zdoła
Ukaże patryarchów i aniołów koła.

Pomnicie, jak wróciwszy z kościoła nad ranem,
Paśliśmy bydło zdjętem z pod obrusa sianem,
Które tej jednej nocy po oborach gwarzy
O losach swych pocziwych starych gospodarzy?

O, jakże nas cieszyła owa z gwiazdką szopka
I wesola kolęda wiejskiego parobka,
Co przebrany za tura wtaczał się przez progi,
Konopną kiwał brodą i nadstawiał rogi;
I póty mruczał niby od wielkiego głodu,
Póki mu nie wynieśli kołaczy i miodu.

Teofil Lenartowicz.

170. Mowa Polska.

Polska mowo jna kochana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkiemi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w tobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcegoś szczepu kwiecie,
Nie cudzegoś rodu dziecię;
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona
Lecz wprost z niebios twe poczęcie,
Tyś Bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona

Wszelki kształt się zmienia, łamie
Ty trwasz wieki niepożyta;
Wiecznie z ciebie bo wykwita
Bezpośrednio Boga znamię;
I każdą myślą, a potrzeba,
Twój kwiat w nowe się rozplemia;
A co bujna zrodzi ziemia,
To na wieczność święci niebo:
I jak wszystko, co z przymierza.
Co z niebieskiej tchnie opieki,
Zawsze nowa, młoda, świeża,
A ta sama co przed wieki
Na tle twojem błyszczcy cecha.

Ty królujesz po nad nami
W pełnym ducha majestacie;
A gdy do Cię my się sami
Wzniesć nie możemy, — Ty nam w porę,
Schodzisz na dół w skromnej szacie,
Wskrzeszasz zmarłe, cucisz chore,
Mdle pokrzepiasz, — brata w bracie
Poznać dajesz, — idziesz w gości
I do zamku i do chatki,
Wznosisz gnuśnych w powinności,
Gromisz braki, niedostatki,
Nie tą grozą, co oniemia,
Lecz miłością, która stwarza.
Tyś nam prorok z ponad ziemia,
Tyś nam kapłan u ołtarza,

Tyś nam rycerz, co się łamie
Codzień z wrogiem, spiera, ściera, —
Bo gdzie tylko Polski znamię
Omdlewając skargi miota,
Gdzie bezbronny kraj sierota
W pomoc wzywa bohatera,
Gdzie obyczaj, wiara, cnota, —
Dawne Polski te rycerze, —
Już się chwieją, tam twe ramię
Obyczajom, cnocie, wierze,
Znów do ręki oręż wciska,
Wmawia walkę i wciąż wiedzie
Śród zamętu bojowiska
Nasz znak górą, a na przedzie
Bo lud własny — twój rodzinny —
Twoich ogniów wiecznie strzeże,
By Abłowe onych dymy,
Które niebu dzięki niosą,
Wprost do góry szły w ofierze.
On cię broni, chwali, święci,
Karmi manną swej pamięci,
Poi czystych natchnień rosą;
On ochoczo, a w mozołe,
Miecz przy pługu dzierząc w dłoni,
Wciąż uprawia twoją rolę,
By ją ziele nie obsiadło; —
A gdy nierząd ją wypłoni,
Gdy ją zbytek na przepadłą
W ugór puści, — wtedy z prawa
Znów ochotny na niej stawa.
Sięga śmiało, aż w głąb ziemi.
Na wierzch żyzność wydobywa,
I zasiewy wiośnianemi
Znów obfite rodzi żniwa.
Więc miłujesz go jak matka ·
Obejmujesz duszą całą,
Dzielisz się z nim do ostatka
Co z rozbicia ci zostało, —
Barwisz prace, koisz żale.
Łzy ozłacasz, — bo od syna
Co na zbytek plon twój ścina,
Stokroć miłszy ci w siermiędze ·
Syn ten młodszy, który w dziale
Dostał tylko brud i nędze.
Zawsze przy nim jest widoczną,
Nieodstępną w każdej porze, —
W pieśń go budzisz, gdy na zorzę
W niebie chóry nucić poczną
Hymn poranny. Kiedy orze —

I z skowronkiem — kiedy sieje.
Wyśpiewujesz mu nadzieję.
Nad żniwarzów krążąc kołem, —
W ryku radości wiążesz społem
Z dźwiękiem sierpa, z tętmem kosy
Złotodzwonne ziarnem kłosy.
Gdy na, wieczór przy rodzinie
Siędzie razem u ogniska,
Kto płomieniem po ścian bieli
Strachy, dziwy, czary ciska?
Skąd im tyle pieśni płynie,
Czy od sierpa, czy od pługa?
Skąd się snuje, powieść długa,
Razem z nitką od kądzieli?
Jakiż, jakiż, duch to żywy,
Wszystkie sny te, jawy, dziwy —
Wiecznie sieje i poczyną,
Z słowa rodzi, wciela w słowo?
Duch to — duch twój — ach! jedyna
Ty ojczysta polska mowo!

S. K.

171. Płody w Polsce z królestwa zwierząt.

Ze wszystkich zwierząt w dawnej Polsce zażywał koni najwyższej powagi, dlatego wiele o nim wspomnień w pieśniach ludowych, szlacheckich, w przysłowiach i przypowieściach. O niektórych koniach wspomina nawet historia, jak n. p. o koniu Czarnieckiego, który po zgonie swego pana z żalu żyć przestał. W Krakowskiem wznosi się góra Koniusza, która wzięła nazwę od konia, co sprowadził swemu panu stado rumaków z Węgier. Jedyne ze zwierząt konie broniły z ludźmi ojczystej ziemi przeciw wrogom. Sławną była polska jazda — sławni na cały świat polscy husarze. Kazimierz Wielki założył stadninę koni w Wielkopolsce, a w statucie wiślickim otoczył te zwierzęta opieką. Słynne były stada Wiśniowieckich, Sobieskich, Radziwiłłów, Lubomirskich, Tarnowskich, Sanguszków; z tych zatrzymało się w tych samych rękach tylko stado Sanguszków. Żyły w dawnej Polsce konie dziko; czytamy o nich za Zygmunta I, a Czacki pisze, że przebywały w lasach litewskich jeszcze w roku 1770. Tabuny napół dzikich koni bujały po stepach Ukrainy. Słynęła osobna rasa koni pod nazwą polskich. Wincenty Pol w poemacie Mohort rozpisuje

się obszernie o polskich koniach i przywiązuje wielkie znaczenie nie tylko co do pochodzenia, ale i co do maści koni.

Hasał niegdyś w lasach polskich wół dziki, zwany turem, od którego pochodzi nasze bydło domowe. Były tury zawsze czarnej maści, z białawą pręgą wzdłuż grzbietu. Główną ich siedzibą były lasy mazowieckie, gdzie się chowały dziko do końca XVI wieku. Zupełnie odmiennym od tura jest żubr, żyjący dotychczas jedynie w puszczy białowiejskiej na Litwie, dlatego błędnie twierdzą niektórzy pisarze, że tur i żubr oznaczają jedno i to samo zwierzę. Dawniej żyły żubry w lasach od Karpat do Bałtyku. W Prusiech Wschodnich istniały jeszcze żubry przed 150 laty. Królowie polscy odbywali często polowania w Białowieży na żubry, a mianowicie Stefan Batory. Ostatnie wielkie polowanie królewskie odbyła się tamże 1751 roku, zabito wówczas 42 żubry, z tych jeden ważył 15 centnarów. Żubry różnią się tem głównie od wołów domowych, że mają dwa żebra więcej i grzywę na karku. Byłyby już dawno wyćpione, gdyby nie surowe zakazy rządowe, na mocy których nie wolno żubrów zabijać. Aż do ostatniej wojny żyło ich jeszcze kilkaset w Białowieży.

Bardzo dawnymi czasy istniały w Polsce sobole, dostarczające kosztownego futra. Następujące zwierzęta, kiedyś w naszym kraju powszechne, już się tylko rzadko pojawiają: kozice czyli gienzy, świstaki, łosie, bobry, niedźwiedzie, rosomaki, rysie i dzikie koty czyli żbiki.

Kozice są prześliczne zwierzęta, żyjące tylko na wysokich górach w niektórych krajach; w Polsce tylko w Tatrach przebywają. Kozica czyli dzika koza jest wielkości naszego kozła, tylko że trochę wyższa i delikatniejsza. Żywi się pączkami drzew, ziołami i trawą. Nie lubi ciepła, dlatego przebywa wysoko w górach, gdzie panuje zimno. Kozice są bardzo zręczne; przebiegają one szybko niebezpieczne przejścia, skacząc 20 do 30 stóp z skały na skałę. Ich wzrok, słuch i węch odznaczają się niezwykłą bystrością, dlatego trudno je podejść.

Mruki, świstaki czyli świszczki żyją także w naszym kraju tylko w Tatrach. Dochodzą do 2 stóp długości; mają krótkie

nogi z ostremi pazurkami. Zwierzęta te przypominają z wielu miar niedźwiedzia, zająca i wiewiórkę. Kopią podziemne nory, w których śpią przez zimę. Żywią się trawą i ziołami. W razie niebezpieczeństwa świstają, stąd ich nazwa. Świstak, schwytany w młodym lub nawet w starszym wieku, łatwo się oswaja, a tak się przywiązuje do swego pana, że mu przynosi nieraz w dowód wdzięczności wiaskę siana.

Łosie żyły dawniej w całej środkowej Europie, obecnie jeszcze tylko w Prusach Wschodnich, na Litwie i w Rosji przebywają. W Galicji ubito ostatniego łosia 1760 r. Łoś lubi obszerne bagna, w których podczas lata całymi dniami przesiaduje. — Jest to zwierz, dochodzący wysokości średniego konia; waży 10 i więcej centnarów.

Niedźwiedzie przebywały dawniej we wszystkich większych polskich lasach; jeszcze w roku 1804 widywano je w borach wielkopolskich, niedaleko Trzemeszna. Obecnie na obszarze ziem polskich tylko w Karpatach i na Litwie jeszcze się zdarzają niedźwiedzie, ale już w niewielkiej liczbie.

Ubolewać trzeba, że wyginęły już w Polsce bobry, bardzo przyjemne i użyteczne zwierzęta, wydające drogą skórę i tak zwany strój bobrowy, płyn używany do leczenia. Przebywały dawniej bobry licznie nad Bugiem i w rzekach pobocznych, gdzie budowały osady z gliny i gałęzi. Dziś już tylko rzadko się pojawiają w litewskich lasach.

Ryś czyli ostrowidz i żbik czyli kot są zwierzęta bardzo drapieżne, dlatego niema czego żałować, że są u nas prawie wytępione. Ryś dusi wiele zwierząt i tylko krew z nich wypija. Żbik jeszcze raz tak wielki jak nasz kot domowy żywi się myszami, kretami, ptastwem i młodeimi zającami. Obydwa zwierzęta są już bardzo rzadkie w Galicji i na Litwie; żbik czasem pojawia się w Księstwie Poznańskim.

Z dzikich ssawców, które jeszcze są dosyć powszechne w niektórych ziemiach polskich wzmianki godne są: dzik, wilk, jeleń, sarna, lis, borsuk czyli jażwiec, zając, kuna, łasica, gronostaj, bobaki na Ukrainie, wydra i pokrewna jej nurka, ale ta jest bardzo rzadka, skrzeczek, wiewiórka — polatucha na Litwie i t. d.

W ziemiach polskich żyje dziko około 70 gatunków ssawców, a przeszło 200 ptaków.

Najwięcej wspomnienia godnym i najznakomitszym ze wszystkich ptaków jest orzeł. Gnieźdzą się w polskich krainach następne gatunki orła: orzeł przedni, krzykliwy, karzełek, gadożer, rybitw i bielik. Orzeł przedni czyli królewski, gnieźdzący się u nas w Karpatach, może żyć przeszło 100 lat. Jest to ptak wspaniały, który ma w sobie istotnie coś królewskiego. Góry nabierają innego uroku, gdy się zobaczy nad nimi bujającego orła. Orzeł krzykliwy żyje prawie w całej Polsce, zatem i w Księstwie Poznańskim. Ciekawym jest orzeł karzełek czyli karlik, który jest najmniejszym między orłami, gdyż niewiele co większy od kruka. Mimo małych rozmiarów jest on w całym znaczeniu tego wyrazu ptakiem królewskim, gdyż wszystko u niego orle: wzrok, dziób i szpony, a mianowicie odwaga. Orzeł karzełek śmiało uderza na nieprzyjaciela, a choć daleko mniejszy, najczęściej zwycięża. Kocha ten orzeł niewymownie orlicę, pieści ją, tęskni za nią, znosi jej smaczne kaski do gniazda i widocznie się raduje, gdy ją zobaczy po długiej rozłące. Rzadko które ptaki chowają tak troskliwie młode jak orły swoje pisklęta.

Rzeki, jeziora i stawy w Polsce obfitowały w ryby. Znane było dawniej sztuczne gospodarstwo rybne, które się dotąd utrzymało w zachodniej Galicji, gdzie się ciągnie cały szereg stawów. Zakonnicy w klasztorach z powodu postów zakładali często rybniki, w których chowali zwykle karpie. Ryby dostarczały głównego pożywienia w licznych okolicach na Litwie, a szczególnie w krainie, zwanej Pińszczyzną, gdzie się znajdują sławne pińskie błota. Wiele tam piskorzy zwanych sojunami; podług podania ludowego przebywa tam król piskorzy ze złotą koroną na głowie.

Z innych ryb, żyjących w polskich wodach, są uwagi godne: jesiotry, które dość często pojawiają się w Warcie; łososie, żyjące we wszystkich rzekach z bystrym biegiem wody; pstrągi w górskich strumieniach; sumy, szczupaki, okonie, śędacze, liny, karasie, leszcze, płotki i t. d. Zdarzało się często,

że w latach nieurodzajnych obfite były połowy ryb, które nieraz ratowały ludzi od śmierci głodowej.

Z owadów najwięcej pożytku Polsce przynosiły: czerwiec i pszczoły. Czerwiec, mały czerwony owad, podobny do mszyc, był tak poszukiwany w dalekich krajach, że go wywożono rocznie za $1\frac{1}{2}$ miliona marek; samo cło przyniosło skarbowi polskiemu 90 000 marek. Czerwiec dostarczał pięknej farby karmazynowej i dlatego był tak usilnie poszukiwany. Po odkryciu Ameryki weszła w użycie amerykańska koszenila, dająca żywszą barwę, a że Polacy nie otaczali opieką tej gałęzi gospodarstwa narodowego, przeto ważne źródło dochodu upadło. Napróżno w ostatnich czasach uczeni mężowie jak n. p. ks. Kluk, Chodkiewicz, St. Plater wzywali do zajęcia się hodowlą czerwca; głosy te przebrzmiały bez skutku. Owad czerwiec właściwy jest tylko krajom polskim i ruskim, dlatego zowie się po łacinie *coccus polonicus* t. j. czerwiec polski. Owad ten żyje na łądych i korzonkach kosmanka zwanego także czerwcem oraz na jastrzębcu. Farbę czerwoną wydaje poczwarka, która czepia się korzonków. Ukraina, Podole i część wschodnio-południowej Galicji nadają się najlepiej do hodowania czerwca, chociaż prof. Nagórski i w okolicach Warszawy osiągnął pomyślne skutki.

Dawniej w naszych lasach były obfite barcie pszczół, a mianowicie w puszczech, gdzie Kurpie mieszkają. Wywożono wiele wosku z kraju, a oprócz tego wyrabiano miód pity, którego najlepszy gatunek, zwany lipcem, może walczyć o lepszą z najdelikatniejszym węgierskiem winem, dlatego płacono dawniej i po 2 dukaty za butelkę lipcowego miodu. Dotychczas zażywa powagi miód krakowski; sławne też były miody litewskie, a mianowicie kowieńskie.

172. Lasy polskie i puszcze.

Dziwny urok wywierają na ludzi lasy, choć inaczej zapatruje się na nie poeta, malarz i wogóle artysta, inaczej uczony, myśliwiec, rolnik, a jeszcze inaczej kupiec.

W najdawniejszych czasach były ziemie polskie oprócz Ukrainy prawie jednym wielkim lasem, rojącym się od dzikich

zwierząt, a choć wprowadzie wielka obfitość drzew dowodzi, że kraj od nich porośły jest dzikim, przecież w pradawnych czasach dostarczały one ludziom środków istnienia, a mianowicie opału, mieszkania i poniekąd ubioru t. j. futer z wilków, niedźwiedzi, lisów i t. p. zwierząt.

Za Piastów i Jagiellonów wytrzebiono znaczną część lasów, mimo to połowa, a może i więcej kraju, była zalesiona. W czasach napadów nieprzyjaciół las stanowił bezpieczne miejsce ukrycia.

Język polski przechował wiele wyrażen na pojęcie lasu. Drzewa śpilkowe jak: sosna, jodła, świerk, modrzew zwały się borami; liściaste — lasami. Puszcza zowie się bór lub las olbrzymi, odwieczny, w którym się chowały takie dzikie zwierzęta, jak n. p. żubry, niedźwiedzie, łosie i t. d., a zwykle były także w puszczy barcie pszczelne. Mniejsze puszcze zwały się smugami, pojedyncze zaś kniejami. Dąbrową zowie się las dębowy, a matecznikiem gęsty las, w środku puszczy położony.

Sływały niektóre puszcze w Polsce i na Litwie ogromem i obfitością zwierząt; do nich n. p. należały: puszcza Niepołonica niedaleko Krakowa, w której często królowie polscy polowali; Zielona przy Ostrołęce, siedlisko Kurpiów; Myszyniecka, Kozieniecka, Kampinoska niedaleko Warszawy, Łomżyńska, Augustowska na Litwie; Polesie owruckie, pińskie, wołyńskie; Kобрzyńska, a nadewszystko Białowiecka czyli Białowiejska królowa puszczy polsko-litewskich, położona w powiecie Białostockim, w dawniejszem województwie podlaskiem. Puszcza ta 7 mil długa a 6 szeroka zawiera około 25 mil obwodu. Znajdują się tu drzewa, odznaczające się starożytnością i niezwykłym wzrostem, n. p. lipy i dęby przeszło 600 lat liczące. Zdarzają się brzozy 100 stóp, a sosny 150 stóp wysokie. Jedyne to może las w środkowej Europie i aż do ostatniej wielkiej wojny mało tknięty ludzką ręką. Tu jedynie na całym świecie dochowały się żubry. Królowie polscy często jeździli do Białowieży na polowanie. Sływały niegdyś obszerne lasy świętokrzyskie w Sandomierskiem, ślesińskie za Gopłem i tucholskie na Pomorzu Przywiślańskiem. W Galicji słyne puszcza Perehińska; jest to właściwie ćwiartka tylko

olbrzymiego obszaru leśnego w Karpatach, który się ciągnie od Bukowiny poza Skole i obejmuje 2 miliony morgów. W puszczy Perehińskiej przebywają jeszcze niedźwiedzie, rysie, wilki, żbiki i wspaniałe jelenie z olbrzymimi rogami.

Dawniej mawiano: „Nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las“, ale obecnie już tak nie można mówić, gdyż lasy coraz rzadsze. Tępienie lasów, jakie się od lat kilkudziesięciu dzieje, wywiera pod każdym względem szkodliwe skutki. Wylewy częste wód, mianowicie w górskich krainach, częste grady i posuchy powstają ze zbytecznego trzebieńia lasów.

173. Z łąk i pól.

Temu tylko pług, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę — łązy i ból.

Temu tylko ostra brona,
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiedze,
Kto zna twardej doli nędze,
Kto wyciągnął jako brat,
Dwoje ramion do tych chat.

Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa...
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz, to dziś — miecz...
A wy, zimni, z pól tych precz!

Marja Konopnicka.

174. Poszłabym ja na kraj świata.

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną, mroczną dal...
Tylko mi cię żal,
Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach białą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żalości,
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do Dunaju, do swobody,

Do szumiących fal...
Tylko mi cię żal,
Ty cnato,
Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosy —
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w Ukrainę,
Za to morze, za to sine,
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...
Tylko mi cię żal,
Sekole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę,
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

Marja Konopnicka. Z liryk i obrazków.

175. Z Azji:

a) List Juliusza Słowackiego do matki z podróży po Egipcie i Palestynie.

B a j r u t, dnia 17 lutego 1836.

Droga moja! Przed dwoma dniami wyprawilem list do Ciebie, moja droga, z opisaniem podróży egipskiej i inną drogą wyprawiam teraz tę ćwiartkę, spodziewając się, że jeżeli nie obie, to jedna przynajmniej ręk twoich dojdzie; z tamtego listu dowiesz się, jak pływałem po Nilu, jak przez pustynię jeździłem na wielbłądzie, teraz opiszę Ci moję kwarantannę w pustyni przy maleńkiem miasteczku El-Arisch. Wystaw sobie, droga, że po ośmiu dniach podróży w piaskach, dano nam na odbycie kwarantanny dwunasto-dniowej równinę piasku, gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi dokoła i nic więcej. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić, i zostawiono nas na łasce Pana Boga. Wszakże do maleńkiego namiociku, który z sobąśmy mieli, przydano nam dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Dokoła żadnego mieszkania,

gdzieby się można schronić było na przypadek deszczu, słowem miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego morza i po dwóch innych stronach horyzontu widać było dwa smutne palmowe lasy.

Rozlokowaliśmy się nareszcie na tym piasku, wygrzebaliliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym maleńkim rozłożył swoje graty i tak zastała nas wilja Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzysz mój, dobywszy zapomnianego czekana, zagrał mi wiejską kolendę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mej budzie. Podziękowałem mu i wieczór padeszedł. Wtem niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza ze wszystkich burz nadeszła i trwała całą noc, to jest 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu leżących w osobnych namiotach ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca, kilkakroć zapalana, zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże, podmywając nasze łóżka, położone na ziemi, zmusiły nas do zwinięcia wszystkiego w jeden pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy.

Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. Wtem patrzę, aż mała rzeczka, płynąca przez dolinę, wzbiera, przerywa brzegi i białymi kragłemi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok też nowym był dla mnie.

Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt, pochmurny, przeszedł nam smutno suszącym się na górze, i głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrym dywanem. Potem czas piękny wrócił i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy. Pod namiotem także na piasku zastało nas

trzęsienie ziemi, które w Syrii wiele miast do szczętu pochłonęło i widziałem sam Tyberjadę, w której 500 ludzi zginęło a domu jednego całego nie zostało.

W Jeruzalem stanąłem dnia 13 stycznia, o godzinie 9 w nocy; bramy miasta zamknięte, cisza grobowa, księżyc, szczenie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy firmany nasze otworzą nam wejście, czy trzeba będzie na połu nocować, jakieś wspomnienie krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie po 2 godzinach otwierają się bramy do klasztoru.

Z dnia 14 i 15 miałem przepędzić noc u grobu Chrystusa. Na wspomnienie tej nocy tak miałem rozigrane nerwy, że łzy rzuciły mi się z oczu. Noc u grobu Chrystusa przepędzona zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do 11 w nocy; o pół do dwunastej weszła do grobu młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili wotum odmawiać co dzień pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko i pocałowali kamień, a potem przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Tak byłem zmieszany, że nie widziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam.

O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwona. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Katolicy w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznię, słowem, o północy ludzie zbudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca.

Grecy na grobie odprawiali mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz, rodak, wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a jak klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Niema go tu, zmartwychwstał!“ słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy,

znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami. Jeździłem do morza Martwego, do Betleem, gdzie na żłóbku Chrystusa także słuchałem odprawianej mszy. Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło było w prostej grocie, gdzie anieli zwiastowali pasterzom narodzenie się Pana. Miło widzieć wioseczkę Jerycho, niegdyś zrujnowaną głosem trąby wodza Boskiego. Ale żeby opisać wszystkie te szczegółowe wypadki i wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcząc ziemię Palestyńską, trzeba by na to dzieła...

A ziemia tu, o, droga moja, jak piękna! Jakiemi ranunkami ognistego koloru i błękitnej farby okryta, jakie narcysy, jakie irisy, jak podobna do pięknego kobierca! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie, nieplodne, nadają temu miastu straszną fizjognomję; okropną jest dolina Józafata. Z pod oliw Chrystusa wziąłem ziemię na me martwe oczy. Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami, na jednej z nich stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. W Tyberjadzie nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołym niebem, a kiedyś się obudziłem i odkryłem głowę, widziałem księżyc, późno wschodzący nad jeziorem genezaretańskim

b) Himalaje.

Himalaje „dziedzina śniegu“, systemat najwyższych gór na ziemi, obrębiają z północy swemi olbrzymiemi postaciami gorącą nizinę Hindostanu. Kilkadziesiąt szczytów tego systematu, przewyższających najwyższy szczyt Andów, wznosi się dumnie z pośród niedostępnych pustyń śnieżnych i lodowych.

Południowe pochyłości tych gór podnoszą się z błotnistej pasa Tarai; pierwszy stopień tworzy łańcuch pagórków, pokrytych nieprzebytejmi lasami, przed dusznym, pełnym zarodków febrycznych powietrzem tych okolic człowiek uchodzi ze strachem, jest to niepodzielna dziedzina zwierząt drapieżnych. Dalej następuje drugi i trzeci łańcuch przedgórz; ten ostatni przechodzi w szczytach już 2000 metrów.

Dopiero po przekroczeniu tych przedgórzy oczom wędrowca ukazują się olbrzymie masy Himalajów w całej swej przygniatającej potędze; niezliczone szczyty, błyszczące na lazurowym tle nieba, ciągną się jak oko zasięgnie niby jakaś armja olbrzymów, szturmujących niebo. Wszystko poprzednio widziane: cuda Alp europejskich, potężne widoki Kaukazu — wszystko niknie wobec wielkości Himalajów i człowiek doznaje uczucia jakby na oczy Boską ujrzał potęgę.

Kraina, po której teraz stąpa, jest nieopisanej piękności. Od śnieżnych szczytów i lodowców pędzą ku podróżnikowi potężne, rwące potoki, wydostając się z gór przez głębokie kanjony, wryte w twardych skałach i strome ich ściany skaliste wznoszą się nieraz do 1000 metrów wysoko ponad potokami, których potężne fale toczą olbrzymie złomy granitowe. Wśród pustych rumowisk skalnych biją nieraz gorące źródła i rozlewają się w buchające parą jeziora; dokoła nich rozciągają się bujne łąki, z ubogimi chatami górali, lub święte gaje cedrów i jodeł: cel pobożnych pielgrzymów z wszystkich krain Hindostanu. Co jednak w tej krainie najbardziej uderza europejskiego, to nagle znalezienie tutaj europejskiego świata — europejskiego, tylko w formach daleko bujniejszych. Europejskie zboża rosną tu dziko; jabłka, gruszki, brzoskwinie, morele, śliwki, czereśnie, agrest, maliny, poziomki i t. p. napotykają się obficie na każdej pochyłości, w każdym ogródku około chaty; a z pośród kwitnących drzew owocowych, od wonnych żywopłotów różanych do ucha wędrowca europejskiego dolatuje dobrze znany śpiew słowika.

Ze zbioru A. Manera Wacław Nałkowski.

c) Syberja.

Otoczona zewsząd górami, wstrzymującemi dostęp ciepłych wiatrów, a otwarta ku północy, Syberja ma klimat surowy (kontynentalny), który wszedł w przysłowie; jest to kraina bieguna, zimna, kraina, gdzie drzewa oraz szyby w oknach pękają od mrozu, gdzie mleko sprzedaje się w stanie stałym (zamrożone krążki), gdzie ludzie ślepną od blasku śniegów, kraina, gdzie „marzną westchnienia“ (para oddechu ścina

się w lód). Szczególniej jednak charakterystycznym zjawiskiem klimatu Syberji jest to, że grunt, zaczynając od pewnej nieznaczonej głębokości, jest wiecznie zmarznięty (lód gruntowy), wyjawszы południowo-zachodnie okolice. Zjawisko to wynika stąd, że w pewnej głębokości zmiany temperatury powietrza nie dają się uczuć, i grunt ma zawsze jednakową temperaturę, równą średniej temperaturze roku w danym miejscu; a ponieważ w całej prawie Syberji średnia temperatura roku jest niższą od 0°, stąd więc ów gruntowy lód.

W Jakucku ta warstwa lodu jest tak grubą, iż nadaremnie kopano tam studnię; w miarę głębokości temperatura wzrastała wprawdzie, ale jeszcze w głębokości 382 stóp pozostała poniżej 0°, nie przebito więc warstwy lodowej i nie otrzymano wody. W tym wiecznym lodzie w „lodowym grobie“, zachowały się całe ciała zwierząt, które już dawno wymarły, mianowicie mamutów, gatunki słoni, porośniętych włosami; ich kość, jako „kość słoniowa“ jest przedmiotem handlu. Wschodnia, wyżynowa część Syberji miała klimat surowszy niż zachodnia, wyjawszы samo wybrzeże oceanu Wielkiego, zasłonięte od zimowych wiatrów lądowych przez góry; zresztą za to topnienie lodów na morzu ochockiem obniża tutaj temperaturę lata.

Prócz tego spotykamy w Syberji naturalne zmiany klimatu z południa na północ i po części w związku z niemi zmiany w całej przyrodzie; wskutek tego można Syberję podzielić na trzy równo leżnikowe pasy.

Pas południowy obejmuje góry i przedgórza z żyznymi dolinami, oraz na zachodzie stepy, stanowiące przejście do Turanu, jako to: między Iszymem i Irtyszem, oraz między Irtyszem i Obją; ten ostatni step niezupełnie zasługuje na tę nazwę, jakkolwiek bowiem przez swe jeziora słone stanowi magazyn solny dla Syberji, to jednak posiada prócz tego rozległe bagna oraz lasy, głównie brzożowe, klimat niezdrowy i chmury dokuczliwych owadów, przed któremi ludzie bronią się dymem ognisk oraz włosianemi maskami.

Pas środkowy przedstawia nieprzebyte lasy iglaste (tajgi), rosnące na gruncie bagnistym, który zawiera często ziarnka

złota, splukane z gór i tu osadzone. Tajgi są siedliskiem zwierząt, dostarczających futer, mieszkańcy trudnią się więc łowiectwem, oraz wypłukiwaniem złota z rozsypisk.

Pas północny obejmuje wiecznie zamrożłe błota czyli tundry, jednostajną równinę, niedawno wynurzoną z morza, jak tego dowodzi drzewo napływowe; jest to przez większą część roku najbardziej na świecie ponura pustynia, pokryta nieprzerwanym białym całunem śniegu. Tylko na bardzo krótko śnieg znika, ziemia rozmarza nieco na powierzchni, i wtedy tundra się ożywia: ryby wchodzą z morza w ujścia rzek dla składania ikry, za nimi zjawiają się niezliczone stada błotnego ptactwa renifery uciekają tu z tajg przed owadami, szukając chłodu i suchu. W ślad za światem zwierzęcym zjawia się człowiek, jako rybak, myśliwiec, lub pasterz ze stadami swoich reniferów. Lecz zaledwie powróci zima, ptaki odlatują na południe, renifery wracają do lasu, a ryby do morza; nie pozostaje nic, coby człowieka mogło wiązać do tej krainy — i znów nad białą tundrą zalega cisza grobowa.

Wacław Nalkowski.

176. Z Afryki:

a) Fata morgana.

Karawana wjechała właśnie na wielką, jednostajną równinę, gdy nagle oczom dzieci ¹⁾ przedstawił się cudny widok. Kępy smukłych palm i drzew pieprzowych, plantacje mandarynek, białe domy, mały meczet ze strzelistym minaretem, a niżej mury, otaczające ogrody, wszystko to pojawiło się z taką wyrazistością i w odległości tak niewielkiej, iż można było mniemać, że po upływie pół godziny znajdzie się wśród drzew oazy.

¹⁾ „W pustyni i w puszczy” opisuje Sienkiewicz koleje dwojga dzieci, czternastoletniego Stasia Tarkowskiego i ośmioletniej Angielki Neli Rawlinson, których podczas wojny z Mahdim Sudańczycy Chamis i Gebhr porwali z miejscowości Medinet w Egipcie i uprowadzili w głąb Afryki podzwrotnikowej, skąd im się udało zbiec i w towarzystwie młodego murzyna Kalego i murzynki Mei przedostać się wśród niezliczonych niebezpieczeństw i przygód do wybrzeży Oceanu Indyjskiego, gdzie spotkali szukającą ich ekspedycję angielską.

— Co to? — zawołał Staś. — To chyba Medinet... Poznając minaret i widząc nawet wiatraki na studniach...

Jakoż istotnie, w oddali błyszczały wysoko wzniesione wiatraki studni amerykańskich, podobne do wielkich białych gwiazd. Na zielonem tle drzew widać je było tak dokładnie, że bystry wzrok Stasia mógł odróżnić pomalowane na czerwono brzegi skrzydeł.

— To Medinet!...

Staś wiedział przecie i z książek i z opowiadań, że na pustyni istnieją majaki, zwane „fata morgana“ i że nieraz podróżnym zdarza się widzieć oazy, miasta, kępy drzew i jeziora, które są niczem innem, jak złuda, grą światła, odbiciem rzeczywistych dalekich przedmiotów. Ale tym razem zjawisko było tak wyraźne, tak niemal dotykalne, że jednak nie mógł wątpić, iż widzi prawdziwe Medinet. Oto wieżyczka na domu mudira, oto urządzone pod samym szczytem minaretu kolisty ganek, z którego muezin woła na modlitwy, oto znajome grupy drzew — i zwłaszcza te wiatraki! Nie, to musi być rzeczywistość. Chłopcu przyszło na myśl, że może Sudańczycy, zastanowiwszy się nad położeniem, przyszli do przekonania, że nie uciekną i, nic mu nie mówiąc, nawrócili do Fayumu. Ale spokój ich nasunął mu pierwsze wątpliwości. Gdyby to istotnie było Fayum, czyżby patrzyli na nie tak obojętnie? Widzieli przecie zjawisko i pokazywali je sobie palcami, ale w ich twarzach nie było znać najmniejszej niepewności i wzruszenia. Staś spojrzał jeszcze raz i rzekł sobie: — To fata morgana.

b) Huragan w pustyni.

Rozpalone powietrze poczęło drgać, a wskutek złudzenia oczu, jeźdźcom wydało się, że drgają i piaski. Beduin zdjął z głowy przepoconą czapkę i rzekł:

— Serce pustyni bije trwoga.

A wtem drugi Beduin, jadący na czele, jako przewodnik wielbłądów, odwrócił się i jął wołać:

— Idzie już! — idzie!

I rzeczywiście wiatr nadchodził. W oddali pojawiła się jakby ciemna chmura, która uczyniła się w oczach coraz wyż-

szą i zbliżała się do karawany. Poruszyły się też naokół najbliższe fale powietrza i nagle podmuchy poczęły skręcać piassek. Tu i owdzie tworzyły się lejki, jakby ktoś wiercił kijem powierzchnię pustyni. Miejscami wstawały chybkie wiry, podobne do kolumnienek, cienkich u spodu, a rozwianych, jak pióropusze w górze. Ale wszystko to trwało przez jedno mgnienie oka. Chmura, którą pierwszy ujrzał przewodnik wielbłądów, nadleciała z niepojętą szybkością. W ludzi i zwierzęta uderzyło, jakby skrzydło olbrzymiego ptaka. W jednej chwili oczy i usta jeźdźców napełniły się kurzawą. Tumany pyłu zakryły niebo, zakryły słońce i na świecie uczynił się mrok. Ludzie poczęli tracić się z oczu, a najbliższe nawet wielbłądy majaczyły, jak we mgle. Nie szum — bo na pustyni niema drzew — ale huk wichru głużył nawoływania przewodnika i ryk zwierząt. W powietrzu czuć było taką woń, jaką wydaje czad węgli. Wielbłądy stanęły i odwróciwszy się od wiatru, powyciągały długie szyje w dół, tak, że nozdrza ich dotykały prawie piasku.

Sudańczycy nie chcieli jednak pozwolić na postój, gdyż karawany, które się wstrzymują w czasie huraganu, bywają często zasypane. Najlepiej wtedy jest pędzić razem z wichrem, ale Idrys i Gebhr nie mogli i tego uczynić, albowiem w ten sposób wracaliby do Fayumu, skąd spodziewali się pogoni. Więc, gdy pierwsze uderzenie przeszło, pognali znów wielbłądy.

Nastała chwilowa cisza, lecz rudy mrok rozpraszał się bardzo powoli, albowiem słońce nie mogło przebić się przez tumany, zawieszone w powietrzu. Grubsze i cięższe drobinki piasku poczęły jednak opadać. Napełniały one wszystkie szpary i załamania w siodłach i zatrzymywały się w fałdach odzieży. Ludzie i zwierzęta za każdym oddechem wciągali pył, który drażnił ich płuca i skrzypiał w zębach.

Grubszy piasek opadł zupełnie; pozostał w powietrzu tylko subtelny, czerwony pył, coś w rodzaju śreżogi, przez którą słońce przeświecało, jak miedziana blacha. Ale widać już było dalej. Przed karawaną ciągnęła się teraz płaska równina, na której krańcu bystre oczy Arabów dostrzegły

znów chmurę. Była ona wyższa od poprzedniej, a prócz tego wystrzelały z niej jakby słupy, jakby olbrzymie, rozszerzone u góry kominy. Na ten widok zadrżały serca Arabów i Beduinów, albowiem rozpoznali wielkie wiry piaszczyste. Idrys podniósł ręce i, zbliżywszy dłonie do uczu, począł bić pokłony nadlatującemu wichrowi. Jego wiara w jedyne Boga nie przeszkadzała mu widocznie czcić i bać się innych, albowiem Staś usłyszał wyraźnie, jak mówił:

— Panie! my twoje dzieci, a więc nie pożresz nas!

A „Pan“ właśnie nadleciał i targał wielbładami z siłą tak straszliwą, że omal nie poupadały na ziemię. Zwierzęta zbiły się teraz w ciasną gromadę, z głowami zwróconemi w środek ku sobie. Poruszyły się całe masy piasku. Karawanę ogarnął mrok, głębszy, niż poprzednio, a w tym mroku przelatywały obok jeźdźców jakieś jeszcze ciemniejsze, niewyraźne przedmioty, jakby olbrzymie ptaki, lub rozpędzone wraz z huraganem wielbłądy. Lęk ogarnął Arabów, którym zdawało się, że to są duchy zaginionych pod piaskami zwierząt i ludzie. Wśród huku i wycia wichru słyhać było dziwne głosy, podobne to do szlochania, to do śmiechu, to do wołania o pomoc.

Lecz to były złudy. Karawanie groziło stokroć straszniejsze, rzeczywiste niebezpieczeństwo. Sudańczycy wiedzieli dobrze, że jeśli który z wielkich wirów, tworzących się ustawicznie w łonie huraganu, pochwyci ich w swe skręty, to postrąca jeźdźców i porozprasza wielbłądy, a jeśli załamię się i zwali na nich, wówczas w mgnieniu oka usypie nad nimi olbrzymią piaszczystą mogiłę, w której będą czekali, póki następny huragan nie odwieje ich kościotrupów. Wieja uczyniła się tak straszna, że ani nie mogli usiedzieć na wielbłędach, ani wielbłądy ustać na miejscu.

Dwaj Beduini, oraz Chamis i Gebhr zeskoczyli na ziemię, aby trzymać zwierzęta za postronki, przywiązane do kantarów pod ich szczęką dolną. Zwierzęta rozstawiały jak najszerzej nogi, by oprzeć się wścieklej wicherze, ale brakło im sił, i karawana, smagana żwirem, który zaciął jakby setkami biczów, i piaskiem, który kłuł, jak szpilkami, poczęła to powolniej, to pospieszniej kręcić się i cofać pod naporem. Chwilami wicher

wyrywał doły pod jej nogami, to znów piasek i żwir, obijając się o boki wielbłądów, tworzyły w mgnieniu oka kopce, sięgające do ich kolan i wyżej. W ten sposób płynęła godzina za godziną. Niebezpieczeństwo stawało się coraz straszliwsze. Gebhr zrozumiał wreszcie, że jedynem zbawieniem będzie sięść na wielbłądy i lecieć z wichrem. Ale byłoby to wracać w stronę Fayumu, gdzie czekały na nich sądy egipskie i szublenica.

— Ha! trudno — pomyślał Gebhr. — Huragan wstrzymał także i pogoń, a gdy ustanie, puścimy się znów na południe.

I począł krzyczeć, by siadano na wielbłądy.

A wtem zaszło coś, co zmieniło całkiem położenie.

Oto nagle, mroczne, prawie czarne chmury piasku prześwieciły się sinawem światłem. Ciemność potem uczyniła się jeszcze głębsza, ale jednocześnie wstał śpiący na wysokościach i zbudzony przez wicher grzmot, począł przewalać się między pustynią Arabską i Libijską — potężny, groźny, rzekłbyś gniewny. Zdawało się, że z niebios staczają się góry i skały. Ogłuszający łoskot wzmagał się, rośl, wstrząsał światem, jał obiegać cały widnokrąg — miejscami wybuchał z siłą tak straszną, jakby spękane sklepienie niebieskie waliło się na ziemię; — potem znów toczył się z głuchym, ciągłym turkotem; znów wybuchał, znów łamał się, oślepiął błyskawicą, raził gromami, zniżał się, podwyższał, huczał i trwał.

Wiatr ucichł, jakby przerażony, a gdy po długim czasie, gdzieś w niezmiernej oddali wrzeczadze niebios zatrzasnęły się za grzmotem, nastała martwa cisza.

Lecz po chwili w tej ciszy rozległ się głos przewodnika:

— Bóg jest nad wichrem i burzą! Jesteśmy ocaleni!

Ruszyli. Ale otaczała ich noc tak nieprzebita, że, choć wielbłądy biegły blisko, ludzie nie mogli się widzieć — i musieli co chwila odzywać się głośno, by się wzajemnie nie pogubić. Od czasu do czasu jaskrawe błyskawice sine, lub czerwone rozświecały piaszczystą przestrzeń, lecz po nich zapadała ciemność tak gęsta, że prawie namacalna. Mimo otuchy, którą wlał w serca Sudańczyków głos przewodnika, niepokój nie opuścił ich jeszcze, właśnie dlatego, że posuwali się na oślep,

nie wiedząc naprawdę, w którą stronę dążą — czy nie kręcą się w kółko, lub nie wracają na północ. Zwierzęta potykały się co chwila, i nie mogły biec prędko, a przytem dyszały jakoś dziwnie i tak rozgłośnie, że jeźdźcom wydawało się, iż to cała pustynia drży z trwogi. Spadły nakoniec pierwsze wielkie krople dżdżu, który prawie zawsze następuje po huraganie.

c) Podzwrotnikowe lasy.

Oboje z Nel zaczęli przypatrywać się ciekawie roślinności, ponieważ dotychczas nigdy nie przejeżdżali tak blisko podzwrotnikowego lasu. Jechali teraz samym jego brzegiem, aby mieć nad głową cień. Ziemia tu była wilgotna i miękka, zarośnięta ciemno-zieloną trawą, mchami i paprocią. Gdzieś niedaleko leżały stare spróchniałe pnie, pokryte jakby kobiercem prześlicznym storczykami o pstrych, podobnych do motyli kwiatach, z również pstrym dzbankiem w środku korony.

Gdzie dochodziło słońce, tam ziemia złociła się od innych storczyków, drobnych i żółtych, w których dwa płatki kwiatu, wznosząc się po bokach płatka trzeciego czyniły podobieństwo do głowy zwierzątka o dużych ostro zakończonych 'uszach. W niektórych miejscach las podszyty był krzakami dzikiego jaśminu, upiętymi w girlandy z cienkich pnączów, kwitnących różowo. Płytkie parowy i wgłębienia porastały paprocie, zbite w jeden nieprzenikniony gąszcz, to niskie i rozłożyste, to wysokie, z pniami poobwijanymi jakby kądzielą, sięgające aż do pierwszych konarów drzew i rozpostarte pod nimi w delikatną zieloną koronkę. W głębi nie było jednolitych drzew: daktylowce, rafie, palmy wachlarzowe, sykomory, chlebowce, euforbje, olbrzymie odmiany senecjonów, akacji, drzewa o ulścieniu ciemnem i lśniącym, i jasnem lub czerwonym jak krew, rosły obok siebie, pień przy pniu, splecione gałęziami, z których strzelały kwiaty żółte i purpurowe, podobne do świeczników. W niektórych odstępach nie było wcale widać drzew, gdyż od ziemi aż do wierzchołków pokrywały je pnacze, przerzucając się z pnia na pień, tworząc jakby wielkie litery: W i M, zwieszając się nakształt festonów, firanek i całych kotar. Liany kauczukowe dusiły wprost w tysiącnych węzowych skrętach

drzewa i zmieniały je w piramidy, zasypane białem kwieciami, jak śniegiem. Naokół większych lianów obwijały się mniejsze, i gmatwanina stawała się tak niesłychana, że przetwarzała się niemal w ścianę, przez którą ani człowiek, ani zwierz nie zdolałby się przedrzeć. Miejscami tylko, gdzie przedzierały się słonie, których sile nic nie potrafi się oprzeć, były powybijane w gąszczu jakby głębokie i kręte korytarze.

Śpiewu ptaków, który tak umila lasy europejskie, nie było wcale słyhać, natomiast wśród wierzchołków drzew rozlegały się najdziwniejsze wołania, podobne to do odgłosu, jakie wydaje piła, to do bicia w kotły, to do klekotania bocianów, to do skrzypienia starych drzwi, to do klaskania w ręce, do miauczenia kotów, lub nawet do głośnej, podnieconej rozmowy ludzkiej. Kiedy niekiedy wzbijało się ponad drzewa stadko papug szarych, zielonych, białych, lub gromadka jaskrawo upierzonych tukanów o cichym, falistym locie. Na śnieżnym tle kauczukowych pnączy migały niekiedy, jak leśne duchy, małe małpki żałobniczki, czarne zupełnie, z wyjątkiem białego ogona, białych pasów po bokach i takichże faworytów, otaczających twarz barwy węgla.

Dzieci patrzyły z podziwem na ten dziewiczy las, na który może jeszcze nigdy nie spojrzały oczy białego człowieka.

d) L w y.

Słońce zniżyło się już ku zachodowi. Gebhr myślał o noclegu; chciał tylko dotrzeć do jakiejś dolinki, w której możnaby urządzić zeribę, to jest otoczyć karawanę wraz z końmi płotem z kolczastych mimoz i akacji, chroniących od napadu dzikich zwierząt. Pies biegł naprzód, poszczekując na małpy, które na jego widok rzucały się niespokojnie, i raz wraz znikał w zakrętach wąwozu. Echo powtarzało rozgłosne jego szczekanie.

Nagle jednak umilkł, a po chwili przybiegł pędem do koni ze zjeżoną sierścią na grzbiecie i wtulonym pod siebie ogonem. Beduini i Gebhr zrozumieli, że musiało go coś przestraszyć, ale spojrzawszy po sobie i chcąc przekonać się, co by to być mogło, ruszyli dalej.

Lecz przejechawszy mały zakręt, zdarli konie i stanęli w jednej chwili, jak wryci, na widok, który uderzył ich oczy.

Oto na niewielkiej skale, leżącej w samym środku dość szerokiego w tym miejscu wąwozu, leżał lew.

Dzieliło ich od niego najwyżej sto kroków. Potężny zwierz, ujrzawszy jeźdźców i konie, podniósł się na przednie łapy i począł na nie patrzeć. Nisko stojące już słońce oświecało jego ogromną głowę, kudłate piersi — i w tym czerwonym blasku podobny był do jednego z takich sfinksów, jakie zdobią wejścia do starożytnych świątyń egipskich.

Konie były przysiadac na zadach, kręcić się i cofać. Zdumieni i przerażeni jeźdźcy nie wiedzieli, co począć, więc z ust do ust przelatywały tylko trwożne i bezradne słowa: „Allah! Bismillah! Alla Akbar!“

A król puszczy patrzył na nich z góry, nieruchomy, jakby odlany z brązu.

Gebhr i Chamis słyszeli od kupców, przybywających z kością słoniową i gumą z Sudanu do Egiptu, że lwy kładą się czasem na drodze karawan, które, wobec tego, muszą po prostu zbaczać. Lecz tu nie było gdzie zboczyć. Wypadało chyba zawrócić i uciekać! Tak! ale w takim razie było rzeczą niemal pewną, że straszny zwierz rzuci się za nimi w pogoń.

Znów zatem zabrzmiały gorączkowe pytania:

— Co robić?

I znowu zapadła cisza. Słyszać było tylko chrapanie koni i przyspieszony oddech piersi ludzkich.

— Spuść Kalego z powroza — ozwał się nagle do Gebhra Chamis — a my uciekajmy na koniach, wówczas lew jego pierwszego dogoni i jego tylko zabije.

— Uczynić tak! — powtórzyli Beduini.

Lecz Gebhr odgadł, że w takim razie Kali wdrapie się w mgnieniu oka na ścianę skalną, a lew pogna za końmi, przeto do głowy wpadł mu inny, okropny pomysł. Oto zaraznie chłopca i rzuci go przed siebie, a wtedy zwierz, skoczywszy za nimi, ujrzy na ziemi krwawe ciało i zatrzyma się, by je pożreć.

Więc przyciągnął Kalego powrozem do siodła i już podniósł nóż, gdy w tej samej sekundzie Staś chwycił go za szeroki rękaw dziuby.

— Co robisz, łotrze?

Gebhr począł się szarpać i, gdyby chłopiec chwycił był go za rękę, wyrwałby się natychmiast, ale z rękawem nie poszło tak łatwo, więc, szarpiąc się, począł jednocześnie charczeć stłumionym ze wściekłości głosem:

— Psie, jeśli jego nie starczy, zakłuję i was! Allah! zakłuję, zakłuję!

A Staś pobladł śmiertelnie, albowiem błyskawicą przebiegła mu myśl, że lew, goniąc przedewszystkiem za końmi, może istotnie pominąć w pędzie trupa Kalego, a w takim razie Gebhr z największą pewnością zarżnie kolejno ich oboje..

Więc, ciągnąc ze zdwojoną siłą za rękaw, krzyknął:

— Daj mi strzelbę!... zabiję lwa!

Beduinów zdumiały te słowa, ale Chamis, który widział jeszcze w Port-Saidzie, jak Staś strzela, począł natychmiast wołać:

— Daj mu strzelbę! On zabije lwa!

Gebhr z wielkim pośpiechem podał chłopcu sztucer, a Chamis otworzył co do ducha pudło z nabojami, z którego Staś zaczerpnął pełną garścią.

Potem zeskoczył z konia, wsunął ładunki w lufy i ruszył naprzód.

Przez pierwsze kilka kroków był jakby odurzony i widział tylko siebie i Nel, z szyjami podrżniętymi nożem Gebhra. Ale wnet bliższe i straszniejsze niebezpieczeństwo kazało mu zapomnieć o wszystkim innem. Miał przed sobą lwa! Na widok zwierza pociemniało mu w oczach. Poczuł zimno w policzkach i w nosie, poczuł, że nogi ma jak ołowiane i że mu brak tchu. Poprostu bał się. W Port-Saidzie czytywał, nawet i w czasie lekcji, o polowaniach na lwy, ale co innego było oglądać obrazki w książkach, a co innego stanąć oko w oko z potworem, który teraz oto patrzył na niego jakby ze zdziwieniem, marszcząc swe szerokie, podobne do tarczy czoło.

Arabowie przytaili dech w piersiach, albowiem nigdy w życiu nie wiedzieli nic podobnego. Z jednej strony mały chłopiec, który wśród wysokich skał wydawał się jeszcze mniejszy, z drugiej potężny zwierz, złoty w promieniach słońca, wspaniały, groźny, — „pan z wielką głową“, jak mówią Sudańczycy.

Staś przemógł całą siłą woli bezwładność nóg i posunął się dalej. Jeszcze przez chwilę wydało mu się, że serce podchodzi mu aż do gardła — i trwało to dopóty, dopóki nie podniósł strzelby do twarzy. Wówczas trzeba było myśleć o czem innem. Czy zbliżyć się więcej, czy już strzelać? gdzie mierzyć? Im mniejsza odległość, tem strzał pewniejszy... a zatem dalej! dalej! kroków czterdzieści — jeszcze za dużo... trzydzieści! — dwadzieścia! Już powiew przynosi ostry zwierzęcy swąd...

Chłopiec stanął.

— Kula między oczy, albo po mnie! — pomyślał. — W Imię Ojca i Syna!...

A lew podniósł się, przeciągnął grzbiet i zniżył głowę. Wargi poczęły mu się odchyłać, brwi nasunęły się na oczy. Ta drobna jakaś istotka ośmieliła się podejść zbyt blisko — więc gotował się do skoku, przysiadając, z drganiem ud na tylnych łapach...

Lecz Staś przez jedno mgnienie oka dostrzegł, że muszka sztucera przypada na czołe zwierza — i pociągnął za cyngiel.

Huknął strzał. Lew wspiął się tak, że przez chwilę wyprostował się na całą wysokość, poczem runął na wznak, czterema łapani do góry.

I w ostatniej konwulsji stoczył się ze skały na ziemię.

Staś trzymał go jeszcze przez kilka minut pod strzałem, lecz widząc, że drgawki ustają i że płowe cielsko wyprężyło się bezwładnie, otworzył strzelbę i założył nowy ładunek.

Ściany skaliste rozbrzmiewały jeszcze gromkiem echem. Gebhr, Chamis i Beduini nie mogli zrazu dojrzeć, co się stało, gdyż poprzedniej nocy padał deszcz i z powodu wilgoci powietrza dym zasłonił wszystko w ciasnym wąwozie. Dopiero, gdy dym opadł, poczęli krzyczeć z radości i chcieli skoczyć

ku chłopcu, ale napróżno, gdyż żadna siła nie mogła zmusić koni do kroku naprzód.

A Staś zawrócił, objął wzrokiem czterech Arabów i wpił oczy w Gebhra. Zbliżył się ku nim — znów stanął — i nagle z błyskawiczną szybkością podniósł strzelbę do twarzy.

Dwa strzały, jeden za drugim, targnęły echem wawozu: Gebhr runął na ziemię, jak wór piasku, a Chamis pochylił się w kulbace i uderzył krwawym czołem o kark koński.

Dwaj Beduini wydali okropny krzyk przerażenia i, zeskoczywszy z koni, rzucili się ku Stasiowi. Zakręcił się za nimi niedaleki i gdyby byli uciekali za siebie, czego Staś życzył sobie w duszy, byliby mogli uchronić się przed śmiercią. Ale zaślepionym trwogą i wściekłością wydawało się, że dopadną chłopca wpierw, nim zdoła zmienić naboje, i zażgają go nożami. Głupcy! — ledwie przebiegli kilkanaście kroków, szczęknęła znów złowrogo strzelba, wawoz odegrzmiał echem nowych strzałów i obaj padli twarzami na ziemię, rzucając się i tłukąc, jak wyjęte z wody ryby.

Zaraz po zachodzie słońca wiatr ustał, natomiast powietrze stało się parne i ciężkie. W przerwach między chmurami, przeświecały z początku tu i owdzie gwiazdy, ale następnie noc zapadła zupełnie czarna, tak, że na krok niebyło nic widać. Mali wędrowcy zgromadzili się przy ogniu, nasłuchując wrzasków i skrzeczenia małp, które w pobliskim lesie czyniły prawdziwy jarmark. Wtórowało im skomlenie szakali i rozmaite inne nieznane głosy, w których znać było niepokój i strach przed tem, co pod osłoną ciemności grozi w puszczy każdej żywej istocie.

Nagle zrobiło się cicho, jak makiem siał, albowiem w mrocznych głębinach rozległo się stękanie lwa.

Konie, które pasły się opodal wśród młodej dżungli, zaczęły zbliżać się do światła podskakując na spętanych przednich nogach, waleczny zaś zwykle Saba — pies — zjeżył sierść i z wciśniętym ogonem tulił się do ludzi, szukając widocznie ich opieki.

Stękanie rozległo się znowu — rzekłbyś, z pod ziemi — głębokie, ciężkie, wysilone, jakby zwierz z trudnością wydobywał je ze swych potężnych płuc. Szło nisko nad ziemią, naprzemian wznosiło się i cichło, przechodząc chwilami w głucho, ogromnie posępne jęki.

— Kali! dorzuć do ognia! — ozwał się Staś.

Murzyn dorzucił tak skwapliwie na ognisko naręcze gałęzi, że naprzód buchnęły całe snopy iskier, poczem dopiero strzelił w górę wysoki płomień.

W tej chwili od strony lasu zagrzemiał drugi ryk, jeszcze potężniejszy od pierwszego, bo bliższy. Konie poczęły się wprost pchać na zeribę i gdyby nie długie i twarde jak stal kolce akacjowych gałęzi, byłyby je przełamały. Saba warczał i zarazem drżał, jak liść, Kali zaś jął powtarzać przerywanym głosem:

— Panic! dwa! dwa!... dwa!...

A lwy, poczuwszy się wzajem, nie ustawały teraz ryczeć i straszliwy koncert trwał w ciemnościach ciągle, albowiem, gdy jeden zwierz milknął, poczynął drugi. Staś nie mógł wkrótce rozpoznać, skąd dochodzą ich głosy, gdyż echo powtarzało je w wąwozie, skała odsyłała je skale, szły górą i dołem, napelniały las, dżunglę, nasycaly całą ciemność grzmo-tem i trwogą.

Jedna tylko rzecz zdawała się chłopcu pewna, a mianowicie, że zbliżały się coraz bardziej. Kali zmiarkował również, że lwy obiegają obozowisko, zataczając coraz mniejsze kręgi, i że, powstrzymywane od napadu tylko blaskiem płomienia, wypowiadają rykiem swe niezadowolenie i obawę.

Buchnął znów żywszy płomień; ryki ustały nagle. Ale Kali podniósł głowę i, patrząc w górę, począł nasłuchiwać.

— Co tam? — zapytał Staś.

— Deszcz! — odrzekł murzyn.

Staś nastawił z kolei uszu. Konary drzewa osłaniały namiot i całą zeribę, więc na ziemię nie spadła jeszcze żadna kropla, ale w górze słychać było szelest liści. Ponieważ parnego powietrza nie poruszał najmniejszy powiew, łatwo się było domyślić, że to deszcz poczyna szemrać w gęstwinie

Spadało coraz więcej kropel, a wreszcie przez gęstwą poczęły przenikać całe sznurki wody.

Ognisko pociemniało. Próżno Kali dorzucał całe naręcza. Z wierzchu mokre gałęzie dymiły tylko, a od spodu syczały węgle, i płomień, co się wzmógł, to przygasał.

Kali dał za wygraną i nie dokładał więcej suszu. Natomiast, zarzuciwszy naokół drzewa powróż, wspinał się zapomocą niego coraz wyżej po pniu.

Grozę położenia zwiększało i to, że wiatr rozmiótł do szczętu zeribę. Wszystko groziło zgubą. Strzelba Stasia nie mogła przydać się na nic.

Wtem, między jednym a drugim uderzeniem wiatru, doszedł ich głos Kalego, zaledwie dosłyszalny wśród pluskania dżdżu:

— Panie, na drzewo! na drzewo!

Wkrótce wszyscy czworo znaleźli się na drzewie.

Głęboką ciszę nocną rozdarł nagle kwik koński, straszny, przeraźliwy, pełen bólu, trwogi i śmiertelnego przerażenia. Zakotłowało się coś w ciemności, rozległ się krótki charkot, następnie głuche jęki, chrapanie, drugi kwik koński, jeszcze przeraźliwszy, poczem wszystko umilkło.

— Lwy, panie wielki! lwy zabijają konie! — szeptał Kali.

Było coś tak okropnego w tym nocnym napadzie, w tej przemocy potworów i w tem nagłym morderstwie bezbronych zwierząt, że Staś struchlał na chwilę i zapomniał o strzelbie. Na co zresztą przydałoby się strzelać wśród takiej ćmy? Chyba na to, by ci nocni mordercy, jeśli światło i huk ich przstraszy, porzucili zabite już konie, a pognali za tymi, które rozproszyły się i odleciały od obozowiska tak daleko, jak na spętanych nogach mogły odlecieć.

Stasia przeszły ciarki na myśl, coby się stało, gdyby byli pozostali na dole.

177. Z Ameryki:

a) Życie osadnicze.

Czem była Borowina? Osadą, która miała powstać. Ale widocznie nazwę obmyślono z góry, wychodząc z zasady, że,

gdzie istnieje nazwa, tam musi istnieć i rzecz. Poprzednio gazety polskie, a nawet i angielskie, wychodzące w Nowym-Yorku, Chicago, Buffalo, Detroit, Milwaukee, Manitovok, Denver, Calumet, słowem, wszędzie, gdzie można usłyszeć mowę polską, głosiły całemu światu w ogólności, a polskim osadnikom w szczególności, że, ktoby z nich chciał być zdrowym, bogatym, szczęśliwym, jeść tłusto, żyć długo, a po śmierci na pewno otrzymać zbawienie, to niech się zapisuje na działkę w raju ziemskim, czyli w Borowinie. Ogłoszenia mówiły, że Arkansas, w którym ma stanąć Borowina, jest krajem pustym jeszcze, ale najzdrowszym w świecie. Wprawdzie miasteczko Memphis, leżące na samej granicy, z tamtej strony Missisipi, jest siedliskiem żółtej febry, ale według ogłoszeń ani żółta, ani żadna inna febra nie potrafiłaby przepłynąć takiej rzeki, jak Missisipi. Na górnym brzegu rzeki Arkansas niema jej dlatego jeszcze, że sąsiedzi Indianie Choctaw's (wym.: Czoctus) oskalpowaliby¹⁾ ją bez żadnej litości. Febra drży na widok czerwonej skóry.

Takim obietnicom i widokom trudno się było oprzeć. Tych, którymby mniej podobało się sąsiedztwo Choctaw'ów, ogłoszenia zapewniały, że ten waleczny szczep ożywiony jest szczególniejszą sympatią właśnie dla Polaków, że więc należy przewidywać stosunki jak najuprzejmiejsze. Zresztą wiadomo, że gdzie przez lasy i stepy przejdzie kolej żelazna i słupy telegraficzne w kształcie krzyżów, tam owe krzyże stają się wkrótce znamionami, stojącemi na mogilnikach indyjskich; że zaś ziemia pod Borowiną nabyta została od kolei żelaznej, zniknięcie więc Indian było tylko kwestją czasu.

Ziemia została nabyta istotnie od kolei żelaznej, co zapewniało osadzie związek ze światem, zbyt dla produktów i przyszły rozwój. Ogłoszenia zapomniały wprawdzie dodać, że kolej ta była dopiero projektowaną i że właśnie sprzedaż sekcji, nadawanych kolejom przez rząd w krajach pustych, miała zapewnić, a raczej dopełnić funduszu potrzebnego na budowę; zapomnienie to zresztą pociągało tę tylko różnicę dla

¹⁾ Skalp (z angielskiego) — skóra z włosami, zdjęta z głowy ludzkiej; oskalpować — zdjąć skórę z włosami z głowy.

Borowlny, że osada, zamiast się znajdować na linii drogi, leżała w głuchej pustyni, do której trzeba się było dostawać wśród wielkich trudów wozami.

Odłożywszy jednak na bok wszystko, co w ogłoszeniach o Borowinie należało uważać za tak zwany humbug ¹⁾, można było jeszcze mniemać, że osada ta nie będzie wcale gorsza od tysiąca innych, których powstawanie z niemniejszą przesadą głoszano.

Warunki wydawały się nawet z wielu względów pomyślnemi, stąd mnóstwo osób, a nawet rodzin polskich, rozproszonych po całych Stanach, od wielkich jezior aż po palmowe lasy Florydy, od Atlantyku aż po kalifornijskie wybrzeża zapisało się na osiedleńców w mającej powstać osadzie. Mazurzy pruscy, Ślązacy, Poznańczycy, Galicjanie, Litwini z Augustowskiego i Mazurzy z pod Warszawy, którzy pracowali po fabrykach w Chicago i Milwaukee i którzy oddawna wzdychali do życia, jakie chłop z chłopów powinien prowadzić, chwycili pierwszą sposobność, by się z dusznych, zakopcanych dymem i sadzą miast wydostać, a łąć się pługą i siekiery w przestronnych polach, borach i stepach Arkansasu. Ci, którym było za gorąco w Pannie Marji w Teksas, lub za zimno w Minessocie, lub za wilgotno w Detroit, lub za głodno w Radomiu w Illinois, połączyli się z pierwszymi, i kilkuset ludzi, najwięcej mężczyzn, ale wiele także niewiast i dzieci, wyruszyło do Arkansas. Nazwa „Bloody-Arkansas“, to jest „krwawy“, nie odstraszała zbyt osadników. Jakkolwiek, prawdę mówiąc, kraj ten obfituje dotychczas w drapieżnych Indian, w tak zwanych autlawów, czyli rozbójników, zbiegłych z pod prawa, w zdziczałych skwaterów ²⁾, wycinających drzewo wbrew zakazom rządowym nad Red-River (Czerwoną rzeką) i w różnych innych awanturników lub drapichróstów, urwanych z pod szubienicy; jakkolwiek dotąd zachodnia część tego Stanu słynną jest z okrutnych zapasów między czerwonoskórymi a białymi myśliwcami na bawoły i ze straszliwego

1) Humbug — łgarstwo, oszukaństwo.

2) Skwater (z angielskiego) — osadnik,

prawa lynch¹⁾): przecie można dać sobie z tem wszystkim radę. Mazur, gdy czuje sękacza w łapie, a zwłaszcza jeszcze gdy ma po Mazurze z każdego boku i Mazura za sobą, nie bardzo komu ustąpi.

Przybywszy na miejsce, osadnicy rozczarowali się bardzo. Spodziewali się zastać na gruntach, przeznaczonych na osadę, pola i las, a znaleźli tylko las, który dopiero trzeba było karczować. Czarne dęby, drzewa czerwone, bawełniane (tak zwane cottonwood), tak zwane platany i posępne hickory, stały obok siebie jedną masą. Puszcza to była nie na śmiech, podszyta czaporalem z dołu, powikłana w górze lianami, które, przeskakując naksztalt lin i sznurów z drzewa na drzewo, tworzyły jakby zwieszające się mosty, jakby zasłony, jakby bisiory jakie, kwieciami okryte, a tak gęste, tak stłoczone i zbite, że oko nie pobiegło w dal, jako w naszych lasach; kto się zapuścił głębiej, ten nieba nad sobą nie dojrzał i w mroku błądzić musiał i zbłądzić mógł i zaprzepaścić się na zawsze. Jeden i drugi Mazur spoglądał to na własne pięście, to na siekiere, to na owe dęby, mające po kilkanaście łokci obwodu, i niejednemu markotno się zrobiło. Błogo mieć drzewo na chałupę i na opał, ale wyciąć las jednemu człowiekowi na 160 morgach, pniaki z ziemi wydrapać, wykroty zrównać i dopiero imać się pługą, to praca na całe lata.

Ale nie było nic innego do roboty, więc zaraz drugiego dnia po przybyciu taboru jaki taki przeżegnał się, w ręce splunął, chwycił toporzysko, stęknął, machnął, uderzył i od tej pory codzień słyhać było huk siekier w tym arkansaskim lesie, a czasem i pieśni, rozlegające się echem:

Przyszedł Jasieńko,
Przyszedł ze dworu;
„Mila Kasieńko,
Pójdźwa do boru.
Do boru, do ciemnego“.

Tabor stał wedle strumienia, na dość obszernej polance, brzegiem której miały stanąć w kwadrat chałupy, na środku

¹⁾ Lynch (wymawiaj: lynecz) — prawo doraźnego odwetu, mocą którego schwytany zbrodniarz natychmiast odbiera karę.

zaś z czasem kościół i szkoła. Ale do tego było jeszcze daleko; tymczasem zaś stały wozy, na których przybyły rodziny osadnicze. Wozy te ustawiono w trójkąt, by w razie napadu można w nich się bronić, jak w fortecy. Za wozami na pozostałej części polanki chodziły muły, konie, woły, krowy i owce, nad którymi czuwała straż, złożona z młodych, zbrojnych parobków. Ludzie sypiali na wozach, lub też za ich obrębem nakoło ognisk.

W dzień kobiety i dzieci zostawały w taborze, obecność zaś mężczyzn można było poznać tylko po huku siekier, którym rozbrzmiewał cały las. Nocami wyły w gąszczach dzikie zwierzęta, mianowicie jaguary, arkansaskie wilki i kujoty. Straszne szare niedźwiedzie, które blasku ognia mniej się boją, podchodziły czasem dość blisko do wozów, skutkiem czego często wśród ciemności rozlegały się wystrzały z karabinów i wołania: „Bywaj bić bestję!” Ludzie, którzy przybyli z dzikich stron teksaskich, byli po największej części wprawnymi myśliwcami, i ci dostarczali z łatwością sobie i swym rodzinom zwierzyny, mianowicie antylop, jeleni bawołów; była to bowiem pora wiosennych wędrówek tych zwierząt na północ. Reszta osadników żywiła się zapasami, zakupionemi w Little-Rock lub Clarsville, a składającemi się z kukurydzowej mąki i solonego mięsa. Prócz tego bito owce, których pewną ilość zakupiła każda rodzina.

Wieczorami, gdy wedle wozów rozpalono wielki ogień, młodzież po wieczerzy, zamiast iść spać, puszczała się w tańiec. Jakiś grajek przywiózł ze sobą skrzypce, na których wygrywał obertasa od ucha, a gdy głos skrzypiec ginął nadto wśród leśnego szumu i pod otwartem niebem, inni pomagali grajkowi na sposób amerykański, brzękając w blaszane miski. Życie uchodziło w pracy ciężkiej gwarnie, a przytem bezładnie. Najpierwszą rzeczą było postawić chałupy; jakoż wkrótce na zielonem podścielisku polanki stały zręby domów, cała zaś jej powierzchnia pokryła się wiorami, heblownikami, kawałkami kory i tem podobnem śmieciem drzewnem. Czerwone drzewo, czyli tak zwane redwood, łatwo dawało się obrabiać, ale często trzeba było po nie chodzić daleko. Nie-

którzy pourządzali sobie tymczasowe namioty z płócien, podzieranych z wozów. Inni, zwłaszcza nieżonaci, którym mniej pilno było do dachu nad głową, a więcej przykrzył się karczunek, zaczęli orać w miejscach, gdzie puszcza nie była podszyta i gdzie dęby i hickory, t. j. żelazne drzewa były rzadsze.

Pewnego wieczora w czarnej dali leśnej ludzie ujrzeli niby wielką gwiazdę złotą, jakoby wschodzącą zorzę lub słońce, które rosło ze straszną szybkością, rozlewając krwawą i czerwona jasność.

— Bór się pali! bór się pali! — zaczęto wołać w taborze.

Chmary ptactwa podniosły się z łoskotem ze wszystkich stron lasu, krzycząc, kracząc, świergocąc. Bydło w obozie zaczęło ryczeć żałośnie, psy wyły, ludzie biegali przerażeni, nie wiedząc, czy nie na nich idzie pożoga, ale silny wiatr południowy mógł gnać płomienie tylko od polanki. Tymczasem w dali zabłysła druga czerwona gwiazda, potem trzecia. Obie wkrótce zlały się z pierwszą, i pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomienie rozlewały się, jak woda, biegły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wino, trzęsły liśćmi. Wicher wyrывał te płonące liście, niósł je, jakby ptaki ogniste dalej.

Hickory pękały z hukiem armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wiły się po smolnem podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask gałęzi, głuche huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt, napełniały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się, niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i, kołysząc się strasznie, niby jakieś szatańskie ramiona, podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zaczerwieniło się, jakby w niem drugi był pożar. Zrobiło się widno, jak w dzień. Potem wszystkie płomienie zlały się w jedno morze ognia i szły przez las, jakby tchnienie śmierci, lub gniew Boży.

Dym, upał i woń spalenizny napełniły powietrze. Ludzie w taborze, choć im nie groziło niebezpieczeństwo, zaczęli krzyczeć i nawoływać się wzajemnie:

— Nie będziemy karczowali. Bór spalony. Jutro będziemy mieli z tej strony pola, ile kto strzyma.

Pożoga tymczasem, hucząc, odchodziła dalej a dalej; dzień zrobił się chmurny i groził deszczem. Świtaniem niektórzy ludzie poszli obejrzeć zgliszcza, ale niepodobna było zbliżyć się od gorąca.

Drugiego dnia sreżoga naksztalt mgły zawisła w powietrzu, tak, że człowiek człowieka o kilkanaście kroków nie mógł odróżnić. W nocy zaczął padać deszcz, który potem przeszedł w straszną ulewę. Być może, że pożar, wstrząsnawszy atmosferą, przyczynił się do spędzenia chmur, ale prócz tego była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Mississipi, tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej padają zwykle ogromne deszcze. Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas — pokrywając w kształcie błot, małych jezior i strumieni kraj cały — zwiększają się na wiosnę z powodu topnienia śniegów w dalekich górach. Cała polanka rozmiękła i zmieniła się stopniowo w wielką sadzawkę. Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę, pragnąc się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem.

Tymczasem nowy dopust miał spaść na osadę.

Deszcz lał coraz większy. Pewnej głuchej nocy w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy: Woda! woda!

Gdy ludzie przetarli ze snu oczy, ujrzeni w ciemności, jak okiem sięgnąć, jedną białą płaszczyznę, pluskającą pod deszczem i kołysaną wiatrem. Rozpierzchłe i przyćmione światło nocy połyskiwało stalowo na załamaniach i zmarszczkach fali. Od strony brzegu, gdzie sterczały pniaki, i od spalonego lasu słychać było szum i chłopotanie nowych fal, płynących jakby z pędem wielkim.

Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią

stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z nawoływaniem imłon i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta poczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spłynęły i żalosnem beczeniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz lał, jak z cebra, i każda minuta stawiała się coraz straszliwszą. Daleki szum zmieniał się w ogromny gwar i huk rozwścieczonych fal. Wozy zaczęły drzeć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Jeden z wozów, stojący najbliżej spalonego lasu, przewrócił się. Na rozdzierający krzyk: „Ratunku!“ zamkniętych w nim kobiet, kilka ciemnych postaci męskich rzuciło się z drzew, ale fala porwała ratujących, okręciła i poniosła w las na zgubę. Na innych wozach chroniono się na płócienne dachy. Deszcz szumiał coraz większy, coraz większa ciemność padała na tę mroczną łakę. Chwilami belka jaka z uciepioną ludzką postacią przemknęła, rzucona w górę i na dół, chwilami ciemny kształt zwierzęcia lub człowieka, czasem ręka wysunęła się z wody i zapadła w nią na zawsze.

Coraz wścieklejszy huk wód zgłuszył wszystko i ryki tonących zwierząt i wołania: „Jezu! Jezu! Marja!“ Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy, ludzie, cała osada znikły w ogromnem topielisku...

b) Latarnik ¹⁾ w Aspinwall.

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Zawakowało tedy

¹⁾ Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain w jednej ze swoich korespondencji z Ameryki.

miejsce, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemała ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedy-nym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały; i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodziewaniej następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spaloną, jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się konsulowi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubieć siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadru spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legja francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Konsul wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!...
Dwie chorągwie, zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę.
Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą pleny.

(Plenami nazywają niezmierne stopy między New-Yorkiem a Kalifornją).

— All right! ¹⁾ Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

— Sir! ²⁾ — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że konsul, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— Well! ³⁾ — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

¹⁾ Wszystko w porządku (ang.)

²⁾ Panie (ang.)

³⁾ Dobrze (ang.)

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem good bye!...¹⁾ Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.

— All right!

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła, jak zwykle, na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napępniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu uragać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę, jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od climur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam konsulowi, nie wspomniał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że, ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stałe, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego nioś na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Praco-

¹⁾ Do widzenia! (ang.)

wity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australji, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indjach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornji fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wewnątrz Brazylii; tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku; oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i — został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito“. Wreszcie przybył do Aspiwnall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że, gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem miłsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Stary zżył się z wieżą, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością.

Uboństwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawiała się

bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej, między Aspinwall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetą stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem, jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce błakał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zbliska grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakszałt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione dręt看ami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczech, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na owe matos, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć, jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem półczuwaniu, półśnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do półśmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq.“ wypisany na grubem, żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczem ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni — książka była polską. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanji, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczą, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczem życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyną się dźiać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary Aspinwallskie wybiły piątą popołudniu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś, jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...”

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło naksztalt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

„Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy,
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę,
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...”

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczone włosy mieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna. We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przeleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją ułasknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przy-

mnął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy“ zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem“. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkołały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „pamiętasz?“ On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chora-giewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą złuzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co tam wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu i widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bladną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinwall do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po ładach i po morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją

książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

c) Wodospad Niagary.

Pociąg ruszył dalej, my zaś zatrzymaliśmy się dla obejrzenia Niagary i sławnych jej wodospadów. Najęliśmy konie i ruszyliśmy przez most, który oddziela Stany Zjednoczone od Kanady. Na jednej jego stronie znajduje się komora amerykańska, na drugiej angielska; ponieważ zaś wielki wodospad ze strony amerykańskiej jest nieprzystępny, trzeba więc pojechać w posiadłości Anglików. Już jadąc przez most, można widzieć całą szerokość obydwóch wodospadów; jednakże bądź to z powodu dżdżystej pory wiosennej, bądź to z powodu siły, z jaką woda rozbryzguje się, spadając z takiej wysokości, widziałem tylko jakby olbrzymią chmurę mgły, wznoszącą się z przepaści ku niebu. Ale straszliwy huk, wydobywający się z poza tej mgły, zwiastował doskonale, co się dzieje poza jej białawą zasłoną.

Stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów,, stojących na niezmiernie wysokim brzegu, tuż obok wodospadu. — **Wtedy mogłem mu się dobrze przypatrzeć.** Rzeczywiście, widok to, na którego wspomnienie, zwija skrzydła i mdleje wyobraźnia, a pióro wypada z ręki. Olbrzymia masa wód jeziora Erie spływając potężną gardzielą ku Ontario traci nagle grunt pod sobą i spada w dwóch miejscach w otchłań. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód, rozszalałych i dzikich, które same wydają się zbyt przerażone.

Niebo tu chmurne, poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają, jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały, połupane w demoniczne zręby. Huk wody ogłusza się. Ostry wiatr tnie kroplami wodnemi po twarzy. Czasem mgła wybucha nagle u stóp wodospadu i zasłania oku wszystko: to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad jak na dłoni. Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze, zmieszane ze sobą,

tworzą taki chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co się dzieje z tobą samym.

Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczonym a na czoło występują mu krople potu, który mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragnie zawołać „dosyć już“ a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością wypluwa pianę, słychać jakby jakieś jęki, jakby głosy, wołujące o zmiłowanie; — rzekłbyś, że to całe piekło rozpętane szaleje w straszliwej orgji wśród chaosu.

Takie wrażenie, a raczej takie przez pół tylko świadome siebie poczucie wywołuje Niagara. Jest w tem poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze chwilowe zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. To też przezwycięzwszy pierwszy nieład pogiębionych myśli, trudno potem oczy oderwać od tego widoku. Otchłań poczyną nęcić i wabić. Jakaś nieprzezwyjęzona siła ciągnie widza na sam brzeg przepaści, chciałby ją mieć tuż, tuż pod stopami, chciałby pochylić się i zawisnąć, choćby przez chwilę, między życiem a śmiercią. A tam na dnie, potworne skręty spienionej wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciągają na kształt ramion, gotowych objąć i porwać.

Można zejść pod kaskadą, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, a pomiędzy jej strumieniem a skałą znajduje się miejsce wolne, zavalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam się dostać, trzeba najprzód przebrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika murzyna, który wynajmuje siebie i swoje ubrania.

W płaszczach i kapturach z pęcherzów rybich weszliśmy za murzynem do małego drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno, bijące z lodów, leżących między skałą a wodospadem, i ciemność ogarnęły nas zaraz na wstępie. Murzyn szedł naprzód wołając od czasu do czasu „ho! ho!“ dla wskazania nam drogi w ciemnościach. Nakoniec po kilkudziesięciu schodach blade światło, idące z dołu uderzyło w oczy nasze. Weszliśmy do małej sionki z której wyjście wiodło prosto pod wodospad; tu prze-

wodnik przywiązał do butów naszych podeszwy, podbite ostrymi, żelaznymi gwoździami.

Weszliśmy pod wodospad. Wewnątrz huk wydaje się mniejszy niż zewnątrz. Szarawe światło dzienne wnika przez zasłonę wody, napelniając całą jaskinię ponurym jakimś półmrokiem, półblaskiem. Skała stanowiąca tylną ścianę, czarna, popękana; grunt złożony z wielkich złomów lodu; wszędzie dziko i pogrzebowo. Wąskie wstążeczki wody, oderwane od ogólnego wodospadu, spadają z szelestem na lody; powietrze przesiąknięte jest mgłą i kroplami; wiatr, który niewiem skąd się tu dostaje, dmie jakby w kuźni djabelskiej; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paltoty. Mimo mniejszego huku niepodobna się usłyszeć i rozumieć. Po ogromnych i śliskich jak szkło bryłach lodu zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego gesta i poruszenia ust, głos zaś zgiął wśród ryku.

Kiedym spojrzał w górę, zasłona wód wydała mi się nie-ruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany rozpraszały wszelkie złudzenie. Potem spojrzałem na dół. Jakąż to niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody, spadające z taką siłą od wieków! Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem: istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krańca, odetchnąłem głęboko, jakby po nadmiernej pracy. Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne, a oczy me tak dalece już oswoiły się półmrokiem, że widziałem dokładnie każdy złam i każdą szparę czarnej skały, również jak i kępki mchu lśniące wilgocią w szczelinach.

Czas było wracać, bo zimno i wilgoć stawały się coraz dotkliwsze. Wyszedszy na powierzchnię ziemi, nie ujrzelśmy znów wcale wodospadu, wszystko bowiem zasłaniał białawy, tuman mgły, którym było przesiąknięte całe powietrze.

Zwiedziliśmy jeszcze domy leżące nad brzegiem. W jednym z nich jest muzeum, zawierające różne osobliwości Niagary, jako: muszle, skamieniałości, kości zwierząt, porwanych przez pęd wody, fotografie okolicznych widoków i tym po-

dobne. W rzeczywistości domy te są to pułapki na podróżnych, którym sprzedają tu na wagę złota, rozmaite, niby pamiątkowe drobiazgi. Potem prowadzą jeszcze podróżnych na górę tego muzeum; jest tam mała wieżyczka, stanowiąca rodzaj obserwatorium, z którego widać jak na dłoni całą okolicę. Ściany i balustrady wieżyczki pokryte są tysiącami napisów w języku angielskim, francuskim, włoskim i t. d. Widziałem także napisy polskie: każdy bowiem uważa sobie za obowiązek, zostawić tu swoje nazwisko i datę odwiedzin. Kiedyśmy zeszli na dół, porwano nas, posadzono na pniu i odfotografowano w ciągu pięciu minut, wraz z naszymi pęcherzowymi ubiorami, za to kazano sobie oczywiście dobrze zapłacić.

Tymczasem ściemniło się. Wodospad owijał się coraz bardziej nieprzeniknioną zasłoną mgły; począł też zacinąć drobny deszczyk. Wróciliśmy więc do najbliższej stacji kolejowej, a wkrótce nadszedł pociąg i powiózł nas dalej w głąb kraju.

Henryk Sienkiewicz.

178. Dlaczego z ziemi nie spadamy?

Ziemia nasza jest kulą swobodnie zawieszoną w przestrzeni, a na powierzchni ziemi wszędzie znajdują się ludzie, zwierzęta i różne przedmioty. Wokoło kuli ziemskiej jest powietrze, ale unosi się ono nie wysoko, mniej więcej na 10 mil nad ziemią, tak, że cała ziemia jest otoczona jakby drugą kulą lotną, powietrzną. Im wyżej nad ziemią, tem powietrze staje się rzadsze i wreszcie niema go już wcale, tylko rozciąga się ze wszystkich stron ziemi niezmierna próżna przestrzeń. Otóż, jeżeli ziemia otoczona jest zewsząd tak wielką przestrzenią, to przedewszystkiem niewiadomo, co nazwać górną stroną, czyli wierzchołkiem ziemi, a co dolną, czyli jej spodem; który człowiek stoi na niej prosto, który odwrotnie, czyli pochyło, bo przecież wszyscy ludzie mają pod nogami ziemię, a nad głowami niebo, gwiazd pełne lub oświetlone słońcem. Ludzie, mieszkający na przeciwnej półkuli, są do nas zwrócenii nogami a sądzą jednak tak jak my, że stoją prosto i nas uważają za stojących odwrotnie.

Jeżeli zawleśmy na nitce ciężarek, to on wypręży nitkę, gdyż dąży do spadnięcia na ziemię. Taki ciężarek nazywa się pionem. W jakiegokolwiek okolicy kuli ziemskiej zawiesimy swobodnie pion, wszędzie zwróci się on ciężarem do środka ziemi, tak jakby go środek ziemi do siebie przyciągał. Gdziekolwiek na ziemi rzucimy swobodnie kamień, wszędzie padnie on na ziemię; to samo stanie się z każdym innym przedmiotem. Z tego widzimy, że ziemia przyciąga do siebie wszystkie rzeczy, czyli wszystkie ciała. Dlatego ani człowiek, ani zwierzę, ani żadne ciało nie może z ziemi spaść w pustą przestrzeń; każde ciało jest jakby przytrzymywane przez ziemię i stara się spaść tylko na ziemię. Jeżeli położymy na rękę kamień, czujemy jego ciężar; ten ciężar, to nic innego nie jest, tylko to, że kamień stara się spaść na ziemię i dlatego ciśnie na rękę. Nawet powietrze jest przyciągane przez ziemię i im jest bliżej ziemi, tem jest gęstsze.

Widzimy nieraz, że dym, para, balon unoszą się w powietrzu, zamiast spadać na ziemię. Pochodzi to stąd, że lżejsze są od powietrza, muszą więc w powietrzu wypływać w górę. Gdyby nad ziemią nie było powietrza, wówczas i dym, i para, i balon nie mogłyby pójść w górę, lecz musiałyby spaść na ziemię — gdyż wszystkie ciała przyciągane są przez ziemię, a więc żadne z niej spaść nie może.

M. Heilpern.

179. Obraz świata przedhistorycznego.

Gdybyśmy przenieśli się myślą w te odległe czasy, w których ludzi jeszcze na świecie nie było, cóżbyśmy ujrzeli na obszarach europejskiego ładu, dziś tak ożywionego pracą ludzką?

Ujrzelibyśmy rzeczy straszne i przerażające. Z każdej większej wyniosłości, na którą wszedłszy, obejrzelibyśmy się wkoło, przedstawiłyby się nam same bory, zarośla i bagna, nieprzebyte gąszcze, obszerne jeziora i rzeki, potem swego biegu rwące wybrzeża i wyżłabiające coraz nowe koryta. Wśród tej puszczy, nie znającej jeszcze człowieka, roiły się przeróżne istoty, dziś w wielu gatunkach zaginione.

Z głębi wód wychylały się głowy hipopotamów, obecnie znajdujących się jedynie w jeziorach środkowej Afryki, w bagnistych zaroślach pasły się nosorożce przedpotopowe o podwójnych rogach na nosie; po łąkach, bujnie trawą pokrytych, hasały stada dzikich koni, olbrzymich srogich wołów i jeleni o rozłożystych, wielkich rogach.

Gdybyśmy znowu zapuścili się w głąb puszczy — to wnet dobiegłyby uszu naszych straszne ryki i wycia tygrysów większych niż byki, hyen, wilków, lisów, kotów i innych drapieżców. Ale nad wszystkimi tymi potworami królował mamut — słoń — olbrzym o kłach aż na grzbiet zakrzywionych, który wprost przewyższał przynajmniej dwa razy wielkość dzisiejszego słonia.

Zwykle mamuty pasły się stadami, a różne pokrewne gatunki przyłączały się do nich, nie lękając się sąsiedztwa strasznych z pozoru, a jednak łagodnych olbrzymów. Lecz niech tylko ozwał się ryk przeraźliwy jaskiniowego kota, długiego na stóp czternaście, który z szybkością ptaka przeskakiwał przestrzenie, kilkadziesiąt kroków wynoszące, w gromadzie mamutów wnet powstawał popłoch i pędził je przez lasy, bagna i zarośla. Wówczas ziemia drżała pod ciężkim stąpaniem olbrzymów, trawy i krzaki płaszczyły się, a w miejscu przechodu mamutów gąszcz leśny nikał, zostawiając puste obszary.

Wśród dnia lasy stały ciche, ale z zachodem słońca zaczynały się stopniowo ożywiać. Odzywały się wówczas wycia wilków, szczekanie hyen, ryki jaskiniowego niedźwiedzia, wrzawa powiększała się, stada żubrów, jeleni, reniferów, koni, mamutów przygotowywały się do walki i gromadziły w ściśnione szeregi, nadstawiając rogi, by odstraszyć nieprzyjaciela.

Nad tym światem życia zwierzęcego i roślinnego pannały niczem nie powstrzymane siły natury. Gdy zawał wiacher, odwieczne dęby, sosny i buki, wyrwane z korzeniami, padały na ziemię, gniotąc swym ciężarem nieopatrzone stworzenia, które się do pni przytuliły — a ziemia trzęsła się i pękała, chłonąc na wieki w swe głębie rośliny, zwierzęta i głązy.

Czasami znowu spadały straszne ulewy. Przepelniały się koryta rzek, a wody, pędząc szczerbiły łądy, podmywały, wzgórza, topiąc wszelkie stworzenie, spotykane w swym biegu. — I ogień także nie oszczędzał ziemi. W czasie owych burz strasznych pioruny zapalały drzewa, płomień obejmował puszcze, przenosząc się stamtąd na trawy i krzaki i niszcząc, paląc wszystko; gasł dopiero wtedy, gdy mu już ofiar zabrakło.

Czasy to więc były straszne, i postać świata do dziś dnia taką by została, gdyby nie ostatni twór Boga na ziemi — człowiek. On to, jakkolwiek cieleśnie najstarszy, najpotężniejszym jest pomiędzy wszystkimi stworzeniami ziemi, potężniejszym od mamuta, a nawet od jaskiniowego olbrzymiego kota, przed którym mamut drżał, jak liść na drzewie. Tę potęgę daje człowiekowi rozum. Przy jego to pomocy człowiek zawładnął dzikiem światem i okiełznał siły natury.

Chrząszczewska-Warnkówna, Rok czytania.

180. Podróż do wnętrza ziemi.

Nader ciekawą byłaby odpowiedź na pytanie: „Co leży ukryte w głębi ziemi, pod naszymi stopami?” — Lecz jak badanie takie skutecznić? Czy może tak, jak radził pewien dzielny chłopiec: czy nie możnaby wywiercić w ziemi studni tak głębokiej, żeby dojść nią aż do środka ziemi? Ach! jakby to było przyjemnie, własnymi oczami widzieć, co się dzieje wewnątrz ziemi!

Ale, niestety, ludzie za małe mają na to siły, żeby takie wielkie doły mogli kopać. Dół czy studnia, która miałaby dosięgnąć do środka ziemi, musiałyby mieć głębokości nie mniej — jak 860 mil! Tymczasem najgłębsze kopalnie nie mają więcej nad wiorstę głębokości.

A więc wyrzekłszy się śmiałej myśli kopania owego dołu, spróbujmy inaczej zapoznać się z wewnętrzną budową ziemi. — Jeżeli zrobicie kiedy wycieczkę, zwróćcie uwagę na wzgórza gliniaste i piaszczyste, mianowicie na glinianki czyli doły po wybranej glinie. Otóż w miejscach, gdzie część takiego wzgórza jest oberwaną, ujrzycie ciekawy obraz. Grunt układa się tam różnorodnymi warstwami, leżącemi jedna na

drugiej. Na samym wierzchu znajdziecie nieco ciemnej ziemi, porośniętą trawą. Jest ona podobną do zwykłej ziemi doniczkowej. Doskonale widać nawet, jak korzonki trawy i krzewów, rosnących na powierzchni, zagłębiają się w tę warstwę. Stamtąd właśnie czerpią one pożywienie dla rośliny — i dlatego warstwa ta nazywa się warstwą rodzajną lub glebą.

Poniżej leży zazwyczaj gruba na parę łokci warstwa jasnego piasku, a jeszcze niżej widać warstwę ciemno-brunatnej gliny. W innych miejscach, n. p. nad dużymi rzekami, gdzie brzegi są bardzo wysokie, zobaczyliśmy warstw daleko więcej. Mogłaby być n. p. warstwa rodzajna, warstwa gliny, warstwa piasku drobnego; dalej pokład żwiru czyli grubego piasku, jeszcze niżej gruba warstwa kamieni leżących pomiędzy żwirem, a najniżej leżałaby może warstwa jednolitej skały.

Piasek, glina, żwir, kamienie i różnorodne skały — oto główne materiały, z których zbudowaną jest wewnątrz ziemia. Niekiedy ułożone są one prawidłowo poziomymi warstwami, jedna nad drugą. W innym razie warstwy te są jakby połamane albo pomieszane z sobą, poprzerywane. Pomiedzy nimi w wielu miejscach sączą się strumyki wody, jaka przeciekła tam z deszczu, a niekiedy tworzą się nawet podziemne rzeki wody płynącej.

Wszystkie te materiały: piasek, żwir, glinę, skały, kamienie, które kopać musimy w ziemi, nazywamy kopalinami albo minerałami. — Jak tysiące jest odmian roślin i zwierząt, żyjących na powierzchni ziemi, tak też tysiące mamy postaci kopalin.

Oto kawałek kredy, służącej nam do pisania na tablicy! Zapewne ten kawałek białej kredy został wykopany z ziemi daleko od nas — być może, iż pod miastem Chelmem, które całe stoi na wzgórzach, zbudowanych z kredy. Jakże różną jest kreda od brukowca, którego kawałki zbieraliście na szosie: kreda jest biała, brukowiec czerwony; kreda jest miękka, ściera się w palcach, brukowiec twardy; kredę można krajać scyzorykiem, tymczasem brukowiec nie tylko krajać się nie daje, ale nawet robi rysy na scyzoryku; kreda jest lekka, bru-

kowiec znacznie cięższy; kreda nie ma połysku, brukowiec zlekka błyszczy; kreda jest wszędzie jednakową, w brukowcu widać jakieś ziarna kilku minerałów.

Od tych dwóch kopalin zupełnie odmiennym jest węgiel kamienny, który także jest kopaliną: warstwy jego leżą w wielu miejscach w głębi ziemi. Węgiel jest czarny, połyskujący, łamie się na kanciaste kawałki, wreszcie spala się w ogniu, zostawiając po sobie zaledwie nieco popiołu.

Krzemień, którego dużo kawałków znajdujecie na polu, znowu jest niepodobny do poprzednich. Jakiś brudno-brunatny, odłamany nakształt muszli, a twardy taki, że gdy uderzymy nim o żelazo, odrywają się od żelaza drobne cząsteczki i rozpalają się od uderzenia, wydając iskry.

Lat temu kilka, kiedy zaczynaliście się uczyć pisać; rodzice kupili tabliczkę kamienną w drewnianej ramie i rysik. I tabliczka i rysik zrobione są z kopaliny, zwanej łupkiem. Jest to skała, łupiąca się w cieńsze i grubsze tafle, z których potem wycinają tabliczki do pisania.

A srebrny zegarek, a złoty łańcuszek przy nim, skąd one wzięły swój początek? Z ziemi, ze srebra i złota, dwóch drogiech minerałów, które — choć rzadko — znajdują się także w skorupie ziemskiej. To samo powiedzieć można o pierścionku z brylantami i szafirami, te piękne kamyki również kopłą się w ziemi.

Ostrze scyzoryka waszego, noże, nożyczki, kosy, szable, igły także pochodzą z kopaliny, zwanej żelazem. Również kopalinami są: sól, siarka, gips i kamień wapienny, który się składa cały z większych i mniejszych muszelek, pozlepianych mocno ze sobą. Są całe równiny i wzgórza, wytworzone z takiego muszlowego wapniowca. Znajdują się one nawet w naszym kraju, n. p. w okolicy miasteczka Kazimierza nad Wisłą, pod Ojcowem i innych.

Nie będziemy tutaj zatrzymywali się dłużej nad kopalinami, składającymi ziemię. Później zapewne poznacie się z bardzo ciekawą nauką, która wskaże wam, jak rozróżniać tysiące kopalin, opowie o każdej, skąd się wzięła w ziemi, do

czego służy i t. p. Nauka ta o kopalniach, czyli minerałach, nazywa się mineralogią.

Zapewne sądzicie, że głęboko aż do samego środka ziemi nic innego niema, tylko różne kamienie i skały? Otóż uczeni mówią, że twarde skały ciągną się w głąb ziemi nie dalej jak mil 15. Dalej zaś ma być wewnątrz ziemi takie gorąco, że wszystkie te skały tworzą tylko jedną rozpaloną, płynną masę. Ta ognisto-płynna masa stanowi podobno całe wnętrze ziemi. Jest jej tak dużo, że gdyby porównać ziemię do pomarańczy, wówczas twarda kamienna powłoka ziemi byłaby jakby skórka na pomarańczy, a całe wnętrze, zajęte przez soczysty owoc, odpowiadałoby roztopionemu wnętrzu ziemi. Tak więc ziemia nasza składa się z twardej skorupy, zbudowanej z różnych skał i minerałów i płynnego wnętrza.

Zdarza się nieraz, że ta ognista masa wytwarza jakieś gazy, podnosi w pewnym miejscu skorupę ziemi i rozrywa ją, wypływając na powierzchnię ziemi. W naszym kraju tego nie zobaczycie. Ale jeśli słyszeliście o Włoszech, piękny kraj, leżącym na południe od nas, to tam jest parę takich miejsc ciekawych, takich gór z otworami, które wypływa z wnętrza ziemi roztopiona ognista masa. Góry te nazywają się wulkanami. Takim wulkanem jest pomiędzy innemi Wezuwiusz przy Neapolu. Podczas wybuchu zdała już słyszać huk podziemny, cała góra drży, a ziemia porusza się na parę mil wokoło. Z otworu góry wylatują rozpalone kamienie, sypie się drobny pył kamienny, z głębi jej podnosi się roztopiona masa, zwana lawą, i ognistą rzeką spływa po bokach góry, niszcząc i paląc po drodze wszystko, co napotka: wsie, miasta, zwierzęta i ludzi, którzy nie zdołali zbiec przed tym strasznym potokiem. Ten sam Wezuwiusz przed 2000 blisko lat zasypał drobnym pyłem i zalał w czasie wybuchu kilka miast, które u stóp jego leżały. Ludzie zapomnieli o tych miastach zupełnie. Dopiero po upływie tysiąca kilku set lat (r. 1748), wypadkiem wieśniacy, pracujący przy winnicy, odgrzebali raz z pod piasku, gliny i popiołu zrab jakiegoś muru. Zaczęto kopać — i oto udało się odgrzebać z pod ziemi całe miasto z jego ulicami, domami, sprzętami w domach i szkieletami ludzi, któ-

rych zaskoczył straszny zalew. Ten sam wulkan w kwietniu roku 1906 również bardzo gwałtownie wybuchł, zasypując po-
piółem parę miast i wiele wiosek.

Wulkanów na ziemi jest wiele. Nie wszystkie one ciągle
wybuchają. Niektóre przestały już wybuchać, ale w innych
powtarza się od czasu do czasu groźny wypływ roztopionej
kamiennej masy z wnętrza ziemi.

181. Co to są chmury?

Kiedy raz zapytałem pewnego chłopca wiejskiego, co to
są chmury, odpowiedział mi, że to jest dym, który unosi się
z kominów i zbiera się później na niebie... Inny dowodził,
że chmury powstają z kurzu, który wiatr porywa pod niebo...
Najwięcej wszakże było takich — i młodych i starszych, — któ-
rzy na pytanie, co to są chmury, — odpowiadali: „a bo ja
wiem? chmury to... chmury!...“ Raz tylko jedna dziew-
czyna sprzeczała się, że „chmury to taka woda, którą tęcza
z morza wypija...“ Otóż ta dziewczyna była najbliższą
prawdy: chmury istotnie składają się z wody. Postaramy się
bliżej tę sprawę wyjaśnić.

Wiadomo, że powietrze, czy to w izbie, czy na dworze,
nigdy nie jest zupełnie suche; zawsze posiada ono w sobie
mniej lub więcej wilgoci. Ta wilgoć — jest to woda, roz-
puszczona w powietrzu w postaci niewidzialnej pary wodnej.
Gdzież bowiem podziewa się para wodna z garnka, w którym
gotujemy wodę na ogniu? z bielizny, schnącej na płocie? z ka-
mieni, wysychających po deszczu? ze schnących błot, łąk,
z nad stawów, jezior, rzek i tym podobnych miejsc, nad któ-
remi widać zwykle opary? — Wszystka ta woda unosi się
w powietrze i rozchodzi się w nim w postaci drobniutkich, nie-
widzialnych cząstek pary wodnej. Obliczono, że każde sto
kwart powietrza zawiera w sobie od 1 do 3 kwart pary wo-
dnej. Ilość ta zależy od rozmaitych przyczyn, szczególnie zaś
od ciepła: im powietrze jest cieplejsze, tem więcej nasiąka
parą wodną; im jest zimniejsze — tem mniej może w sobie
pary rozpuścić. Stąd to, jeżeli powietrze wilgotne, lecz ciepłe,
oziębła się, wówczas nie może ono już utrzymać w sobie tyle

niewidzialnej pary, co przedtem: wskutek tego przy oziębianiu wilgotnego powietrza cząstki pary schodzą się ze sobą, zbierają się razem i tworzą większe kropelki wody, które już stają się dla nas widocznymi. Przytoczmy parę przykładów. Każdemu z nas wychodzi z ust przy oddychaniu razem z powietrzem para wodna. Latem jej nie widzimy, bo natychmiast rozchodzi się ona, rozpuszcza w ciepłym powietrzu; tymczasem w zimie parę tę widać doskonale w postaci kłębow mgły, wychodzącej nam z ust i nosa.

Tak samo w zimie wychodzi para z ciała koni; latem ciepłe powietrze, otaczające konia, natychmiast tę parę w sobie rozpuszcza, a więc jest ona niewidzialną; w zimie zaś ta sama para nie może rozpuścić się w chłodnym powietrzu, otaczającym konia, — więc zgęszcza się w mgłę i staje się widoczną; dopiero potem, rozszedłszy się w dużej masie powietrza, znika. Albo i tak się zdarza: W zimie siedzą ludzie w izbie, gotują; oczywiście, z ich ust, a także z garnków, zbiera się w powietrzu dużo pary, której jednak nie widać. Wtem otwiera ktoś drzwi od sieni i cała izba napęlnia się odrazu jakby mgłą. Ta mgła — jestto ta sama para wodna, która i przedtem była w powietrzu izby; lecz teraz, wskutek ochłodzenia się powietrza, zgęściła się i stała widoczną. W taki właśnie sposób, przez zbieranie się wskutek oziębienia niewidzialnych cząstek pary wodnej w większe, widzialne kropelki wody, powstają mgły nad powierzchnią ziemi i chmury czyli obłoki na niebie.

M. Brzeziński.

182. Rosa i szron.

W gorące dni letnie słońce grzeje tak silnie, że wszelka wilgoć na ziemi ulatnia się i jako para napęlnia powietrze. Gdy wtenczas nalejemy zimnej wody do szklanki, powierzchnia szklanki wkrótce się zwilży. Woda oziębiła szklanke, oziębiła także parę przezroczystą, która znajduje się w powietrzu dookoła szklanki, a ta oziębiona para osiada jako rosa na szkłe.

Zupełnie tak samo dzieje się na łąkach, w lasach, w ogrodach. Po zachodzie słońca, trawy, drzewa i wogóle wszystkie przedmioty ogrzane, rozpraszają swe ciepło i oziębiają się

coraz bardziej. Para, która je otacza, ochładza się i osiada na nich jako rosa.

Zauważyliście nieraz, że jasne noce są daleko chłodniejsze, niż pochmurne. Chmury zatrzymują ciepło, które ziemia wydziela; dlatego w pochmurne noce rosy wcale niema, lub też tworzy jej się bardzo mało. Powiadają wtenczas gospodarze, że będzie deszcz; istotnie, można go się spodziewać, bo dużo pary zostało w powietrzu. Zato po obfitej rosie, z którą wiele pary ubyło z powietrza, bywa zwykle nazajutrz pogoda.

Utrzymują nieraz, że rosa spada. Mniemają, że ona pada z powietrza, niby drobny deszcz. Tak nie jest. Rosa osiada naokoło przedmiotów oziębionych, tak dobrze z góry jak z dołu i z boków.

W późnej jesieni noce są znacznie chłodniejsze, a para, bardziej ostudzona, zamarza. Tworzy się wtedy szron.

183. Kiedy widzisz...

Kiedy widzisz skrę, co pryska
Z nakowadła i ogniska,
Gdy dłoń widzisz z kielnią, z młotem,
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy złanej potem,
Odgadujesz dolę twardą,
Uchyl głowy, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi:
Lud i praca, to są siły,
A świat cały niemi stoi.

A jak ciebie kto zapyta:
Kto ty taki? Skąd ty rodem?
Mów, żeś z tego ładu żyta,
Żeś z tych łąk co pachną miodem...
Mów, że jesteś z owej chaty,
Co piastowem gniazdem była,
Żeś z tej ziemi, kędy kwiały
Gorzka rosa wykarpiła.

Miły synu, wiedz to sobie,
Że jest życie w każdym grobie,
W każdej nocy jest zranie,
W każdej śmierci — zmartwychwstanie.

Więc gdy stoisz nad mogiłą,
Albo czytasz dawne dzieje,
Pomyśl: słońce się zaćmiło,
Ale znowu zajaśnieje.

Szanuj, drogie dziecię moje
W małym ziarnku — przyszłe plony,
W małej kropli — przyszłe zdroje,
A w groszu — miliony.
W myśli szanuj — zaród czynu,
Życie — w chwili, co ucieka,
A sam w sobie szanuj, synu,
Przyszłego człowieka.

M. Konopnicka.



ROZDZIAŁ VI.

Z dziedziny przyrody i przemysłu.

184. Kto silniejszy?

Hej na górze wyniosłej
Zamek sterczy wysoki.
Stopy myją mu fale,
Głowę czeszą obłoki...
Nad nim złota chorągiew
Igra z wiatrem, powiewna, —
A w tym zamku król wielki,
A w tym zamku królowna!

„Hej, rycerze! Kto siłę
Z was największą okaże,
Temu konia — bachmata
I ryszunek dam w darze,
I sokoła z kapturem,
I puławy złoczone,
I połowę królestwa,
I mą córkę za żonę!”

A więc jeden poskoczy
I ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła,
Wyrwał z twardym korzeniem.
Za nim drugi podskoczył,
I niebardo się bawił,
I na miejscu wyrwanej
Drugą skałę postawił.

Król sędziwy wyrzeczcie:
„Siła w obu was równa,
Więc którego z was zechce,
Niech rozsądzi królowna”.
Jak malina dziewczeczka
Schyla modre oczęta:
„**Burzyć, ojcze, rzecz wielką,
Lecz budować, rzecz świętą.**”

Komu oddać mą rękę —
Ja nie waham się chwili,
Lecz twe słowo, monarsze,
Niechaj szalę przechyli!
Król z łąką w oku spoziera
Na obydwu rycerzy:
„Który skałę postawił,
Temu dank ¹⁾ mój należy...”

Tyś, witeziu, silniejszy,
Niż najwięksi mocarze;
A więc tobie bachmata ²⁾
I ryszunek dam w darze...
I sokoła z kapturem,
I puławy złoczone,
I połowę królewską,
I mą córkę za żonę”.

Bolesław Czerwieński.

¹⁾ Podziękowanie.

²⁾ Koń tatarski.

185. Prządka cesarzowej chińskiej.

Do owadów nieszkodliwych zaliczyć można szczypawki i wogóle wszystkie owady drapieżne, żywiące się innymi owadami, oraz jedwabniki, pszczoły i mrówki.

Zapoznajmy się najpierw z życiem motyla jedwabnika, który słynnym jest na całym świecie i znanym od bardzo dawna, bo od lat przeszło 2 500. W owym czasie — mówi podanie — cesarz chiński przechadzał się po ogrodzie ze swą żoną, cesarzową Si-Hing-Chi. Wtem spostrzega na drzewie białej morwy kilka ładnych blado-żółtych oprzędów. Zdjął jeden z nich i zaczął mu się uważnie przyglądać. Oprzęd wydał mu się złożonym z cienkich połyskujących nitek. Rozplątał najpierw zewnętrzną warstwę, potem wyciągnął nitkę z kokonu i z ciekawością począł odwijać ją i okręcać dookoła ręki. W ten sposób odwinał długą na kilkaset łokci nitkę, jaka tworzyła kokon... To odkręcenie kokonu niezmiernie ubawiło Syna Nieba (tak się tytułowali cesarze chińscy).

Wówczas cesarzowa wzięła z rąk męża gładki, połyskujący pęczek cieniutkich niteczek i rzekła: — „Pragnęłabym mieć suknię utkaną z tych nitek. Zdaje mi się, że byłaby ona lekka, mocna i nieporównanie błyszcząca!”

Na to odrzekł cesarz: — „Zawezwij, najjaśniejsza pani, całą twą switę i wszystkie damy dworu, każ im nazbierać wiele tych kokonów i rozwijać z nich nitkę tak, jak ja robiłem. Potem rozkaż memu najlepszemu tkaczowi, żeby z tych nitek zrobił tkaninę na najpiękniejszą suknię, jaką kiedykolwiek która cesarzowa nosiła!”

Na skinienie Si-Hing-Chi, cały dwór jej zabrał się żwawo do pracy, wszyscy prześcigali się w dogodzeniu jej życzeniom. Jedna z dam, żeby ułatwić sobie odwijanie nitki, spróbowała zmoczyć kokon w ciepłej wodzie; okazało się, że ten sposób był wyborny. Inna, chcąc mieć pod ręką jak najwięcej kokonów, wyszukiwała jajek owej liszki-prządki i poczęła je wychowywać na drzewach swego ogrodu. Wszystko poszło tak dobrze, że po upływie kilku miesięcy najjaśniejsza Si-Hing-Chi przechadzała się już po ogrodzie w prześlicznej sukni, zrobionej z przędzy motyla.

Była to pierwsza na świecie suknia jedwabna. Cesarz natchmiał wydał rozkaz, ażeby w całym Państwie Niebieskiem hodowano białe morwy, ulubione drzewa owych liszek jedwabnika, i żeby co rok dostarczano tyle a tyle jedwabiu na suknie dla dostojników dworu, wysokich urzędników i oficerów.

Takim, według podań chińskich, był początek przemysłu jedwabniczego. Dziś przemysł ten zatrudnia setki tysięcy ludzi, a wartość otrzymywanego rocznie jedwabiu przenosi kilkaset milionów marek.

Jedwabniki mogą żyć na otwartym powietrzu tylko w krajach ciepłych, gdzie udaje się dobrze morwa, której liście stanowią niezbędny pokarm dla ich gąsienic. Otrzymane z kokonów włókno jedwabne idzie jako surowy materiał do fabryk wyrobów jedwabnych. U nas hodowla jedwabników z powodu surowości klimatu nie bardzo się udaje.

Motyl jedwabnik, zwany zwykle prządka jedwabnikiem, jest niewielki. — Jest on gruby, samiec biały, samica jasno-brunatna. W krajach ciepłych jedwabniki żyją w ogrodach, na liściach i gałązkach morwy białej. U nas muszą być hodowane w izbach, lub odpowiednich altanach.

W kilka dni po wyjściu z kokona, samica motyla jedwabnika składa dużo żółtawo-szarych, do maku podobnych jajeczek; jajka te należy zebrać i przechować w miejscu chłodnem aż do następnej wiosny. Gdy już zaczną rozwijać się liście na morwie, należy przenieść jajka jedwabnika do ciepłej izby, ażeby z nich wykłuły się liszki; zawczasu zaś przygotowuje się dla nich na pokarm zapas świeżych liści morwowych, umieszczonych na podpórkach łozimowych. Rozumie się, że liście trzeba dawać codziennie świeże i ciepło w izbie utrzymywać jednostajne. Liszki jedwabnika, początkowo maleńkie, rosną szybko i kilkakroć zrzucają z siebie skórę. Gdy dorosną już zupełnie i przestają jeść zabiera się im liście morwowe i zastępuje je gałązkami chróstu, na które one włożą dla zrobienia oprzędu. Zwija go jedwabnik w taki sam sposób jak inne prządki.

Przygotowanie tego oprzędu zajmuje jedwabnikowi trzy do czterech dni. Potem zmienia on się i rozwija jako poczwarka

przez dni 20. Wtedy w kokonie wykluwa się z poczwarki motyl. Jeśli mu się przeszkodzi, to rozpuszcza on śliną jeden koniec oprzędu i przez zrobiony otwór wylatuje. Ponieważ jednak kokon, przerwany w jednym miejscu, nie daje nitki ciągłej, pozwalamy więc wykluć się tylko pewnej nieznaczej liczbie poczwarek, a większość ich uśmiercamy, umieszczając kokon w gorącej parze wodnej lub w mocno ogrzanym piecyku.

Pozostanie teraz tylko rozмотać kokony.

W tym celu kładziemy do miski z gorącą wodą garść kokonów i poruszamy je za pomocą miotelki. Woda gorąca rozpuszcza klej, jakim zlepiona jest nitka jedwabna. Wtedy, ciągnąc ostrożnie za nitkę, czy to ręką, czy przy pomocy odpowiedniego motowidła, można ją łatwo odwinąć z kokonu.

Najpierw odwija się pokład zewnętrzny, złożony z nitek pokręconych nieprawidłowo: te idą na przygotowanie najlichszych tkanin jedwabnych i półjedwabnych.

Po zdjęciu pokładu zewnętrznego, z łatwością można odnaleźć początek dobrej nitki jedwabnej, która odwija się już bez przerwy na długość 1000 do 2000 łokci: zebrawszy 5 do 6 takich nitek, łączymy je razem i nawijamy na motowidło, poruszamy za pomocą ręki lub maszyny. Tak otrzymane włókno jedwabne idzie do przędzalni, gdzie skręcają je w przędzę i nici, zwane pospolicie jedwabiem. Z przędzy tej następnie w tkalniach jedwabiu robią materje jedwabne wstążki, aksamit, atlas i t. p.

186. Polowanie na słońia.

Polowanie na słońia jest niebezpiecznem, wymaga wielkiej odwagi i zręczności. Słoń raniony, jak każde silne zwierzę, staje się strasznym i zabija bez litości swego prześladowcę. Najczęściej obalają słońia celnym strzałem, wymierzonym w głowę koło ucha. Daleko rozumniejszym od tępienia słońi jest chwytanie ich żywcem i oswajanie.

Niegdyś i w Afryce oswajano słońie, używając ich nawet podczas wojen; dziś zajmują się tem głównie Indowie, którzy mają na to wiele sposobów, oswajają słońie z wielką sztuką i umieją ich używać do różnych robót, a mianowicie do

podawania i przenoszenia ciężarów, czerpania wody ze studzien, przewożenia ludzi, towarów, ciągnięcia armat za wojakiem, do orania — a wreszcie wprost do zabawy.

Podamy w krótkości według opowiadania naocznych świadków jeden ze sposobów chwytania i poskramiania dzikich słoni, jakiego używają w Indjach azjatyckich. W lasach, gdzie przebywają stada słoni, wybiera się miejsce, leżące na jednej z ich dróg, w pobliżu wody. Miejsce to, które ma zwykle kilkaset łokci długości i szerokości, otacza się dokoła ogrodzeniem z grubych słupów drewnianych, wkopanych sztorcem w ziemię. Słup od słupa powinien stać w takiej odległości, żeby między nimi mógł zmieścić się człowiek.

Takie ogrodzenie zowie się korralem. W jednym miejscu zostawione jest wejście do korrala i dwa rzędy takichże słupów, rozchodzących się pod kątem, stanowią niejako ulicę, prowadzącą do korrala. Wszystkie słupy muszą być starannie ukryte poza drzewami i krzakami, żeby ich słonie zawczasu nie spostrzegły. Gdy korral jest już gotów, naganiacze, których bywa do trzech tysięcy, rozstawiają się ogromnem kołem, zajmującym nieraz parę mil, i w ten sposób otaczają zdala słonie jednym nieprzerwanym łańcuchem. Przytem trzeba przecinać drogi, budować groble i robić kładki przez błota, żeby nie zostawić słoniom nigdzie miejsca do wymknięcia się bokiem.

Jak trudną jest ta robota, dość powiedzieć, że owe przygotowania przyjmują całe dwa miesiące czasu; a pracować trzeba w największej cichości, żeby nie wypłoczyć zawczasu lękliwych zazwyczaj słoni. Nareszcie, gdy wszystko już gotowe, gdy całe koło, nie wyłączając korrala, zajęte jest przez naganiaczy, na dany znak wśród ciszy leśnej powstaje na całej linii najokropniejszy hałas, krzyk, bębnienie. Przestraszone słonie uciekają przed wrzawą, rzucają się to w jedną, to w drugą stronę. Tymczasem koło obławników coraz się zacieśnia, posuwając się zwolna, lecz nieustannie, ku wejściu do korrala. Dzień i noc trwa obława, na noc rozniecają się dokoła ogniska...

Nareszcie, próżno usiłując przedostać się poza łańcuch obławników, słonie rzucają się w jedną stronę, gdzie panuje

zupełny spokój, to jest w ulicę prowadzącą do korrala. Niebawem całe stado znajduje się już w korralu, do którego wejście natychmiast zostaje zamknięte belkami. Teraz cała sztuka polega na przerażeniu słoni i doprowadzeniu ich do zupełnego zwątpienia o swej sile a przekonania ich, że z człowiekiem sobie nie poradzą.

Próżno te rozumne zwierzęta z rykiem i wściekłością rzucają się z powrotem ku wejściu, próżno chcą przewrócić ogrodzenie korrala: wszędzie napotykają tych samych ludzi, krzyczących, strzelających, strasznych... Aż zmęczone, zrozpaczone, zbiły się w gromadkę na środku korrala, gdzie w strachu przepędziły całą noc. Pozostało jeszcze poskromienie schwytych więźniów. Do tego używają tam słoni oswojonych.

Dziwne to, że takie słonie z największą przyjemnością, z zawziętością prawie, pomagają człowiekowi do ujarzmiania swych dzikich współbraci. Dzieje się to tak, że do korrala wprowadzają dużego, silnego słonia oswojonego, a z nim jednego lub dwóch ludzi, trzymających w ręku mocne pętlice z surowca. Pod opieką oswojonego słonia ludzie zbliżają się do jednego z dzikich i, korzystając z podniesienia przezeń nogi, zarzucają mu zręcznie pętlę, którą przy pomocy słonia oswojonego natychmiast silnie okręcają koło drzewa.

W taki sam sposób zahaczają więźnia za drugą nogę — i tak skrępowanego pozostawiają przy drzewie o głodzie na dzień lub dwa, dopóki nie spokornieje. Dla poskromienia zaś jego złości używają długiej dzidy żelaznej o ostrym końcu, którym go kłują.

Potem skrępowanego biorą pomiędzy dwa słonie oswojone, które pędzą go do wody dla napicia się i wykapania.

Później dają mu jeść jego najulubieńsze pokarmy, zaczynają obchodzić się z nim coraz łagodniej — i po kilku miesiącach oswajają tak, że można już użyć go do roboty. Każdy słoń ma swego osobnego przewodnika, zwanego kornakiem. do którego, jeśli ten dobrze się z nim obchodzi, przywiązują się zwykle bardzo i jest mu najzupełniej posłusznym.

187. Wilk.

Sławny naturalista Linneusz powiada, że najłatwiej odróżnić wilka od psa po tem, że pierwszy nosi ogon wyprostowany, podczas gdy ten ostatni pochyla go zwykle ku lewej stronie. To dowodzi tylko, jak dalece wilk jest podobny do niektórych odmian psów, naszych najwierniejszych przyjaciół. A jednak wilk robi wielkie wrażenie nawet na tego, kto go nigdy nie widział. Ma on budowę masywną i wysmukłą, z zapadłemi bokami, nogi wysokie i żylaste, chód wahający się, jakby lękliwy, głowę wydłużoną, pysk śpiczasty, ogon puszysty zwiesza mu się aż do pięt, uszy śpiczaste i stojące, oczy umieszczone po bokach głowy, tak że zwierzę może widzieć dobrze na wszystkie strony; skórę pokrywa gęsta, dość długi włos, barwy szaro-żółtawej, pomieszaney z czarną. Długość wilka wynosi $5\frac{1}{2}$ stóp, a wysokość $2\frac{1}{2}$ stopy, waga zaś dochodzi 90 funtów.

Wilk umie zastosować się do każdej miejscowości. Zamieszkiwał dawniej całą półkulę północną, od zwrotnika do okolic podbiegunowych. W Europie był też bardzo pospolity; dzisiaj jeszcze znajduje się w górach Pirenejskich, Ardenach, Karpatach, w Alpach, na Węgrzech, w krajach Naddunajskich, w Polsce i Rosji, Szwecji i Norwegii. W Anglii wytępiono go zupełnie, a także i w Niemczech; ukazuje się tam jednak pojedynczo, zwłaszcza w zimy surowe i mroźne. Głębokie lasy górskie w środkowej Europie, w Skandynawji i w Rosji, niezmiernie przestraszone porośnięte trzciną i sitowiem nad brzegami rzek w nizinie węgierskiej, są dotychczas stałem miejscem jego pobytu.

Wstrętny w całym swym zachowaniu się, żarłoczny, złośliwy, chytry, nieufny, dziki, nieznosny z powodu przykrewonni, jaką dokoła siebie szerzy, jest on postrachem dla zwierząt i ludzi. Ponieważ wilk swój pokarm, nawet pogryzione kości bardzo szybko trawi, przeto jest zawsze głodny i żarłoczny i pomimo swego chudego i kościstego składu nigdy nie-nasycony. Czał się do jarząbka lub kuropatwy, chwytł myszy, szczury i łasice, nie gardzi jaszczurką, żabą lub wężem, gdy

mu innej zdobyczy braknie. Napada na zająca, a nawet na lisa; zawsze głodny i chciwy łupu, włóczy się chwiejnym krokiem, jakby skaleczony, po lasach, górach i dolinach; w zimowe mroźne noce odzywa się przeciągłym, ponurym wyciem.

Chcąc dobrze się z nim zapoznać, musimy zasięgnąć opowiadań starych myśliwców. Jednym z takich doświadczonych wilczarzy był leśnik Zdrojek, o którym pisze Konrad Machczyński w swojej książce p. t. „Mozaika wilcza“. Zdrojek nie o wilku nie czytał, bo czytać nie umiał, z książek więc niczego się nie nauczył, ale przez długoletnią praktykę łowiecką, doświadczenie i ciągle wojowanie z wilkami, poznał ich naturę, charakter, zwyczaje, przebiegi i łotrstwa, lepiej może, niż jaki uczony naturalista.

Wilki żyją zwykle w dużych lasach i gąszczach bagnistych, w dzień siedzą sobie spokojnie i cicho, a dopiero w nocy wychodzą na zdobycz, jak złodzieje, wilczyca powiata młode pod karpą, albo wywrotem, w takiej zawsze głuszy, chmalach i gąszczach niedostępnych, że przez nie bardzo trudno przeдрzeć się do gniazda i wydostać się stamtąd napowrót. Wilki jednak mają tam swoje przełazy, a z legowiska umieją wymykać się i wracać do niego gąszczami bagnistymi tak ostrożnie i cicho, że rzadko kiedy można je zobaczyć w bliskości gniazda, lub napotkać ich tropy. Nie dosyć na tem: udają kanalje niewiniątka, gdyż na kawał drogi wokoło nie robią żadnej szkody, a na żer idą daleko, żeby się nie wydało ich siedlisko gniazdowe. Bydło i wszelki dobytek żywy może bezpiecznie chodzić blisko; niczego wtedy nie ruszą, jak gdyby ich tam wcale nie było.

Gdy wilk wpadnie między gęsi lub owce, tłucze je i dusi bez końca. Dwóch, trzech takich rabusiów może wymordować całe stado, jeżeli tylko mają czas potemu. Duszą dlatego tylko, żeby dusić, a że zęby mają trochę nachylone do wewnątrz, i te zachodzą im jedne za drugie, więc jak który uchwyci pyskiem, nie puści już, tylko zawsze wyrwie kawał mięsa lub ciała. Wtedy tylko nie duszą naraz tak wiele, kiedy biorą owce lub ptactwo żywcem i noszą dla starszych szczeniąt, żeby się zaprawiały na nich do swego zbójckiego fachu.

W lecie człowiek nie potrzebuje bać się ich tak dalece, bo nieraz uciekają przed łada babą lub dzieciakiem. W tej porze roku wałęsają się zwykle pojedynczo, rzadziej już we dwóch lub więcej, a śmielsze są tylko w gromadzie i kiedy je bieda przycisnie.

Tęgi wilk poniesie nawet skopa, choć niedaleko; na większą metę woli on lżejszą owcę, a jeżeli ma nieść żywcem do gniazda, to bierze jagnię, bo zwykle musi je dźwigać kawał drogi. Do gęsi czai się, jak wyżeł do kuropatw, skrada się ostrożnie z za górki, zbożem, krzakami, czołga się na brzuchu i przypada do ziemi, a potem jednym skokiem rzuca się jak kot na mysz i dusi. Jedną niesie jak nic, ale czasem zabiera naraz dwie lub trzy sztuki. Wtedy bierze je w pysk, wszystkie za łby, machnie niemi w górę, zarzuci je sobie na kark i grzbiet, jak baba płachtę, i umyka. Często robi to samo i z owcą, weźmie ją za kark, nie udusiwszy, i także przerzuci ją sobie przez grzbiet, a biedna owca, opierając się tylnymi nogami o ziemię i podskakując na nich, staje się lżejszą dla wilka, który tym sposobem dźwiga ją tylko w części, gdyż ona sama ułatwia mu własny ciężar i bieg.

Kozę bierze zębami z wierzchu za kark, tylko tak mocno, żeby mu się nie wyrwała, a ogonem popędza ją z tyłu i marsz z nią do lasu. Kozisko beczy przeraźliwie, ale bieży koło wilka, co wygląda jak para niedobrych koni w zaprzęgu, dopóki jej wilk nie zaprowadzi tam, gdzie ją może już zjeść spokojnie. Jeżeli wreszcie stare wilki przyprowadzą szczeniętom większe nieco cielę, wtedy same trzymają je za uszy, żeby się nie mogło bronić i uciekać, a szczenięta szarpią je ze wszystkich stron, dopóki nie powalą, i tym sposobem ośmielają się i zaprawiają do mordy.

Do konia na pastwisku wilk zabiera się zwykle z przodu, zaskakuje mu od pyska i stara się pochwycić go za gardło. Z tyłu nie zbliża się bardzo, bo wie, że koń z tej strony jest najniebezpieczniejszy. Istotnie, dobry koń nie da się wziąć i dwom wilkom, byle tylko żwawo obracał się do nich zadem, silnie wyrzucał niemi i wierzgał, a z przodu znów byle łeb trzymał ciągle zwieszony ku ziemi, bronił się zębami i tratował nogami

przedniemi. Cóż, kiedy wilk i na takiego ma sposób. Włazi on do wody, potem utarza się w piasku, albo odrazu umacza się w błocie, podejdzie koniowi, jak może najbliżej do łba i silnie się otrząśnie.

Wtedy koń, mając nozdrza i oczy zasypane mokrym piaskiem, wyrzuci koniecznie łbem do góry, a wilk który na to tylko czychał, podskoczy i chwyci go za gardło. Biedny koń rzuca się, niekiedy nawet kawał drogi ubiegnie, ale zbój wisi mu i szyi jak pijawka i wkońcu powali go. Najczęściej spętane konie padają ofiarą wilków, gdyż nie mają swobody ruchów.

W zimie, to już zupełnie coś innego. Ze zwyczajnego złodzieja robi się zuchwały rabuś i rozbójnik na publicznej drodze. Im większe mrozy i śniegi, tem wilki stają się gorsze i niebezpieczniejsze, bo cierpią głód, który dodaje im odwagi i zajadłości. Podchodzą do mieszkań ludzkich, wpadają do wsi, porywają psy nieostrożne, włączają do kurników i chlewów, albo podkopują się pod obory i owczarnie. Już nie każdy samopas, jak latem, ale wspólnemi siłami szukają zdobyczy i uganiają się za nią. Najgorsze zwykle są w końcu stycznia i w lutym. Wtenczas łączą się w gromadę, a że niechętnie oddalają się od niej, więc też najbardziej dokucza im głód, od którego nawet wściekają się. Wówczas rzucają się na ludzi, napadają na drogach i wtedy to zdarzają się najstraszniejsze wypadki. Jeżeli długo nic złowić nie mogą i głód dokuczy im ostatecznie, to silniejsze bestje rzucają się na słabsze, gryzą się zajadle między sobą i pożerają się wzajemnie.

Zimową porą wilki urządzą sobie także polowanie z naganką... A robią to lepiej niż ludzie, bo doskonale znają knieję i wagę zwierzyny. Jeżeli więc polują na jelenie lub sarny, rozstawiają się na przesmykach, któremi ruszony zwierz pójdzie na pewno, gdyż prawie nigdy nie mylą się co do dobroci zajętych stanowisk. Potem jeden z wilków wpada do ostoi i rozpędza zwierzynę, która, uciekając, trafia akurat na inne, czyhające w zasadzce i staje się ich łupem. Czasem który jelen lub sarna ujdzie cało, jeżeli tylko zdąży wcześniej rzucić się w bok i odsadzić, bo wtedy już wilk ich nie dopędzi.

Największą jednak robią szkodę, gdy im się uda otoczyć całe stado i napędzić je na lód, a potrafią szelmy urządzić to bardzo biegle. Biedne jelenie i sarny ślizgają się na swoich twardych kopytkach, nie mogą uciekać, padają i rozbijają się na lodzie, a wtedy wilki wytłuką je co do nogi.

Męstwo, dzielność, wytrzymałość i zręczność porównywano w najstarożytniejszych wiekach z naturą wilka. Najbitniejsze pokolenia Słowian, które się oparły potędze Karola Wielkiego w IX wieku, nazywane były wilkami.

Starożytne podania ludowe mówią jeszcze o wilkołach, czyli o ludziach, zamienionych przez czary w wilki. Wilkołaki przychodziły nocami przed chatę czarownicy i, przysiadłszy na śmieciskach, żałośliwie wyły, dopóki ta, ulitowawszy się, nie wracała im dawnej postaci, „przykrywając kożuchem, wełną do góry obróconym“. Dziać się to miało najczęściej w styczniu i lutym. Tak tłumaczyła wyobraźnia ludowa podchodzenie wyjących z głodu wilków pod wioski w zimie.

188. Psy na górze św. Bernarda.

Daleko od nas, w tej stronie, gdzie słońce zachodzi, jest piękny i szczęśliwy kraj, który nazywa się Szwajcarią. W tym kraju są góry tak wysokie, że obłoki i chmury koło nich się przesuwały, na wierzchołkach zaś ich wielkie wciąż trwa zimno, a latem i zimą leżą tam wiekuiste śniegi. Drogi więc po owych górach bardzo są trudne i w śnieżnych zawiejach nieraz tam giną podróżni. Dlatego na jednej takiej bardzo wysokiej górze, zwanej górą świętego Bernarda, stoi klasztor, w którym miłośnicy zakonnicy mieszkają na to tylko, aby zbłąkanych podróżnych przyjmować w gospodę i ratować zmarzłych po drogach. Do szukania zaś zmarzłych i śniegiem zawianych ludzi trzymają oni psy, zwane bernardzkami.

Codziennie rano wysyłają owi zakonnicy dwa takie psy, przywiązawszy jednemu do szyi płaszcz ciepły, a drugiemu koszyk z pożywieniem. Te litościwe zwierzęta naprowadzają zbłąkanych i osłabionych podróżnych na drogę do klasztoru, odgrzebują zasypanych śniegiem, ogrzewają własnym ciałem znalezionych, a wyciem dają znać swym panom, aby przyszli

ratować nieszczęśliwych. Zakonnicy, idąc za głosem swych psów, odszukują zmarzniętych podróżnych, zanoszą do klasztoru, pielęgnują ich i starają się do życia przyprowadzić.

Przed kilku dziesięciu laty szło drogą przez górę świętego Bernarda kilku podróżnych, a z nimi kobieta z dwojgiem dzieci. Straszliwa zawieja śnieżna zasypała drogę, i nieszczęsna matka, zbłądziwszy, została z dziećmi w śniegu. Mróz trzaskający przejmował ich srodze; biedne dzieciątka cisnęły się do matki, wołając napróżno ratunku. Tak nieboga skostniała w śniegu z małym dziecięciem; tylko starszy chłopczyk, snem zmożony, leżał jeszcze żywy. Aż tu nadszedł duży pies z klasztoru: zwietrzył on podróżnych, wygrzebał ich ze śniegu i ogrzewał sobą, — ale daremnie. Chłopczyk tylko przyszedł do życia.

Pies, uradowany, tak mu się łąsił, tak się przymilał, że chłopiec zrozumiał wreszcie, o co chodzi: wszedł na jego grzbiet, a pies przyniósł go do drzwi klasztoru. Skoro w klasztorze chłopca odebrali, pocziwe psisko póty wyło i wracało na drogę, skąd było przyszło, że zakonnicy zmiarkowali; czego chce.

Zaopatrzywszy się w potrzebne do ratunku rzeczy, poszli za psem do pozostałej matki i małego dzieciątka, ale już w żaden sposób tych dwojga docucić się nie mogli.

Nazwisko tego psa jest Barry. Przeszło czterdziestu ludziom życie on uratował. Już teraz sam nie żyje, ale po jego śmierci mieszkańcy pobliskiego miasta skórę jego wypchać kazali i postawili w takim domu, gdzie różne ciekawe rzeczy na pamiątkę chowają.

189. Zmyślność psa.

Zmyślność psów dochodzi czasem do nadzwyczajnego stopnia, tak iż prawie w podziw wprawia ludzi.

Pewien uczony miał ten zwyczaj, że położywszy się wieczorem do łóżka, długo jeszcze czytywał; ale często, zmęczony czytaniem, zasypiał, zapominając zgasić świecę. Jest to rzecz niebezpieczna i nieraz z tego smutne wynikały wypadki; od świecy bowiem mogą się zapalić papiery na stoliku,

dalej pościel, a potem i dom cały. Najczęściej taki człowiek nierozważny, który przez niepamięć swoją sprawił tę szkodę, sam najpierw doznaje ciężkiego poparzenia, albo nawet w dymie i płomieniach śmierć okropną znajduje.

Ów tedy uczony budził się nieraz w nocy, ze strachem przypominając sobie, że świecy nie zgasił. Ale świeca zawsze była zgaszona. Nie mógł pojąć, kto mu taką przysługę oddaje i tak nad nim czuwa, tembardziej, że drzwi od swego pokoju zamykał na klucz.

Nareszcie chcąc się koniecznie przekonać, kto tę czynność załatwia, zostawił raz świecę niezgaszoną i udał, że śpi, ale naprawdę przymrużył tylko oczy i czekał, co dalej będzie.

Ledwie kilka minut tak spokojnie leżał, gdy jego ulubiony pudel, który w kącie na posłaniu spał spokojnie, wstał, wskoczył na krzesło, z krzesła na stolik, a przypatruwszy się do brze panu, czy śpi, i widząc, iż ten się nie rusza, łapą świecę zgasił.

190. Śpiewak zimowy.

Jak tu śpiewać, kiedy białe płatki śniegu unoszą się w powietrzu, a wichur zasypuje niemi oczy, lub mróz przejmuje do szpiku kości?

Nasionom i robaczkom, ukrytym w ziemi, może i wygodnie spać pod śnieżnym całunem — ale że ptakom nie wesoło, temu nikt nie może zaprzeczyć; zamiast płatków śniegu, milszeby im były roje muszek lub innych owadów. W zimie trudno głód zaspokoić, a gdy się jest głodnym, chętką do śpiewu znika.

Opuścili też las śpiewacy letni, a ci, co zostali, umilkli, dając od czasu do czasu znać o sobie jedynie żalosnym piskiem.

A jednak i w zimie z pomiędzy gąszczy krzewów leśnych rozlega się nieraz nadzwyczaj przyjemny, donośny śpiew, przypominający trele kanarka, tylko w nim więcej ognia i zapалу. Musi ten śpiew pochodzić z silnego i dużego gardziółka. Rozglądamy się uważniej, i spotyka nas najzupełniejszy zawód.

Na krzaku leszczyny, z którego właśnie dochodzi ów śpiew, siedzi jakiś mały ptaszek, istny karzełek między skrzy-

dłatą bracią, dość przytem zabawnej postaci: maleńki, bo za-
ledwie cztery cale długi, ale nadzwyczaj czupurnie wygląda-
jący, z krótkimi skrzydełkami i bardzo krótkim zadartym
ogonkiem, cały rdzawo-brunatny, w poprzeczne ciemniejsze
pręgi. Siedzi on na jednej z gałęzi i przyśpiewuje, zadarłszy
do góry swój długi dziobek, ciągle przytem oglądając się na
wszystkie strony. Wtem spostrzegł wiewiórkę, skaczącą na
sąsiedniej sośnie, i zaczął kiwać główką, jakby się dziwił, że
się jej chce w takie zimno spacerować.

On — to co innego: choć mały, nic sobie z zimna nie robi
i śpiewu bez względu na mróz. Toć to nie byle kto, tylko imć
pan strzyżyk we własnej osobie, pan na krzakach jałowcu, bzu
i tarniny, król wszystkich gąszczów i krzewów leśnych.

Niech sobie orzeł buja pod obłokami — strzyżyk woli
swoje królestwo; niewielkie ono, nisko położone, ale za to
bezpieczne. Nie lubi go też opuszczać, bo lata nie tego z po-
wodu swych krótkich skrzydeł; ale między krzakami prze-
ciska się tak szybko, że ani sposób go dojrzeć. Przed chwilą
znajdował się z jednej strony krzaka — nagle znika, prze-
ślizguje się gdzieś środkiem i w okamgnieniu ukazuje się z prze-
ciwnej strony, aby natychmiast znów zniknąć.

Nie darmo też przewano go durzyludkiem.

Czasami, jak zaszyje się w jaką szparę lub mysia
dziurkę, nawet szukać go nie warto. Figlarz ten nie ustępuje
nic a nic myszom w zdolności przeciskania się przez drobne
otwory i chowania się do najmniejszych jamek.

Ze względu na drobną postać i mieszkanie w niskich
gąszczach strzyżyka zowią niekiedy mysikrólikiem, choć wła-
ściwa nazwa ta należy się innemu, jeszcze mniejszemu
ptaszкови.

Dyakowski.

191. Poranek wiosenny.

Ślonko majowe
Ze snu już wstaje,
We mgłach różowe,
Wyzłaca gaje,
Przez chmur koronkę
Patrzy ciekawie,

Biegnie przez łąkę
Kąpać się w stawie;
Promyki drżące
Po drzewach wiesza,
I budzić śpiące
Kwiatki pospiesza;

Ukradkiem z cicha
Pączki rozwija,
I w lot z kielicha
Rosę wypija.
O, ileż blasku!
Jakże uroczo!
W pobliskim lasku
Ptaszki szczebiocą,
A z tego drzewa
Co pod oknami,

Słowiczek śpiewa
Pieśń nad pieśniami.
Piosenka płynie
Dalekiem echem,
Chaty w dolinie
Wtórzą jej śmiechem.
Wszystko się budzi,
Do zajęć wraca,
Ożywia ludzi
Radość i praca.

Adam Asnyk.

192. Śpiewak majowy.

Pogodny, cichy i ciepły wieczór majowy; woń rozkwitłego jaśminu rozchodzi się dokoła, a perełki rosy w promieniach księżyca drżą i błyszczą na listkach i trawkach. Posnęły ptaszki, pszczołki, żuczki, motylki; żadnego brzęku, żadnego nawet szmeru niema w ogródku, tylko — cisza, zmrok, blaski i wonie.

Wtem odezwał się głos jakiś silny, przenikający, a jednak tak słodki, że wpada nietylko do ucha, ale i do serca. Cóż to za śpiewak nuci wśród cieniów nocy? Czyż dlatego wybrał sobie taką chwilę, aby mu nikt nie przeszkadzał? Śpiewa, śpiewa, coraz wyższych dobywa tonów, urozmaica je trylami na coraz smutniejszą nutę.

W ogródku cisza. Zdaje się, że i drzewa i krzewy wsłuchane są w tę pieśń cudowną, bo ani gałązka się ruszy, ani listek zaszeleści.

Tym śpiewakiem jest słowik, szare, drobne ptaszę, przylatujące na wiosnę, a opuszczające nas w jesieni. Ten śpiew trwa niedługo, a na święty Wit już słowik cyt!

193. O witajże nam wiosenko!

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca!
Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,
Ty białą zapalasz ręką
Blask słońca.

Jasne, jak kryształ, potoki
Zsyłasz na ziemię,
Jasne, jak kryształ, potoki
Świat poja:
Przebudź z zadumy głębokiej
I ludzkie plemię.
Przebudź z zadumy głębokiej
Brac moją.

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca!
I białą rozłaczaj ręką
Kobierce z ziela,
I białą zapalaj ręką
Blask słońca!

Jan Kasprowicz.

194. W lesie.

W lesie — szum się okrutny
Po wielkich sosnach niesie.
Dęby i jodły jako to wieże,
Pod niebo się dźwigają,
Że i królowie w złotych pałacach
Piękniejszych wież nie mają.
A sosny śmigle szumią a szumią,
A brzozy liściem trzęsą.
A dzień się przez nie jak sitem sieje
I patrzy złotą rzęsą.
Czasem gdzieś gołąb dziki zagrucha,
Czasem wiewiórką świnię,
A jarzębiny w kolorach stoją,
I pachną leśne wiśnie.
A jakie to tam gniazda są ptasie,
Furkania i szczebioty...
A gąszcz ci taki, że słońce ledwo
Przeciśnie smużek złoty.
A co tam żaczków, a muszek brzęku,
A co tam jagód krasnych,
A co mchów tkanych jak aksamity,
A co dzwoneczków jasnych!

M. Konopnicka.

195. Użytek z lasów.

Był las odwieczny. Jak czarna ściana, stał przed naszą wioską i zasłaniał ją od wiatrów. Łąka wilgotna ciągnęła się z drugiej strony lasu, który ją ocieniał od palących promieni słonecznych, wiatrom nie pozwalał jej osuszać; rosła też na niej trawa gęsta i wysoka, bydło z całej wioski miało z niej karm doskonałą.

Las ten należał do całej wioski. Pod jesień wójt, sołtys i gospodarze wybierali w lesie drzewa, zdatne na budynki i na

opał, i dzielili między gospodarzy, ile któremu trzeba było; resztę sprzedawano kupcom z miasta lub włościanom z innych wsi. Stare, spróchniałe chojniaki i chróst szły na opał. Z pięknych sosen robiono belki i deski na budowanie domów, sto-dół, śpichrzów. Brzozy kupowali węglarze na węgle; z brzoź wypalano także dziegieć. Wielki pożytek miała wioska z dębów: drzewo dębowe służyło do wyrabiania sprzętów, kora do garbowania skór, a świnie tuczyły się wybornie na żołędziach. Z osiki robiono gonty, z lip palono węgle, obdzierano tylko na rogoże.

Trudno wyliczyć, ile wygody mieli gospodarze z lasu, ile dochodu mieli co roku. Ale wkońcu pokłócili się: „Dlaczego las ma należeć do wszystkich? — powiedzieli — podzielmy się, każdy z własnego kawałka będzie miał więcej korzyści“.

Jak powiedzieli, tak zrobili — podzielili się; ale dzieci ich, gdy dorosły, nie odziedziczyły już lasu po praojcach. Każdy ze swego kawałka korzystał, jak mógł. Najpierw gospodarze wycinali suche drzewo, potem budulcowe, potem coraz młodsze cięli, aż wkońcu wycięli wszystko... I tam, gdzie szumiał bór ciemny, teraz jest pusta wydma, sterczą tylko na niej niskie pniaki i wyglądają z ziemi suche korzenie. Ludzie powoli wykopują z ziemi te korzenie, czyli karczują grunt, potem go orzą i obsiewają zbożem.

Nad łąką niema już teraz cienia, wiatr po niej hula bez oporu — wyschła więc do szczytu; trawa znędzniała nie wykarmi już bydła z całej wioski. Wyschły także bez lasu i grunta okoliczne; kiedy trafi się czasem rok suchy, zboże całkiem rodzić nie chce, ubożsi w wiosce iść muszą na zarobki...

196. Mech i jego koleje.

W lasach, w miejscach wilgotnych rośnie obficie mech. Potrzebuje on dużo wody i ściąga ją zewsząd ku sobie. (Dlatego też na zimę pomiędzy okna podwójne kładziemy mech, gdyż zbiera wilgoć z okien i nie pozwala im zamarać).

Mech składa się z łodyżki brunatnej i zielonych listków, najzieleńszych na wierzchołku roślinki.

Łodyżki i listki u dołu są już zgniłe, gdyż mech ciągle od dołu gnieje, zapada się, a wierzchołkiem rośnie.

Cienkie łodyżki mchu zakończone są jakby puszkami z przykrywką. Wewnątrz każdej puszczeni znajduje się pyłek, złożony z mnóstwa drobnych ziarn.

Gdy puszka dojrzeje, przykrywa się otwiera, a ziarna z puszczeni wysypują się. Z każdego ziarneczka wyrasta nowy mech, który rośnie, wydaje takie same puszki, a od dołu gnić zaczyna.

W tym czasie, gdy nasionka kiełkują, rosną i tworzą młody mech, stary stopniowo gnieje i opada na dno wody, która się pod mchem prawie zawsze znajduje.

Tak więc w ciągu dziesiątek i setek lat tworzy się coraz to nowy mech, wyrasta on na starym, gnijącym, ten zaś opada na dno wody, gdzie z czasem nagromadza się gruba warstwa zgniłego mchu. Mech, leżący na samym spodzie, pod ciężarem tej warstwy zbija się w gęstą, ścisłą masę, zwaną torfem. Im grubsza zbiera się warstwa mchu zgniłego na dnie wody, tem grubsza staje się u spodu warstwa torfu.

Wreszcie z biegiem lat cała woda wypełnia się torfem; mamy wówczas torfisko.

W wielu miejscach w naszym kraju znajdują się takie torfiska. Ludzie wydobywają z nich torf kawałkami, suszą go i palą nim w piecach, tak jak węglem kamiennym. Nie jest to jednak bardzo dobry opał, bo wilgotny i zostawia dużo popiołu.

197. Kalina.

Rosła kalina z liściem szerokiem,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kapała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła jak dziewczę młode,
I jak w lusterko patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia cesał jej długie włosy
A oczy myła kroplami rosy.

U tej krynicy, z tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny —
I grywał sobie, długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie
I śpiewał sobie: dana! oj dana!
A głos po rosie leciał co rana;
Kalina liście zielone miała,
I jak dziewczyna w gaju czekała.
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk, Jasia złożono,
Biedna kalina znać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała.
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła swoją urodę.

Teofil Lenartowicz.

198. Grzyby.

Grzyby należą do grupy roślin najprostszej budowy. Odznaczają się one tem, że nie ciągną korzonkami soków z ziemi, ale żywią się jak zwierzęta. Jedne toczą zwłoki roślin, czy zwierząt, inne znowu, natrafiając na żywe istoty, biorą z nich pokarm potrzebny. Grzyby posiadają organa wewnętrzne tak niewyraźne, że tylko przy pomocy mikroskopu rozróżnić je można. Brak im zieleni, liści, kwiatów, mogą żyć często w zupełnej ciemności, a rozmnażają się nadzwyczaj szybko za pomocą drobnych, okiem niedojrzałych zarodników.

A jaką wielką spotykamy między nimi różnicę co do kształtu, koloru, wielkości, poczynawszy od znanego powszechnie borowika, a kończąc na szarej pleśni, pokrywającej stare, wilgotne mury, niewypieczony chleb, miękki ser i wogóle psujące się ciała. Znaczenie i zadanie grzybów w świecie jest bardzo wielkie. One to rozkruszają najtwardsze opoki, użyźniając i przysposabiając ziemię do wydawania innych roślin. Każdy grunt pierwotnie nieurodzajny, każda naga skała służy najprzód na schronienie i miejsce pobytu niższym gatunkom roślin, to jest wszelkim porostom. Na płotach, parkanach, starych murach pełno zawsze, szczególnie od strony północnej, plam szarych, żółtych, niebieskawych. Te plamy — to różne rodzaje porostów. Z czasem na skale, rozkruszonej przez porosty, rozwijają się mchy i paprocie, a jeszcze później inne wyższe gatunki roślin.

Badania ludzi uczonych dowiodły, że takim porządkiem powstały na kuli ziemskiej twory roślinne, że zawsze twór niższy przygotowywał grunt dla wyższego. Lecz skądże się owe porosty na twardych skałach wzięły? Oto z powietrza. Zawsze i wszędzie, nawet w najczystszych powietrzu, unosi się mnóstwo drobnych, niewidzialnych grzybków. Grzybki te zowią się bakterje lub mikroby. Skoro tylko wiatr gdziekolwiek je zanieśie, a znajdą tam ciepło i choć odrobinę wilgoci, wnet rozpoczynają swą robotę, wgryzają się w skały, kruszą je i spulchniają. Bardzo łatwo można przekonać się o istnieniu tych drobnych grzybków w powietrzu.

Umaczajmy w wodzie czy mleku kawałek bułki i przykryjmy go szklanką, by ochronić od wysychania, a zobaczymy, że po jakimś czasie bułka okryje się niby mchem szarym. Ten mech to pleśń, to grzybki, które dostały się na bułkę z powietrza. Gdybyśmy ją przez dłuższy czas pod nakryciem trzymali, nie pozostałoby nic więcej, prócz odrobiny wody i popiołu. Cała bułka zostałaby przez grzyby stoczona. Toż samo doświadczenie można zrobić z kartoflem, ugotowanym i przekrajanym na połowę, z kawałkiem mięsa i t. p.

Grzyby, żywiące się martwymi roślinami lub zwierzętami, nazywają się roztocze. Usługi, jakie roztocze nam oddają, są bardzo wielkie, nie tylko bowiem rozkruszają skały, ale chronią powietrze od zepsucia, usuwając z ziemi martwe części roślin lub zwierząt. Roztocze, rosnąc w słodkim mleku, zamieniają je na kwaśne; roztocze powodują kwaszenie kapusty i ogórków, a wino i piwo, dostawszy się do nich, w ocet obracają. Znane i używane powszechnie drożdże nie są niczym innym, tylko całymi kolonjami takich grzybków.

Nie zawsze jednak roztocze pożytek nam przynoszą; są one nieraz wielkimi szkodnikami. Różne ciężkie choroby, jak ospa, tyfus i szkarlatyna pochodzą od tego, że owe złośliwe grzybki do krwi naszej się dostały. A czem objaśnimy próchnienie drzewa, gnicie owocu? To także sprawki roztoczków.

Drugi rodzaj grzybów rośnie na żywych tworach roślinnych lub zwierzęcych i ciągnie z nich soki. Są to grzyby pożyteczne. Jedne z nich obrały sobie siedlisko w ciele much,

inne toczą żywe gąsienice, starannie omijając te części, od których życie ofiary zależy, a inne jeszcze, jak n. p. rdza, napadają na kłosa żyta i pszenicy, niszcząc w ten sposób pracę rolnika.

Do najsmaczniejszych i najbardziej poszukiwanych grzybów należą trufle. Trufla żyje pod ziemią, lubi szczególniej grunt, użyźniony butwiejącymi liśćmi grabów i dębów. Kształtem przypomina nieforemną kulkę, pokrytą czarną, chropowatą skórą. Do wyszukania trufli używają przyuczonych psów lub wieprzy. Tym ostatnim zamykają poprzednio ryj metalowym pierścieniem. Trufle stanowią przedmiot znacznego handlu i uważane są za przysmak wielki.

Doskonały i ze wszystkich grzybów najzdrowszy borowik rośnie po lasach iglastych. Bardzo do niego podobny i bardzo szkodliwy jest siniak. Poznać go można po tem, iż przełamany zaraz sinieje. Wogóle przy używaniu grzybów potrzebna jest jak największa ostrożność, gdyż wiele z nich zawiera w sobie gwałtowną truciznę. Najlepiej, przygotowując jaką potrawę z grzybów, wkrajać do niej bardzo wiele cebuli. Jeżeli cebula pozostanie białą — grzyby są jadalne, gdy zzielenieje, będzie to znakiem, iż są trujące.

Powszechnie znanym grzybem jest pieczarka. Hodują ją po miastach, często nawet i w piwnicach, na ziemi starannie przygotowanej i dobrze umierzwionej. Pomiedzy trującymi grzybami odznacza się muchomór. Powierzchność jego piękna, okazała, kapelusz purpurowy, biało nakrapiany, ale świetne te pozory kryją zjadliwą truciznę. Grzybów znanych w Europie jest około 3000 gatunków.

199. Grzybobranie.

Grzybów było w bród. Chłopey biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa: bo czerw ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy:

Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
 Czy zimą. Jeden wojski zbierał muchomory.
 Inne pospólstwo grzybów, pogardzone w braku,
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
 Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasa,
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
 Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
 Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
 Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
 Niby czareczki różnem winem napelnione;
 Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
 Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe.
 Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie.
 I kulista, czerniawym pyłkiem napelniona
 Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona
 Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
 Od ludzi niechrzczone, a jest ich bez liku.
 Ni wilczych, ni zajęczych nikt zbierać nie raczy,
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
 Zagniewany grzyb złamie, albo nogą kopnie:
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

A. Mickiewicz.

200. Armja nocna.

I.

Świat cały pogrążony we śnie. Spoczywają ludzie w domach, zwierzęta w legowiskach, ptaki w gniazdach... Nawet kwiaty stuliły kielichy.

Pogodna, ciepła noc czerwcową ukołysała całą przyrodę. Gdyby nie księżyc, możnaby sądzić, że tak jest w istocie, bo cisza dokoła, narazie żadnego szmeru ni szelestu.

Ale księżyc w pełni to bardzo ciekawy jegomość i wielki zdrajca: zagląda wszędzie, czy go o to proszą, czy nie. Wszystko podpatrzy, wszystko widzi... Jedni — mu bardzo radzi; drudzy — woleliby, żeby się schował za chmury i nie wychylał wcale swego okrągłego oblicza... Lecz on o to nie pyta, patrzy i odkrywa tajemnice.

Księżyc wie o tem, że jest cała armja istot, które w dzień śpią, a w nocy czuwają; nie lubią one blasków słonecznych, wolą działać pod osłoną nocnych cieni. Do różnych należą rodzin, różne wiodą życie, odmienne mają gusty i upodobania.

ale w jednym zgadzają się z sobą: nienawidzą światłości dziennej... Zaledwie gęsty mrok zapadł cały rój motylków nocnych uwija się w powietrzu. Prządki, sówki, ćmy kręcą się bezustannie to w tę, to w ową stronę, lubując się życiem, które dla nich jest tak krótkie.

„Życie motylka — to jedna chwilka“. Tak, jedna chwilka, a nieraz jeszcze krótszem stać się może, bo dokoła czycha nieprzyjaciół tylu, należących do tej samej armji nocnej.

Już leci jeden. Widać go w blaskach księżyca.

Ptak — nie ptak! mysz — nie mysz.

Ponad głową sterczą mu wielkie uszy, na nosie wyrostek, gdyby liść.

Podczas dnia spał w starej dzwonnicy.

Wyleciał bez szmeru... On nie dba o promienie miesiąca, nie patrzy, w którą się stronę kierować, ale za to słucha, słucha...

To też najsubtelniejszy szelest najcieńszych skrzydełek nie ujdzie jego baczności, i co chwila biedny, niebaczny motylek staje się ofiarą długoucha...

Niebawem z tej samej dzwonnicy wyleciał drugi jej mieszkaniec. Lot jego także cichy; grzbiet plamkowaty z jedwabistym połyskiem, szpony potężne, około oczu z piórek okulary... Krąży około gołębnika... Zamknięty. Przez małe otwory trudno się dostać... Trzeba dalej, na polu lub w lesie próbować szczęścia...

Poleciał.

Znalazł tam dużo krewniaków. To najdzielniejsi członkowie armji nocnej.

Pozdrawiają się okrzykami: „Kuwik! kuwik! Pójdź, pójdź!“ lub sykaniem, chrapaniem, gwizdaniem, hukaniem. Cisza nocna przerwana.

II.

Największy z całej gromady odzywa się najgłośniej. Krzyczy co chwila: „Uhu, uhu!“ i budzi mieszkańców lasu z błęgiego spoczynku.

Słyszysz to wołanie sarna; truchleje ze strachu i dzieci swe do piersi tuli; słyszysz zając młody i drży, jak liść osiny. Słyszysz ptaki na gałęziach.

Pobudziły się wszystkie. Nie śpią. A w lesie tak jasno. Promienie księżyca przenikają największą gęstwinię, oświecają gniazda, gdzie tyle miłości, tyle nadziei... Ptaszkom trwożnie serca biją; siedzą cichutko, aby się nie zdradzić najmniejszym szelestem. Każda chwila zdaje się wiekiem. Wreszcie strach przechodzi, budzi się nadzieja. Złowrogie „Uhu!“ słychać coraz rzadziej, coraz dalej. Puhacz przepadł na skraju lasu...

Ale z dziupli ukazał się wróg inny — nowy członek armji nocnej. Futro ciemno-kasztanowate, podgardle żółte, w pysku zęby straszne...

Noc jasna, połów się uda.

To chytra kuna skrada się i patrzy. Byстрыm wzrokiem dostrzegła gniazdo zięby. Podskoczyła — i cała bezmierna miłość matki nie zdołała obronić piskląt...

Na polu, w świetle księżyca gromada myszy tańczy. Niejedna swą śmiałość życiem przypłaci. Puszczuki, sowy gustują w nich bardzo. Gdy niebezpieczeństwo grozi, zmykają na wszystkie strony, kryją się do norek, lecz niezadługo znów wychodzą i rozpoczynają gonitwy. Noc taka ciepła, pogodna, jasna. Szkoda w norze siedzieć.

III.

Do folwarku skrada się lis. On wie, że gęsi nocują w zagrodzeniu pod gołym niebem.

Gaska — to smaczny kasek, próbował go już nieraz.

Wchodzi na podwórze, czai się, słucha. Milczenie dokoła.

Już miał przeskoczyć płotek, gdy wtem zerwały się dwa psy. W dzień drzemały, uwiązane na łańcuchu, ale zato w nocy były tak czujne... One strzegą „armji dziennej“ zagrożonej w spoczynku.

Lis się przestraszył, cofnął, spuścił ogon i zmyka do lasu.

Spojrzał na niego księżyc, uśmiechnął się szyderczo, potem za obłok wsunął i nie pokazał więcej.

Krótką noc czerwcową mijała. Poczęło świtać. — Armja nocna wróciła do swych dziennych kryjówek.

Jadwiga Warnkówna.

201. Wierzba na pustkowiu.

Wiatr dał gwałtowny i gwałtowniejsza jeszcze szumiała ulewa, a biedna wierzba, samotnie stojąc na pustkowiu, ugięła swe gałęzie aż do ziemi i pokornie schylała się przed wiatrem, jakby prosząc go: „nie łam mnie!“ a przed deszczem: „nie zięb mnie“. Głucho i czarno było w około. Jak daleko sięgnąć okiem, cały widnokrąg zaciągnięty był nieprzebitymi chmurami, przez które od czasu do czasu przedzierała się ognięta błyskawica, oświetlając jaskrawym blaskiem ten zakątek smutny i opuszczony.

Przez zielone listki wierzbiny, świstał wiatr przeraźliwie, wygrywając na jej delikatnych gałązkach, niby na multankach, jakąś dziwnie grobową piosenkę.

Drogą, a raczej bezdrożem, wiodącym ku samotnie stojącej wierzbinie, szło jakieś pachole, biedne, obdarte, w lekkiej płótniance, z której połami wiatr igrał tak samo, jak z gałązkami wierzbiny.

Trudno odgadnąć, co wiodło chłopca w te puste strony? Prawdopodobnie spodziewana pod cieniem wierzbiny ochrona przed deszczem kierowała jego krokami, bo podążał szybko, jakby obawiał się, aby mu drzewo nie uciekło, lub żeby go wiatr nie wyrwał z korzeniami.

Tymczasem powoli zaczęło się rozjaśniać, chmury ustępowały — po gwałtownej ulewie zajaśniała pogoda i słońko zabłysło jakoś rzeświej i weselej.

— Mój Boże, pomyślała wierzba, patrząc na połamane od burzy gałęzie; czy jest nademnie bardziej opuszczony i niešťśliwy twór na świecie? Wiatr mną pomiata, ulewa łamie gałązki — a znikąd nie mam opieki, ani osłony... I żałac się tak, strząsała ze siebie grube krople deszczu, które na podobieństwo łez ściekały z jej listków, smutnie obwisłych ku ziemi.

W tej samej chwili, podobne myśli nasuwały się i chłopczyńie. I on, jak owa wierzba, czuł się samotnym i opuszczonym, — i on też wyżywał ze swej płótnianki strugi wody, a z oczu płynęły mu łzy gorzkie, łzy prawdziwe.

Był sierotą. Niedawno stracił ojca, a dziś prosto od mogiły matki, puścił się w świat szeroki szukać chleba i przytułku. Puścił się, jak to mówią, na los szczęścia, gdzie wiatr poniesie; a los i burza zapędziły go aż tutaj.

Smutnie rozglądał się wokoło, czy nie zobaczy gdzie jakiej chaty lub człowieka, któryby ulitował się nad nim, ogrzał, ugościł i użył tych rąk, które choć słabe jeszcze i nie wyrobione, gwałtem rwały się do pracy do zajęcia. Ale oprócz tej opuszczonej wierzby, której los dziwnie zdawał mu się podobnym do jego losu, nikogo nie dojrzał na całej przestrzeni.

Cóż miał począć, w jaką obrócić się stronę, gdzie przytulić głowę?

Nie znając okolicy i czując się bardzo zmęczonym, postanowił nie puszczać się już dzisiaj w dalszą drogę, lecz poczekać do wieczora i przenocować pod tą samotną wierzbą.

Do wieczora było jeszcze daleko, — słońko zaledwie połowę nieba obeszło i chłopcu nudziło się w pustej i bezludnej stronie. Łzy go dławiły, tęsknota jak rdza czepiła się duszy; — należało ją czemś odegnać i odstręczyć od siebie.

Wtem jakaś widać szczęśliwa myśl zabłysła mu w głowie, bo przystąpił do wierzby, obejrzał jej gałązki — a wybrawszy sobie jedną z nich giętką i zieloną, odciął ją zręcznie kozikiem.

— I ten, choć równo biedny, przeciwko mnie! — westchnęła wierzba, smutnie różmyślając nad swą niedolą.

Tymczasem chłopiec zaczął z tej gałązki kręcić dla siebie fujarkę. W zręcznych i wprawnych rękach robota szła szybko, i za chwilę po dalekich łąkach rozległ się głos dzwieczny, donośny, a tak chwytający za serce, że nawet ptaki milkły pod jego czarem.

Dzika wierzba ze zdumieniem przysłuchiwała się temu graniu. Czy ona biedna przypuszczała, że w niemych jej napozór gałązkach mieści się tyle tajemniczych tonów? O jakże

teraz była szczęśliwa, jakże błogosławiła sierotę za radość, jaką jej sprawił! Mniej już czuła się opuszczoną, skoro była zdolną łagodzić smutek ludzi, skoro się na coś przydała.

A chłopiec nawzajem błogosławił wierzbową fletnię, i dziękował niebu za to, że go tutaj sprowadziło. Łagodne tony fujarki wносиły mu do duszy upragniony spokój, zapomnienie ciężkiej boleści i wiarę w przyszłość lepszą, pogodniejszą.

I tak, te dwie sieroty: samotna wierzba na polu i opuszczony chłopiec czuły się szczęśliwemi, nie domyślając się zapewne, że ręka Boża na to je zbliżyła do siebie, aby w zetknięciu się wzajemnem, znalazły radość i pociechę.

Władysław Bełza.

202. Do wierzyby.

A kto ciebie, ty wierzbino, wychował?
A kto fujareczki czarował?
„Wychował ci mnie mój rodzic — ciemny las,
Kędy stoję na chłodnej rosie — aż po pas.
Wykarmiła mnie ta ziemia — ta matka;
Płakiwała ze mną brzoza — sąsiadka.
Czarna rola podawała — chleb i sól...
Wykołysał wiatr szumiący — z łąk i pól.
Latał ci on miesięcznemi nockami
Nad sennemi wioski naszej chatami;
Z starych mogił zbierał skargi i żale
I otrząsał po kalinach korale.
Za nim smutek, lzy sieroce leciały,
Jak po niebie chmur pierzastych smug białe.
Wiatr gałązki moje gibkie całował,
Na fujarki je nastroił, czarował“.

Marja Konopnicka.

203. Nie goń motyla.

Młody chłopaku, porzuć swawolę,
Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
Radosna chwila;
Nie pusuj radości twoją pustotą,
Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
Nie goń motyla!

Niech sobie lata, niech sobie lata,
Przez kilka godzin użyje świata,
Co się przymila;

Skrzydełka płoną, oczka mu płoną,
Chce się pocieszyć trawką zieloną,
Nie goń motyla!

Dla niego wieczność, co dla nas chwilka,
Chce w jednej wiośnie mieć wiosen kilka,
Główkę pochyla,
I z każdej trawki, z każdego kwiatka
Chciałby słodczy ssać do ostatka,
Nie goń motyla!

W. Syrokomla.

204. Mrówki.

Mrówki są to owady żwawe i pracowite; mają sześć nóg i mocne szczęki do chwytania zdobyczy i noszenia różnych przedmiotów. Na jesień mrówki dostają skrzydełka, które im prędko opadają. W mrowisku roją się jak ogień w zarzewiu. Cały dzień znoszą drobne gałązki, ziarnka, robaczki i gąsienice, których szukają wszędzie, wchodzą też za nimi aż na drzewa. Nieżywego chrabąszcza lub krówkę, rozskubują i po kawałku do mrowiska znoszą. Większy kawałek dźwiga kilka mrówek razem.

Raz mrówka znalazła na drodze grube źdźbło owsa, chciała je zanieść do mrowiska, ale nie mogła go unieść. Co tu robić? Weszła na kamyk i rozglądała się wokoło, jak gdyby szukając pomocy. Wtem spostrzegła przechodzące się w pobliżu dwie mrówki. Pobiegła ku nim i potarła swemi różkami ich różki. — Mądre stworzenia zrozumiały ją widać, bo zaraz poszły za nią. Teraz trzy mrówki z łatwością podniosły ździebelko, któremu jedna podołać nie mogła, i wkrótce zaciągnęły je do mrowiska.

Samiczka mrówka znosi drobne jak mak jajeczka. Z drobnych jajek lęgną się białe robaczki, którym mrówki pilnie znoszą żywność, a najwięcej słodkie, zielone mszyce, które obiadają różne kwiatki i groch. Po kilku tygodniach robaczek taki zasklepia się w białym kokonie podobnym do podługowatego jajeczka. Owe białe kulki w mrowiskach nie są to więc jajka, jak je wszyscy nazywają, ale ich zasklepione poczwarki, z których powstają właściwe mrówki-niańki wynoszą troskliwie te poczwarki na słońce, a pod wieczór lub gdy

się zanoszą na deszcz, znoszą je napowrót do mrowiska. Gospodarstwo mrówek jest urządzone wzorowo, każdy ma wydzieloną pracę, którą gorliwie wypełnia. Są mrówki matki, są służące, niańki, a także i mrówki żołnierze.

Mrówcze gniazda czyli mrowiska są tak sztucznie przez nie zbudowane, że najlepsi budowniczkowie nie powstydziłiby się takiej roboty. Ileż tam salonów, ile korytarzy, schowanek, a każde ma swoje przeznaczenie.

205. Kruk.

Kruk, jeden z najrozsądniejszych ptaków, jest pod wielu względami dla nas szkodliwy. Wytrwały na zimno, gdyż jest ciepłym puchem pod pierzem okryty, już w marcu, a niekiedy nawet w lutym składa jajka. Trudno zrozumieć, jak kruk wytrzyma na jajach przy śnieżycach i mroźnem powietrzu, jak pisklęta nie pomarzną w gnieździe.

Nadzwyczajnie ostrożny, rzadko narazi się na niebezpieczeństwo. Rozróżnia ludzi i wie doskonale, komu można zaufać, a kogo się lękać wypada. Posuwa ostrożność do tego stopnia, że gdy widzi niebezpieczeństwo dla piskląt, zabiera je w szponach do innego gniazda, zanosząc jedno po drugim w oddalone nieraz lasy.

Część dnia kruk krąży wyżej i niżej, upatrując zdobyczy na ziemi, — lub też, siedząc na suchej gałęzi, bada z uwagą widnokrąg. Drób domowy porwie, padlinę sprzątnie, jak grabarz; wypija jaja w gniazdach i porywa pisklęta, — a w czasie głodu zjada nawet żaby, jaszczurki, pędraki. Poluje zawzięcie na skrzeczki i susły, żyjące gromadnie i zagnieżdżone w niektórych okolicach. A susły wyrządzają szkody, kopiąc nory, zjadając ziarna zbożowe i znosząc wielkie zapasy do spiżarni zimowej.

W zimie kruk zrećźnie poluje na zające; nieraz woła do pomocy drugiego kruka i najczęściej pokonywa ofiarę.

Kruk żyje, jak twierdzą uczeni, około stu lat.

W gnieździe rzadko bywa czworo piskląt, a wychowa się najwięcej dwoje lub troje. Wychowawszy i wyuczywszy swe dzieci, rodzice pozostają w parze, lecz żyją w dosyć

znacznem oddaleniu; wszakże zwołują się zawsze do pożywienia, jeśli które znajdzie więcej, niż może zjeść.

Kruk rozumie doskonale, że na polowaniu zwierz bywa często postrzelony i ginie po gąszczach leśnych — to też towarzyszy zwykle myśliwym i, lecąc, ściga uchodzącą zwierzynę; jeżeli zdrowa porzuca pogoń i powraca do myśliwych, — jeżeli padnie, lub poczyną farbować na śniegu, wtedy donośnem krakaniem zwołuje rodzinę na biesiadę. Krakanie to dobrze znane dostarczyło myśliwym niejednego dzika lub sarnę, które bez niego pozostałyby w lesie.

Dobłą stroną kruka jest łowienie skrzeczków, susłów, myszy, szczurów wodnych, pędraków; usługi jednak te są mniejsze niż szkody w drobiu i zwierzynie, jakie nam wyrządza.

Jako grabarz, kruk bywa pożyteczny. Węchem i wzrokiem odkrywa padlinę, grobowem swem krakaniem zwołuje inne kruki, i niebawem kruki te usuwają zdechłe zwierzę. Jest on u nas zastępcą sępa.

Złowiony za młodu i chowany w domu, tak się obłąskawia, że nie myśli o ucieczce, a nawet obawia się i unika dziko żyjących kruków. Łatwo bardzo wyucza się wymawiać rozmaite wyrazy i naśladuje głosy różnych zwierząt i ptaków. Ma przytem jak sroka, wielki pociąg do złodziejstwa: kradnie różne szczególnie błyszczące rzeczy i z największą ostrożnością chowa je do swej kryjówki.

M. Brzeziński.

206. Żórawie.

Niemalęmi szkodnikami są żórawie, duże ptaki, wyglądające z daleka jakby szare bociany, z czerwoną łatką na głowie. Szczególnie niszczą one na wiosnę świeże zasiewy grochu i gryki, a w jesieni żyta i pszenicy.

Ptaki te, bardzo ostrożne, niełatwo dadzą się podejść strzelcowi. U nas przebywają głównie na wiosnę i w jesieni podczas przelotu.

Wtedy to można widzieć wielkie stada żórawi, zgromadzone na obszernych polach lub błoniach. Jedne pasą się spo-

kojnie, inne tymczasem, stojąc na wyniosłych miejscach, rozglądają się po okolicy. Za najmniejszym niebezpieczeństwem, na chrapliwy głos, zrywa się całe stado; ciężko, powoli wzbija się coraz wyżej i wyżej, to latając bezładnie w powietrzu, to wyciągając się w długi klucz, złożony z dwóch stykających się na przodzie szeregów.

W tych okolicach kraju, gdzie są rozległe bagna, część żórawi zostaje i zakłada gniazda. Są one obszerne i składane z długich suchych traw, branych po większej części ze starych pokosów, grubo nasłanych na płaską, zaokrągloną grudę ziemi, wzniesioną więcej lub mniej, stosownie do suchości lub zalania miejsca. W ostatnim wypadku żórawie często nagarniają na jedno miejsce dużo mchu i na nim dopiero na stopę wysokie gniazdo budują. Jaj składają żórawie dwa. Mięso żórawie jest niesmaczne, czarne i twarde. Młodo złowiony ptak ten łatwo się oswaja i przywiązuje do człowieka.

M. Brzeziński.

207. Żórawie.

Pod tą cichą, złotą zorzą
Żórawie leciały;
Z tem szarem pustem polem
Krzykiem się żegnały.
 Ty szerokie puste pole.
 Ty czarny ugorze!
 Już my lecim, odlatujem
 Za to sine morze!
Już my lecim, odlatujem
W te powietrzne drogi,
Nie będą nas więcej żywić
Twoje chlebne brogi.
 Nie będą nas więcej poić
 Wody strumieniące,
 Nie zakrzyknem już hejnału
 Na to ranne słońce!
Nie zakrzyknem już hejnału
Bijący skrzydłami,
Nie zaszumią nasze pióra
Nad temi łąkami.
 Nie zaszumią nasze pióra
 W chorągwiane loty,
 Nie poniosą twoich pieśni
 W błękit jasny, złoty!

Hej szerokie puste pole
W sinych mgłach stojące,
Czekaj ty nas, jak zaświeci
To majowe słońce!
Czekaj ty nas, a wyglądaj
Od zachodniej strony,
Jak zapachną trawy twoje
I ten gaj zielony.
Czekaj ty nas, a wyglądaj
Rankami cichemi,
Jak się wiosna rozblękitni
Dookoła ziemi!
A my drogi nie zagubim
Przez to morze sine,
Po pióreczku rzucać będziemy
W szumiącą głębinę...
A my drogi nie zagubim
Z powrotem do ciebie,
Poznamy ją po tej zorzy,
Po tem bladym niebie...
Poznamy ją po tej rosie,
Co na tobie świeci,
Po tych jasnych lnianych główkach
Twoich małych dzieci!
Lecą, lecą, odlatują
Żegnać ich żalosno...
Nie smuć-że się, puste pole,
Wróć, wróć wiosną.

Marja Konopnicka.

208. Dawne mieszkania.

W dzisiejszych czasach, w dużych miastach widzieć można piękne kamienice, wspaniałe pałace, a w nich ludzie nagromadzili mnóstwo wygod, które się przyczyniają do uprzyjemnienia życia. Po wsiach rzadko się widzi pałace; zwykle jest jeden większy dwór na całą wieś. Ale i chaty dzisiejsze są dość wygodne: widno w nich jest, przestronno i wysoko, i zawierają one w swym wnętrzu niezbędne sprzęty do siedzenia, spoczynku i gotowania strawy.

Do takich wygodnych mieszkań nie doszli ludzie od razu. Pierwotnie szukali oni schroniska w norach, jaskiniach, — a powoli dopiero, gdy doszli do wynalazku niezbędnych do budowy narzędzi, zaczęli stawiać szałas, a potem chaty i domy.

Uczeni ludzie wykazali, że w dzisiejszej Szkocji, która należy do Anglii i jest krajem bardzo oświeconym, budowali sobie ludzie w najdawniejszych czasach mieszkania podziemne. Były to jaskinie, wyłożone kamieniami nieobrobionymi. Podobne nory przygotowywali sobie Germanowie, czyli Niemcy; tam chowali zboże, chronili się przed zimnem, a w czasie wojny przed nieprzyjacielem. Przodkowie dzisiejszych Francuzów, którzy się nazywali Gallowie, budowali sobie mieszkania w ten sposób, że wtykali w ziemię drągi, oplatali chróstem i gałęzmi, a potem z wierzchu pomazywali je tłustem błotem lub gliną, dach zaś przykrywali liśćmi. Za najwspanialszą ozdobę tych mieszkań uważali Gallowie głowy zabitych na wojnie nieprzyjaciół, zawieszane ze dworu na ścianie. Tak było u Gallów, krótko przed narodzeniem Chrystusa, a więc około 2000 lat temu.

W Anglii wykopywali ludzie dół, na dwie stopy głęboki; nad nim stawiali dach, i to było całe domostwo. W późniejszym jednakże czasie na lato podnosili trochę dachy i opierali je na czterech słupkach, a wreszcie na zimę zaprzestano spuszczać dach, wbijano słupki gęściej, przeplatano je gałęzmi i smarowano gliną.

W Szwajcarii jest wiele jezior, a na wzgórzach lasów. Ludzie więc tamtejsi budowali dawniej swe domostwa na jeziorach; wbijali pale, a na nich dość wysoko nad wodą z chróstu pleciono chaty, których ściany grubo oblepiano gliną.

Takie chaty nadwodne stawiali niegdyś i nasi praojcowie, aby się zabezpieczyć od wroga i dzikiego zwierza. Dachy podobnych domów były kryte liśćmi, a podłogę zaścielano plecionkami ze słomy. Ponieważ nie znano jeszcze wtedy narzędzi żelaznych, a więc słupy do mieszkań nawodnych przepalano, dotykając do nich zapalone główne. Że zaś tak starodawni ludzie robili, świadczą o tem różne wykopaliska; w Szwajcarii znaleziono w ziemi skamieniałe słupy dębowe, na których były ślady przepalenia. Udoskonalenie budowli zależało od innych wynalazków, bo, dopóki ludzie nie znali żelaza, nie mieli pił i siekier, dopóty nie było można myśleć o ciosaniu drzewa i o budowaniu z niego domów pięknych i wygodnych.

209. Pieśń o chlebie.

L

Jak to było, co to było,
Zanim w kolacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały
Co nim dziatki się łamały?

.

Stary Szymon wyszedł z rana,
Świtka na nim siwa, lniana,
Przeciągnął się, skrobnął w głowę,
Zaprzął w sochę wołki płowe.

Wiedzą wołki co to znaczy;
Oj, nie lekki los oraczy!
Postępują sobie trochę,
Bo pociągną w pole sochę.

A nad polem, nad szerokiem,
Świeci słonko jasnym okiem,
Błyszczy lemiesz na zawrocie,
Niby kuty w szczerem złocie.

Skowroneczek w niebo dzwoni,
Otarł Szymon pot ze skroni,
A od łana aż do łana,
Świeci skiba zaorana.

II.

Jak to było, co to było,
Zanim w kolacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co się dziatki nim łamały?

.

Stary Szymon czapę wmiesił,
U ramiona płachtę zwiesił,
I już rzuca w ziemię czarną,
Nasze złoto, pszenne ziarno,

Co kto przejdzie z owej strony,
To mu krzyknie: Pochwalony!...
Jużci się pozdrowić godzi,
Kiedy siewacz polem chodzi,

Stary Szymon, choć daleki,
Odkrzykuje wnet: Na wicki!
Od stajania do stajania
Głos po miedzach się rozdzwania...

Szymon ziarna nie żałuje,
Na zawrotach podsypuje,
Od granicy do granicy,
Niech dziwują się pszenicy!

Za Szymonem, wpodłuz niwy,
Ciągnie bronę konik siwy;
Pogania go Jasiek biczem,
Nie frasuje głowę niczem.

III

Jak to było, co to było,
Zanim w kołacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co nim dziatki się łamały?

.
Drobny deszczyk przekropuje,
Już pszeniczka ziemię czuje,
Już i ruń się kłem wyrzyna...
Będzie zboże, jako trzcina!

Letnie słonko rano wstało,
Złotem kłosy malowało,
Malowało, szczerem złotem,
Polewało chmur rzeszotem.

— Oj, wy kłosy, bujcie kłosy,
Padniecie wy od tej kosy,
Co się jako miesiąc pali,
Kiedy Szymon ją nastali!

Jak zamachnie z prawej strony,
Jużci zagon położony!
Jak zajędzie od lewicy,
Jużci w polu po pszenicy!

Rozżarzyło się południe,
Basia pieśni śpiewa cudnie...
Pot ocieka z smagłych twarzy,
U żniwiarek, u żniwiarzy.

IV.

Jak to było, co to było,
Zanim w kołacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co się dzieci nim łamały?

.
Grabliskami pole brząka,
Z lasu słychać granie bąka,
Zachodnia się zorza mieni,
Pół we złocie, pół w czerwieni.

Przepióreczka w miedzy krzyczy
Stary Szymon kopy liczy,
Liczy kopy w strony obie,
Najpierw odsieb, potem k'sobie.

— Jużci niby nie tak mało!
Alećby się więcej zdało...
Nie rozwali chlebem broga!
Ano, i tak chwalić Boga.

Z dwojakami Jaguś leci,
Po rżysku się gonia dzieci,
Dzikie gęś ciągną z wraskiem,
Pod zachodnim, cichym blaskiem.

Stary Szymon kręci głową,
Myśli sobie to i owo...
A coraz to pojrzy w kopy,
Na pszeniczne ciężkie snopy:

V.

Jak to było, co to było,
Zanim w kołacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co nim dzieci się łamały?

.....
Zrzucił kozuch Szymon stary,
Choć od mrozu idą pary,
Na boisku cepem bije,
Wyciągnąwszy długą szyję.

Co zamachnie, to z boiska
Złotym gradem ziarno tryska,
Wali w słomę ażę dc dna,
Ćwierka wróbli rzesza głodna...

Od stodoły biją echa,
Stary tylko się uśmiecha,
Sąsiad wetknął nos we wrota,
— Jak też idzie ta robota?

— A cóż?... Idzie po bożemu!
Człek da ziemi, ona jemu...
Człek da ziemi szczere poty,
Ona jemu plon ten złoty!

Będzie chleba i dla siebie,
I dla braci w złej potrzebie...
A jak się ukruszy nieco,
To się wróble głodne zlecą!

VI.

Jak to było, co to było,
Zanim w kołacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co nim dzieci się łamały?

.

Na góreczce wiatrak stoi,
Mielnik pod wiatr śmigi stroi,
Niesie kluski młynarczanka,
A młynarczyk patrzy z ganka.

Jedzie, jedzie wóz z daleka!
Już pies za nim we wsi szczeka,
Ten koń siwy, a ten kary,
Wiezie worki Szymon stary!

Pochwalili imię Boże.
— A i jakże mleć to zboże?
Czy na grubo? Czy na cienko?
Stary Szymon machnął ręką.

— Mielcież je za Boską chwałą,
Żeby na rok cały stało,
Mielcież je na kamień nowy,
Żeby chleb się darzył zdrowy!

Odbierajcie precz otręby,
Żeby ludzi nie kłuł w zęby.
Mielcież i na kołacz biały,
Żeby dzieci radość miały!

Marja Konopnicka.

210. Jak zachować zdrowie.

Nie wiesz, jak łatwo możesz utracić zdrowie, a nawet życie, powinieneś zatem słuchać tego, co ci radzi lekarz, rodzice i nauczyciele.

Jeżeli chcesz być zdrowym, wstawaj wcześnie, bo długie leżenie bardzo szkodzi zdrowiu, ubieraj się prędko, myj twarz, ręce, szyję i piersi codziennie świeżą wodą i wycieraj mocno suchym ręcznikiem, a unikniesz chorób, będziesz się czuł na całych ciele lekkim i krzepkim. Wychodź potem na świeże powietrze, bo świeże powietrze i ruch przyczyniają się wielce do zdrowia. Bierz się do pracy, bo praca i zabawy skromne, ćwiczenia gimnastyczne dodają ciału siły i sprężystości,

Przyzwyczajaj się do trudów i niewygód. Ciało, chowane w pieszczotach i wygodach, staje się niedołężne i słabe, a w słabem ciele jest i dusza słaba. Nie natężaj oczu przy świetle, nie czytaj w czasie zmroku, lub gdy ci promienie słoneczne prosto na książkę padają. Nie przybliżaj książki lub pisma zanadto do oczu, bo wzrok się osłabia, i nigdy już nie będziesz dobrze widział. Siedząc, nie pochylaj się i nie opieraj się o stół piersiami. Nie stawaj przy piecu, gdy jesteś zziębnięty, i wogóle nie ubieraj się zanadto ciepło i nie przykrywaj się ciepłymi kołdrami lub pierzynami, bo wyrośniesz na niewieściucha; każdy wietrzyk chłodny, każdy deszczyk nabawi cię kataru.

Lecz strzeż się umyślnego zaziębienia! Nie wychodź zgrzany w tym samym ubiorze na zimno, lecz odziej się wprzód cieplej; nie pij zimnej wody, gdyś spocony; nie wchodź do rzeki, gdyś zgrzany i zmęczony. Kąpiel rzeczna jest bardzo zdrowa: krzepi ciało i utrzymuje czystość, której do zdrowia bardzo potrzeba; lecz nie siedź w wodzie całemi godzinami, bo, zamiast wzmocnić, osłabi cię kąpiel; nie kąp się też w południe, gdy słońce piecze, bo zachorujesz; ucz się pływać w pływalni, żebyś mógł być bezpiecznym i na głębokiej wodzie, lecz unikaj głębiny, gdy pływać nie umiesz.

Mierność w jedzeniu i piciu jest najgłówniejszym warunkiem zdrowia. Człowiek spożywa pokarmy i trawi w żołądku. Pokarmy utrzymują go przy życiu; gdyby nie jadł i nie pił, musiałby umrzeć. Lecz gdy zje więcej, niż zdoła strawić żołądek, traci zdrowie: nadchodzi choroba a często i śmierć.

Jedz tylko wtedy, gdy ci się jeść chce; gdyś głodny i najprostsze potrawy będą ci smakowały. Nie jedz prędko, lecz powoli; gryź i żuj dobrze każdą potrawę, bo im lepiej żruta, tem prędzej strawi ją żołądek. Nie jedz dużo słodkich rzeczy, bo nie są pożywne, a odbierając apetyt do chleba i mięsa, osłabiają żołądek. Strzeż się jeść twarde, niedojrzałe owoce: niejedno dziecko umarło już z łakomstwa na zielone jabłka i gruszki, które sprowadzają chorobę żołądka. Bądź cierpliwy! gdy owoce dojrzeją, będziesz je jadł w miarę, i pewnie ci nie zaszkodzą.

Gdy z własnej winy lub przypadkiem zachorujesz, powiedz zaraz ojcu lub matce. Przyznaj się do wszystkiego, jeżeli chcesz być zdrowym. Jest wiele ziół i innych lekarstw, za pomocą których chorzy do zdrowia przychodzą. Lekarstwo jest często gorzkie, niedobre, lecz zażywać je musi, kto chce być zdrowym. Łakomiec i lekkomyślnik powinni dziękować Bogu, jeżeli tylko gorzkim lekarstwem odzyskać mogą zdrowie, które jest największem dobrem i największym skarbem w życiu.

211. Pismo.

Najważniejszym środkiem wzajemnego porozumiewania się i dzielenia myśli i uczuć jest pismo. — Zanim wynaleziono znaki na oddanie pewnych dźwięków głosowych, ludzie porozumiewali się za pomocą obrazków, rysowanych lub malowanych. Dziś jeszcze widzimy po wsiach i miasteczkach nade drzwiami sklepów lub pracowni rzemieślniczych zamiast pisma namalowane przedmioty: tu głowę cukru, tam chleba bochenek i bułki, owdzie buty, a po drogach, prowadzących ze stromej góry zamiast ostrzeżenia piśmiennego namalowany na tablicy hamulec.

Podobnie w głębokiej starożytności u Chińczyków i Egipcjan używano rysunku do porozumiewania się. Było to pismo „obrazkowe“. Z czasem Egipcjanie wydoskonalili je do tego stopnia, że n. p. namalowany lew oznaczał nie tylko zwierzę, ale i odwagę. Takie pismo nazwano „hieroglificznem“. Następnie uprościli rysunek kreślonych postaci. Zamiast subtelnie wykończonych figurek ptaków i innych zwierząt przedstawiali na naszkicowaniu tylko głównych zarysów, które ledwie kierunkiem linii przypominały postać dawniejszą. W taki sposób powstało pismo „hieratyczne“.

Z tego to obrazkowego uproszczonego pisma rozwinęło się z czasem pismo głoskowe u ludów semickich, mianowicie u Fenicjan. Zauważono, że człowiek, chcąc mówić, wygłasza ustami pewne dźwięki, z których przez rozmaite łączenia między sobą otrzymuje rozmaite wyrazy. Otóż przyjęto pewne znaki na te dźwięki i tak wynaleziono pismo „głoskowe“.

Z Azji dostało się to pismo do Europy za pośrednictwem fenickich żeglarzy i rozpowszechniło się najpierw w starożytnej Grecji, a przez nią w państwie rzymskim. Grecy porobili w nim zmiany i nadali mu kształt piękniejszy. Rzymianie również je nieco zmienili, nadając mu kształt okrągły, i w ten sposób stali się twórcami alfabetu łacińskiego, jakiego dzisiaj ucywilizowane używają narody.

Z tego powolnego rozwoju pisma widzimy, że wiele upłynęło wieków i wiele podjęto trudów, zanim wytworzono pismo, które przynosi człowiekowi niesłychane korzyści, umożliwiając mu naukę pisania i czytania.

212. O Janie Gutenbergu.

Około roku 1435, bawiąc w Holandji, Gutenberg poznał Kostera, tego samego, który pierwszy zaczął pod obrazkami wyrzynać napisy. Ale od owego czasu, kiedy Koster wyrzynał pierwsze litery na deseczce, upłynęło wiele lat. Koster też nie próżnował i bardzo ulepszył swoje rzemiosło. Kiedy się spotkali z Gutenbergiem, Koster na deskach wyrzynał już modlitwy, a nawet próbował wyrzynać całą książkę.

Robił to tak. Na gładkiej desce wyrzynał litery po literze całą stronę, tak, że na desce robiło się drewniane, wypukłe pismo; tylko wszystkie litery były w niem odwrócone na lewo, żeby potem przy odbijaniu wychodziły jak się należy. Później litery napuszczał farbą i odciskał na papierze. Z tego już była prawdziwa strona drukowana. Później brał drugą deskę i wyrzynał na niej drugą stronę — i tak dalej. Jeżeli książka miała na przykład stron 50, to wyrzynał 50 desek, później mógł strona za stroną odbijać na papierze setki i tysiące sztuk tej samej książki.

Była to robota mozolna, ale jeżeli trzeba było wiele sztuk, czyli egzemplarzy jakiej książki, to prędzej i taniej można je było odbić tym sposobem, niż przepisać. Koster miał już nawet jedną taką książkę, elementarz łaciński, i pokazał ją Gutenbergowi.

Gutenberg odrazu zrozumiał całą rzecz. Ale też widział, że to jeszcze nie taki sposób, któryby można uważać za naj-

lepsy. Przez całą drogę od Kostera do domu zajęty był myślą o tych deskach drewnianych z wyrzniętymi na nich literami. — Jednak — myślał — wyrzynanie książek na desce bardzo drogo kosztuje. Taką deskę można wprawdzie odbijać wielokroć tę samą stronę, ale jakby książka miała 100 stron, trzeba na nią użyć 100 desek. A później do innej książki trzeba by wyrzynać nowe deski — i tak bez końca. To nie jest dobre!

Rozmyślając tak, przypomniał sobie, że w elementarzu Kostera widział na jednej desce wycięte całe abecadło, litera po literze. Raptem, jakby mu się w głowie rozjaśniło: — A gdyby zamiast całych stron wyrznąć z drzewa same litery, każdą oddzielnie na małej deseczce? Toż takie litery drewniane możnaby ustawiać jedno przy drugiej, układać z nich całe wyrazy, a z wyrazów strony i książki.

W myśli już zaczął wyciosowywać takie małe literki, ustawiał je, zmieniał i prawie widział, jak to będzie.

Zdawałoby się, że to mała rzecz, że każdyby doszedł do tego, co przyszło na myśl Gutenbergowi.

A tymczasem całe tysiące lat minęły, a nikt się na taki pomysł nie zdobył. Nikt się nie domyślał, że zamiast całych stron lepiej wyrznąć pojedyncze litery i z tych liter dopiero układać wyrazy, wiersze i strony.

Dziś małe dzieci układają sobie nieraz wyrazy z liter, narysowanych na drzewie, które im kupują rodzice do zabawy. A wtedy nawet taki przemyślny i wyćwiczony człowiek, jak Gutenberg, nie odrazu wpadł na ten pomysł. Po powrocie od Kostera Gutenberg zamknął się w swoim warsztacie i siedział dzień i noc z piłką, pilnikiem i innymi narzędziami, wyrzynając litery.

Nareszcie skończył całe abecadło i dopiero, mając w ręku te nowe ruchome litery, zrozumiał naprawdę, jak wielki zrobił wynalazek. Lecz dużo jeszcze wody miało upłynąć, zanim sam Gutenberg i inni ludzie z jego wynalazku zaczęli korzystać.

A. Potocki.

213. Jak wynaleziono proch.

Działo się to przeszło pięćset lat temu w mieście Fryburgu. Do celi zakonnika, Bertolda Szwarca, wszedł braciszek zakonny, z oznajmieniem, że ksiądz przeor wzywa go do siebie.

— Idę — odpowiedział — tylko spalę ten popiół i umyję ręce, bo posmoliłem je węglem, sypiąc go razem z saletrą i siarką do moździerza. A ty tu po co? — zawołał na kota, odpędzając go chustką, lecz ciekawe stworzenie wsadziło już różowy nosek do moździerza. — Gotów mi poprzewracać wszystko.

To mówiąc, stary zakonnik przykrył moździerz kamieniem, a podarłszy papier, wrzucił do kominka, na którym palił się ogień.

— Pilnuj roboty! — żartobliwie powiedział do kota i wyszedł na korytarz klasztorny.

Ale nie doszedł jeszcze do mieszkania przeora, gdy straszny huk dał się słyszeć w jego własnej celi, drzwi od niej zatrzęsły się w nawiasach, a przez okienko buchnął cuchnący dym.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał przerażony braciszek — to ten kot szkaradny; jemu zawsze źle z oczu patrzyło. Czulem ja, że to nic dobrego, ale wy, ojcze Bertoldzie, wierzyć takim rzeczom nie chcecie.

Tak mruczał braciszek zakonny, ale jakież było jego zdziwienie, gdy, wszedłszy do celi, zastał biednego kota rozciągniętego bez życia, a obok niego leżał kamień, położony przedtem na moździerzu. W celi panował okropny nieład, moździerz potoczył się aż pod ścianę, z półek pospadały książki, a olej z wywróconej lampki ciekł po podłodze. Bertold podniósł kota.

— Widzisz, biedak nie żyje. On nic nie winien, żal mi go bardzo. Ale to dziw, jakim sposobem stać się to mogło i gdzie się podziały z moździerza węgiel, saletra i siarka? — Mówił to, oglądając starannie moździerz, na dnie którego nie było nic, prócz kawałka niedopalonego papieru.

Cela napełniła się tymczasem zakonnikami, którzy pytali z przerażeniem, co mogło być powodem huku i dymu. Bertold opowiedział braciom, że właśnie przygotował mieszaninę z siarki, węgla i saletry, kiedy stał się wypadek, którego sam nie rozumiał.

— Papier palący mógł wprowadzić wpaść z komina do mózdzierza, bo kamień nie przykrywał dobrze otworu; ale jakim sposobem zniknęła moja mieszanina i kto odwalił kamień, który z takim hukiem zabił kota?

Nagle jakaś myśl mu błysnęła. Wziął ze stołu trochę pozostałej mieszaniny, zawinął ją w papier i wrzucił w ogień.

— A to co znowu? — zawołał przerażony braciszek, bo w kominie huknęło i dym rozszedł się na nowo.

— Zburzimy teraz stary mur klasztorny! — zawołał z radością Bertold Szwarc — moja mieszanina siarki, węgla i saletry robi to bez pomocy kilofu i motyki.

I tak się też stało. Na podworcach klasztornych wznosiły się mury starej baszty, która była siedliskiem szczurów i nietoperzy; dawno chciano ją zwalić, ale praca była uciążliwa, więc odkładano ją na później.

Usmolony węglem brat Bertold ukruszył kawał kamienia w starym budynku i podłożył pod niego pudełko, napełnione swoim proszkiem. Całe zgromadzenie przyglądało się ciekawie doświadczeniu, przesądny braciszek napróżno spluwaniem odpędzał złego ducha: proch został wynaleziony, — stara baszta klasztorna runęła z okropnym hukiem i trzaskiem.

W taki to sposób odkrył proch Bertold Szwarc we Fryburgu, zakonnik franciszkański, żyjący przed pięciuset laty.

Pierwszą ofiarą nowego wynalazku był kot, ale od tego czasu iluż nieszczęść stał się ten wynalazek sprawcą! Nie zominajmy jednak, że proch, który na wojnach uśmierca miliony ludzi, użyty dobrze, przebija drogi przez nieskruszone ręką ludzką skały, że broni słabego od przemocy złoczyńcy, że dopomaga człowiekowi do tępienia dzikich, drapieżnych zwierząt.

214. Droga żelazna.

Szerszego życia żądzą naprzód gnany
Człowiek z powietrznej wróciwszy żeglugi,
Spojrzał w świat ten nieprzejrzany
I jak świat ten wielki, długi,
Dwa bliźnie druty narzucił tej ziemi,
Wsiadł w rydwan pary i puścił się niemi.

Od pierwszej chwili stworzenia natury
Brzemienne kruszczem piętrzyły się góry;
Jak stare skarbcze wieki wieków stały,
I na wielką myśl czekały.
I myśl ta błysła — zajaśniała słońcem:

Człowiek lotnym pędzi gońcem,
Przestrzela ziemię zdumiałą,
Rydwan gromem — droga strzałą.
Leci — życie, czas potraja,
Grody, rzeki, morza spaja:
Zbliża się kres ku kresowi,
Łączą ludy, wiążą kraje,
Biegun bratu biegunowi
Sąsiednią rękę podaje.
Rzekłbyś, że Boga nakazem
Przewraca się postać świata;
Dziś się rozdawał żelazem,
I dziś żelazem się brata.

Leć, leć własną gnany siłą,
Jaśniej w świetnym wieku dziele
Każda z dróg twych wielką żyłą
W niezmierzonym świetla ciele.
W każdej z żył tych nurtem wrzającym
Ogień się życia przelewa;
Na każdym wozie lecącym
Sztandar wolności powiewa.

Pędzi, pędzi jak grom fali,
Uciekają lasy, góry.
Gdzieś tam za nim w ciemnej dall,
Zmordowane szumią chmury.
Ledwie ujrzał Alpy, Tatry,
Już go swym ogromem słonia;
Gonia, za nim orły, wiatry —
Orły, wiatry nie dogonia!

Pędzi, pędzi w lotnym biegu
W wielką otchłań niezmierności
Jak lawina, piorun śniegu,
Wieść triumfu, duch wolności:

Radość jego ogniem płonie,
Radby objąć ziemię całą,
Burza szczęścia tętni w łonie,
I każdy oddech nawałą!

Leć, leć, wiek twój z tobą leci,
Wiek potężny, wiek zapasów, .
Co nad całą masą czasów
Lotnym meteorem świeci.
Wszystkich wieków myśli śmiało
W jego myśl się zestrzelily;
Wszystkie chwały w jego chwałę,
W siłę wszystkie jego siły. .
On już mężem był z dziecięcia,
Krwia go ochrzcił Cezar nowy,
I ten ogień przedsięwzięcia
Wlał mu swemi czyny, słowy.
Wiek ten stary świat pokona
Góry przeszkód w proch rozdrobi;
On w pracowni swego łona
Stu wieków przyszłość wyrobi.
On na wszystkie czasy ludy,
Rozwinął skrzydła olbrzymie,
Leci. — wielkie sypie cudy,
I Naprzód mu imię.

F. Morawski.



KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



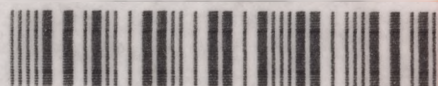
200

Nr 937485

F

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

10536 S



001-010536-00=0